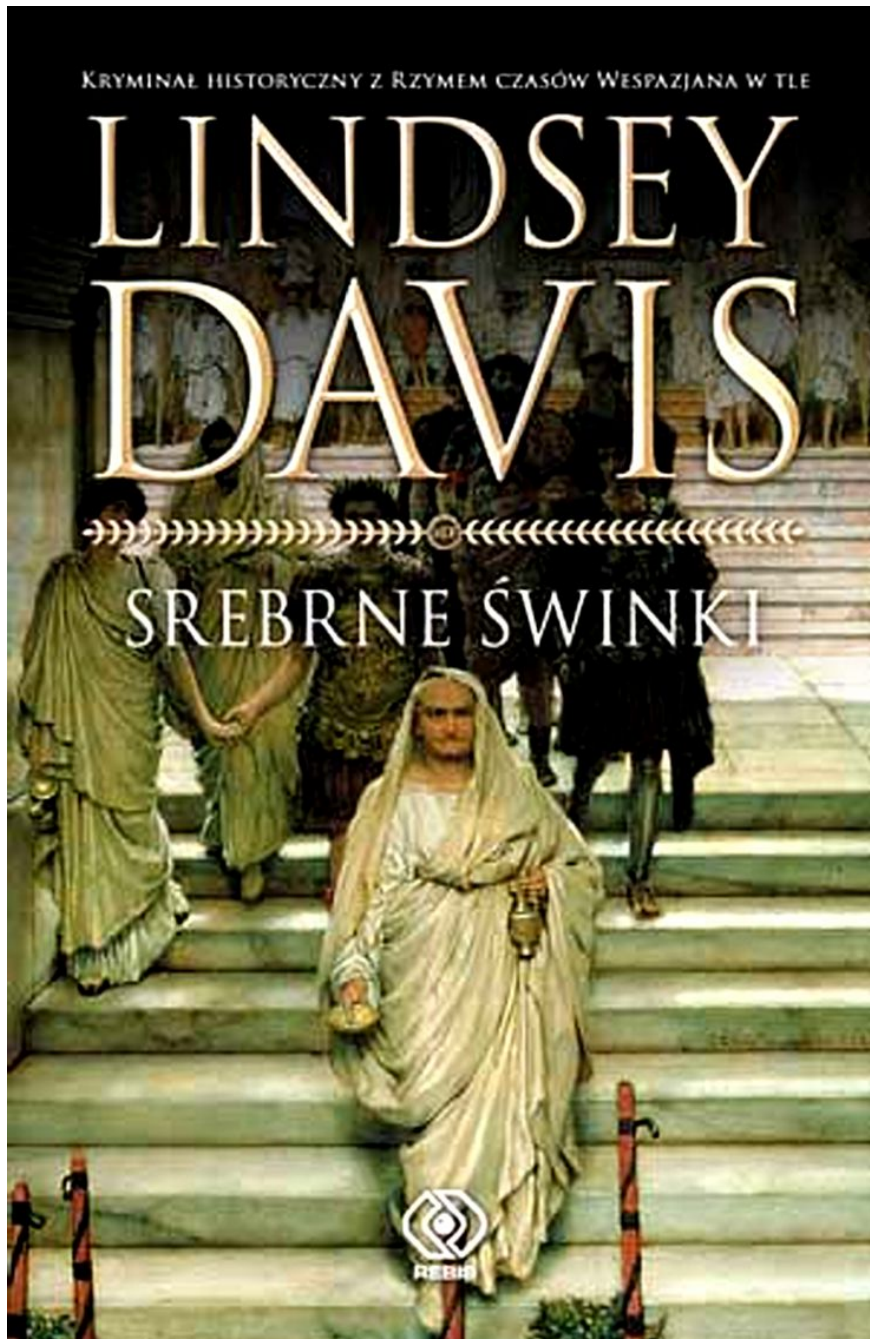




Cykl o MARKU DYDIUSZU FALKONIE

ॐ

tom 1 - Srebrne świnki

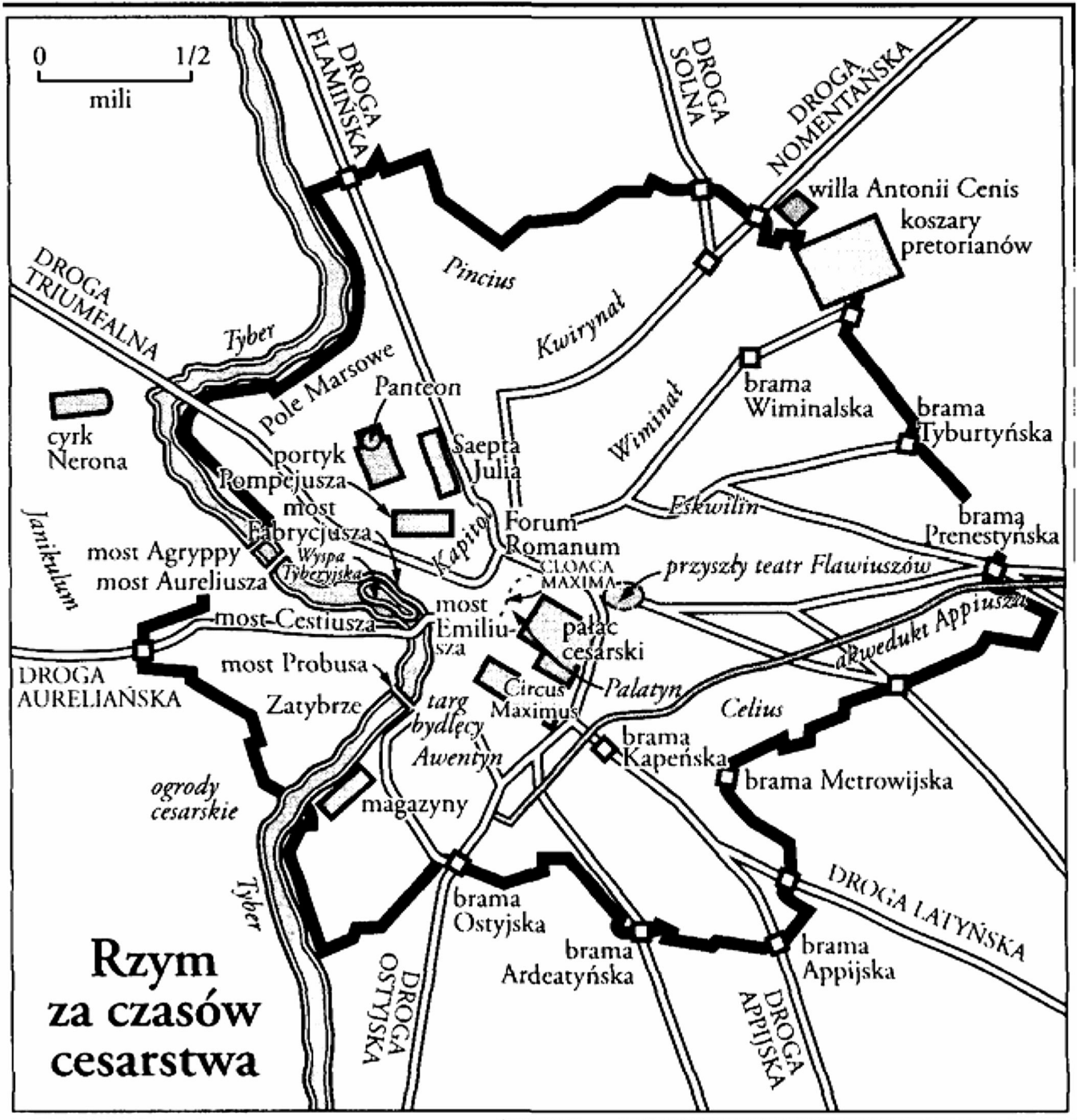


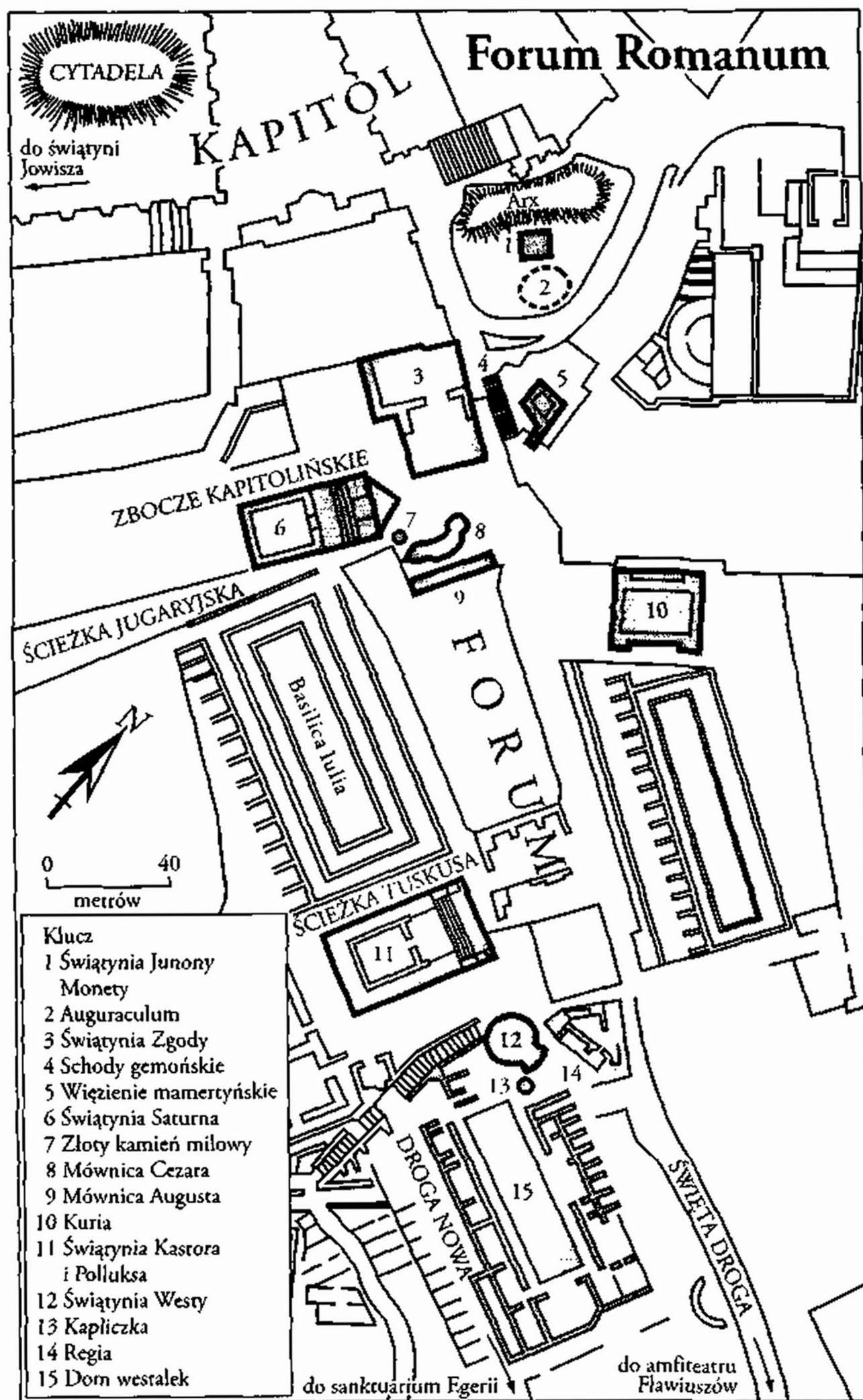
Księgozbiór DiGG



2009









DRAMATIS PERSONAE

PAŁAC CESARSKI

Wespazjan - Jowialny gość, który wyskoczył znikąd i został cesarzem Rzymu.

Tytus - Trzydziestolatek. Starszy syn Wespazjana; zmyślny i lubiany.

Domicjan - Dwudziestolatek. Młodszy syn Wespazjana; nie tak zmyślny, nie tak lubiany.

REGIO I (OKRĘG BRAMY KAPEŃSKIEJ)

Decymus Kamil Werus - Senator, milioner.

Julia Justa - Szlachetna małżonka senatora.

Helena Justyna - Córka senatora. Dwudziestotrzyletnia, niedawno rozwiedziona; roztropna kobieta.

Publiusz Kamil Meto - Młodszy brat senatora; zajmuje się importem/eksportem

Sozja Kamillina - Córka Metona. Szesnastolatka. Blondynka, piękna i dlatego niezobowiązana do roztropności.

Naisa - Pokojówka Heleny Justyny o źle umalowanych oczach.

Gnejusz Dacjusz Pertynaks - Niższy urzędnik piastujący stanowisko edyla (szczególne zainteresowanie: dyscyplina).

REGIO XIII (OKRĘG AWENTYŃSKI)

Marek Dydiusz Falko - Detektyw o poglądach republikańskich.

Matka Falkona - Kobieta o zdecydowanych poglądach na wszystko.

Dydiusz Festus - Brat Falkona. Rzymski bohater (poległy).

Marcja - Trzylatka. Bratanica Falkona.

Petroniusz Longus - Dowódca patrolu straży awentyńskiej.

Lenia - Pracznia.

Smaraktus - Spekulant na rynku nieruchomości; także właściciel szkoły gladiatorów.

INNE DZIELNICE RZYMU

Ascja - Kobieta woźnicy z browaru.

Juliusz Frontyn - Dowódca gwardii pretoriańskiej.

Glaukos - Cylicyńczyk, właściciel szacownego gimnazjonu: niezwykajna postać. *Kelner podający grzane wino* - (Śmierdziel.)

Stróż - (Pijaczyna.)

Koń ogrodnika - (Usposobienie nieznanne.)

BRYTANIA

Gajusz Flawiusz Hilaris - Pełnomocnik cesarski zarządzający finansami, odpowiedzialny również za kopalnie srebra.

Elia Kamilla - Małżonka pełnomocnika; młodsza siostra senatora Kamila Werusa oraz Publiusza.

Rafriusz Witalis - Były centurion II Legionu Augusta; odkąd skończył służbę, mieszka w Isca Dumnoniorum.

T. Klaudiusz Tryfer - (Bryt.) Ma umowę na zarządzanie cesarskimi kopalniami srebra w Vebiodunum w masywie Mendip.

Korniks - Sadysta. Brygadzysta odpowiedzialny za niewolników w cesarskich kopalniach srebra.

Sympleks - Medyk w II Legionie Augusta (szczególne zainteresowanie: chirurgia).





SŁOWO OD AUTORKI

Każdy autor ceni wysoko swoją pierwszą opublikowaną książkę. Spoglądając wstecz, aż nie sposób uwierzyć, że pod koniec lat osiemdziesiątych tak ciężko było przekonać wydawców do pomysłu powieści osadzonej w realiach starożytnego Rzymu. Z jakiegoś powodu uważano to za „zbyt trudne”. Światu starożytnemu mógł być poświęcony jedynie pewien rodzaj klasyki literackiej, natomiast wszystkie nowe powieści, których akcja rozgrywa się w odległej przeszłości, postrzegano jako odstręczające dla współczesnego czytelnika. Teraz to podejście wydaje się nam snobistyczne i niemądre z komercyjnego punktu widzenia, wówczas jednak podjęłam spore ryzyko. Jak wielu innych naiwnych początkujących autorów, nie poddałam się.

Ostatecznie znalazłam agentkę literacką Heather Jeeves. Unieruchomiona na sześć tygodni w Nowej Zelandii z powodu złamanej nogi, miała mnóstwo czasu na rozważenie, co zrobić z takim „trudnym” maszynopisem. Jak wiele odrobinę nietypowych książek, moja też miała za sobą całą historię odrzucania przez wydawców. Ukazała się ona wiele lat później pod tytułem *The Course of Honour*, choć napisawszy ją, byłam pewna, że jedynymi jej czytelnikami będą najbliżsi przyjaciele oraz rodzina.

Musiałam spojrzeć na moje pisanie inaczej. Badania nad Rzymem z czasów cesarstwa podsunęły mi pomysł, najpierw naturalnie w formie żartu, żeby osadzić typową postać prywatnego detektywa, takiego jak ci współcześni, pośród eleganckich portyków i niebezpiecznych zaułków Złotego Miasta sprzed dwóch tysięcy lat. Wydawało mi się, że byłaby to ekscytująca oprawa dla działań i przekrętów różnych podejrzanych, barwnych postaci. Okres poklaudyjski, kiedy cesarstwo przeżywało swoje najlepsze lata, oferował mi jako pisarce szacowne, świetnie zorganizowane społeczeństwo, w którym mnóstwo ludzi robiło karierę zgodnie i niekoniecznie zgodnie z obowiązującym prawem. Możemy się domyślać, że tak jak dzisiejszy typowy prywatny detektyw, ówczesny detektyw (a dokładniej *delator*, czyli zawodowy donosiciel) musiał umieć przetrwać dzięki swojemu sprytowi i pięściom; to, czym się parał, nie wzbudzało szacunku otoczenia.

Dzięki odkryciom archeologów możemy umieścić rzymskiego detektywa w mieszkaniu połączonym z biurem na piętrze kamienicy; podobne domostwa w starożytnym Rzymie były niezwykle tandetne i jak wiemy dzięki ówczesnym satyrykom, zwyczajnie zaniechtywane przez właścicieli. W ciasnych izbach najwyższych pięter gnieździł się najubożsi. W takim miejscu mogło pojawić się u Falkona każde indywiduum i bez obaw przedstawić mu propozycję jakiejś szemranej, kiepsko płatnej roboty. Pośród członków nocnej straży, *vigiles*, pełniącej rolę zarówno straży pożarnej, jak i policji, nasz bohater mógł mieć przyjaciela, tego

niezbędnego starego druha z kręgów oficjalnych, będącego nieocenionym źródłem informacji - miewają ich wszakże wszyscy odnoszący sukcesy prywatni detektywi.

Mój człowiek nie mógł czytać książek o swoich kolegach po fachu z XX wieku, a zatem nie znał współczesnych zasad i nie musiał zgodnie z nimi postępować. Na przykład, choć Falko lubi kobiety, nikt mu nie powiedział, że ma je kochać i rzucać; że powinien flirtować z coraz to inną ślicznotką, nie ryzykując konfrontacji z jej rozwścieczonym ojcem ani sprawy o ustalenie ojcostwa. Nie chcę zepsuć czytelnikowi lektury niniejszej opowieści, więc nie powiem, co zamiast tego robi. Ostatecznie i tak wyszło coś, czego wcale nie planowałam, nie mówiąc już o tym, że on sam by się tego nie spodziewał...

Widziałam dla siebie ogromne pole do popisu także przy obalaniu pewnych stereotypów, szczególnie że można to było zrobić dowcipnie. Klasyczny prywatny detektyw jest samotnikiem, człowiekiem z ledwie zarysowaną przeszłością - zazwyczaj jest tam służba wojskowa w ostatniej wojnie - co sugeruje, że był bohaterem, a nam pozwala wierzyć, że wyjdzie zwycięsko ze wszystkich starć. Ten twardy, cyniczny mężczyzna na ogół nie posiada rodziny, w najlepszym razie zmaga się z jakimś burzliwym rozwodem, nigdy jednak nie wspomina o rodzicach, rodzeństwie, rodzinnym mieście ani latach szkolnych. Wydawało mi się, że Falkona trzeba wyposażyć zupełnie inaczej, a mianowicie obdarzyć go nieokiełznaną na italską modłę rodziną z prostolinijną matroną na czele - kobietą twardą ręką rządzącą w tym rzekomo patriarchalnym społeczeństwie. Odpowiedzialność za rodzinę była obowiązkiem rzymskiego mężczyzny i chciałam, by mój bohater miał stosowne troski... nawet jeśli bardzo się starał ich unikać. Skąd mogłam wiedzieć, że stanie się to tak popularne? Wpadający w tarapaty kłopotliwi krewni mojego bohatera, jego lojalni przyjaciele i przebiegli wrogowie, jego sąsiedzi z rozprażonych zaułków wokół Dziedzińca Fontanny na Awentynie - wszyscy oni dla wielu czytelników stali się ulubionym elementem tych książek. Czerpię mnóstwo radości z zestawiania nieustannie powiększającej się liczby bohaterów występujących w powieściach i ich osobliwych losów. Stale przewijające się postaci - spośród których wiele czytelnik spotka tutaj, w *Srebrnych świnkach* - zdobyły zagorzałych wielbicieli, często kibicujących najgorszym draniom. Nawet zwierzęta domowe mają już swoich miłośników. Czytelnicy nie szczędzą mi gorzkich słów, jeśli pominę ich ulubieńców.

Umiejscowienie akcji w konkretnym okresie historycznym postawiło mnie w zdecydowanie korzystnej sytuacji. Egzotyka szczegółów i scenerii, a także zachowań społecznych czyni powieść żywszą i daje jej większą głębię. Badanie takich aspektów to dla mnie sama przyjemność, niezależnie od tego, czy to chodzi o książki, muzea, wykopaliska czy podróże. Podczas pisania tej serii zwiedziłam miejsca będące tłem wydarzeń na terenie Włoch, Hiszpanii, Niemiec, Syrii i Libii oraz rejony Wielkiej Brytanii, których nigdy wcześniej nie odwiedzałam. Oprócz przyjemności są też pewne zobowiązania. Nie widzę sensu pisania o przeszłości, jeśli nie próbuje się sprawić, by robiła ona jak najbardziej wiarygodne wrażenie; w

przeciwnym razie można przecież tworzyć własne miejsca i czas, pisząc powieści science fiction czy fantasy. Dlatego staram się być dokładna. Niemniej moje książki to fikcja literacka, którą tworzę pośpiesznie, żeby zaspokoić wymagania czytelników, i piszę ją czasami w sposób śmiały i nowatorski, mogą więc gdzieś wkradnąć się błędy. Brak doświadczenia spowodował, że w *Srebrnych świnkach* znalazło się kilka niedokończonych wątków i niestarannie dobranych słów. W nowym wydaniu poprawiliśmy je dyskretnie (nie ma mowy, nie podam ich listy!).

Podczas tych dwunastu lat, które minęły od chwili, kiedy zaczęłam pisać, wiele się nauczyłam i mam nadzieję, że nadal będę się rozwijać. Zresztą sama wiedza czyni postępy. Kiedyś brytyjscy archeolodzy odruchowo nazwali ołowiane sztaby „świnkami”. Teraz (może nawet w wyniku zainteresowania tą powieścią) toczy się debata na temat tego, jak tak naprawdę formowano tamte sztaby - czy przypadkiem roztopiony metal nie stygł zbyt szybko i nie mógł spływać w boczne kanały i czy prawdziwe „świnki” powinny nosić ślady po odłamaniu ich od głównego kanału. Kiedy się zastanowić, wydaje się prawdopodobne, że te sztabki srebra/ołowiu, które oglądamy w muzeach, odlewano w pojedynczych formach - podobnie jak się piecze babeczki. Możliwe zatem, że Falko, opisując ów proces Petroniuszowi, myli się. Cóż, nie jest on człowiekiem nieomylnym, a poza tym ja zawsze bardzo lubiłam tę scenę. Ukazuje świetnie ich wzajemne relacje. Wspominam to, bo widać tutaj problemy, przed jakimi może stanąć autor, który stara się być na bieżąco ze sprawami poruszonymi w książce, nawet po jej publikacji. Po namyśle postanowiłam jednak pozostawić tę scenę niezmienną. Uważam również, że nie wolno nam zmieniać tytułu, i to wcale nie dlatego, że *Srebrne foremki* nasuwałyby na myśl talerz mufinek!

Przyznaję się do błędów i poprawiam je później, jeśli mogę. Publikując tę książkę, stałam się celem dla ludzi „uczynnych”, wszystkich tych, którzy uważają za konieczne wytknąć mi te błędy. Kiedyś bardzo mnie to zawstydzalo, teraz natomiast uważam, że dla autorki powieści kryminalnych przyglądanie się tym ciemniejszym pobudkom, jakimi czasami kierują się sympatyczni skądinąd ludzie, jest bardzo pouczające.

Wydaje mi się, że w beletrystyce, która z założenia nie ma być traktowana zbyt poważnie, ostatecznie najważniejsza jest narracja. Czy czytelnicy w i e r z ą w świat Falkona i jego działania? Niektórym nie starcza wyobraźni i przychodzi im to z trudem, ale w większości, owszem, wierzą. Żaden autor nie zadowoli wszystkich. Godzę się na utratę sceptyków i malkontentów w zamian za tych w pełni przekonanych.

Na szczęście jest ich mnóstwo. Od chwili ukazania się *Srebrnych świnek* poznałam wspaniałych czytelników - wielu z nich bardzo zależy na tym, żeby mi powiedzieć dziękuję. To dla mnie ogromna radość, że tyle osób ma uczucie, jakby pisali do przyjaciela. Często zaczynają swój list słowami: „Nigdy wcześniej nie pisałem/pisałam do autora książki...” Ta pierwsza książka z serii przyniosła mi też pierwszy list od mojego oficjalnego Fana Numer Jeden. Jest nim Nigel Alefounder, oddany sojusznik, choć, co typowe, skromny i nieświadom swojej istotnej roli. To on ustalił wzór: radosny, zaintrygowany, zafascynowany Rzymianami, a przecież bardzo

rozsądny, jeśli chodzi o to, czemu ma służyć ten rodzaj literatury. Muszę przyznać, że czytelnicy Falkona to grupa niezwykle m i ł y c h ludzi. Pisanie dla nich to sama przyjemność. Także inspiracja, bo choć nie mogę spełnić oczekiwań tych, którzy mnie nieustannie poganiają, to przynajmniej obiecuję, że na razie pisać nie przestanę. Mam szczerą nadzieję, że niektórzy spośród państwa, czytający te słowa, spotykają Falkona i Helenę po raz pierwszy i że seria zdobędzie nowych zwolenników. Was witam szczególnie ciepło. Starych przyjaciół witam ponownie... i jak zawsze dziękuję za niezłomną wierność.

Lindsey Davis,
Londyn, marzec 2000





CZEŚĆ 1

RZYM

LATO - JESIEŃ A.D. 70



I

Kiedy dziewczyna wbiegała po schodach, doszedłem do wniosku, że ma na sobie zdecydowanie za dużo szatek.

Było późne lato. Rzym skwierczał jak naleśnik na patelni. Ludzie rozsznurowywali sandały, ale ich nie zdejmowali; nawet słoń nie mógłby przejść ulicą nieobuty. Na stołkach w cieniu bram rozwalaly się, szeroko rozstawiając gołe kolana, obnażone do pasa osoby... a w zaułkach Awentynu, gdzie mieszkałem, tymi osobami były kobiety.

Stałem na Forum Romanum. Ona biegła. Widać było, że jest zbyt ciepło ubrana i niebezpiecznie przegrzana, jednak ani udar słoneczny, ani uduszenie jeszcze jej nie groziły. Błyszczała się i kleiła niczym lukrowana, pleciona w warkocz chałka, a kiedy pośpiesznie pokonywała schody do świątyni Saturna, biegnąc prosto na mnie, nie wykonałem najmniejszego ruchu, by zejść jej z drogi. Niewiele brakowało, żeby na mnie wpadła. Niektórzy ludzie mają szczęście; inni zwą się Dydiusz Falko.

Kiedy była już całkiem blisko, nadal uważałem, że lepiej wyglądałaby bez tych wszystkich tunik. Proszę mnie jednak źle nie zrozumieć. Lubię, kiedy moje kobiety są osłonięte czymś zwiewnym; mogę wówczas mieć nadzieję, że dane mi będzie wyłuskać je z tej osłony. Jeśli natomiast od razu, kiedy je ujrzę, nie mają na sobie nic, popadam w przygnębienie, bo to oznacza, że albo już rozebrały się dla kogoś zupełnie innego, albo, zważywszy na moje zajęcie, są zwyczajnie martwe. Ta wręcz promieniała życiem.

Mogłem sobie wyobrazić, jak w eleganckiej, wyłożonej marmurami willi, z fontannami, cienistymi ogrodami jakaś beztroska młoda dama wcale nie odczuwa upału, nawet spowita w haftowane szaty i obwieszona gagatowymi i bursztynowymi bransoletami od łokci do nadgarstków. Jeśli jednak wybiega stamtąd pośpiesznie, musi natychmiast tego żałować. Czuje, że zaraz się ugotuje w rozedrganym żarem powietrzu. Zwiewne szaty oblepiają całą jej szczupłą postać. Czyste włosy oplatają drażniącymi mackami szyję. Mokre stopy ślizgają się w sandałach, strużki potu spływają z ciepłej szyi w interesujące zakamarki pod całą tą wyszukaną draperią...

- Bardzo przepraszam... - wykrztusiła.

- To ja przepraszam!

Starła się mnie ominąć; uprzejmie się odsunąłem. Zrobiła unik; ja zrobiłem unik. Przyszedłem na Forum, żeby odwiedzić swojego bankiera; byłem w podłym nastroju. Powitałem tę rozżarzoną zjawę z gorliwością człowieka, któremu przydadzą się kłopoty, żeby mógł czymś zająć umysł.

Była drobniutka. Podobały mi się wprawdzie te wysokie, mogłem jednak pójść na kompromis. Była wręcz grzesznie młoda. W tym czasie gustowałem w kobietach starszych... ta jednak miała przecież wydorosnąć, a ja z pewnością mogłem poczekać. Kiedy tak wymijaliśmy się na schodach, oglądała się za siebie wyraźnie ogarnięta strachem. Zapatrzyłem się na jej kształtne ramię, a potem mój wzrok podążył ponad nim za jej wzrokiem. I wtedy doznałem wstrząsu.

Było ich dwóch. Dwaj wredni obwiesie - prawdziwe zakapiory o ptasich mózdkach, tak szerokie jak wysokie - przepychali się przez tłum i dzieliło ich od niej nie więcej niż dziesięć kroków. Dziewczę wyglądało na przeżone.

- Proszę zejść mi z drogi! - krzyknęła. Zastanawiałem się, co robić.

- Co za maniery! - zląkałem ją, podczas gdy te dwie kreatury zbliżyły się na pięć kroków.

- Zejdź mi z drogi, p a n i e ! - wrzasnęła. Była doskonała.

Forum wyglądało tak jak zawsze. Po lewej, wyżej, mieliśmy Tabularium - archiwum państwowe - i Kapitol; po prawej budynek sądu i kawałek dalej, przy Świętej Drodze, świątynię Kastora i Polluksa. W kierunku przeciwnym, za białą marmurową mównicą, stała Kuria - gmach posiedzeń senatu. Wszystkie portyki zatłoczone były rzeźnikami i bankierami, cała wolna przestrzeń wypełniona spoconym tłumem, złożonym głównie z mężczyzn. Plac rozbrzmiewał przekleństwami dobiegającymi od szeregów niewolników, które przecinały się wzajemnie jak na jakimś kiepsko zorganizowanym wojskowym pokazie. Powietrze przesycone było odorem czosnku i pomady do włosów.

Dziewczyna uskoczyła w bok; przesunąłem się w tę samą stronę.

- Mam wskazać drogę, młoda damo? - spytałem pomocnie.

Była nazbyt zdesperowana, by udawać.

- Koniecznie muszę do sędziego... - Już tylko trzy kroki: liczba opcji gwałtownie się kurczyła. Jej twarz zmieniła wyraz. - Och, p o m ó ż mi!

- Z przyjemnością.

Objąłem dowództwo. Odsunąłem ją jedną ręką, kiedy pierwszy z obwiesi rzucił się do przodu. Z bliska wyglądali na jeszcze większych, a Forum nie było terenem, gdzie mogłem liczyć na jakąś pomoc. Wycelowałem spodem buta w mostek pierwszego draba, po czym energicznie wyprostowałem kolano. Poczulem chrupnięcie w nodze, ale ten wół pociągowy zatoczył się na swojego paskudnego koleżkę i obaj niczym akrobaci, którzy popełnili błąd, zachwiali się do tyłu. Rozglądałem się wokół gorączkowo w poszukiwaniu czegoś, czym można by odwrócić ich uwagę.

Na schodach jak zwykle roilo się od nielegalnych naganiaczy, uwijających się między kramami oferującymi towary w wygórowanych

cenach. Przez chwilę myślałem o posłaniu w dół melonów, ale zgniecione owoce oznaczałyby uszczuplenie dochodów handlującego nimi ogrodnika. Wiem, co oznaczają uszczuplone dochody, więc mój wybór padł na gustowne wyroby z miedzi. Napierając barkiem, przewróciłem cały stragan. Pisk kramarki utonął w łoskocie toczących się po świątynnych schodach amfor, dzbanów i urn. W ślad za nimi pędziła lamentująca właścicielka oraz spora grupa uczciwych obywateli... gnanych nadzieją, że wrócą do domu z ładną żłobkowaną paterą na owoce.

Chwyciłem dziewczynę i ruszyłem susami w górę prowadzących do świątyni stopni. Nie marnując czasu na podziwianie dostojnej urody jońskiego portyku, minęliśmy rząd sześciu kolumn i znaleźliśmy się w najświętszym miejscu. Zapiszczała; nie zwolniłem. Było tam na tyle chłodno, żeby przyprawić nas oboje o dreszcze, ale i na tyle ciemno, żeby wywołać u mnie poty. Czuło się też ten stary, prastary zapach. Nasze szybkie kroki rozbrzmiewały ostro na kamiennej posadzce.

- Czy wolno mi tu wchodzić? - syknęła.
- Rób pobożną minę; już wychodzimy.
- Przecież się stąd nie wydostaniemy!

Jeśli macie jakieś pojęcie o świątyniach, to wiecie, że posiadają one jedno imponujące wejście od frontu. Jeśli zaś wiecie cokolwiek o kapłanach, to na pewno zauważyliście, że gdzieś z tyłu mają dla siebie jakieś dyskretne drzwiczki. Kapłani Saturna nie sprawili nam zawodu.

Wyprowadziłem ją od strony torów wyścigowych i ruszyłem na południe. Biedna dziewczyna uciekła z areny wprost do klatki lwa. Ciągnąłem ją przez mroczne zaułki i kluczyłem przesiąkniętymi kwaśną wonią uliczkami, aż znalazłem się na znajomym gruncie.

- Gdzie jesteśmy?

- Okręg Awentyński, trzynasta dzielnica. Na południe od Circus Maximus, w stronę drogi Ostyjskiej. - Musiało to być równie uspokajające jak uśmiech rekina szczerzącego się do flądry. Na pewno nie wolno jej było zapuszczać się w takie okolice. Jej kochające stare nianie musiały ostrzec ją przed typami mojego pokroju.

Kiedy przecięliśmy drogę Aureliańską zwolniłem, po części dlatego, że znajdowałem się już na bezpiecznym gruncie, ale również dlatego, że dziewczę było w takim stanie, jakby lada moment miało wyzionąć ducha.

- Dokąd idziemy?

- Do mojego biura.

Chyba jej ulżyło. Nie na długo jednak: moje biuro stanowiły dwie izby na szóstym piętrze zawilgoconej kamienicy, gdzie spoiwem ścian były brud i zdechłe pluskwy. Nim któryś z sąsiadów mógł ocenić wartość jej stroju, porwałem ją z błotnistej szlaku uchodzącego tutaj za ulicę i wprowadziłem szybko do pralni Lenii, zakładu zdecydowanie niższej kategorii.

Usłyszawszy głos Smaraktusa, właściciela domu, zrobiłem energiczne w tył zwrot i bezzwłocznie wyprowadziłem dziewczynę z powrotem na zewnątrz.



II

Na szczęście Smaraktus właśnie wychodził. Ustawiłem dziewczynę w portyku przed warsztatem koszykarza, a sam przykucnąłem za nią i gmerałem przy paskach swojego lewego buta.

- Kto to? - spytała mnie szeptem.

- Zwykły miejscowy śmieć - wyjaśniłem. Oszczędziłem jej przemówienia o właścicielach nieruchomości pasożytujących na ubogich, ale i tak się zorientowała w sytuacji.

- To twój gospodarz! - zgadła. Cóż za domyślność!

- Poszedł sobie?

Potwierdziła.

- Wlecze się za nim kilku wychudzonych gladiatorów? - upewniłem się na wszelki wypadek.

- Wszyscy z podbitymi oczyma i w brudnych bandażach.

- No to idziemy!

Przepchnęliśmy się przez mokre łachy, które Lenia wywiesiła na zewnątrz, żeby wyschły. Odwracając się, by nie chłostały nas po twarzach, znów weszliśmy do środka.

Pralnia Lenii. Para buchnęła z taką siłą, że mało nas nie powaliła. Chłopcy z chlupotem brodzili po swoje poobijane kolana w kadziach z gorącą wodą, depcząc ubrania. Panował hałas - strzepywanie, rozciąganie, ciskanie płótna, dzwonienie kotłów - wszystko w zamkniętej przestrzeni, w której niosło echo. Pralnia zajmowała cały parter i rozprzestrzeniała się na podwórko od tyłu.

Niechlujna właścicielka przywitała nas drwinami. Lenia była zapewne młodsza ode mnie, ale z tą wymizerowaną twarzą i obwisłym brzuchem, który przelewał się przez krawędź niesionego przez nią koszyka, wyglądała na czterdziestkę. Kosmyki kędzierzawych włosów wymykały się spod bezbarwnej wstążki, którą miała przepasane czoło. Zachichotała gardłowo, kiedy zobaczyła mój skarb.

- Falko! Matka pozwala ci się bawić z małymi dziewczynkami?

- Niezłe cacko, co? - Przybrałem układny wyraz twarzy. - Trafiła mi się prawdziwa okazja na Forum.

- Nie wyszczerb tej pięknej glazury! - kpiła. - Smaraktus napomknął, że albo zapłacisz zaległy czynsz, albo jego sieciarze wbiją te swoje trójzęby w co delikatniejsze partie twojego ciała.

- Jeśli chce wycisnąć ze mnie pieniądze, to powinien najpierw wręczyć mi rachunek na piśmie. Powiedz mu...

- Sam mu powiedz.

Lenia, która w duchu trzymała moją stronę, nie mieszała się do moich przepychanek z gospodarzem. Smaraktus się do niej umizgiwał, czemu na razie się opierała, bo ceniła sobie niezależność, ale będąc prawdziwą kobietą interesu, niczego nie wykluczała. Facet był obrzydliwy. Uważałem, że Lenia jest szalona. Powiedziałem jej kiedyś, co o tym myślę; ona powiedziała mi, czyjego nosa mam pilnować.

Jej niespokojne oczy ponownie zatrzymały się na mojej towarzysze.

- Nowa klientka - pochwaliłem się.

- Coś takiego! Ona płaci ci za doświadczenie czy ty płacisz jej za przyjemność?

Teraz oboje przyjrzelśmy się mojej młodej damie.

Miała na sobie wytworną białą tunikę z rękawami spiętymi zapinkami ozdobionymi niebieską emalią i zarzuconą na nią stolę, tak długą, że uniesiona opadała fałdą ponad uplecionym ze złotych nici paskiem. Po zmrużonych, załzawionych oczach Lenii zgadłem, że oprócz szerokich pasów wzorzystego haftu wokół szyi, u dołu i na przedzie szaty podziwiamy tutaj tkaninę najwyższej jakości. Moja bogini miała w każdym maleńkim uszku druciane kółka z nanizanymi szklanymi paciorkami, kilka łańcuszków na szyi, trzy bransolety na lewej ręce, cztery na prawej, a na palcach całą kolekcję pierścieni w kształcie supelków, węży i ptaków z długimi skrzyżowanymi dziobami. Moglibyśmy sprzedać te dziewczęce ozdoby za więcej, niż ja zarobiłem przez cały poprzedni rok. Lepiej już było się nie zastanawiać, ile jakaś burdelmama zapłaciłaby nam za taką urodziwą dziewczynę.

Była blondynką. To znaczy była blondynką w tym miesiącu, a ponieważ na pewno nie pochodziła z Macedonii ani Germanii, ten jasny kolor włosów musiał być efektem farby, i to fachowo zastosowanej. Nigdy bym się nie domyślił; dopiero później Lenia mnie oświeciła.

Włosy miała zwinięte w trzy miękkie grube pukle, zebrane na karku i związane wstążką. Pokusa, żeby tę wstążkę rozwiązać, dręczyła mnie jak użądlenie szerszenia. Twarz oczywiście malowała. Wszystkie moje siostry paradowały wypacykowane jak świeżo pozłacane posągi, więc byłem do tego przyzwyczajony. Moje siostry to zadziwiające, choć nachalne dzieła sztuki. To tutaj było dziełem o wiele bardziej subtelnym, uzyskanym dzięki niemal niewidocznym środkom, tyle że przez ten bieg w upale rozmazała się nieco obwódka jednego oka. Oczy miała brązowe, emanujące całkowitą szczerością.

Lenii znudziło się to przyglądanie dużo wcześniej niż mnie.

- Amator dziewczynek! - oświadczyła z pełną powagą. - Tylko wysiusiaj się do kubła, zanim zabierzesz ją na górę.

Nie chodziło jej o próbkę uryny dla medyka, który miałby zbadać stan zdrowia człowieka gustującego w małych dziewczynkach; była to najzwyczajniejsza w świecie uprzejmość połączona z interesem.

Muszę teraz wyjaśnić tę sprawę z kubłem i z kadzią do wybielania.

Później, długo po tych wydarzeniach, opisywałem to wszystko komuś, kogo dobrze znałem, i dyskutowaliśmy o środkach, jakich właściciele pralni używają do wybielania płótna.

- Oczyszczany popiół drzewny? - spytał niepewnie mój rozmówca.

Owszem, stosują popiół. Stosują też węglan sodu, ziemię fulerską i glinę kamionkową, by szaty kandydatów na urzędy wyglądały olśniewająco. Natomiast nieskazitelna biel tóg zwykłych obywateli naszego wspaniałego cesarstwa jest skutecznie utrzymywana dzięki urynie pozyskiwanej z ustępów publicznych. Cesarz Wespazjan, zawsze szybki w

wykorzystywaniu nowych sposobów wyciskania gotówki, obłożył podatkiem tę starodawną dziedzinę handlu ludzkimi odchodami. Lenia ten podatek płaciła, choć z zasady, kiedy tylko mogła, zwiększała swoje zapasy nielegalnie.

Kobieta, której opowiadałem tę historię, skomentowała ją w chłodny, typowy dla siebie sposób: „Przypuszczam, że w sezonie jarzyn, kiedy wszyscy jedzą buraki, połowa tóg na Forum ma delikatny różowy odcień? Czy go splukują?”, spytała.

Wzruszyłem ramionami, świadomie nie dając jednoznacznej odpowiedzi. W ogóle opuściłbym ten niesmaczny szczegół, jak się jednak ostatecznie okazało, Lenii każdo do bielenia odegrała kluczową rolę w tej opowieści.

Ponieważ mieszkałem na szóstym piętrze kamienicy niewyposażonej ani trochę lepiej od innych nędznych budynków Rzymu, do kubła Lenii od dawna miałem bardzo przyjazne nastawienie.

Pracznica z życzliwością zwróciła się do mojej towarzyszki:

- Dziewczeta udają się tam, za te rzeczy do zgrzeblenia, moja droga.

- Lenia, nie zawstydzaj mojej wytwornej klientki! - Zarumieniłem się w jej imieniu.

- Prawdę mówiąc, opuściłam dom dość nagle...

Moja klientka, wytworna, lecz zdesperowana, popędziła za żerdzie, na których rozwieszano suche ubrania i potem szczotkowano je sukienniczymi zgrzeblami, żeby unieść włos. Czekaając, skorzystałem z tego samego co zawsze kubła i rozmawiałem z Lenią o pogodzie. Tak jak należy.

Po pięciu minutach temat mi się wyczerpał.

- Zmiataj stąd, Falko! - przywitała mnie dziewczyna od zgrzeblania, kiedy zajrzałem za wieszaki. Po mojej klientce nie było ani śladu.

Gdyby była mniej atrakcyjna, może bym machnął na nią ręką. Ona jednak była wyjątkowo atrakcyjna... i nie widziałem powodu, żeby oddać to wcielenie niewinności w obce ręce. Rzucając przekleństwami, przepchnąłem się obok gigantycznych śrubowych prasowalnic i wybiegłem na podwórze pralni.

Stał tam piec podgrzewający wodę do prania. Różne części garderoby leżały rozłożone na wiklinowych ramach nad piecykami z płonąca siarka, która dzięki jakimś swoim tajemniczym właściwościom dodatkowo nasycy materiał bielą. Było tam też kilkoro młodych ludzi drwiących z mojej wściekłości i roztaczał się okropny smród. Ale klientki nie było. Przeskoczyłem nad niskim wózkiem i ruszyłem uliczką.

Ona zdążyła już czmychnąć za osmalone kadzie farbiarza, dzielnie pokonała kupę gnoju i już minęła połowę klatek z drobiem, w których tkwiły gęsi z obolałymi łapkami i oklapnięty jasnoczerwony flaming przygotowane na jutrzejszy targ. Kiedy podbiegłem bliżej, okazało się, że drogę zagradza jej powroźnik, właśnie pozbywający się pasa z ogromnego brzuszyska, żeby sobie ułatwić dobranie się do panienki, z tą pospolitą brutalnością, która w tych okolicach uchodziła za uznanie dla kobiecych kształtów. Podziękowałem uprzejmie powroźnikowi za opiekę nad dziewczyną i zanim któreś z nich zdążyło zacząć się targować, zabrałem ją

do siebie.

Już wiedziałem, że jest to tego rodzaju klientka, którą będę musiał przywiązać sobie długim sznurkiem do nadgarstka.



III

W porównaniu z wrzawą panującą na Forum Romanum i innych rzymskich placach moja siedziba była oazą spokoju, choć z ulicy dochodziły słabe odgłosy, a czasami znad ogromnych połaci czerwonych dachówek dobiegał ptasi śpiew. Mieszkałem na samej górze. Dotarliśmy tam, jak każdy, kto się do mnie wspiał, dysząc ciężko. Dziewczyna przystanęła, żeby przeczytać moją ceramiczną tabliczkę na drzwiach. Była ona całkowicie zbędna, bo nikt nie pcha się na szóste piętro, jeśli nie wie, kto tam mieszka, zlitowałem się jednak nad pewnym domokrażcą, który wdrapał się tutaj, żeby koniecznie mnie przekonać, że taka tabliczka pomoże zareklamować mój interes. Nic nie pomoże moim interesom, ale dajmy temu spokój.

- M. Dydiusz Falko. M to Marek. Mam się tak do ciebie zwracać?

- Nie - odparłem.

Weszliśmy do środka.

- Im więcej schodów, tym niższy czynsz - wyjaśniłem cierpko. - Zajmowałem dach, ale gołębie skarżyły się, że obniżam standard ich eleganckiej dachówki...

Mieszkałem w połowie drogi do nieba. Dziewczyna była zauroczona. Przyzwyczajona do luksusowych, przestronnych, parterowych rezydencji, z własnymi ogrodami i z dostępem do akweduktu, prawdopodobnie tęskniła za wadami mojego orlego gniazda. Jeśli o mnie chodzi, to żyłem w strachu, że pewnego dnia fundamenty domu nie wytrzymają i sześć zasiedlonych warstw runie w obłoku kurzu albo że którejś upalnej nocy prześpię alarm pożarowy i usmażę się we własnym tłuszczu.

Od razu ruszyła na balkon. Pozwoliłem jej na chwilę samotności, po czym dołączyłem do niej, prawdziwie dumny z widoku. Bo przynajmniej to było bajeczne. Nasza kamienica stała wystarczająco wysoko na Awentynie, żeby górować nad innymi, ciągnącymi się w stronę mostu Probusa. Widok rozciągał się na wiele mil, na całe Zatybrze, aż do wzgórza Janikulum i wiejskiej okolicy zachodniego brzegu. Najlepiej wyglądało to nocą. Kiedy wozy dostawcze przestały już turkotać, inne dźwięki stawały się tak intensywne, że można było usłyszeć plusk wody obmywającej brzegi Tybru i szcęk krzyżowanych włóczy strażnicy cesarskiej na Palatynie.

Oddychała głęboko ciepłym powietrzem, przesyconym zapachami miasta - jadłodajni, sklepów mydlarskich i spożywczych - przemieszanymi z niesionym wiatrem aromatem pinii rosnących w ogrodach na stoku wzgórza Pincius.

- Och, chciałabym mieszkać w takim miejscu... - Musiała dostrzec moją minę. - No tak, uważasz mnie za rozpuszczoną smarkulę! Myślisz, że nie wiem o braku wody, ogrzewania zimą i możliwości gotowania i o przy-

noszeniu gorących dań z okolicznych garkuchni...

Miała rację, tak właśnie myślałem.

- Kim ty właściwie jesteś? - ścisząc głos, zapytała zniechęcona.

- Czytałaś: Dydiusz Falko - odparłem, przyglądając się jej bacznie. - Detektyw.

Rozważała moje słowa. Przez chwilę nie była pewna, potem nagle się ożywiła.

- Pracujesz dla cesarza!

- Wespazjan nie znosi detektywów. Ja działam w imieniu smutnych panów w średnim wieku, którzy podejrzewają, że ich podłe małżonki śpią z woźnicami rydwanów, i tych jeszcze smutniejszych, którzy wiedzą, że ich żony śpią z ich bratankami i siostrzeńcami. Czasami pracuję dla kobiet.

- Co robisz dla kobiet... czy może takie pytanie jest niedyskretne?

Roześmiałem się.

- To, za co mi płacą! - Nie rozwijałem tego wątku. Wszedłem do środka i sprzątnąłem różne przedmioty, których wolałem, żeby nie widziała, potem zabrałem się do przygotowywania kolacji. Po jakimś czasie ona też weszła do środka i rozejrzała się po tej ponurej norze, którą wynajmowałem mi Smaraktus. Za tę cenę była to obraza... ja jednak rzadko płaciłem.

Izba była tak mała, że pies by się z trudem w niej obrócił, i to tylko jeśli byłby chudy i miał podwinięty pod siebie ogon. Chwiejny stół, krzywa ława, półka z garnkami, stos cegieł, które służyły mi za kuchenkę, ruszt, dzbany do wina (puste), kosz na śmieci (pełen). Kiedy człowieka zmęczyło rozdeptywanie karaluchów, mógł się przenieść na balkon. Za zasłonką w jaskrawych zachęcających kolorach znajdowała się sypialnia. Zapewne dziewczyna sama się domyśliła, bo nie zapytała o to przepierzenie.

- Na wypadek gdybyś była przyzwyczajona do całonocnych uczt złożonych z siedmiu dań, od jajek w zalewie z marynowanych ryb poczynając, a na sorbetach trzymany w śniegu kończąc, muszę cię uprzedzić, że we wtorki mój kucharz odwiedza swoją babcie. - Nie miałem kucharza, w ogóle nie miałem żadnego niewolnika. Moja nowa klientka nie wyglądała na zbyt szczęśliwą.

- Nie rób sobie kłopotu, proszę. Zjem, kiedy odprowadzisz mnie do domu...

- Na razie nigdzie nie idziesz - oświadczyłem. - Dopóki się nie dowiem, dokąd i dlaczego miałbym cię odprowadzić. A teraz zabieraj się do jedzenia!

Jedliśmy świeże sardynki. Wolałbym podać coś pyszniejszego, ale akurat to zostawiła kobieta, która wzięła na siebie obowiązek przynoszenia mi posiłków. Zrobiłem do nich zimny słodki sos, żeby wzbogacić smak ryb: miód, szczypta tego, kropelka owego, normalka. Dziewczyna przyglądała się moim zabiegom, jakby nigdy w życiu nie widziała, żeby ktoś ucierał w moździerz lubczyk i rozmaryn. Może rzeczywiście nie widziała.

Skończyłem jeść pierwszy, oparłem łokcie na krawędzi stołu i spoglądałem na młodą damę, przybierając szczerą i wzbudzającą zaufanie wyraz twarzy.

- A teraz wszystko opowiedz wujkowi Dydiuszowi. Jak masz na imię?

- Helena.

Byłem tak zajęty utrzymywaniem szczerej miny, że nie zwróciłem większej uwagi na jej rumieniec, który od razu by mi powiedział, że perła w tej ostrzydze jest fałszywa.

- Znasz tamtych oprychów, Heleno?

- Nie.

- Zatem gdzie cię dopadli?

- W naszym domu.

Zagwizdałem przeciągle. To była niespodzianka. Tamto wspomnienie ją wzburzyło i zrobiła się bardziej rozmowna. Pochwycili ją w biały dzień.

- Bezczelnie zakołatali do drzwi, odepchnęli odźwiernego, jak burza przelecieli przez dom, wyciągnęli mnie, wpakowali do lektyki i biegiem popędzili ulicą! Kiedy dotarliśmy do Forum, tłum ich przyhamował, więc wyskoczyłam i uciekłam.

Zastraszili ją na tyle, że siedziała cicho, jednak nie na tyle, żeby zgasić jej ducha.

- Domyślasz się, dlaczego cię zabrali?

Nie domyślała się.

- Niczym się nie martw! - mówiłem uspokajająco. - Powiedz, ile masz lat?

- Szesnaście.

Na Jowisza!

- Mężatka?

- Wyglądam na mężatkę?

Wyglądała na taką, która wkrótce powinna nią być!

- Ojciec robi jakieś plany? Może ma oko na jakiegoś dobrze urodzonego dowódcę, który właśnie wrócił z Syrii czy Hiszpanii?

Pomysł wyraźnie ją zainteresował, potrzęsnęła jednak przecząco głową. Mogłem sobie wyobrazić jeden poważny powód porwania takiej ślicznotki. Wysiliłem się, żeby wyglądać na człowieka jeszcze bardziej godnego zaufania.

- Któryś z przyjaciół ojca spoglądał ostatnio na ciebie nazbyt łakomie? Czy matka przedstawiła cię jakiemuś wymuskanemu synalkowi przyjaciółki z dzieciństwa?

- Nie mam matki - oznajmiła spokojnie.

Zapadła chwila milczenia, a ja zastanawiałem się nad dziwnym sposobem, w jaki to ujęła. Większość ludzi by powiedziała: „Moja matka nie żyje” lub coś w tym sensie. Domyśliłem się, że jej szlachetna mamusia żyje w znakomitym zdrowiu, że zapewne przyłapano ją w łóżku ze służką i rozwiedziono w atmosferze skandalu.

- Wybacz, proszę - w moim zawodzie zadaje się takie pytania - czy jest jakiś szczególnie wielbiciel, o którym rodzina nic nie wie?

Nagle zaczęła chichotać.

- Och, nie bądź niemądry! Nie ma nikogo takiego!

- Jesteś bardzo atrakcyjną młodą damą! - stwierdziłem i szybko dodałem: - Choć naturalnie z mojej strony nic ci nie grozi.

- Rozumiem! - rzuciła.

Tym razem iskierki rozbawienia zatańczyły w tych ogromnych brązowych oczach. Ze zdumieniem stwierdziłem, że ona się ze mną droczy.

Częściowo był to blef. Bardzo ją przestraszono i teraz starała się zachowywać dzielnie. Im była dzielniejsza, tym rozkoszniej wyglądała. W jej pięknych oczach, spoglądających w moje, migotały szelmowskie błyski, wpędzając mnie w poważne zakłopotanie...

Na szczęście w odpowiednim momencie na zewnątrz rozległy się dźwięki powolnych kroków, potem walenie w drzwi z nieskrępowaną arogancją, która mogła oznaczać jedynie wizytę stróża prawa.



IV

Stróż prawa dochodził do siebie po pokonaniu sześciu pięter.

- Proszę do środka - powiedziałem uprzejmie. - Otwarte.

Już był w środku. Klapnął ciężko na drugim końcu ławy.

- Siadaj, siadaj - zaproponowałem.

- Falko, ty łotrze! Co za postęp. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Petroniusz Longus, dowódca patrolu straży awentyńskiej, był zwalistym, łagodnym mężczyzną, z twarzą budzącą zaufanie... może dlatego, że tak niewiele wyrażała.

Petroniusz i ja znaliśmy się od bardzo dawna. Tego samego dnia wstąpiliśmy do wojska. Trafiliśmy na siebie w kolejce mających składać przysięgę cesarzowi i wtedy odkryliśmy, że wychowaliśmy się pięć ulic od siebie. Przez siedem lat mieszkaliśmy w jednym namiocie, a kiedy wróciliśmy do domu, mieliśmy jeszcze coś wspólnego: byliśmy weteranami II Legionu Augusta stacjonującego w Brytanii. Co więcej, byliśmy weteranami tego legionu z czasów powstania Budiki, królowej Icenów, przeciwko panowaniu rzymskiemu. Tak więc z powodu fatalnych poczynań II Legionu Augusta obaj opuściliśmy armię o osiemnaście lat wcześniej, niżby należało, i obaj mieliśmy za sobą coś, o czym za nic nie chcieliśmy rozmawiać.

- Przestań wybałuszać ślepią - powiedziałem do niego. - Ma na imię Helena.

- Witaj, Heleno. Jakie ładne imię! Falko, gdzie ją znalazłeś?

- Brała udział w wyścigu wokół świątyni Saturna. - Zdecydowałem się na taką uczciwą odpowiedź, bo istniało pewne niewielkie ryzyko, że Petroniusz już to wie. Poza tym chciałem, by dziewczyna uważała mnie za prawdomównego.

- Petroniusz Longus, z dzielnicowego patrolu, najlepszy - przedstawiłem dowódcę mojej olśniewającej klientce.

- Dobry wieczór, panie - powiedziała.

Zarechotałem gorzko.

- Wystarczy posada w lokalnych władzach, a kobiety zaczynają się do człowieka zwracać „panie”! Skarbie, bez przesady.

- Nie zwracaj uwagi na tego osobnika. - Petroniusz kpił we właściwy sobie lekki sposób, uśmiechając się do niej z zainteresowaniem, które

absolutnie mi się nie podobało.

Odwzajemniła mu się uśmiechem, więc oznajmiłem zwięźle:

- My, mężczyźni, chcemy sobie pogadać przy dzbanie wina. Idź do sypialni i czekaj na mnie.

Rzuciła mi krótkie spojrzenie, ale poszła. Oto korzyści z liberalnego wychowania; ta dziewczynka wiedziała, że żyje w świecie mężczyzn. Poza tym miała nienaganne maniery, a to był mój dom.

- Nieźle! - pochwalił cicho Petroniusz.

Petroniusz ma żonę, która z jakichś powodów go uwielbia. Nigdy o niej nie mówi, ale bardzo się o nią troszczy; to do niego podobne. Mają trzy córki, a on, jak przystało na dobrego rzymskiego ojca, obdarza swoje dziewczęta tkliwym uczuciem. Już wyobrażałem sobie ten dzień, kiedy Tullianum, dolna część więzienia ma-mertyńskiego, przeznaczona dla skazanych na śmierć, zacznie się zapełniać okropnymi, niedoświadczonymi rekrutami, którzy ośmielili się spojrzeć łakomie na córeczki Petroniusza.

Wyciągnąłem dwa kubki, które wyglądały mi na czyste, choć ten dla Petroniusza wytarłem na wszelki wypadek rąbkiem tuniki, zanim go postawiłem na stole. W dziurze pod podłogą, która pełniła u mnie rolę winnej piwniczki, miałem trochę pachnącej dymem hiszpańskiej trucizny - dar wdzięcznego klienta, młode mętne czerwone paskudztwo, smakujące, jakby je zrabowano z etruskiego grobowca - a także amforę wystającego, zacnego białego setinum. Ponieważ wizyta Petroniusza wypadła w tak nieodpowiednim momencie, miałem wielką ochotę podać jakby nigdy nic to o podejrzanym pochodzeniu, zdecydowałem się jednak na setinum, ponieważ byliśmy starymi druhami, a zresztą sam miałem na nie ochotę.

Ledwie go spróbował, już pojął, że go właśnie przekupuję. Nic nie powiedział. Osuszyliśmy kilka kubków.

Wreszcie pogawędki nie można już było dłużej odkładać.

- Posłuchaj - Petroniusz przerwał milczenie. - Jest straszna wrzawa z powodu pewnej wystrojonej dzierlatki, którą dziś rano wyrwano z domu pewnego senatora, nie pytaj mnie dlaczego...

- Chcesz, żebym się rozejrzał? - ofiarowałem się z wawo, choć dobrze wiedziałem, że daremne moje wysiłki, na nic go nie nabiorę. - Chodzi o spadkobierczynię, tak?

- Przymknij się, Falko. Widziano ją potem w szponach śliniącego się potwora, którego opis pasuje jak ulał do ciebie. Nazywa się Sozja Kamillina, w żaden sposób nie może podlegać naszym działaniom, i chcę, żeby wróciła na miejsce, zanim jakieś pieski pretora wleżą na mój teren i zaczną mnie wulgarnie pouczać, jak powinienem pilnować porządku na rynkach... To ona, prawda? - Skinął głową w stronę sypialni.

- Pewnie tak - przyznałem potulnie. Lubilem go; znał się na tym, co robił. Obaj wiedzieliśmy, że odnalazł zaginione kocię.

Wyjaśniłem sytuację, podkreślając moją szlachetną postawę wybawcy znajdującej się w opałach wysoko urodzonej panienci, natomiast zważywszy na wcześniejszą uwagę Petroniusza, pominąłem mój udział w niszczeniu kramów. Uważałem, że należy oszczędzić mu kłopotliwych wyborów.

- Muszę ją odprowadzić do domu - oświadczył Petroniusz. Był

sympatycznie wstawiony.

- Ja to zrobię - obiecałem. - Wyświadczyć mi tę przysługę. Jeśli ty tam pójdziesz, to skończy się na oświadczeniu: „Wywiązałeś się, dowódco, należycie ze swego obowiązku”; dla mnie natomiast może to być okazja do drobnej nagrody. Pół na pół? Co ty na to?

Potraktowany dobrym winem mój druh Petroniusz staje się wspaniałomyślny. Niewielu tak się przejmuje kolumnami zysków i strat w prywatnej księdze rachunkowej M. Dydiusza Falkona.

- O... - Przechylił niezgrabnie kubek. - Może być. Daj słowo.

Dałem mu słowo i resztę setinum, po czym odszedł w pełni zadowolony.

Tak naprawdę nie miałem zamiaru się jej pozbywać. W każdym razie jeszcze nie teraz.



V

Ruszyłem do sypialni, groźnie poirytowany. Zasłona pofrunęła po pręcie. Mała zagubiona osóbką podskoczyła z poczuciem winy malującym się na twarzy, rozsypując po podłodze tabliczki z moimi prywatnymi notatkami.

- Oddawaj to! - ryknąłem. Teraz już byłem rozjuszony.

- Jesteś poetą! - Chciała zyskać na czasie. - Czy *Aglaja*, *Biała Gołąbka* jest o kobiecie? Chyba wszystkie są o kobietach, są dość niewybredne... przepraszam. Zaciekawilo mnie...

Aglaja to dziewczyna, którą kiedyś znałem; nie była biała i ani odrobinę nie przypominała gołębiczy. Szczerze mówiąc, w ogóle nie miała na imię Aglaja.

Pięknooka obdarzała mnie tym swoim bezradnym spojrzeniem, ale z kiepskim rezultatem. Najurodziwsze kobiety tracą blask, kiedy człowiek zauważy, że potrafią kłamać jak z nut.

- Za chwilę usłyszysz coś o wiele bardziej niewybrednego! - warknąłem.

- S o z j a K a m i l l i n a ? Po jakie лихо w takim razie to pseudo?

- Byłam przerażona! - wybuchnęła. - Nie chciałam wyjawić, jak się nazywam. Nie wiedziałam, do czego zmierzasz...

Przemilczałem to ostatnie; ja też nie wiedziałem.

- Kim jest Helena?

- To moja kuzynka. Pojechała do Brytanii. Rozwiodła się...

- Ekstrawagancja czy zwyczajne cudzołóstwo?

- Powiedziała, że to za trudne, by dało się wyjaśnić.

- Aha! - zawołałem z goryczą. Nigdy się nie ożeniłem, ale jeśli chodzi o rozwody, to byłem ekspertem. - Cudzołóstwo. Słyszałem, że kobiety są zsyłane na wyspy za niemoralne zachowanie, ale wygnanie do Brytanii wydaje mi się przesadnym okrucieństwem!

Sozja Kamillina wyglądała teraz na zaciekawioną.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Byłem tam.

To z powodu tamtego powstania pod wodzą Budiki wyrażałem się tak lakonicznie. Sozja mogła mieć wtedy około sześciu lat. Nie pamiętała

tamtych wydarzeń, a ja nie zamierzałem udzielać jej teraz lekcji historii.

- Dlaczego twój przyjaciel tak lekceważąco nazwał cię osobnikiem? - spytała niespodziewanie.

- Bo jestem republikaninem. Petroniusz Longus uważa, że to niebezpieczne.

- Dlaczego jesteś republikaninem?

- Ponieważ każdy wolny człowiek powinien mieć głos w sprawie zarządzania miastem, w którym musi mieszkać. Ponieważ senat nie powinien przekazywać dożywotniej kontroli nad cesarstwem jednemu śmiertelnikowi, który może popaść w szaleństwo albo zacząć się zachowywać niemoralnie... i prawdopodobnie to zrobi. Bo nie mogę znieść tego, że Rzym ulega zepsuciu i staje się domem wariatów, w którym rządzi garstka arystokratów manipulowana przez swoich cynicznych byłych niewolników, podczas gdy obywatele nie mogą zarobić na przyzwoite życie... - urwałem.

Trudno powiedzieć, ile z tego zrozumiała. Jej następne pytanie było w istocie bardzo praktyczne.

- Czy detektywi zarabiają na przyzwoite życie?

- Korzystając ze wszystkich prawnych możliwości, chapią tyle, żeby utrzymać się przy życiu. W dobre dni na stole może pojawić się dość żarcia, by nie zabrakło nam energii na pieklenie się na niesprawiedliwości tego świata... - Teraz to już mnie naprawdę poniosło. Piłem przecież równo z Petroniuszem.

- Myślisz, że świat jest niesprawiedliwy?

- Myśle? Ja to wiem, moja panno!

Sozja przyglądała mi się z poważną miną, jakby rzeczywiście było jej smutno, że świat mnie tak źle potraktował. Odwzajemniłem jej się podobnym spojrzeniem. Nie miałem zbyt wielu powodów do radości.

Poczułem się zmęczony. Wróciłem do pokoju, gdzie po chwili dziewczę dołączyło do mnie.

- Znowu muszę iść do toalety.

Nagle ogarnął mnie szalony niepokój, jaki może się przydarzyć komuś, kto sprowadził sobie do domu słodkiego szczeniaczka, po czym zorientował się, że mieszkając na szóstym piętrze, będzie miał pewien problem.

Nie było jednak co panikować. Moje mieszkanie i owszem, należało do spartańskich, ale ja prowadziłem higieniczny styl życia.

- Cóż, jest kilka wyjść - kpiłem sobie. - Możesz skoczyć na dół i spróbować przekonać Lenię, żeby otworzyła pralnię po godzinach. Możesz też pobiec do toalety publicznej... nie zapomnij jednak zabrać miedziaków na wejście, bo sześć pięter to długa wspinaczka, jeśli trzeba po nie wrócić...

- Przypuszczam - rzuciła Sozja wyniosłym tonem - że ty i twoi przyjaciele siusiacie z balkonu?

Patrzyłem na nią, starając się wyglądać na wstrząśniętego jej słowami. Trochę zresztą i byłem.

- Nie wiesz, że to wbrew prawu?

- Nie sądziłam, że mógłbyś się przejmować irytującymi przepisami dotyczącymi zachowania publicznego! - oświadczyła z szyderczym uśmiechem. Zaczynała powoli oceniać moje gospodarstwo. Mnie już zdążyła ocenić.

Kiwnąłem wskazującym palcem. Poszła za mną do sypialni, gdzie pokazałem jej urządzenie, z którego sam w skromnym zakresie korzystałem.

- Dziękuję - powiedziała.

- Drobiazg - odparłem.

Wysusiałem się z balkonu, tylko dlatego, żeby pokazać swoją niezależność.

Kiedy Sozja przysła z powrotem, zajęty byłem rozmyślaniami. Miałem większe niż zazwyczaj kłopoty ze zrozumieniem tła tego porwania. Nie mogłem się zorientować, czy coś przegapiłem, czy też wiem wszystko, co istotne. Zastanawiałem się, czy senator, do którego ona należy, bierze aktywny udział w życiu politycznym. Ktoś mógł porwać Sozję, żeby wpłynąć na jego sposób głosowania w senacie. Och, bogowie, chyba nie! Była na to zbyt piękna. Musi się za tym kryć coś więcej.

- Zaprowadzisz mnie do domu?

- Zbyt późno. Zbyt niebezpiecznie. Zbyt dużo wypilem. - Odwróciłem się, przeszedłem przez sypialnię i padłem na łóżko.

Ona tkwiła bez ruchu przy wejściu.

- A gdzie ja będę spała?

Byłem prawie tak pijany jak Petroniusz. Leżałem na plecach, tuląc do siebie swoje wiersze. Nie byłem zdolny do niczego poza słabymi gestami i niemądrymi odzywkami.

- Na mym sercu, moja mała bogini! - wykrzyknąłem, po czym rozłożyłem szeroko ramiona, bardzo ostrożnie, jedno po drugim.

Bała się.

- W porządku! - rzuciła.

Twarda z niej była sztuka. Uśmiechnąłem się niemądrze, po czym przybrałem poprzednią pozycję. Sam byłem spłoszony.

Miałem jednak rację. Wyjście na zewnątrz z kimś tak cennym było zbyt wielkim ryzykiem. Nie po zmierzchu. Nie w Rzymie. Nie na te kompletnie ciemne ulice pełne rabusiów i gwałcicieli. Ze mną była bezpieczniejsza.

Czy rzeczywiście? - spytał mnie ktoś później. Uniknąłem odpowiedzi. Do dzisiaj tak naprawdę nie wiem, czy tamtej nocy Sozja Kamillina była u mnie bezpieczna czy nie.

- Goście śpią na sofie, która mnie służy do lektury - zwróciłem się szorstkim tonem do Sozji. - Koce są w tej drewnianej skrzyni.

Przyglądałem się, jak sobie wije skomplikowane gniazdko. Strasznie jej to szło. Wyglądało to tak, jakby w żołnierskim namiocie miotało się ośmiu bujących w obłokach młodzieniaszków w nowych szorstkich tunikach, którzy nigdy wcześniej nie przygotowywali sobie posłania. W nieskończoność kręciła się wokół sofy, utykając zbyt wiele koców, zbyt mocno i zbyt głęboko.

- Potrzebna mi poduszka - poskarżyła się w końcu słabiutkim,

poważnym głosem, jak dziecko, które zaśnie, tylko jeśli dokładnie odprawi cowieczorny rytuał.

Ja czułem się rozkosznie po winie i podniecających wydarzeniach dnia; było mi obojętne, czy mam poduszkę. Podłożyłem rękę pod głowę, po czym rzuciłem jej swoją poduszkę, niecelnie, ale i tak ją złapała.

Sozja Kamillina obejrzała ją dokładnie, jakby spodziewała się znaleźć pchły. Poczulem kolejną falę niechęci do szlachetnie urodzonych. Nawet jeśli jakieś dzikie stworzonka tam były, to zostały ciasno zaszyte we wnętrzu tej wesołej czerwono-fioletowej poszewki, którą wcisnęła mi moja mama. Nie życzyłem sobie, żeby jakieś smarkule kwestionowały wyposażenie mojego domu. - Jest czysta! Weź ją sobie i bądź wdzięczna.

Ułożyła poduszkę porządnie na końcu posłania. Wygasilem światło. Detektywi potrafią zachowywać się przyzwoicie, kiedy są zbyt pijani, by móc się zachować inaczej.

Spałem jak niemowlę. Nie mam pojęcia, czy się jej też tak dobrze spało. Chyba nie.



VI

Senator Decymus Kamil Werus mieszkał w Okręgu Bramy Kapeńskiej. Była to dzielnica przylegająca do mojej, więc udałem się tam na piechotę. Po drodze spotkałem moją najmłodszą siostrę Maję i co najmniej dwóch małych urwipolciów należących do rodziny.

Niektórzy detektywi sprawiają wrażenie, jakbyśmy wszyscy byli samotnikami. Może w tym właśnie sęk. Za każdym razem, kiedy śledziłem ukradkiem jakiegoś cudzołożnego urzędnika w lśniącej tunice, natykałem się na jednego z tych huncwotów wycierających nos ręką, który wołał do mnie po imieniu z drugiej strony ulicy. W Rzymie czułem się jak spętany osioł. Byłem chyba spokrewniony z większością ludzi zamieszkujących teren pomiędzy Tybrem a bramą Ardeatyńską. Miałem pięć sióstr, do tego tę biedaczkę, której mój brat Festus jakoś nie miał czasu poślubić, trzynastu siostrzeńców i cztery siostrzenice, no i jeszcze kilkoro kolejnych w drodze. To naturalnie nie obejmuje tych, których prawnicy zwa spakobiercami czwartego i piątego stopnia: braci mojej matki i sióstr ojca, i wszystkich tych kuzynów drugiego stopnia, dzieci z pierwszego małżeństwa ojczymów ciotek mojego dziadka.

Miałem też matkę, choć usiłowałem ten fakt ignorować.

Pomachałem tym małym urwipolciom. Staram się być dla nich miły; niektórzy z nich naprawdę dają się lubić. W każdym razie wykorzystuję tych spryciarzy do śledzenia cudzołożników, a sam wtedy wymykam się na wyścigi.

Decymus Kamil posiadał rozległą willę na własnym kawałku ziemi pośród cichych uliczek zabudowanych podobnymi domostwami. Miał też prawo do czerpania wody bezpośrednio z biegnącego w pobliżu starego akweduktu Appiusza. Nie musiał wynajmować parteru swojego domu na sklepy ani piętra lokatorom, choć swoją atrakcyjną działkę dzielił z

sąsiadem, właścicielem identycznego domu. Z czego wnosilem, że ów senator nie należy do tych nieprzyzwoicie bogatych. Jak my wszyscy, biedaczek silił się, żeby utrzymać odpowiedni dla swojego statusu poziom życia. Różnica pomiędzy nim a większością z nas polegała na tym, że aby zasiadać w senacie, Decymus Kamil Werus musiał być milionerem.

Skoro miałem się udać z wizytą do miliona sestercji, zaryzykowałem poddanie swojego gardła brzytwie golarza. Włożyłem znoszoną białą togę - dziury ukryłem w jej fałdach - krótką czystą tunikę, swój najlepszy pas z celtycką klamrą i wysokie brązowe buty. Wolny obywatel, o którego pozycji świadczy długość korowodu niewolników... w moim przypadku nie miało co świadczyć.

Osłony zamków w drzwiach senatorskiego domu były nowiutkie, jednak odźwierny, z miną winowajcy i niezłym sińcem pod okiem, wyjrzał przez kratownicę i otworzył mi, ledwie zdażyłem zakołatać. Kogoś oczekiwali. Prawdopodobnie tego kogoś, kto wczoraj przyłożył odźwiernemu i porwał dziewczę.

Przeszliśmy przez atrium z posadzką wyłożoną czarnymi i białymi płytkami, z prychającą fontanną i wyblakłą cynobrową farbą na ścianach.

Kamil był niepozornym mężczyzną po czterdziestce, który tkwił w bibliotece pogrążony w pracy, z popiersiem cesarza i dwoma przyzwoitymi lampami z brązu dla towarzystwa. Wyglądał normalnie, ale nie był normalny. Bo, po pierwsze, był uprzejmy.

- Dzień dobry. Czym mogę służyć?

- Jestem Dydiusz Falko. A to, panie, list polecający. - Podałem mu jedną z bransolet Sozji z brytyjskiego gagatu, jaki przywożą z północno-wschodniego wybrzeża, wyrzeźbioną w przystające do siebie ząbki. Powiedziała mi, że przysłała ją jej kuzynka. Znałem takie ozdoby z czasów swojej służby wojskowej, w Rzymie jednak były rzadkością.

Obejrzał ją, obracając delikatnie.

- Czy mogę spytać, skąd ją wzięłeś?

- Z ramienia strojnej osoby, którą wczoraj wyrwałem z łap dwóch bykawatych rabusiów.

- Stała się jej jakaś krzywda?

- Nie, dostojny panie.

Miał grube brwi ponad dość szeroko rozstawionymi oczyma, które wpatrywały się we mnie. Jego włosy sterczały prosto, choć nie były szczególnie krótkie, co nadawało mu wesoły, chłopięcy wygląd. Widziałem, jak się przygotowuje, żeby zapytać, czego chcę. Przybrałem usłużny wyraz twarzy.

- Senatorze, czy pragniesz, żebym ją tutaj przyprowadził?

- Na jakich warunkach?

- Jakiś pomysł, kto ją zabrał, panie?

- Najmniejszego. - Nawet gdybym założył, że kłamię, musiałbym podziwiać werwę, z jaką odpowiedział na to pytanie. W rzeczy samej podobała mi się jego nieustępliwość. - Twoje warunki, proszę?

- Zwykła zawodowa ciekawość. Ukryłem ją w bezpiecznym miejscu. Jestem detektywem. Dowódca patrolu straży miejskiej, niejaki Petroniusz Longus z trzynastej dzielnicy, poręczy za mnie...

Sięgnął do kałamarza i sporządził jakąś notatkę w rogu listu, który czytał, kiedy przyszedłem. To też mi się podobało. Zamierzał mnie sprawdzić.

Nie nalegając, zasugerowałem, że jeśli jest mi wdzięczny, to może mnie wynająć do pomocy. Widziałem, że się zastanawia. Przedstawiłem swoje stawki, dodając co nieco ze względu na jego status, bo przecież musiałoby to trwać nieco dłużej niż zwykle, jeśli miałem zwracać się do niego co chwilę „panie”. Trochę się ociągał, co jak sądziłem, wynikało z tego, że nie życzył sobie za bardzo, bym się kręcił koło panienki, ale ostatecznie zgodziliśmy się, że będę mu doradzał w sprawach bezpieczeństwa jego domostwa oraz miał oczy i uszy otwarte, jeśli chodzi o tych porywaczy.

- Może i słusznie zabrałeś Sozję Kamillinę ludziom sprzed oczu - oświadczył. - Czy ukryłeś ją w przyzwoitym miejscu?

- Nadzorowanym przez moją matkę, panie! - Była to akurat prawda: matka regularnie przeczesywała moją kwaterę, szukając tam dowodów obecności kobiet lekkiego prowadzenia. Czasami je znajdowała, czasami udawało mi się usunąć je na czas.

Ten senator wcale nie był głupi. Zdecydował, że ktoś pójdzie ze mną, żeby sprawdzić, czy pannica jest rzeczywiście bezpieczna. Odradziłem to. Widziałem kilku osiłków siedzących w jadłodajni naprzeciwko, przyglądających się wszystkim, którzy go odwiedzali. Nie było podstaw do przypuszczenia, że są jakoś powiązani z porwaniem Sozji, mogli być przecież najzwyczajszymi w świecie włamywaczami, którzy wybrali sobie ten właśnie dzień na ocenę miejsca przyszłej roboty. Ponieważ senator i tak oprowadzał mnie po posiadłości, poszliśmy ich sobie obejrzeć.

Drzwi frontowe miały solidny drewniany zamek na długi obrotowy żelazny klucz z trzema zębami oraz cztery mosiężne rygle, zakratowane okienko, zasłaniane od wewnątrz zmyślną klapką, a do tego potężną belkę z dębu ostrolistnego, opuszczaną na noc w dwa dobrze osadzone uchwyty. Odźwierny zajmował klitkę obok.

- Może być? - spytał senator.

Popatrzyłem wymownie na niego, a także na tego sennego chuderlaka z nieudomknętymi ustami, który służył im za odźwiernego i który pozwolił porywaczom Sozji dostać się do środka.

- O tak, panie. Wspaniały system, więc proszę po słuchać mojej rady: korzystajcie z niego! - Widziałem, że mnie zrozumiał.

Pokazałem mu przez okienko tych dwóch obiboków w jadłodajni.

- Ci podglądacze widzieli, jak wchodzę. Przeskoczę przez mur za domem, a przy okazji obejrzę tył posesji. Poślij, panie, niewolnika na miejscowy posterunek i niech ich aresztują za zakłócanie spokoju.

- Ale przecież oni nie...

- Będą - zapewniłem go. - Kiedy ludzie pretora przyjdą ich aresztować.

Dał się przekonać. Jakże łatwo jest przewodzić tym przywódcom cesarstwa.

Senator przemówił do swojego odźwiernego, który choć wyraźnie zirytowany, ruszył wykonać polecenie. Skłoniłem Kamila Werusa, żeby zaprowadził mnie na piętro, a kiedy jakiś czas potem zeszliśmy na dół i wyjrzałem ponownie przez okienko w bramie, zobaczyłem, jak grupa

dziarskich żołnierzy odprowadza te dwie łązęgi z jadalni z rękoma skrępowanymi na plecach.

Jakże miło było się przekonać, że kiedy majątny obywatel poskarży się władzy miejskiej, reakcja jest natychmiastowa!

Przy drzwiach frontowych mieli zamontowane całe to żelastwo, ale od tyłu znajdowało się siedem różnych wyjść do ogrodu i żadne nie było zabezpieczone solidnym zamkiem. Drzwi kuchenne otworzyły się, ledwie potraktowałem je pręcikiem do podnoszenia skobelka używanym we własnym mieszkaniu. W żadnym oknie nie było krat. Balkon ciągnący się wokół piętra pozwalał obejść cały dom. Z kolei do eleganckiej, pomalowanej na przydymiony błękit jadalni prowadziły cienkie ażurowe drzwi, które otworzyłem za pomocą kafelka wyjętego z obramowania rabatki, podczas gdy sekretarz senatora obserwował każdy mój ruch. Był to chudy niewolnik, Grek z haczykowatym nosem i z ową miną mającą świadczyć o wyższości, w którą greccy sekretarze są obdarzani z urodzenia. Podyktowałem mu sążniste instrukcje.

Doszedłem do wniosku, że dyktowanie sprawia mi przyjemność. Miło mi też było widzieć wyraz twarzy tego Greka, kiedy uśmiechnąwszy się na pożegnanie, wlałem na zegar słoneczny, przydepnąłem kępę bluszczu i wdrapałem się na cienki murek dzielący sąsiednie parcele, żeby zobaczyć, jak się sprawy mają wokół domu obok.

- Kto tam mieszka?

- Młodszy brat pana.

Jako że sam byłem młodszym bratem, odnotowałem z satysfakcją, że brat senatora to człowiek rozsądny. Na każdym oknie zamontował solidne okiennice z drewnianych listew, wszystkie pomalowane na ciemną malachitową zieleń. Obydwa domy miały elewacje z płyt lawy, wyższe piętra zaś podparte były kolumnkami obrobionymi ze zwykłego szarego kamienia. Architekt nie żałował terakoty na profilowane dwuspadowe dachy, kiedy jednak przyszło do wyposażenia terenu wokół budynków w zwyczajowe posągi wdzięcznych nimf w bieliźnie, najwyraźniej skończyły mu się finansowe rezerwy. Ogrody były ozdobione mizernymi treliazami, choć same rośliny tryskały zdrowiem. Po obu stronach murku budowano na podstawie tego samego projektu. Trudno więc powiedzieć, dlaczego dom senatora robił wrażenie gościnnego, podczas gdy dom jego brata wyglądał na surowy i zimny. Cieszyło mnie, że Sozja mieszka w domu emanującym radością.

Długo przyglądałem się temu sąsiedniemu domowi, nie całkiem pewien, czego szukam. Potem, machnąwszy ręką do Greka, przeszedłem po murku aż do samego końca. I tam dopiero, z pełną nonszalancją, zeskoczyłem na drugą stronę.

Pobrzdziłem się i nadwreżyłem nogę w kolanie, kiedy wylądowałem w kurzu uliczki za murem senatorskiego ogrodu. Jeden Herkules wie, po co to zrobiłem, skoro była tam bardzo przyzwoita brama dla wozów dostawczych.



VII

Kiedy wracałem do domu, na ulicach panował już większy hałas, słychać było okrzyki handlarzy, stukot końskich kopyt, dzwonki przy uprzęży. Czarny piesek ze sterczącą spiczastymi kępkami sierścią obszczał mnie jak szalony, gdy mijalem sklepik piekarza. A kiedy się odwróciłem, żeby mu nauragać, obilem się głową o rządęk dzbanów wywieszonych na sznurze przed warsztatem garncarza. To właśnie miała być reklama jego produktów, przetrwanie takiego zderzenia; na szczęście moja głowa też jest mocna. Na drodze Ostyjskiej poszturchiwali mnie sprzedawcy szydeł i służba odziana na karmazynowo, ale odpłaciłem się, depcąc po paluchach niewolnikom. Trzy przecznice od domu zobaczyłem matkę kupującą karczochy; usta miała zaciśnięte, co oznaczało, że myśli o mnie. Skoczyłem za beczki z małżami i wycofałem się, bo wolałem nie sprawdzać, czy tak rzeczywiście jest. Wyglądało na to, że mnie nie zauważyła. Sprawy układały się dobrze: przyjaźń z senatorem, otwarty kontrakt i to, co najlepsze - Sozja.

Z marzeń wyrwało mnie brutalnie dwóch zbirów, których intensywność powitania wywołała u mnie jęk bólu.

- Ojej! - wydobyło się z moich ust. - Słuchajcie, chłopcy, to wszystko jest jednym wielkim nieporozumieniem. Powiedzcie Smaraktusowi, że mój czynsz jest u jego księgowego... - Nie rozpoznawałem żadnego z tych dwóch, ale Smaraktus rzadko trzyma dłużej gladiatorów. Jeśli nie uda im się zbiec, to nieuchronnie kończą żywot na arenie. Jeśli nie dotrą aż tak daleko, to giną z głodu, jako że wyobrażenie Smaraktusa o diecie treningowej ogranicza się do garstki bladożółtej soczewicy podlanej wodą z basenu po kąpieli. Założyłem, że są to najnowsze oprychy ze szkoły mojego gospodarza.

Moje założenie okazało się mylne. Kiedy doszedłem do tego wniosku, głowę miałem już pod pachą pierwszego osiłka. Drugi zbliżył facjatę, żeby się do mnie wyszczerzyć; przed oczyma unosił mi się wykrzywiony obraz osłon na policzki z najnowszego wzoru hełmu i dobrze mi znanej szkarłatnej chustki pod brodą. Te draby należały do armii. Pomyślałem, żeby wziąć ich na numer ze starym weteranem, ale zważywszy na przebieg mojej legionowej służby, nie należało oczekiwać, by ktoś, kto porzuca II Legion, mógł zrobić na nich odpowiednie wrażenie.

- Nieczyste sumienie? - wydobyło się z ust przekrzywionej głowy. - Masz całkiem inny powód do zmartwienia... Dydiuszu Falkonie, jesteś aresztowany!

Aresztowanie przez chłopców w czerwieni było mi równie dobrze znane jak domaganie się pieniędzy przez Smaraktusa. Ten większy z dwóch wielkich młodzieńców próbował wycisnąć mi migdałki z fachową skutecznością pomocnika kucharza wyciskającego kciukiem groch ze strąków. Poprosiłbym go, żeby przestał, ale dosłownie zaniemówiłem z podziwu dla jego techniki...



VIII

Towarzyskie spotkanie na posterunku gwardii odbyło się dzięki kurtuazyjnemu zaproszeniu edyla, niejakiego Acjusza Pertynaksa. Spodziewałem się, że zaciągną mnie do więzienia Lautumiae albo nawet mamertyńskiego, gdyby już całkiem opuściło mnie szczęście. Tymczasem zabrali mnie z powrotem na wschód, do pierwszej dzielnicy. To mnie zaskoczyło, bo aż do tego ranka nigdy nie prowadziłem żadnych interesów w Okręgu Bramy Kapeńskiej. Byłem zaskoczony, że w tak krótkim czasie zdążyłem obrazić miejscowe władze.

Jeśli istnieje jakaś kategoria osobników, których nienawidzę bardziej od innych, to są nimi edyle. Gwoli informacji dla obywateli prowincji, pozwólcie mi powiedzieć, że w Rzymie pretorzy odpowiadają za ład i porządek; są nimi starsi senatorowie wybierani po sześciu w jednych wyborach, którzy dzielą między siebie czternaście dzielnic. Każdy z nich ma zastępcę do czarnej roboty - tychże edyli, aroganckich młodych polityków na pierwszych publicznych stanowiskach, wypełniających sobie czas w oczekiwaniu lepszej posady, przynoszącej większe łapówki.

Gnejusz Acjusz Pertynaks był typowym okazem tego gatunku, krótkowłosym szczeniakiem wspinającym się z ujadaniem po politycznej drabinie, zamęczającym rzeźników, żeby sprząтали witryny swoich sklepików, i dającym mi właśnie wycisk. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Z perspektywy czasu pamiętam jedynie wyblakłe pasemko siwizny, ledwo widoczne w oślepiającym świetle słonecznym. Możliwe jednak, że tę siwiznę przywołałem z innego zakątka pamięci. Miał chyba jasne oczy i spiczasty nos. Był około trzydziestki (odrobinę młodszy ode mnie), a jego zacięty charakter widoczny był w tej twarzy cierpiącego na zaparcia faceta.

Był tam jakiś starszy mężczyzna - nie miał purpury, więc nie senator - który siedział w milczeniu z boku. Nijaka bezbarwna twarz i nijaka łysa głowa. Z mojego doświadczenia wynika, że trzeba mieć się na baczności przed gośćmi, którzy siedzą w kącie. Najpierw jednak wymiana uprzejmości z Pertynaksem.

- Falko! - rzucił rozkazującym tonem, kiedy krótka rozmowa wstępna pozwoliła ustalić moją tożsamość. - Gdzie jest dziewczyna?

Żywiłem poważną urazę do Acjusza Pertynaksa, chociaż jeszcze tego nie wiedziałem.

Zastanawiałem się właśnie, jaka odpowiedź na to pytanie byłaby najbardziej niegrzeczna, kiedy on kazał swojemu podwładnemu udzielić mi zachęty. Zwróciłem mu uwagę, że jestem wolno urodzonym obywatelem i że obijanie takiego jest obrażą demokracji. Okazało się jednak, że ani Pertynaks, ani jego pomagierzy nie byli adeptami filozofii; bez najmniejszych oporów wzięli się do obrażania demokracji. Przysługiwało mi prawo odwołania się wprost do cesarza, ale doszedłem do wniosku, że nic mi z tego nie przyjdzie.

Gdybym uważał, że Pertynaks jest taki gwałtowny z powodu osobistego afektu do Sozji, łatwiej byłoby mi znosić tę przemoc, ale żadne wspólne

uczucie nas nie łączyło. Cała ta sytuacja martwiła mnie. Możliwe że senator po namyśle zerwał naszą umowę i nadał na mnie do sędziego, Decymus Kamil wyglądał mi jednak na człowieka, którego łatwo można naciągnąć, zresztą wiedział (mniej więcej), gdzie znajduje się jego zaginiona dziewczynka. Nie poddawałem się, poobijany, ale niepozbowiony dumy.

- Zwrócę Sozję Kamillinę jej rodzinie, kiedy mnie poproszą, i żebyś nie wiem, co robił, Pertynaksie... nikomu innemu jej nie oddam!

Zobaczyłem, jak jego wzrok wędruje do tego gościa siedzącego w kącie, który uśmiechał się blado, smutno i pobłaźliwie.

- Dziękuję - powiedział tamten. - Nazywam się Publiusz Kamil Meto. Jestem jej ojcem. Może cię wobec tego teraz poproszę.

Zamknąłem oczy. Rzeczywiście... tak naprawdę przecież nikt mi nie powiedział, kim dla Sozji jest senator. Zatem to musi być jego młodszy brat, ten, który zamieszkuje w lodowatym domu po sąsiedzku. Więc mój klient jest tylko jej stryjem. Wszelkie prawa własności należą do ojca.

W rezultacie dalszego przesłuchania, jak to nazywają, zgodziłem się zaprowadzić ojca i jego sympatycznych przyjaciół do dziewczyny i oddać im ją.

Lenia wyjrzała z pralni zaciekawiona gwałtownym tupotem wielu stóp. Nie zdziwiła się, zobaczywszy, że jestem aresztowany.

- Falko? Twoja matka mówi... Ooo!

- Z drogi, stara brudna szmato! - wrzasnął edyl Pertynaks, odpychając ją na bok.

Żeby oszczędzić mu ponizenia, jakim byłoby pobicie na kwaśne jabłko przez kobietę, wtrąciłem się łagodnie:

- To nie jest właściwa pora, Lenio.

Po dwudziestu latach wykręcania ciężkich mokrych tóg dysponowała siłą, której na pierwszy rzut oka nie było widać. Mogłaby go nieźle poturbować. Szkoda, że tak się nie stało. Szkoda, że nie mogłem go przytrzymać, gdyby Lenia to robiła. Szkoda, że sam go nie uszkodziłem.

Tymczasem impet, z jakim przybyliśmy, poniósł nas na szczyt schodów. Ich odwiedziny trwały krótko. Kiedy wszyscy wpadliśmy do mojego mieszkania, Sozji Kamilliny tam nie było.



IX

Pertynaks wpadł w furję. Ja w przygnębienie. Ojciec Sozji wyglądał na znużonego. Zaoferowałem mu pomoc w poszukiwaniu. Nie przyjął jej.

- Trzymaj się z dala od mojej córki, Falko! - warknął ze złością.

To zrozumiałe. Pewnie się domyślił moich zamiarów. Trzymanie obiboków z dala od takiej córki musi zajmować mu mnóstwo czasu.

- Zatem odebrano mi tę sprawę... - wymamrotałem poważnym tonem.

- Nigdy jej nie miałeś, Falko! - zakrakał edyl Pertynaks.

Nie zamierzałem się spierać z drażliwym politykiem. Szczególnie z takim, który miał zbolałą minę i spiczasty nochał.

Pertynaks pozwolił swoim ludziom przewrócić moje mieszkanie do góry

nogami w poszukiwaniu dowodów. Niczego nie znaleźli; nawet talerze po sardynkach zostały umyte, chociaż nie przeze mnie. Przed odejściem zamienili moje meble w poręczne drewno na podpałkę. A kiedy zaprotestowałem, jeden przyłożył mi w twarz z taką siłą, że prawie złamał mi nos.

Jeśli Acjuszowi Pertynaksowi zależało na tym, żebym uważał go za obrzydliwego chama o manierach rysztockowego szczura, to już prawie mu się udało.

Ledwie sobie poszli, Lenia przybiegła na górę, by sprawdzić, czy może poinformować Smaraktusa, że jeden z jego lokatorów odszedł z tego świata. Zatką ją, gdy zobaczyła moje zniszczone rzeczy.

- Junono! Twój pokój... i twoja twarz, Falko!

Pokój niczym się nie wyróżniał, ale z twarzy byłem kiedyś dumny.

- Potrzebny mi był nowy stół - wysiliłem się na dowcip. - Teraz można kupić cudowne egzemplarze. Solidny kawał klonu, szeroki na sześć stóp, przymocowany do prostej marmurowej nogi, w sam raz pasujący do mojego kandelabru z brązu... - Oświetlałem swój pokój zanurzoną w łożu łodygą tataraku.

- Głupcze! Twoja matka mówi...

- Oszczędź mi - poprosiłem.

- Jak sobie życzysz! - Oddaliła się z tą swoją miną w stylu „Jestem tylko posłańcem” wymalowaną wyraźnie na twarzy.

Sprawy nie szły zbyt dobrze. Niemniej mój mózg jeszcze nie całkiem zmienił się w papkę. Za bardzo zależało mi na zdrowiu, żeby zlekceważyć wiadomość od mamy. Nie było potrzeby, żeby niepokoić Lenię; wiedziałem, jaka to wiadomość. A jeśli chodzi o moją zagubioną słodką panienkę o miodowobrazowych oczach, to miałem pewne pojęcie, gdzie może przebywać.

Na Awentynie wieści rozchodzą się szybko. Zjawił się Petroniusz, z wyraźnie niezadowoloną miną i pretensjami, gdy ja tymczasem skręcałem się z bólu, obmywając twarz.

- Falko! - zaczął od wejścia. - Trzymaj tych swoich niewychowanych przyjaciół ze służby państwowej z dala od mojego terytorium... - Przerwał i zagwizdał. Po czym natychmiast wyjął z mojej drżącej ręki czarny gliniany dzban i sam wylewał mi wodę na dłonie. Jak za dawnych czasów, po wdaniu się w awanturę przed knajpą dla centurionów w Isca Dumnoniorum. W wieku dwudziestu dziewięciu lat bolało to jednak o wiele bardziej, niż kiedy byliśmy dziesięcioletkami.

Po jakimś czasie położył to, co zostało z ławy, na dwóch ceglach z mojej kuchenki i posadził mnie.

- Kto ci to zrobił, Falko?

- Pewien nadmiernie podniecony edyl, niejaki Acjusz Pertynaks - powiedziałem z trudem, używając jedynie lewej strony ust. - Najchętniej rozplątałbym go jak pularde, wyfiletował i rzucił na rozpalony ruszt!

Petroniusz zagulgotał. Nienawidzi edylów jeszcze bardziej niż ja. Przeszkadzają mu, przewracają do góry nogami system lokalnych informatorów, zbierają wszelkie zasługi, po czym zostawiają go, żeby

posprzątał po nich cały bałagan.

Podważył wiadomą deskę i przyniósł mi trochę wina, ale za bardzo mnie szczypało, więc wypił je sam. Obaj nie znosimy marnotrawstwa.

- Trzymasz się? - Skinąłem głową i pozwoliłem, żeby to on zajął się gadaniem. - Sprawdzałem tę rodzinę. Córka senatora jest w podróży. Ma jeszcze dwóch synów, jeden odbywa roczną służbę w Germanii, drugi próbuje sił przy biurku - wyciera nos namiestnikowi w południowej Hiszpanii. Twoja przyjaciółeczka jest trzymanym pod korcem wynikiem jakiejś niedyskrecji popełnionej przez brata senatora. Nie jest żonaty... nie pytaj mnie, jak mu się to udaje! W biurze Sozja jest zapisana jako dziecko jednej z jego niewolnic, uznane przez niego, a następnie adoptowane. Możliwe, że jej ojciec to porządny facet. A może jej matka była kimś znacznie ważniejszym, niż on może przyznać.

- Poznałem go - wyplułem z siebie te dwa słowa jak kwaśną pestkę. - Ma zaciśnięte usta. Czemu on też nie jest w senacie?

- Normalna historia. Rodzina miała tylko tyle pieniędzy, żeby zapewnić jednemu dziecku miejsce w senacie; starszego syna ubrano w tunikę z purpurowym pasem, młodszego przeznaczono do interesów. Z dobrym skutkiem! Czy to prawda, żeś ją zgubił?

Spróbowałem się uśmiechnąć. Musiało to wyglądać żałośnie, bo Petroniusz się wzdrygnął.

- Nie zgubiła się. Chodź ze mną. Jeśli jest tam, gdzie myślę, będzie mi potrzebne twoje wsparcie...

Sozja Kamillina była tam, gdzie myślałem.



X

Zanurkowaliśmy z Petroniuszem w wykafelkowane wejście pomiędzy sklepem wytwórcy sztucców a sklepem z serami. Weszliśmy na schody obok eleganckiego mieszkania na parterze, zajmowanego przez leniwego wyzwoleńca, do którego należała cała kamienica (i kilka innych kamienic; ci to dopiero wiedzą, jak żyć). Byliśmy w łuszczącym się szarym budynku na tyłach emporium, niezbyt daleko od rzeki, ale nie na tyle blisko, żeby wiosną zalewała ten teren. Okolica była uboga, ale wokół wszystkich filarów wił się zielony bluszcz, na skrzynkach spały koty o lśniących futerkach, balkony pyszniły się kwiatami; tutaj zawsze ktoś zamiatał schody. Dla mnie to miejsce miało przyjazną atmosferę, no ale ja znałem je od bardzo dawna.

Na podeście pierwszego piętra załomotaliśmy do pomalowanych na ceglany kolor drzwi; sam je malowałem, pod przymusem. Wpuściła nas drobniutka niewolnica. Ruszyliśmy tam, gdzie wiedziałem, że będą wszyscy.

- Aha! Czyżby wcześniej zamknęli winiarnie?

- Witaj, mamó - powiedziałem.

Matka była w kuchni, nadzorowała kucharkę, co oznaczało, że kucharki nigdzie nie było widać, natomiast matka ostrym nożem robiła coś brutalnego warzywom. Pracuje ona bowiem zgodnie z zasadą, że jeśli się

chce, żeby coś było zrobione dobrze, trzeba to zrobić samemu. Wokół rozsiadły się cudze dzieci i wbijały teraz ostre ząbki w chleb albo owoce. Kiedy przyszliśmy, Sozja Kamillina siedziała przy kuchennym stole, pochłaniając kawał cynamonowego ciasta z ogromnym apetytem, z czego wywnioskowałem, że już zdążyła poczuć się tutaj jak u siebie w domu, co zresztą dzieje się ze wszystkimi, którzy trafią pod dach mojej matki.

Gdzie był ojciec? Najlepiej nie pytać. Poszedł zagrać w warcaby, kiedy miałem siedem lat. Musi to być długa partia, bo jeszcze nie wrócił.

Pocałowałem matkę w policzek jak oddany syn, mając nadzieję, że Sozja to zauważy, a w nagrodę oberwałem cedzakiem.

Mama powitała Petroniusza czułym uśmiechem. (Taki porządny chłopiec; taka pracowita żona; tak dobrze płatna stała posada!)

Była tam moja najstarsza siostra Wiktoryna. Petroniusz i ja zachowywaliśmy się bardzo powściągliwie. Ja się bałem, że Wiktoryna nazwie mnie przy Sozji Utrapieniem. Nie miałem natomiast pojęcia, czym on się tak martwi.

- Cześć, Utrapienie - przywitała mnie siostra. - Cześć, Pierwiosnku! - zwróciła się do mego druha.

Była teraz żoną tynkarza, pod pewnymi względami nie zmieniła się jednak od czasów, kiedy jako dziecko tyranizowała trzynastą dzielnicę. W tamtych czasach Petroniusz nie znał reszty z nas, ale podobnie jak inni w promieniu wielu mil, znał Wiktorynę.

- Jak się miewa mój ulubiony siostrzeniec? - spytałem, ponieważ właśnie trzymała na rękach swojego najmłodszego, przypominającego mopsa potomka. Buzię miał pomarszczoną i oczka załzawione niczym stulatak. Wpatrywał się we mnie ponad jej ramieniem z wyraźną pogardą: ledwie co raczkował, a już potrafił rozpoznać oszusta.

Wiktoryna obdarzyła mnie zmęczonym spojrzeniem. Dobrze wiedziała, że moje serce należy do Marcji, naszej trzyletniej bratanicy.

Matka uspokoiła Petroniusza pojemnikiem z rodzynkami i wyciągała od niego różne szczegóły dotyczące jego małżeńskiego pożycia. Mnie udało się dorwać plaster melona, niestety maluch Wiktoryny chwycił za jego drugi koniec. A chwyt miał jak zapaśnik z Liburnii. Mocowaliśmy się kilka chwil, po czym musiałem ustąpić lepszemu. I wtedy łobuz cisnął ten plaster na podłogę.

Sozja przyglądała się temu wszystkiemu ogromnymi, poważnymi oczyma. Podejrzewam, że nigdy wcześniej nie była w miejscu, w którym działałoby się tyle rzeczy naraz pośród tak beztroskiego zamętu.

- Witaj, Falko!

- Witaj, Sozjo! - Uśmiechnąłem się tak promiennie, jakbym chciał oblać ją całą płynnym złotem. Siostra i matka wymieniły rozbawione spojrzenia. Postawiłem jedną nogę na ławce obok Sozji i łypałem na nią pożądliwie, dopóki matka tego nie zauważyła.

- Zabieraj buciór z mojej ławy!

Zabrałem buciór z jej ławy.

- Mała boginko, musimy pogadać na osobności.

- Wszystko, o czym musisz pogadać - poinformowała mnie mama - może zostać omówione tutaj.

Z uśmiechem szerszym, niż według mnie był konieczny, Petroniusz usiadł przy stole i wsparłszy brodę na dłoniach, czekał, aż rozpocznę. Wszyscy wiedzieli, że nie mam najmniejszego pojęcia, co chcę powiedzieć.

Już wiele razy rozzłoszczone znajome panie opisywały mi minę matki, kiedy natknęła się na którąś z nich wypacykowaną i wyperfumowaną w moim mieszkaniu. Niektóre nigdy więcej się nie pokazały. Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że moje podboje obejmowały też poważne pomyłki.

Tym razem wyglądało to tak:

- Co się tutaj dzieje? - moja matka napadła na Sozję, kiedy ja prowadziłem wymuszoną pogawędkę z Pertynaksem.

- Dzień dobry - odparła Sozja.

Matka pociągnęła nosem. Pomaszerowała do sypialni, odrzuciła zasłonkę i dokonała inspekcji mojego skromnego łoża.

- No tak! Już widzę, co się dzieje! Klientka?

- Nie wolno mi nic mówić - oświadczyła Sozja. Matka na to, że ona zdecyduje, co wolno, a czego nie wolno. Potem posadziła Sozję - i dała jej coś do jedzenia. Ma swoje metody. Wkrótce wyciągnęła od niej całą historię. Zapytała, co sobie może pomyśleć jej szlachetna mama, na co Sozja zauważyła niemądrze, że nie ma szlachetnej mamy. Moja słodka rodzicielka była wstrząśnięta.

- No dobrze! Możesz iść ze mną - oświadczyła. Sozja wymamrotała pod nosem, że czuje się u mnie wystarczająco bezpieczna. Matka spojrzała na nią ostro; Sozja poszła z moją mamą.

Wreszcie Petroniusz, chwala mu za to, postanowił mi pomóc.

- Czas, byśmy zabrali cię do domu, panienko!

Powiedziałem Sozji o tym, że senator mnie zatrudnił. Z czego wyciągnęła raczej przesadne wnioski.

- Więc wyjaśnił? Myślałam, że stryj Decymus był z początku nazbyt ostrożny... - Zamilkła, po czym zwróciła się do mnie oskarżycielskim tonem: - Przecież ty nie masz pojęcia, o czym ja mówię!

- To mi powiedz - poradziłem łagodnie. Znalazła się w poważnym kłopotcie. Zwróciła te swoje wielkie oczy na moją matkę. Ludzie zawsze ufają mojej matce.

- Nie wiem, co robić! - powiedziała błagalnie.

- Nie patrz na mnie. Ja się nigdy nie wtrącam - oświadczyła matka obrażonym tonem.

Parsknąłem śmiechem. Matka to zignorowała, ale przecież nawet Petroniusz nie potrafił ukryć rozbawienia.

- Och, powiedz mi o swojej skrytce w banku, moje dziecko. Najgorsze, co może zrobić, to ją okraść - oznajmiła moja rodzicielka.

Cóż za cudowna ufność! Chyba trudno ją za to winić. Mój starszy brat Festus z jakichś dziwnych powodów zrobił z siebie bohatera wojennego. Nie mogę z nim konkurować.

- Stryj Decymus trzyma coś bardzo ważnego w mojej skrytce bankowej na Forum - wymamrotała Sozja z miną winowajczyni. - Jestem jedyną osobą, która zna numer pozwalający otworzyć kasetę. Ci ludzie właśnie

mnie tam prowadzili.

Patrzyłem na nią surowym wzrokiem, pozwalając, by cierpiała. W końcu zwróciłem się do Petroniusza jak mężczyzna do mężczyzny.

- Jak myślisz? - Nie miałem najmniejszych wątpliwości, co odpowie.

- Przejdźmy się i rzućmy okiem!

Sozja Kamillina zachowywała się bardzo pokornie, co nie przeszkodziło jej przytomnie wtrącić, że może się przydać ręczny wózek do przewiezienia łupu.



XI

Na Forum było chłodniej i ciszej niż wtedy, kiedy byłem tu poprzednio z Sozją, szczególnie w tej długiej kolumnadzie, gdzie bankierzy oferują bezpieczne skrytki dla co bardziej nerwowych obywateli. Rodzina Sozji korzystała z usług uśmiechniętego Bityńczyka, który dokonał niezbyt zdrowej inwestycji we własne sadło. Dziewczyna podała szeptem numer, żeby zidentyfikować swoją własność; tłuścioch z zadowoloną miną otworzył jej kasetę. Była duża, ale jak się okazało, z całkiem małą zawartością.

Kiedy pokrywa odskoczyła, Sozja Kamillina stała z boku. Zajrzeliśmy z Petroniuszem do środka i okazało się, że jej oszczędności są jeszcze mniej imponujące od moich. Jej stryj wynajął dla niej tę kasetę, ale dziewczyna była posiadaczką nie więcej niż dziesięciu złotych monet i kilku sztuk niezłej biżuterii, na którą według swojej ciotki była jeszcze za młoda. (Kwestia opinii. Dla mnie była wystarczająco dorosła.)

Przedmiot naszego zainteresowania zawinięty był w filc i obwiązany konopnym sznurkiem. Ponieważ bankier obserwował nas z nieskrywaną bityńską ciekawością, Petroniusz pomógł mi wyjąć pakunek bez odwijania. Wydawał się nam nieznośnie ciężki. Całe szczęście, że pożyczylimy ręczny wózek od mojego szwagra tynkarza, który jak zwykle był właśnie bez pracy. (Mój szwagier nie dlatego pozostawał bez zatrudnienia, że wszystkie ściany w Rzymie były porządne i gładkie. Raczej dlatego, że Rzymianie woleli patrzeć na gołe dechy, niż zatrudnić patałacha i lenia takiego jak on.) Oddaliśmy się, ciągnąc trzeszczący pod ciężarem wózek. Petroniusz pozwolił, żebym to głównie ja ciągnął.

- Tylko nie zrób sobie krzywdy! - wykrzyknęła Sozja łaskawie.

Petroniusz puścił do niej oko.

- Nie jest taki słabowity, na jakiego wygląda. W tajemnicy ćwiczę podnoszenie ciężarów w szkole gladiatorów. Użyj mięśni, kwiateczku...

- Musisz mi kiedyś powiedzieć - wykrztusiłem w odwecie - dlaczego moja siostra Wiktoryna nazywa cię Pierwiosnkiem.

Nie odpowiedział. Ale się zarumienił, przysięgam, że tak było.

Na szczęście Rzym to miasto światowe. Dwóch mężczyzn z dziewczęciem i z ręcznym wózkiem może wkroczyć do winiarni bez narażania się na komentarze. Szliśmy ocienioną stroną ulicy, po czym daliśmy nura do wnętrza lokalu. Wybrałem stolik w ciemnym kącie, a Petroniusz porozstawiał na nim gorące placki. Trzeba było naszych

połączonych sił, żeby podnieść ten cenny obiekt i umieścić z łomotem na blacie. Ostrożnie odwinęliśmy filc.

- Na cienie Hadesu! - wykrzyknął Petroniusz.

Zrozumiałem, dlaczego stryjowi Decymusowi nie zależało, by narodziny tego maleństwa ogłoszono w „Acta Diurna”.

Sozja Kamillina nie miała pojęcia, co to takiego.

Petroniusz i ja wiedzieliśmy. Obu nam zrobiło się odrobinę niedobrze. Mój druh, mający żelazny żołądek, odchylił się do tyłu na stołku i wbił zęby w placek z jarzynami. Ja, by nie oddawać się niemiłym wspomnieniom, też wbiłem zęby w swój. Mój był faszerowany mięsem króliczym, z kurzą wątróbką i, jak mi się wydaje, przyprawiony jałowcem... niezły. Mieliśmy też talerz ze smakowitymi wieprzowymi kąskami; zostawiliśmy je Sozji.

- Ten posterunek celny na zadupiu - wspominał ze zgrozą Petroniusz. - Usytuowany przy ujściu Sabriny, po niewłaściwej stronie granicy. Nic do roboty, tylko liczenie przesuwających się we mgle łódek i zerkanie jednym okiem, czy małe ciemne ludki nie wybrały się przez rzekę na wypad. Och, dobrzy bogowie, Falko, pamiętasz tamten deszcz?!

Pamiętałem tamten deszcz. Ten długotrwały, monotony deszcz w południowo-zachodniej Brytanii jest czymś, czego zapomnieć się nie da.

- Falko, co to takiego? - syknęła Sozja.

- Sozji Kamillino, to jest srebrna świnka! - odpowiedziałem jej, napawając się dramatyzmem sytuacji.



XII

Byla to sztaba ołowiu.

Ważyla dwieście rzymskich funtów. Kiedyś próbowałem wytłumaczyć pewnej mojej znajomej, jaka jest tak naprawdę ciężka: „Niewiele cięższa od ciebie. Jesteś dziewczyną wysoką, solidnej budowy. Pan młody ledwo dałby radę przenieść cię przez próg, nie przestając się niemądrze uśmiechać...” Niewiasta, którą obrażałem, mogła sporo ważyć, choć w żadnym razie nie była otyła. Może zabrzmiało to nieuprzejmie, ale jeśli próbowaliście kiedyś podnieść dobrze odżywioną pannicę, wiecie, że to porównanie jest jak najbardziej uprawnione. Zresztą, jak się okazało, beztraskie dźwignięcie tej bryły szarego metalu o dużej masie odbiło się negatywnie na naszych krzyżach.

Patrzyliśmy z Petroniuszem na srebrną świnkę jak na starego, ale nieco krępującego przyjaciela.

- Co to takiego? - dopytywała się Sozja. - Dlaczego nazywacie je świnkami?

Wyjaśniłem, że kiedy rafinuje się cenną rudę, metal spływa z pieca w długi kanał, od którego z obu stron odchodzą formy, co przypomina ssące warchlaki przy maciorze. Petroniusz spoglądał na mnie sceptycznie, kiedy to mówiłem. Czasami wydawał się zdumiony moją wiedzą.

To cenne prosię było podłużną sztabą matowego metalu, długą na mniej

więcej pięćdziesiąt centymetrów, szeroką na dwanaście i pół i na dziesięć wysoką, lekko skośną po bokach, z imieniem cesarza i datą na tej dłuższej krawędzi. Nie wyglądała imponująco, ale człowiek, który spróbowałby ją nieść, zgiąłby się w końcu pod jej ciężarem. Dwadzieścia cztery łychy roztopionego metalu na standardową formę można unieść, ale trudno ukraść. Choć było warto, gdyby komuś się to udało. Zawartość srebra w rudzie z masywu Mendip jest wyjątkowo wysoka, przeciętnie trzy i pół kilograma na tonę. Zastanawiałem się, czy z tego cudeńka na stole wyciągnięto już całe srebro.

Państwo ma monopol na rudy cennych metali. Skądkolwiek to pochodziło, należało do skarbu cesarstwa. Przekreśliśmy sztabę wierzchem do góry, w poszukiwaniu oficjalnej pieczęci.

Pieczęć była, jak najbardziej: *TCL TRIP* jakiś całkiem nowy bełkot, nie raz, ale cztery razy, a potem *EX ARG BRIT* - stare, dobrze znane oznaczenie, którego trochę się spodziewaliśmy, a trochę obawialiśmy. Petroniusz jęknął.

- Brytania! Idealna sygnatura! Ktoś się na pewno oblewa potem.

Obaj jednocześnie doznaliśmy niemiłego uczucia.

- Już lepiej ruszajmy - zasugerował Petroniusz. - Mam to schować? Tam, gdzie zwykle? Ty zabierzesz dziewczynę?

Skinąłem głową.

- Falko, co się dzieje? - pytała podekscytowana Sozja.

- Umieści tę srebrną świnkę w pewnym cuchnącym miejscu, gdzie wrażliwi złoczyńcy nie będą mieli ochoty jej szukać - oświadczyłem. - Ty wracasz do domu. A ja muszę natychmiast porozmawiać z twoim stryjem Decymusem!



XIII

Odprowadziłem Sozję do domu w jednoosobowej lektyce. Zmieściliśmy się bez trudu; z niej była przecież drobinka, ja zaś rzadko jadałem do syta, wobec czego tragarze pozwolili nam wsiąść razem. Milczałem długo, a kiedy ona doszła do wniosku, że już przestałem się na nią bocyć, zaczęła paplać. Słuchałem jednym uchem. Była za młoda, żeby wysiedzieć spokojnie po takiej niespodziance.

Mnie natomiast zaczęła działać na nerwy cała rodzinka Kamilów. Nic, co powiedzieli, nie było prawdziwe ani nawet pełne, chyba że okazywało się czymś, czego wolałbym nie słyszeć. Otwarty kontrakt zapędził mnie w ślepią uliczkę.

- Czemu siedzisz tak cicho? Zastanawiasz się, jak ukraść tę srebrną świnkę? - spytała nagle Sozja. Nie odpowiadałem. Naturalnie, rozważałem, jak by to zorganizować. - Czy w ogóle zdarza ci się mieć pieniądze, Falko?

- Czasami.

- Co z nimi robisz?

Powiedziałem, że płacę czynsz.

- Rozumiem! - oświadczyła poważnym głosem.

Spoglądała na mnie tymi wielkimi niepokojącymi oczyma. Posmutniała,

a jej mina świadczyła o tym, że wyrzuca mi agresywność. Moje serce miękło. Miałem ochotę zwrócić jej uwagę, że spoglądanie w ten sposób na mężczyznę, z którym jest się sam na sam, to zły pomysł, ale nie powiedziałem nic, bo przewidywałem trudności z wyjaśnieniem, dlaczego tak jest.

- Dydiuszu Falkonie, co tak naprawdę z nimi robisz?

- Daję matce - burknąłem takim tonem, by nie mogła się zorientować, czy mówię poważnie.

W tamtym czasie uważałem, że mężczyzna nigdy nie powinien mówić kobietom, co robi z pieniędzmi. (To było, naturalnie, zanim się ożeniłem i zanim żona ukazała mi ten problem we właściwej perspektywie.)

Jeśli chodzi o moje pieniądze, to tak naprawdę w tamtych czasach zdarzało mi się zapłacić czynsz. (Częściej nie płaciłem.) Potem, po odliczeniu niezbędnych wydatków, połowę posyłałem mamie; resztę dawałem kobiecie, na której poślubienie mój brat nie znalazł czasu, nim go zabili w Judei, oraz dziecku, o którego istnieniu nie zdążył się dowiedzieć.

Nic z tych rzeczy nie powinno obchodzić bratanicy senatora.

Zwróciłem dziewczę stryjence, co owa matrona przyjęła z wielką ulgą.

W mojej osobistej klasyfikacji senatorskie małżonki dzielą się na trzy kategorie. Do pierwszej należą te, które sypiają z senatorami, ale nie z tymi, których mają za mężów; w drugiej są te, które sypiają z gladiatorami; i jeszcze ta trzecia garstka, która siedzi w domu. Przed Wespazjanem te dwie pierwsze kategorie panoszyły się wszędzie. Potem rozpanoszyły się jeszcze bardziej, ponieważ kiedy Wespazjan został cesarzem i kiedy ze starszym synem przebywał na Wschodzie, jego młodsze szczenię, Domicjan, mieszkało w Rzymie. A pomysłem Domicjana na zostanie cezarem było uwodzenie senatorskich żon.

Małżonka Decymusa Kamila należała do tej ostatniej kategorii: siedziała w domu. Domyślałem się tego, w przeciwnym bowiem razie już bym o niej słyszał. Była taka, jak się spodziewałem: elegancka, zatroskana, o doskonałych manierach, pobrzękująca złotą biżuterią... dobrze traktowana kobieta z jeszcze lepiej utrzymaną twarzą. Zerknęła wpierw na Sozję, potem jej inteligentne, czarne oczy spoczęły na mnie. Była to właśnie tego rodzaju rozsądna matrona, na którą chciałby natrafić kawaler, kiedy przytrafi mu się dziecko z nieprawego łoża, a on nie ma ochoty się go wyprzeć. W mig zrozumiałem, dlaczego sprytny Publiusz umieścił swoją Sozję właśnie tutaj.

Julia Justa, żona senatora, przywitała zaginioną bratanicę męża bez żadnych ceregieli. Przepyta ją później, kiedy w domu się uspokoi. To taka porządna, godna szacunku kobieta, która miała nieszczęście wyjść za człowieka zajmującego się nielegalnym pieniądzem. Człowieka tak nieudolnego, że zatrudnia sobie detektywa, który go demaskuje.

Poszedłem w stronę biblioteki i niezapowiadany wparowałem do Decymusa.

- Niespodzianka! Senator, który nie kolekcjonuje nędznych greckich rzeźb, tylko sztaby grawerowane artystycznie na zlecenie cesarza. Masz, panie, już dość kłopotów, po co jeszcze wynajmować mnie?

Przez krótką chwilę miał niewyraźną minę, ale szybko wziął się w garść. Przypuszczam, iż polityk przyzwyczaja się do tego, że nazywają go kłamcą.

- Stapasz po niebezpiecznym gruncie, Falko. Kiedy się uspokoisz...

Byłem zupełnie spokojny. Wściekły, ale myśli miałem klarowne jak szkło.

- Senatorze, tę srebrną świnę na pewno zwędzono. Ja jednak nie uważam pana za złodzieja. Bo przede wszystkim - drwiłem - gdybyś się pokusił o kradzież brytyjskiego srebra, na pewno lepiej byś, panie, zadbał o łup. Na czym zatem polega pańskie zaangażowanie?

- Jest oficjalne - odparł, po czym zmienił zdanie.

I dobrze, bo mu nie uwierzyłem.

- Półoficjalne.

Nadal mu nie wierzyłem. Zdusiłem śmiech.

- I półnieoficjalne? - zapytałem. Zignorował moją obcesowość.

- Falko, to musi pozostać tajemnicą - powiedział. Akurat ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależało, była zwiertzała skorupa tajemnic tej rodziny. - Tę sztabę - dodał - znaleziono po ulicznej bijatyce i przekazano do biura sędziego. Znam osobiście pretora tego okręgu; to człowiek, z którym spotykam się towarzysko, jego bratanek dał mojemu synowi posadę. Oczywiście przedyskutowaliśmy sprawę tej sztaby.

- Aha, tak p o m i ę d z y p r z y j a c i ó ł m i !

Zważywszy na pozycję społeczną senatora, byłem wobec niego niedopuszczalnie impertynencki, bez względu na to, co zrobił. Zdumiała mnie jego cierpliwość. Przyglądałem mu się bacznie; on obserwował mnie równie uważnie. Gdyby był człowiekiem z innych kręgów, spodziewałbym się, że oczekuje ode mnie jakiejś przysługi.

- Moja córka, Helena, zabrała do Brytanii list... mamy tam krewnych. Szwagier jest namiestnikiem cesarskim, zarządza finansami. Napisałem do niego...

- Wszystko w rodzinie; rozumiem! - zadrwiłem znów. Zapomniałem, że tacy ludzie żyją w zamkniętym kręgu: niewielkie grupki spolegliwych przyjaciół ulokowane w każdej prowincji, od Palestyny po Słupy Herkulesa.

- Falko, proszę! Gajusz - mój szwagier - przeprowadził prostą kontrolę. Odkrył, że co najmniej od roku czterech cesarzy w brytyjskich kopalniach regularnie ponosimy straty. Kradzieże na ogromną skalę, Falko! Kiedy to do nas dotarło, chcieliśmy zabezpieczyć dowody; mój przyjaciel pretor poprosił mnie o pomoc. Z przykrością przyznaję, że wykorzystanie w tym celu bankowej skrytki Sozji Kamilliny to już mój własny genialny pomysł.

Powiedziałem mu o naszej nowej skrytce. Wydawało mi się, że pobladł. Petroniusz zabrał bowiem srebrną świnę do pralni Lenii, by ją ukryć w kadzi ze służącą do wybielania uryną.

Senator nie skomentował ani tego, że sprzątnęliśmy mu dowód, ani że go schowaliśmy w tak cuchnącym miejscu. zaproponował mi jednak coś o wiele bardziej niebezpiecznego.

- Czy jesteś teraz mocno zajęty? - Nigdy nie byłem zajęty. Jako detektyw nie byłem aż taki dobry. - Posłuchaj, Falko, czy jesteś zainteresowany tym,

żeby nam pomóc? Nie możemy zaufać oficjalnym procedurom. Już przecież ktoś musiał się wygadać.

- A tutaj?

- Tutaj nigdy nie wspomniałem o sztabie. Zabrałem Sozję, żeby umieściła ją w swojej kasecie, nie wyjaśniając jej, o co chodzi, a potem zabroniłem o tym mówić. - Zamilkł na chwilę. - To dobre dziecko - dodał. Machnąłem niezobowiązująco ręką, przyznając mu rację. - Falko, zgoda, byliśmy nieostrożni, zanim pojęliśmy konsekwencje, ale jeśli przecieki pochodzą z otoczenia pretora, to nie możemy sobie pozwolić na dalsze ryzyko. Twoja twarz pasuje do takiego zadania... na pół oficjalnego i na pół nieoficjalnego...

Sarkastyczny drań! Uświadomiłem sobie, że w tym człowieku drzemie coś niecnego. Był sprytniejszy, niż chciał pokazać. Na pewno wiedział, co mi zaprzętało umysł. Przesunął dłonią po sterczących włosach.

- Mam dzisiaj spotkanie w Pałacu - oświadczył z zakłopotaniem. - Nie mogę powiedzieć więcej, ale dla od budowy cesarstwa po Neronie i po wojnie domowej skarbowi niezbędne są te sztaby. W rozmowach padło twoje imię. Jak rozumiem, miałeś brata... - mówił. Twarz mi zastygła. - Proszę wybaczyć! - wykrzyknął nagle tym pełnym przejęcia głosem, jak się to zdarza czasem niektórym patrycjuszom, co nie wzbudziło we mnie szczególnego zaufania. Były to przeprosiny; zdecydowałem się je zignorować. Nie zgodzę się, żeby ci ludzie rozmawiali o moim bracie. - No cóż, przyjmiesz tę pracę? Mój pryncypał będzie honorował twoje zwyczajowe stawki; domyślam się, że dla mnie je trochę rozdałeś! Jeśli odnajdziesz brakujące srebro, możesz oczekiwać solidnej premii.

- Wolałbym się spotkać z twoim zwierzchnikiem, panie - warknąłem. - Moje wyobrażenie o premii może być zupełnie różne od jego.

- Wyobrażenie mojego zwierzchnika o premii jest najlepsze z możliwych! - odwarknął.

Wiedziałem, że oznacza to pracę dla jakiegoś urzędu pełnego nadętych, zgrywających ważniaków skrybów, którzy obetną moje wydatki, jeśli tylko będą mieli okazję, ale pracę przyjąłem. Ostatecznie był stryjem Sozji, a ja współczułem jego małżonce.

W tej sprawie było coś dziwnego.

- A tak przy okazji, czy to ty, panie, wypuściłeś na mnie sprytnego rysia, niejakiego Acjusza Pertynaksa?

- Nie - odparł wyraźnie zirytowany.

- Czy ma on jakieś związki z twoją rodziną?

- Nie - rzucił zniecierpliwiony, po czym się zreflektował. Nic tutaj nie było proste. - Pewien niewielki związek - poprawił się, z pełną determinacją przybierając szczery wyraz twarzy. - Interesy z moim bratem.

- Czy powiedziałeś, panie, bratu, że Sozja jest u mnie?

- Nie miałem sposobności.

- Ktoś powiedział. Bo on kazał Pertynaksowi mnie aresztować.

Senator uśmiechnął się.

- Bardzo za niego przepraszam. Mój brat zamartwiał się o córkę. Będzie zachwycony, że sprowadziłeś ją do domu.

Jasne! Petroniusz Longus powiedział przecież, że mój rysopis jest znany, więc możliwe, że edyl sam mnie wyśledził. Pertynaks i Publiusz założyli, że to ja jestem złoczyńcą. Starszy brat, Decymus, w rozmowie z młodszym bratem, Publiuszem, zapomniał dodać, że to on mnie wynajął. Nie byłem zdziwiony. Sam pochodzę z wielodzietnej rodziny. Mój brat Festus także zapominał mi powiedzieć o wielu sprawach.



XIV

Ten wyciek srebra był inteligentnym przedsięwzięciem! Z kopalni brytyjskich, które za moich czasów były tak pilnie strzeżone przez wojsko, najwyraźniej podkradano równie czysto i elegancko jak z akweduktu Appiusza, do którego na całej długości obywatele podłączali swoje rury; sztaby ze srebrem połyskiwały wzdłuż drogi prowadzącej do Rzymu niczym kryształowe wody Niebieskiego Źródła. Żałowałem, że sami nie zrobiliśmy tego z Petroniuszem dziesięć lat wcześniej.

Mijając areszt przy Bramie Kapeńskiej, zajrzałem do środka w sprawie tych dwóch obwiesi z jadłodajni, których aresztowano na moich oczach za szpiegowanie senatora. Nie miałem szczęścia. Pertynaks już zdążył ich wypuścić... brak było powodów do zatrzymania na dłużej, jak twierdził.

Spojrzałem na strażnika i wydałem to swoje westchnięcie zmęczonego życiem równego chłopca.

- Typowe! A chociaż chciało mu się ich przesłuchać?

- Wymienili kilka przyjaznych słów.

- Genialne! Co jest z tym Pertynaksem?

- To taki, co wszystko wie! - poskarżył się strażnik.

Obaj znaleźliśmy ten gatunek. Popatrzyliśmy na siebie ze zrozumieniem.

- Czy on jest tylko nieudolny, czy powiedziałbyś raczej, że chodzi o coś innego?

- Powiedziałbym, że go nie lubię... ale to akurat mówię o nich wszystkich.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

- Dzięki. Słuchaj - przymilałem mu się otwarcie - jakie są wieści na temat tej sztaby ołowiu? To jest nieoficjalnie oficjalne, jeśli wiesz, co mam na myśli. - To miał być żart. Sam nie rozumiałem tego, co mówię.

Zaklinał się, że ma co do tego ściśle rozkazy i nie wolno mu nic mówić. Posłałem w jego stronę parę brzęczących monet. To nigdy nie zawodzi.

- Przywiózł ją w zeszłym tygodniu jakiś woźnica; miał nadzieję na nagrodę. Sam sędzia zszedł na dół, żeby ją obejrzeć. Ten woźnica mieszka... - (Jeszcze jeden magiczny brzęk.) - ...w chacie nad rzeką, na tamtym brzegu Tybru, przy znaku turbota, nieopodal mostu Sulpicjusza...

Odnalazłem chatę, ale woźnicy nie. Trzy dni po tym, jak jego koń potknął się w ciemności o srebrną świnkę, dwóch gości łowiących z tratwy wyciągnęło go z rzeki. Zabrali go na Wyspę tyberyjską, do hospicjum przy świątyni Eskulapa. Większość ich pacjentów umiera. Woźnica się tym nie przejął; już nie żył.

Przed opuszczeniem wyspy stanąłem na moście Fabrycjusza, oparłem się rękoma o balustradę i zacząłem główkować. Ktoś się zbliżał w ten charakterystyczny zbyt swobodny sposób, który nigdy nie jest ani trochę swobodny.

- Ty jesteś Falko?

- A kto życzy sobie wiedzieć, pani?

- Jestem Ascja. Wypytywałeś o człowieka, co się utopił.

Domyśliłem się, że to dziewczucha woźnicy. Wyglądała wymoczkowato jak krewetka i miała zaciętą, zmęczoną twarz typową dla ludzi z dzielnicy portowej. Lepiej wiedzieć, z kim się ma do czynienia.

- Jesteś jego kobietą? - spytałem bez owijania w bawełnę.

Roześmiała się gorzko.

- Już nie! Jesteś pretorianinem? - burknęła w odpowiedzi.

Zamaskowałem zaskoczenie.

- Życie jest na to za krótkie - oświadczyłem i czekałem. Nie pozostało mi nic innego, skoro nawet nie wiedziałem, na co czekam.

Kobieta zastanawiała się przez chwilę, czy może mi zaufać, po czym wyrzuciła z siebie wszystko.

- Przyszli tu później. On ich nic nie obchodził, zależało im tylko na informacji.

- Coś im powiedziałaś?

- Jeszcze czego! Był dla mnie dobry, kiedy miał jakiś grosz... Poszłam do świątyni, sama go pochowałam. Wiesz co, Falko, może i znaleźli go w rzece, ale ja wiem, że on nie utonął. W świątyni powiedzieli mi, że musiał wpaść do wody, kiedy był pijany. Ale kiedy on był pijany... - co pewnie często mu się zdarzało, ale byłem zbyt taktowny, by o to zapytać - ...kładł się na wozie i pozwalał, żeby koń zawiózł go do domu.

- Ktoś znalazł wóz?

- Zostawiono go na targu bydłowym, bez konia.

- Hmm. Czego chcieli pretorianie?

- On znalazł coś cennego. Nie chciał mi powiedzieć co, ale przeraziło go to. Oddał to coś na najbliższym posterunku, zamiast samemu sprzedać. Pretorianie wiedzieli, że to znalazł. Nie wiedzieli tylko, co z tym zrobić.

Zatem to nie pretorianie porwali Soję. Zresztą i tak było to mało prawdopodobne; nie uciekłyby im tak łatwo... raczej w ogóle by się im nie wymknęła.

- Będę musiał z nimi pogadać. Jakieś namiary na kogoś, czyjeś imię? - spytałem.

Astia wiedziała bardzo mało. Ich dowódca, powiedziała, nazywa się Juliusz Frontyn. Będąc członkiem elitarnego regimentu, niewątpliwie posiadał pełne trzy imiona, jak człowiek zamożny, ale żeby go odnaleźć wystarczyły mi te dwa. Pierwszy raz w życiu z własnej woli zdecydowałem się na rozmowę z przedstawicielem przybocznej gwardii cesarskiej.



XV

Obóz pretorianów znajdował się po drugiej stronie miasta. Szedłem powoli. Spodziewałem się, że gdy tam dotrę, zostanę niczym skorupka jajka zmiażdżony ciężkim buciorem...

Natychmiast rozpoznałem Frontyna. Teraz nosił kryty emalią napierśnik i wielką srebrną sprzączkę przy pasie, ale kiedyś uczył się alfabetu, dzieląc jeden stołek pod płóciennym daszkiem szkoły na rogu naszej ulicy z pewnym gagatkiem o kręconej czuprynie, niejakim Dydiuszem Festusem. Dlatego dla Juliusza Frontyna ja byłem młodszym bratem bohatera, a ponieważ nie mógł już zabrać ze sobą Festusa do tawerny, żeby go tam spijać na wesoło - bo Festus leżał martwy na pustyni w Judei -zabrał mnie.

Była to dyskretna, dobrze prowadzona winiarnia w północno-wschodnim zakątku Rzymu, w pobliżu bramy Wiminalskiej, uczęszczana przez żołnierzy regimentów miejskich i robiąca bardzo konkretne wrażenie. Nie było tam jedzenia. Nie było kobiet. Były natomiast wszelkiego rodzaju trunki, na ciepło i na zimno, z korzeniami i bez, o cenach mocno wygórowanych, choć mnie nie pozwolono płacić. Sam nigdy bym nie wsadził tu nawet nosa. Ponieważ towarzyszyłem Frontynowi, nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Siedzieliśmy otoczeni przez wysokich, rozrośniętych mężczyzn, którzy podsluchiwali otwarcie, ale w ogóle się nie odzywali. Frontyn na pewno ich znał; miałem wrażenie, że wiedzą, co zamierza powiedzieć. Dojście do tego zajęło mu jednak sporo czasu. Kiedy człowiek tego pokroju zaprasza cię na kielicha, rozumie się samo przez się, że nim przystąpicie do interesów, jest czas na pewną ceremonialność. W naszym przypadku, dla uhonorowania mojej osoby i dla sprawienia przyjemności jemu samemu, była to rozmowa o bohaterach i o ich heroizmie, w rezultacie czego spiliśmy się na rzewnie.

Po rozmowie o Festusie i zanim jeszcze straciłem świadomość, udało mi się zadać kilka pytań. Nim Frontyn odesłał mnie do domu furgonem budowlanców razem z ładunkiem kafelków, zdołał na nie odpowiedzieć.

- Po co on to zrobił? - dumał na głos Frontyn. - Pierwszy na murze miasta Bethel, no to i pierwszy martwy. Nic do roboty przez całą wieczność, jak tylko pilnować bielejącego w pustynnym słońcu kamienia nagrobnego. Wariactwo!

- Chciał zużyć pieniądze odkładane na pochówek. Nie mógł znieść myśli, że zmarnuje się to, co potracą mu z żołdu. Zatem, dzielny bracie, bądź pozdrowiony i żegnaj.

Minęły dwa lata od śmierci Festusa pod koniec galilejskiej kampanii Wespazjana, ale w mieście tyle się wydarzyło, że czułem, jakby upłynęło dużo więcej czasu.

A przecież nadal nie mogłem uwierzyć, że jego nie ma. I pewnie nigdy nie uwierzę. Wciąż czekam na wiadomość, że Festus przyплыł właśnie do Ostii, więc prosi o wóz i parę bukłaków z winem, bo zabrakło mu gotówki, a na pokładzie poznał paru młodzieńców, których chciałby ugościć...

prawdopodobnie będę czekał na taką wiadomość przez całe życie.

Miło było wypowiadać jego imię, ale miałem już tego dosyć. Może było to po mnie widać. Miałem też dość picia i mogłem robić wrażenie, że zaraz puszcze pawia. Mimo to Frontyn ponownie napełnił kubki. Potem pochylił się ku mnie, najwyraźniej gotowy do rozmowy.

- Falko... Falko, jak ci dali na imię?

- Marek - oznajmiłem. Tak samo jak Festusowi, o czym Frontyn na pewno wiedział.

- Marek! Na Jowisza, ja będę nazywał cię Falko. Jak żeś się w to wplątał, Falko?

- Jest nagroda za srebrne świnki.

- No, no, chłopcze, to już nieaktualne! - Zrobił się nagle cudownie ojcowski. - To sprawa polityczna; zostaw ją pretorianom. Festus by ci to powiedział, a skoro jego tu nie ma, to wysłuchaj mnie. Powiem ci to jasno i prosto. Po czterech cesarzach w ciągu niecałych dwunastu miesięcy Wespazjan to prawdziwa ulga, choć niektóre dziwaczne typki nadal na niego nastają. Wiesz, jak to jest... Podchodzą cichaczem, kiedy jesteś po służbie, mali ludzie z czymś wielkim do sprzedaży...

- Srebrnymi świnkami! - Wszystko stało się jasne. - *Ex Argentiis Britanniae*. Do sfinansowania politycznego spisku. Kto za tym stoi?

- Tego właśnie chce się dowiedzieć gwardia cesarska - oświadczył ponuro Frontyn.

Wyczułem jakieś poruszenie wśród otaczających nas mężczyzn.

- Wierność cesarzowi - powiedziałem ostrożnie, nie patrząc na żadnego z nich.

- Jak sobie życzysz... - Juliusz Frontyn roześmiał się. Są dumni ze swojej wierności. Był czas, że pretorianie dosłownie sadzali nowych cesarzy na tronie. W ten sposób wynieśli Klaudiusza, a w roku czterech cesarzy nawet taki wystrzyżony głupek jak Othon mógł rządzić przez chwilę imperium, kiedy udało mu się uzyskać poparcie pretorianów. Kupienie ich wymagało prywatnej mennicy. Ktoś jednak stawiał czoło brytyjskiej pogodzie, żeby właśnie coś takiego zorganizować.

- Kiedy do mnie przyszli - mówił Frontyn - poprosiłem, żeby pokazali mi dowód. Żeby zyskać na czasie. Zjawili się dwa dni później z oznakowaną stemplem probierczym sztabą. Moi ludzie śledzili te wołki zbożowe aż do ciasteczka, kiedy ci dali drapaka, porzucając łup. - Wiedziałem dlaczego, bo sam próbowałem go podnieść. - Zgubiliśmy ich - ciągnął - a kiedy wróciliśmy, sztaby też już nie było. Umieściliśmy szpiegów w pijackich mordowniach na nadbrzeżu i dość szybko usłyszeliśmy o woźnicy chełpiącym się, że znalazł coś, za co zostanie hojnie nagrodzony przez cesarza. Najwyraźniej usłyszał go też ktoś brutalniejszy od gwardii przybocznej.

Rzucił mi ciężkie spojrzenie. Moja tunika stała się wilgotna i zimna na piersi. Wiedziałem, że nie ma to nic wspólnego z wypitym alkoholem.

- Wespazjan nie jest głupcem, Falko. Może i wyskoczył znikąd, ale zrobił to, wykazując się odwagą i doskonałą oceną sytuacji. Doszliśmy do wniosku, że musiał natrafić na trop tej sprawy. A teraz ty tu przychodzisz! Czyżbyś informował Pałac, słoneczko? Płacą ci ze specjalnego funduszu,

żebyś pomógł Wespazjanowi, jeśli gwardia go zawiedzie?

- Nic o tym nie wiem, Juliuszu, to nie...

Zacząłem sobie uświadamiać, jak mało wiem.



XVI

Nazajutrz wróciłem do senatora. Zważywszy na moje biesiadowanie z Frontynem, była to raczej wizyta popołudniowa; pomińmy milczeniem szczegóły tego poranka. Większość czasu spędziłem w łóżu, choć chwilami miewałem napady przykrew aktywności. Kiedy się tam wreszcie pojawiłem, okazało się, że senator cierpi na łagodną poobiednią niestrawność. Ja miałem ciężką niestrawność, chociaż nawet nie odważyłbym się spojrzeć na obiad.

Wpadłem jak burza. Senator zaczynał oceniać mój nastrój na podstawie gwałtowności, z jaką pojawiałem się w jego zaciszu domowym. Teraz wparowałem tam niczym czarny charakter w jakimś dramacie, jadowitym trajkotem popisujący się przed publicznością. Kamil Werus był tak dobry, że odłożył pracę i pozwolił mi toczyć z siebie barwną pianę.

- Nie mam żadnych srebrnych sztab, ale trafiłem na całkiem niezłą intrygę! Raczyłeś mnie, panie, okłamać. Nasłuchałem się więcej kłamstw niż od chorej dziwki w świątyni Izydy, a cel ich był mniej szlachetny, choć podano je równie fachowo.

- Falko! Pozwolisz mi wyjaśnić?

Nie, powinien był przynajmniej mi zdrowo nawymyślać. Tymczasem siedział zafascynowany moim gwałtownym wybuchem.

- Proszę sobie darować, senatorze. Nie tykam się roboty w sprawach politycznych; niewarta jest takiego ryzyka. Moja matka oddała jednego syna Wespazjanowi w Galilei; jestem jedynym, który przeżył, i tak ma pozostać!

Wyglądał na poirytowanego. Uważał, że pomniejszam wagę tych politycznych aspektów. A ponieważ ja uważałem, że to on ją pomniejsza, mieliśmy pat.

- Chcesz zobaczyć Wespazjana skrytobójczo zamordowanego? Och, Falko! I kraj ponownie pogrążony w wojnie domowej? Ruinę imperium? Jeszcze więcej walk, więcej niepewności, więcej rozlanej krwi na ulicach Rzymu?

- Ludziom się płaci ciężkie pieniądze, żeby chronili cesarza - wychrypiałem. - Mnie się płaci kłamstwami i obietnicami. - Nagle straciłem cierpliwość. Nie widziałem tu dla siebie żadnej przyszłości. Oszukali mnie; próbowali mnie wykorzystać. Mądrzejsi ludzie brali mnie za błazna; mądrzejsi ludzie dostrzegli swój błąd. Już znacznie spokojniej doprowadziłem tę niedorzeczną scenę do końca. - Wespazjan nie lubi detektywów; ja nie lubię cesarzy. Myślałem, że lubię ciebie, panie, ale człowiek, który czuje się zagubiony, może popełnić błąd! Życzę ci miłego dnia, panie.

Wypadłem stamtąd też jak burza. Nie zatrzymywał mnie. Już wcześniej zauważyłem, że Decymus Kamil Werus to człowiek inteligentny.

Właśnie maszerowałem wściekły przez atrium obok prychnącej fontanny, kiedy usłyszałem syknięcie.

- Falko! - To była Sozja. - Chodź do ogrodu; porozmawiamy.

Byłoby to niestosowne plotkować z młodą damą, nawet gdybym nadal był zatrudniony przez jej stryja. Wolałem nie drażnić senatorów, wdając się w rozmowy z ich podopiecznymi w ogrodach, gdzie służący widzą wszystko, co się dzieje. Jeśli już w ogóle mam zamienić parę słów z Sozją - przed czym nie mogę się wzbraniać, skoro ona była łaskawa przemówić do mnie - to nasza pogawędka musi być krótka. I powinniśmy pozostać w atrium.

Przesuwałem piętą po marmurowych płytach.

- Och, Dydiuszu Falkonie, proszę!

Ze zwykłej złości poszedłem za nią. Poprowadziła mnie do perystylu, którego wcześniej nie widziałem. Kamienne posągi odcinały się olśniewającą bielą na zimnym czarnozielonym tle przyszyżonych cyprysów. Były tam gruchające gołębie i większa fontanna, która działała bez zarzutu. Paw rozkrzyczał się za porośniętymi mchem donicami, z których wyrastały majestatyczne białe lilie. Było to chłodne, urocze, spokojne miejsce, ale ja nie zgodziłem się usiąść w cieniu pergoli, żeby dać się ułagodzić. Sozja usiadła; stałem naprzeciwko niej, z założonymi na piersi rękoma. Pod pewnymi względami tak było najlepiej; nieważne, jak bardzo chciałbym ją objąć, odmówiłem sobie tej okazji. Miała na sobie karmazynowa tunikę, obszytą lamówką w kolorze śliwkowym. Podkreślała bladość jej skóry skrytą pod tymi wszystkimi barwiczkami, jakie stosowała. Wychyliwszy w moją stronę ściągniętą i zmartwioną twarz, przez chwilę wyglądała na kruchą, słabą istotkę. Zdawała się przepraszać za całą swoją rodzinę, ale kiedy zaczęła mnie przekonywać, stawała się bardziej żarliwa niż kiedykolwiek przedtem. Ktoś kiedyś musiał ją nauczyć, jak się upierać przy swoim.

- Podśluchiwałam. Falko, nie możesz pozwolić, by zamordowano Wespazjana, on będzie dobrym cesarzem!

- Wątpię - odparłem.

- Nie jest okrutny; nie jest szalony. Prowadzi proste życie. Ciężko pracuje. Jest stary, ale ma uzdolnionego syna... - Słowa te wypowiedziała z przekonaniem; wierzyła w nie, choć wiedziałem, że nie ona je wymyśliła.

Byłem zdziwiony, że cesarz może mieć takie poparcie, ponieważ brakowało mu wszystkich tradycyjnych zalet. Nikt z rodziny Wespazjana nie piastował nigdy wysokiego urzędu. Nie miałem o to pretensji; ostatecznie w mojej też nikogo takiego nie było.

- Kto ci wcisnął ten cały kit? - zaatakowałem ze złością.

- Helena.

Helena. Kuzynka, o której wcześniej wspomniała. Córka senatora, ta, z którą biednemu małżonkowi udało się szczęśliwie rozwieść.

- Rozumiem... Więc jaka ona jest, ta twoja Helena?

- Jest cudowna! - wykrzyknęła Sozja bez wahania, po czym z takim samym przekonaniem oświadczyła: - Tobie by się za bardzo nie podobała.

- Niby dlaczego? - roześmiałem się.

Wzruszyła ramionami. Nigdy nie widziałem jej kuzynki, a przecież

instynktownie żywiłem niechęć do tej kobiety od momentu, w którym Sozja użyła jej imienia dla ukrycia własnej tożsamości, kiedy nie miała jeszcze podstaw, by mi ufać. W rzeczywistości mogłem mieć do Heleny pretensje jedynie o to, że według mnie miała duży wpływ na Sozję Kamillinę. Wolałem sam na nią wpływać. Zresztą i tak podejrzewałem, że Sozja się myli. Zazwyczaj lubiłem kobiety. Jeśli jednak ta Helena była nadopiekuńcza w stosunku do swojej młodszej krewnej, a na to właśnie wyglądało, to raczej ja nie spodobałbym się jej.

- Pisuję do niej - wyjaśniła Sozja, jakby czytała mi w myślach.

Nie odezwałem się. Trzeba było wracać. Nie mieliśmy już o czym rozmawiać. Stałem jeszcze, na wpół świadom czystej woni letnich kwiatów i oddających senne ciepło kamieni.

- Mówię Helenie wszystko.

Spojrzałem na nią bardziej wyrozumiale, nagle poczuwszy się nieswojo. To dziwne, ale człowiek wstydzi się bardziej, kiedy nie jest niczemu winien, niż wtedy, kiedy stara się ukrywać jakiś skandaliczny fakt.

Ponieważ wciąż milczałem, Sozja mówiła dalej. Miała taki nieznośny nawyk, że nie potrafiła zamilknąć.

- Naprawdę idziesz? Już cię nigdy nie zobaczę? A jest coś, co chciałam powiedzieć. Marku Dydiuszu Falkonie, od wielu dni zastanawiam się jak...

Zwróciła się do mnie całkowicie oficjalnie, używając wszystkich moich imion. Nikt nigdy tego nie robił. Nie mogłem znieść jej wyrażającego szacunek tonu. Znalazłem się w sytuacji, która wymagała natychmiastowej reakcji.

- Nie rób tego! - przerwałem jej gwałtownie. - Wierz mi, Sozjo, jeśli potrzebujesz wielu dni na obmyślenie, jak coś powiedzieć, to znaczy, że nie należy tego w ogóle mówić.

Zawahała się.

- Ale ty nie wiesz...

W wolnym czasie bywałem poetą, o wielu rzeczach nigdy nic nie będę wiedział, ale to rozpoznałem.

- Och, Sozjo... wiem!

Na krótki moment przeniosłem się do snu, w którym zabieram Sozję Kamillinę do swojego życia. Równie błyskawicznie powróciłem do rzeczywistości, jedynie głupiec stara się przekroczyć w taki sposób bariery statusu. Można za pomocą pieniędzy wejść do warstwy średniej albo otrzymać złoty pierścień za usługi oddane cesarzowi (szczególnie jeśli te usługi są wątpliwego charakteru), jednak tak długo jak jej ojciec i stryj wiedzą, co robią - a jej stryj musi wiedzieć, w końcu jest milionerem - to nawet mimo tego dziwnego problemu nieistniejącej matki rozporządzą dziewczyną w taki sposób, który umocni jej pozycję oraz rachunek bankowy rodziny. Nasze osobne ścieżki życia nigdy się nie zbiegną. W głębi serca ona to rozumiała, bo pomimo tej dzielnej próby spoglądała teraz na swoje stopy w plecionych złotych sandałkach, przygryzała wargi, ale też przyjmowała to, co powiedziałem.

- Jeśli cię będę potrzebowała... - zaczęła przygaszonym głosem.

- Nie będziesz - odpowiedziałem żwawo, dla własnego dobra. - W twoim miłym, bezpiecznym życiu nie będzie ci potrzebny nikt taki jak ja. I, Sozjo

Kamillino, ja też ciebie nie potrzebuję!

Odszedłem szybko, żeby nie widzieć jej twarzy.

Do domu powędrowałem pieszo. Rzym, moje miasto, które dotychczas było niezawodnym źródłem pociechy, teraz leżało przede mną niczym kobieta, tajemnicze i piękne, wymagające i przynoszące satysfakcję, wiecznie uwodzicielskie. Pierwszy raz w życiu nie dałem się uwieść.



XVII

Okazało się, że dane mi jeszcze było zobaczyć Sozję Kamillinę. Poprosiła mnie o spotkanie. Oczywiście poszedłem. Gnałem jak najszybciej.

Lato zaczęło powoli przechodzić w jesień. Dni wydawały się tak samo długie i gorące, ale kiedy zbliżał się zmierzch, nastawał chłód. Wyjechałem nawet do Kampanii na święto winobrania, ale jakoś nie miałem do tego serca i wróciłem do domu.

Nie potrafiłem uwolnić się od myśli o srebrnych świnkach. Sprawa ta nieustannie mnie nurtowała, choć byłem wściekły, że Decymus Kamil tak drażnił się ze mną. Za każdym razem, kiedy natknąłem się na Petroniusza Longusa, ten wypytywał mnie o postępy w dochodzeniu. Wiedział, jak na mnie działa to maglowanie, ale za bardzo go ta sprawa fascynowała, żeby był w stanie taktownie milczeć. Zacząłem go unikać, co jeszcze bardziej mnie przygnębiało. Na dodatek cały świat przyglądał się pilnie naszemu nowemu cesarzowi, Wespazjanowi. Nie miałem szansy poplotkować u balwierza ani w łaźni, na wyścigach ani w teatrze bez niemiłego uczucia, ciągle bowiem chodziło mi po głowie to, co wiedziałem.

Zmarnowałem tak jakieś sześć albo i więcej tygodni. Knociłem sprawy rozwodowe, nie kwapiłem się z doręczaniem nakazów sądowych, zapominałem daty rozpraw, zerwałem sobie ścięgno w gimnazjonie, obraziłem swoją rodzinę, umykałem gospodarzowi, za dużo piłem, za mało jadłem, nie zwracałem sobie głowy kobietami. Jeśli już poszedłem do teatru, to gubiłem wątek sztuki.

Potem, pewnego dnia, dopadła mnie Lenia.

- Falko! Była twoja dziewczyna.

Z przyzwyczajenia spytałem która. Ciągle lubiłem robić wrażenie, że każdego popołudnia napastują mnie półnagie akrobatki z Trypolitanii. Lenia świetnie wiedziała, że dałem sobie spokój z kobietami; nie słyszała kłapania małych sandałków ani chichotania na schodach. Umilkły okrzyki oburzenia, bo moja matka nie musiała już wymiatać ich z mojej izby razem z kurzem.

- Filigranowa gracja z rodowodem i bransoletami. Pozwoliłam jej się wysiusiać do kadzi z wybielaczem, a potem poszła na górę napisać liścik...

Ruszyłem pędem po schodach. Dotarłem do mieszkania zziąjany, z kompletnie wyschniętym gardłem. Moja matka najwyraźniej już tam była, świadczył o tym stos pocerowanych tunik, rydwan narysowany przez moją

siostrzenicę na tabliczce, cefal w przykrytym naczyniu. Odsunąłem to wszystko na bok, szukając listu.

Znalazłem w sypialni. Poczulem dziwny skurcz serca, kiedy wyobraziłem sobie tam Sozję. Zostawiła wiadomość na stosie mojej poezji i położyła na wierzchu znaną mi gagatową bransoletę. Ciekaw byłem, czy zauważyła, że *Aglaja, Promienna Bogini* jest tak naprawdę o niej. Wszystkie dziewczęta w moich wierszach noszą imię Aglaja; przecież poeta musi się maskować.

Na woskowej powierzchni drewnianej tabliczki, wyjętej z tych połączonych, poczwórnych, okrągłym charakterem pisma, którym nigdy nie napisała jeszcze niczego poważnego, wyryła taki oto tekst:

Dydiuszu Falconie, wiem, gdzie mogą trzymać srebrne świnki, jak ci je pokażę, będziesz mógł zażądać swojej nagrody. Spotkaj się, proszę, ze mną przy złotym kamieniu milowym za dwie godziny. Jeśli jesteś zbyt zajęty, pójdę sama i zobaczę...

Pełen najgorszych przeczuć popędziłem w dół po schodach.

- Lenia! Lenia, kiedy ona tutaj była...

Czekali na mnie spokojnie u stóp schodów. S m a r a k t u s !

W dole poruszały się cienie, ich bose stopy stapały zupełnie bezgłośnie na kamiennych stopniach: gladiatorzy właściciela domu szli po niezapłacony czynsz.

Mam układ z krawcem mieszkającym na drugim piętrze i w nagłej potrzebie mogę przebiec przez jego pokój na balkon, żeby dać susa przez barierkę na schodki pożarnicze, a stamtąd zeskoczyć na ulicę. Tymczasem minąłem już drzwi do mieszkania krawca. Zrobiłem natychmiast w tył zwrot. Drzwi się otworzyły. Ktoś z nich wyszedł i nie był to krawiec.

Wywodzili się z niechlujnej szkoły Smaraktusa i byli w pełnym rynsztunku bojowym. Pod sobą miałem myrmillów, z torsami błyszczącymi od oleju ponad szerokim pasem, prawym ramieniem osłoniętym od pięści do obojczyka, w masywnych hełmach przypominających głowę ryby mormylos. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem nad sobą dwóch pogodnych, roześmianych mężczyzn, odzianych jedynie w tuniki, tyle że każdy miał zwiniętą na ramieniu sieć - jego sieciarze.

Odwróciłem się z powrotem.

- Dydiuszu Falconie! Po co ten pośpiech?

Rozpoznałem mówiącego. Rozpoznałem go po posturze. Przyczajony, w pozycji bojowej, z twarzą ukrytą za osłoną przy hełmie. Musiałem bezwiednie krzyknąć.

- Och, nie! Nie teraz, o bogowie, nie teraz...

- Właśnie teraz, Falko!

- Nie możecie, och, nie możecie...

- Ależ tak, możemy! Pokażmy temu człowiekowi... - W tej chwili ci stojący wyżej rzucili na mnie sieci.

Szarpiąc się bezsilnie w dwóch kręgach wrzynających się w ciało

powrozów, wiedziałem że będzie to o wiele gorsze niż aresztowanie w wykonaniu drabów edyla. Jeśli Smaraktus chce dać mi do zrozumienia, o co mu chodzi, to zmiękcza mnie jak ośmiornicę, którą przed przyrządzeniem tłucze się o nadmorskie skały. A jeśli znalazł się ktoś chętny na mieszkanie na górze, to już po mnie. Czekają mnie coś jeszcze gorszego. Pocięczałem się jedynie tym, że nic nie będę czuł, kiedy już uda mi się stracić przytomność, i że może już jej nigdy nie odzyskam.

Było ich pewnie pięciu, ale odnosiłem wrażenie, że znacznie więcej. Sieciarze nie wychodzili na ulice z trójzębami, ale myrmillowie przynieśli swoje drewniane miecze ćwiczebne. Podczas gdy miotałem się w sieciach, okładali mnie metodycznie, aż odpłynąłem w nicość przy akompaniamencie chaotycznych dźwięków.

Odzyskiwałem przytomność. Najwyraźniej nie tak łatwo było o nowych lokatorów. A może dowiedzieli się, jak to jest mieszkać w domu Smaraktusa. Nadal miałem swoje biuro i wracałem do życia.

Nie w swojej izdebce; gdzie indziej.

Byłem straszliwie zmęczony, zanurzony w bólu jak w gęstym nektarze, a potem porwał mnie wir gwałtownych odczuć i ostrych dźwięków i wydostałem się na powierzchnię.

- Odzyskuje przytomność! Powiedz coś, Falko - rozkazała mi Lenia.

Tylko mój mózg wymawiał słowa. Nic nie usłyszałem, drętwe usta nie wykonały bowiem najmniejszego ruchu.

Współczułem temu Falkonowi, jeśli był tak obolały jak ja. Opuściłem ten świat może na chwilę, a może na sto lat. Gdziekolwiek się wtedy znalazłem, było mi lepiej niż tutaj i chciałem tam wrócić.

- Marku! - To już nie Lenia. - Nic nie mów, synu. - Lenia posłała po moją matkę. Wielkie nieba.

Powoli czerwona, rozmazana plama pod moimi powiekami zestaliła się. Powoli ja i tamten biedak, którego nazywali Falko, stąpaliśmy się w jedno.

- Dlatego właśnie... - Kto to powiedział? Ja czy Falko? Chyba on.

- Dlatego właśnie ludzie płacą czynsz! - Matka musiała odetchnąć z ulgą, bo ton jej głosu był już zwyczajnie kwaśny.

Lenia zamajaczyła nade mną z szyją pomarszczoną jak u ogromnej jaszczurki.

- Nie ruszaj się - powiedziała. Usiadłem.

Matka mnie podtrzymała. Dałbym wszystko, żeby się z powrotem położyć, ale jej ramię pod moimi plecami, sztywne jak drążek lalkarza, nie pozwalało mi się osunąć.

Uniosła moją opadającą głowę, biorąc mnie pod brodę mocnym, zdecydowanym ruchem osoby, która przez całe życie kogoś niańczyła. Wiem, że uważa mnie za przypadek beznadziejny. Przemawia do mnie, jakbym był młodocianym przestępcą. Utrata mojego brata jest nieustającym, gorzkim jak piołun wyrzutem. Nawet nie wiem, co ona ma mi do wyrzucenia. Podejrzewam, że sama tego nie wie.

Teraz jednak wydawało mi się, że we mnie wierzy. Powiedziała bowiem głosem, który wbił się głęboko w miążgę zwaną kiedyś moim mózgiem:

- Marku! Martwię się o tę małą. Przeczytaliśmy jej list. Posłałam

Petroniusza, żeby ją znalazł, ale ty powinienes pójść...

Dotarłem do Forum w lektyce, każąc przepychać się tragarzom przez tłum jak jakiś grubiański, mający więcej forsy niż smaku eunuch. Dopchnęliśmy się do złotego kamienia milowego, gdzie zbiegają się wszystkie główne drogi imperium. Myślałem o tym, że ona czeka tam na mnie w samym sercu świata. Tymczasem na razie najmniejszego jej śladu. Jeden z żołnierzy Petroniusza przekazał mi wiadomość od swego dowódcy, żebym się z nim spotkał w Sennym Zaułku. Sam został, czekając na kogoś innego. Dalej ruszyłem pieszo.

Szukając tej właściwej bocznej uliczki, spotkałem kanalarzy, kręcących się przy studziencie wjazdowej, jak to mają w zwyczaju. Pracowali z większą niż zazwyczaj energią. Zrzucali szybko do środka beton i nigdzie nie było widać wspomagającego ich wysiłki bukłaka z winem.

Zwróciłem się do nich oficjalnym tonem, zarezerwowanym dla fachowców.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Czy przypadkiem nie zauważyliście Petroniusza Longusa, dowódcy patrolu straży awentyńskiej?

W odpowiedzi brygadzysta zapoznał mnie ze swoją filozofią życiową.

- Posłuchaj, centurionie, kiedy po pięciuset latach Cloaca Maxima zaczyna zalewać głównym Świętą Drogę, niewykwalifikowani robotnicy wzmacniający przepust mają ważniejsze sprawy na głowie niż sprawdzanie statusu przechodniów!

- Dzięki za pomoc - odparłem uprzejmie. To przynajmniej zadziałało.

- Na tyłach magazynów korzennych - rzucił szorstko. - Kłębi się tam cały tłum głupoli.

Byłem już w połowie drogi, kiedy wykrzyknąłem mu podziękowania.

Nie było co się spieszyć.

Senny Zaułek leżał po południowej stronie Forum, w pobliżu targu korzennego. Był typową, stromą, krętą boczną uliczką, jakie odchodzą zazwyczaj od naszych ulic głównych, szeroką na tyle, żeby zmieścił się wóz dostawczy, oblepiony wyschniętym błotem, załadowany połamanymi kawałkami drewna i różnymi odpadami. W oknach przesłaniających niebo domów okiennice zwisały luźno z zawiasów. Unoszący się w powietrzu zapach stęchlizny świadczył o tym, że nocą miejsce to okupują różni degeneraci. Kot miauknął rozsierzony, kiedy go mijałem. Było to takie miejsce, gdzie człowiek martwi się, gdy widzi, że ktoś nadchodzi - i martwi się, jeśli nikogo nie widzi. Wydawało się nędznym końcem dla tych wszystkich okazałych karawan, które przez pół świata wiozły skarby Arabii, Indii i Chin na sprzedaż do Rzymu.

Magazyn, o który mi chodziło, wyglądał na porzucony; bujna roślinność porastała wjazd, przed budynkiem tkwił wóz na jednej osi. Odnalazłem ich na dziedzińcu, Petroniusza i kilkunastu mężczyzn. Zanim skręciłem w bramę, smutny ton głosów zawodowców powiedział mi, czego się spodziewać. Tyle już razy słyszałem takie przyciszone rozmowy.

Petroniusz szedł w moją stronę.

- Marku!

Straciłem wszelką nadzieję, nie miałem złudzeń.

Wziął mnie za rękę. Przemknął wzrokiem po moich siniakach, zbyt

przejęty, by je w ogóle zauważyć. On się nigdy nie uodporni. Podczas gdy inni mężczyźni siedzą w ostrygowych knajpach, zachowując się cynicznie bez specjalnego powodu, Petroniusz Longus rozjaśnia twarz lekkim, wyrozumiałym uśmiechem. Odwracając się w reakcji na jakieś poruszenie za sobą, objął mnie tylko ramieniem, nie będąc w stanie powiedzieć, co się wydarzyło. Nieważne. Ja już i tak wiedziałem.

Znaleźli ją w magazynie. Zjawiłem się w chwili, w której akurat ją stamtąd wynosili, i to właśnie wtedy zobaczyłem ją po raz ostatni. Jej biała szata zwisała niczym zwój wełny z ramienia posepnego żołnierza, a sposób, w jaki jej głowa odchylona była do tyłu, oznaczał tylko jedno: Sozja Kamillina nie żyła.



XVIII

Ciemność, światła, patrol czekający na urzędnika sądowego. Nieraz już radzili sobie ze sprawami uduszonych prostytutek i żon rybaków zatłuczonych drągiem, jednak to tutaj dotyczyło w jakimś sensie senatu... nie było przez to trudniejsze do rozwiązania, ale wymagało przeraźliwej administracyjnej roboty.

Petroniusz jęknął z rozpaczą w głosie.

- Zmarnowaliśmy wiele godzin na szukaniu. Przydusiliśmy cały zastęp stręczycieli, którzy ją obserwowali. Odnależliśmy ten zaułek, obiliśmy pięciu różnych dozorców, nim zidentyfikowaliśmy to miejsce. Za późno. Nie mogłem nic zrobić. Po prostu nic... P r z e k l ę t e m i a s t o !

A on kochał Rzym.

Położyli ją na dziedzińcu.

W takim momencie zwykle łatwo jest zachować dystans. Rzadko znam ofiarę; spotykam ją dopiero po zbrodni. I taka właśnie kolejność wydarzeń jest godna polecenia.

Zakryłem twarz.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że Petroniusz odciąga swoich ludzi. Długo byliśmy kolegami. Tak samo zmagaliśmy się z życiem. Dawał mi teraz tyle swobody, ile tylko mógł.

Stałem kawałek od niej. Petroniusz przy moim boku coś wymamrotał. Przykucnąwszy, wielką ręką delikatnie zamknął jej oczy. Znów stanął przy mnie. Obaj spoglądaliśmy na nią. On patrzył na Sozję, żeby nie patrzeć na mnie, ja patrzyłem na Sozję, bo nie było już nic innego na tej ziemi, na co chciałbym jeszcze spojrzeć.

Jej słodka twarzyczka nadal połyskiwała tymi wszystkimi mazidłami, jakie nakładają młode kobiety z jej kręgów. Pod nimi skóra miała już odcień alabastrowej bieli. To była ona; a przecież to już nigdy nie będzie ona. Zabrakło blasku i śmiechu, pozostał tylko biały jak skorupka jajka futerał. Jej ciało było martwe, ale ja nie potrafiłem widzieć tylko ciała.

- Nie była niczego świadoma - wyszeptał Petroniusz. Odchrząknął. - Tylko to. Żadnych okrucieństw.

Gwałt. Miał na myśli gwałt, tortury, poniżenie, nieprzyzwoitość.

Ona nie żyła, a ten nieszczęsny głupiec usiłował mnie pocieszyć, że się nad nią nie pastwiono! Próbował mi powiedzieć, że nastąpiło to bardzo szybko. Mogłem to sobie wyobrazić! Jeden krótki, silny, gwałtowny, zadany od dołu cios zabił Sozję Kamillinę, nim się domyśliła, co ten człowiek zamierza. Było bardzo mało krwi; zmarła z szoku.

- Czy już nie żyła, kiedy przybyłeś? - spytałem. - Czy coś powiedziała?

Rutynowe pytania, Marku. Trzymaj się ściśle rutyny.

Nawet nie było sensu pytać. Petroniusz wzruszył bezradnie ramionami i odszedł.

Stałem więc tam i byłem prawie sam z Sozją, co już nigdy się nie zdarzy. Chciałem ją przytulić, ale w pobliżu było zbyt wiele osób. Po jakimś czasie przysiadłem na piętach i trwałem tak, podczas gdy Petroniusz trzymał swoich ludzi z daleka. Nie potrafiłem jej nic powiedzieć, nawet w myślach. W rzeczywistości już na nią nie patrzyłem, z obawy, że zmoże mnie ostatecznie widok krzepnącej krwi.

Siedziałem, przeżywając to, co na pewno tam zaszło. Nic więcej nie mogłem dla niej zrobić. Był to jedyny sposób, w jaki mogłem ją pocieszyć za to, że umarła tak samotnie.

Wiem, kto to był. On na pewno zdaje sobie z tego sprawę. Pewnego dnia, nieważne jak bardzo będzie się strzegł, ten człowiek odpowie mi za to.

Zaskoczyła go tam, kiedy pisał (to było oczywiste). Co pisał? Nie listę srebrnych sztab, bo tutaj ona się myliła, nie było żadnych sztab, mimo że przez ileś dni przetrząsaliśmy ten opuszczony magazyn. Jednak on na pewno pisał, ponieważ barwnik sadzowy z mokrego inkaustu poplamiał jej szatę wokół rany. Być może go znała. Kiedy go zaskoczyła, uświadomił sobie, że trzeba ją uciszyć, podniósł się więc i zadał jej błyskawiczny cios, ruchem od dołu, przez serce, raz, piórem.

Petroniusz miał rację. Tego Sozja Kamillina nie mogła się spodziewać.

Podniosłem się. Udało mi się nie zatoczyć, nie zachwiać.

- Jej ojciec...

- Ja im powiem - oświadczył Petroniusz bezbarwnym głosem. Tak nienawidził tego obowiązku. - Idź do domu. Ja powiadomię rodzinę. Marku, po prostu wracaj do domu!

Ostatecznie zdecydowałem, że zostawię to jemu. Odchodząc, czułem na sobie jego wzrok. Chciał mi pomóc. I wiedział, że tego nie da się zrobić.



XIX

Poszedłem na pogrzeb. W mojej pracy należy to do tradycji. Petroniusz mi towarzyszył.

Zgodnie z obyczajem cała ceremonia odbyła się na otwartym powietrzu. Kondukt wyruszył z domu Publiusza Kamila. Sozja spoczywała na marach, z kwiatami we włosach. Spopielenie zwłok miało nastąpić poza miastem, w

poblizu rodzinnego grobowca przy via Appia. Nie wynajęto zawodowych żałobników. Śmiertelne łoże dźwigali młodzi ludzie, przyjaciele rodziny.

Wiał silny wiatr. Nieśli ją przez Rzym w świetle dnia, przy akompaniamencie fletów i lamentów, paraliżując ruch uliczny. Przy stosie, ułożonym z całych nieprzyciętych gałęzi niczym ołtarz, po którego bokach tkwiły ciemne liście, jeden z młodych żałobników niosących ciało potknął się. Bez zastanowienia zrobiłem krok do przodu, żeby mu pomóc. Mary były tak lekkie, że niemal wyfrunęły z naszych rąk, kiedy gwałtownie unieśliśmy je do góry.

Mowa jej ojca była krótka, niemal zwyczajna. Wydawało się to stosowne. Jej życie też takie było. To, co tego dnia powiedział Publiusz Kamil, było proste i w sposób prosty prawdziwe.

- Sozja to moja jedyna córka. Była sprawiedliwa, nabożna i posłuszna. Wyrwano ją z tego świata, zanim poznała, czym jest miłość męża czy dziecka. O bogowie, przyjmijcie z czułością jej młodą duszę...

Chwycił jedną z pochodni i z odwróconą głową zapalił stos.

- Sozjo Kamillino, bądź pozdrowiona i żegnaj!

Opuściła nas otoczona kwiatami, różnymi świecidełkami, pachnącymi olejkami. Ludzie płakali. Byłem jednym z nich. Buchnęły wonne płomienie. Przez krótką chwilę widziałem ją poprzez dym. A potem zniknęła.

Kilkadziesiąt już razy przeżywaliśmy wspólnie z Petroniuszem ten rytuał pożegnania osoby zmarłej. Nigdy go nie lubiliśmy. Kiedy odsunęliśmy się na bok, wściekle pomrukiwałem.

- To nieprzyzwoite. Przypomnij mi raz jeszcze, co ja tutaj robię!

Odpowiadał cicho, pouczając mnie, żeby mnie jakoś uspokoić.

- To przecież oficjalne wyrażanie współczucia. A do tego istnieje pewna rozpaczliwa nadzieja, że szalenie, którego szukamy, też się pojawi. Zafascynowany własną zbrodnią, może obnosić się ze swoją maską szaleńca przy grobowcu...

Zadrwiłem, zachowując żałobny wyraz twarzy.

- Wystawia się na widok publiczny w tym szczególnym miejscu, które, jak sam dobrze wie, naszpikowane jest agentami gotowymi pognać za każdym niezaproszonym gościem o dziwnym wyrazie twarzy...

Petroniusz położył mi rękę na ramieniu.

- Może zauważymy u któregoś członka rodziny przejawy nastroju, jaki nie pasuje do tej chwili.

- Rodzinę możemy wykluczyć - oświadczyłem.

Petroniusz uniósł brew. Przedstawił tę delikatną sprawę pretorowi... niech urzędnik wysokiej rangi wsadzi swoją elegancko obutą stopę w to łajno. Musiał założyć, że ja będę zbyt zrozpaczony, by cokolwiek rozważać. A jednak, owszem, rozważałem.

- Kobiety za słabe, dzieci za niskie. Decymus Werus ma pięćdziesięciu członków świty cesarskiej - których słowo nic dla mnie nie znaczy - i tego starego niewolnika znad Morza Czarnego, który czyści mu buty - dla mnie jest on w porządku - oni wszyscy przysięgają, że był w senacie, podczas gdy Publiusz Meto z rozwiedzionym mężem córki swojego brata omawiał

sprawy statków handlowych... co przypadkiem, mój Petroniuszu, wyklucza też tego byłego męża, zanim jeszcze w ogóle wzięliśmy go pod uwagę. - Sprawdziłem to. Wiedziałem, gdzie i kiedy byli nawet ci krewni senatora i jego brata, o których istnieniu oni sami zapomnieli.

N i e zrobiłem tylko jednego: nie spotkałem się z byłym mężem Heleny Justyny. Nawet nie spytałem, jak się nazywa. Wykluczyłem go z dwóch powodów. Ten użyteczny niewolnik znad Morza Czarnego powiedział mi, gdzie on przebywa. A poza tym mąż Heleny się rozwiódł. Napatrzyłem się już dość na małżeństwa różnych ludzi, by wiedzieć, że najlepsze, co może być dla obu stron, to zerwanie formalnego związku. Jeśli mąż Heleny zgadzał się ze mną, to najwyraźniej był człowiekiem rozsądnym.

Nie wyobrażajcie sobie, że mój wierny druh spoczął na laurach. Wkręcił się do zespołu miejscowego pretora. Stał się w tej sprawie człowiekiem niezastąpionym dla edyla zajmującego się sprawą (na szczęście nie był nim Pertynaks: podlegaliśmy teraz Okręgowi Ósmemu, dzielnicy Forum Romanum). Petroniusz osobiście prowadził przeszukanie każdego sklepika i każdej nory w Sennym Zaułku. Okazało się, że magazyn, w którym znaleziono Soję, należał do sędziwego byłego konsula, niejakiego Kapreniusza Marcela, umierającego powolną śmiercią w swojej wiejskiej posiadłości pięćdziesiąt mil na południe od Rzymu. Pretor był gotów uznać umieranie za wystarczające alibi, ale Petroniusz i tak pojechał tam dla pewności. To nie mógł być Kapreniusz Marcel. Cierpiał tak bardzo, że z trudem zniósł obecność Petroniusza obok swojego łóża.

Magazyn był pusty, kiedy do niego trafiliśmy, my jednak byliśmy przekonani, że go używano. Na dziedzińcu zauważyliśmy świeże ślady kół wozów. Ktoś, kto wiedział o chorobie właściciela, mógł się cichaczem tam wprowadzić. Potem jednak najwyraźniej się wyprowadził.

Na pogrzebie nie doszło do żadnych incydentów. Nie wpadli nam w oko żadni złoczyńcy. To Petroniusz i ja nie czuliśmy się tam na miejscu.

Nadszedł moment, kiedy najbliższa rodzina czeka, by zebrać prochy; czas, by inni żałobnicy się oddalili. Przed odejściem zmusiłem się jednak i podszedłem do pogrążonego w smutku ojca.

- Publiusz Kamilu Metonie.

Widziałem go pierwszy raz od tamtego dnia z Pertynaksem. Należał do ludzi, których łatwo się zapomina: gładka, owalna, niewiele wyrażająca twarz, nieobecne spojrzenie, w którym tliła się odrobina uzasadnionej pogardy. Właściwie tylko ten jeden raz widziałem go w towarzystwie brata. Publiusz ze swoją łysiną wydawał się starszy, ale dzisiaj, jako prowadzący ceremonię, głowę miał przykrytą i kiedy się odwrócił, próbując mnie ominąć, dostrzegłem wyrazistość jego profilu, której brakowało Decymusowi. Kiedy się oddalał, pozostawił za sobą delikatną woń mirry, a na jego palcu zauważyłem złoty pierścień z wkłęsło rzeźbionym dużym szmaragdem, co było świadectwem pewnej starokawalerskiej próżności, którą wcześniej przegapiłem. Zauważywszy te przecież nieistotne szczegóły, poczułem się jeszcze bardziej niezręcznie.

- Panie, spodziewam się, że to ostatnia rzecz, jaką życzysz sobie ode mnie usłyszeć... - Po jego mi nie widziałem, że mam rację. - ...Panie,

obiecuję - tak jak jej obiecałem - że znajdę zabójcę twego dziecka. Obojętnie ile mnie to będzie kosztować i jak długo po trwa.

Wpatrywał się we mnie jak oniemiały. Julia Justa, żona jego brata, dotknęła lekko mojego ramienia. Patrzyła na mnie z irytacją, ale ja się nie dawałem zniechęcić. Publiusz był człowiekiem, u którego ból żałoby wywołał na twarzy łagodny uśmiech, jednak łagodność ta okrywała jedynie twardość, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem.

- Zrobiłeś już dość dla mojej córki! - wyrzucił z siebie. - Zabieraj się stąd! Zostaw nas wszystkich w spokoju! - Jego urywany głos wzniósł się niemal do krzyku.

Zabrzmiało to fałszywie. Prawdą było, gwiazda poranna zgasła dla nas obu, a ja jeszcze go zadreślałem. On zaś nie znał nikogo, kogo mógłby winić; winił więc mnie.

Ale przecież nie to było powodem. Usłyszałem fałszywą nutę, ponieważ Publiusz Kamil Meto wyglądał jak ktoś, kogo ból zmusza do stanowczej samokontroli; jak człowiek, który się załamał, ale jeszcze nie teraz; załamał się, ale nie w miejscu publicznym; nie dzisiaj, nie tutaj. Poprzednio był taki przekonujący... ta strata nim wstrząsnęła.

Oplakiwałem jego tryskającą energią córkę tak samo szczerze jak on. Ze względu na nią bardzo mu współczułem. Ze względu na nią zwróciłem się do niego z pełną szczerością.

- Panie, dzielimy ze sobą...

- Niczego nie dzielimy, Falko! - rzucił i odszedł. Przyglądałem się, jak błada małżonka senatora, która wzięła na siebie obowiązek przeprowadzenia swojego szwagra przez ten straszny dzień, wiezie go ku stosowi pogrzebowemu. Służba zbierała mniejsze dzieci. Niewolnicy rodziny tulili się do siebie. Zbierające się do odejścia ważne osobistości ścisnęły rękę senatora i odprowadzały poważnymi spojrzeniami jego brata.

Wiedziałem, że uda mi się porozumieć z senatorem. Jego młodszy brat Publiusz mi się wymykał, z Decymusem jednak mogłem porozmawiać zawsze. Czekałem.

Ci dwaj bracia dzielili z Sozją życie; razem ją żegnali. Teraz ceremonię prowadził Decymus. Publiusz jedynie patrzył na te szczątki kości na stosie. Podczas gdy ojciec Sozji stał z boku, samotnie, jej stryj przygotowywał się, by polać winem żarzące się węgle. Był to sygnał, na który inni żałobnicy zaczęli się rozchodzić. Decymus czekał, aż najbliższa rodzina zostanie sama.

Jak to czynią ludzie w żałobie, którzy z uprzejmości pozwalają obcym na składanie kondolencji, Decymus podszedł do Petroniusza Longusa w biurokratycznym geście przyzwoitości. Trzy kroki od nas odezwał się ciężkim głosem. Jego znużenie było moim znużeniem.

- Dowódcu, dzięki za przyjście. Dydiuszu Falkonie! Powiedz mi, czy będziesz zajmować się dalej tą sprawą? - Żadnych wyrzutów. Jednego słowa o tym, że zerwałem umowę. Nie miałem wyjścia.

- Będę! - odpowiedziałem mu z prawdziwą goryczą. - Ludzie sędziego utknęli w miejscu. W magazynach nic nie było. Nikt nie widział tego człowieka, nie ma niczego, co by pozwoliło ustalić, do kogo należy pióro. Ale srebrne świnki ostatecznie nas do niego doprowadzą.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał senator, marszcząc brwi.

Poczułem, jak Petroniusz przestępuje z nogi na nogę. Tego nie przedyskutowaliśmy. Aż do tej chwili nie miałem pewności. Teraz jednak Sozja odeszła. Rozjaśniło mi się głowie. Istniał jeden oczywisty kierunek postępowania. I nic już nie ma dla mnie w Rzymie. Ani miejsca, ani przyjemności, ani spokoju.

- Panie, Rzym jest za duży. Tymczasem nasza nić zaczyna się w jednej niewielkiej społeczności, w prowincji znajdującej się pod ścisłą kontrolą armii. Ukrywanie w takim miejscu jej węzłków musi być o wiele trudniejsze. Byliśmy niemądrzy. Powinienem był wcześniej tam pojechać.

Petroniusz, który tak bardzo nienawidził tamtych stron, nie potrafił już dłużej zachować milczenia.

- Och, Marku! Wielcy bogowie...

- Brytania - potwierdziłem.

Brytania zimą. Nastął już październik; będę miał szczęście, jeśli uda mi się tam dotrzeć, nim zamkną szlaki żeglugowe. Brytania zimą. Byłem tam, zatem wiedziałem, co to za okropność. Gęste opary, które zlepiają ci włosy jak rybi klej; przeraźliwe zimno, które od razu poraża ci barki i kolana; mgła od morza i śnieżne zamiecie na wzgórzach; okropne mroczne miesiące, kiedy trudno odróżnić świt od wieczoru.

Nieważne. Nic z tego nie było dla mnie ważne. Im bardziej prymitywnie, tym lepiej. Teraz nic już nie było ważne.





CZEŚĆ II

BRYTANIA

JESIEŃ - ZIMA A.D. 70 - 71



XX

Jeśli kiedyś przyjdzie wam do głowy, by się wybrać do Brytanii, zdecydowanie odradzam.

Jeśli nie uda wam się tego uniknąć, odkryjecie, że ta prowincja znajduje się poza zasięgiem cywilizacji, w królestwie Wiatru Północnego. Jeśli ten kawałek skóry z wyrysowaną mapą wystrzepi się na brzegach, to już na nic się wam nie przyda, co według mnie może tylko wyjść na dobre. Poczciwy Boreasz nadyma tłuste policzki, ziejąc z północy na południe, najpewniej dlatego, że tak gwałtownie wyrywa się z Brytanii.

Podróżowałem jako wysłannik Kamila Werusa, mający eskortować do domu jego córkę Helenę Justynę po odwiedzinach u ciotki. Zdawało mi się, że senator cieplejszym uczuciem darzy swoją młodszą siostrę, tę brytańską ciotkę. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, szepnął do mnie:

- Falko, towarzysz mojej córce, jeśli ona się na to zgodzi, jednak wszelkie szczegóły omawiaj już z nią samą.

Ze sposobu, w jaki to powiedział, wywnioskowałem, że ta młoda kobieta lubi sama decydować o sobie. Mówił to tak niepewnie, że spytałem go wprost:

- Czy ona może zlekceważyć pańską radę? Czy córka jest trudną osobą?

- Ma za sobą nieudane małżeństwo! - wykrzyknął jej ojciec, jakby to miało wszystko tłumaczyć.

- Przykro mi to słyszeć, panie. - Byłem tak owładnięty własnym bólem po śmierci Sozji, że nie angażowałem się w problemy innych, choć możliwe też, że własne nieszczęście wywoływało u mnie więcej współczucia dla innych.

- Rozwód był najlepszym wyjściem - oświadczył krótko, jasno dając mi do zrozumienia, że prywatnego życia swojej szlachetnej córki nie omawia z osobami mojego pokroju.

Mylilem się, kochał Helenę, ale wyraźnie się jej lękał ... choć nawet w tamtych czasach, zanim zaczęło to dotyczyć mnie samego, uważałem, że posiadanie córki może załamać każdego mężczyznę. W chwili, w której natarczywa akuszerka włoży ci w dłonie pomarszczoną czerwoną drobinę i zażąda, byś nadał jej imię, wpadasz w niemalejący przez całe życie

popłoch...

Dawałem sobie już wcześniej radę z upartymi niewiastami. Założyłem więc, że wystarczy kilka mocnych słów z mojej strony, żeby tę Helenę ustawić.

Udałem się do Brytanii lądem. Nawet osobie, której nie cierpiałem, czyli sobie, nie kazałbym odbyć całej tej podróży morzem, pomiędzy Słupami Herkulesa, potem przez rozszalały Atlantyk, wokół Hispania Lusitania i Hispania Tarraconensis. Bezpośrednia przeprawa z Galii jest już wystarczająco paskudna.

Zrobiono wszystko, by ułatwić mi podróż w tamtą stronę, dostałem dużo gotówki i specjalną przepustkę. Pieniądze wydałem na zapinki do płaszcza i sos przyprawiony gałką muszkatolową. Przepustka opatrzona była podpisem tak bardzo przypominającym cesarski, że na jej widok zaspane pieski na posterunkach granicznych stawały prosząco na dwóch łapkach. Moim głównym zmartwieniem było ryzyko utraty dachu nad głową, okazało się jednak, że stosowna opłata zagwarantuje zatrzymanie mieszkania na czas mojej misji. Ten nadęty grecki sekretarz senatora załatwi to ze Smaraktusem... szkoda, że nie mogłem słyszeć ich rozmowy.

Pociągając nosem, matka oznajmiła, że powinna była zatrzymać resztki tacy, którą przywiozłem jej w prezencie z pierwszego pobytu w Brytanii. Nie spodziewała się, że tam wrócę. Przedmiot ten był wykonany z szarego łupka ilastego, pochodzącego ze środkowego wybrzeża. Najwyraźniej ten kamień wymaga ciągłego smarowania oliwą. Nie wiedziałem o tym, więc nic matce nie powiedziałem i taca się rozsypała. Mama była zdania, że powinienem odnaleźć handlarza, który mi ją sprzedał, i odebrać pieniądze.

Petroniusz pożyczył mi parę skarpet stanowiących część jego dawnego brytyjskiego wyposażenia. On nigdy niczego nie wyrzuca. Moje własne cisnąłem do studni w Galii. Gdybym wiedział, że czeka mnie ta nieszczęsna wyprawa, może sam bym skoczył za nimi.

W drodze miałem sporo czasu na przemyślenia. Myślenie nie zaprowadziło mnie jednak ani o krok dalej. Wielu ludzi chciałoby obalić Wespazjana. Przez ostatnie dwa lata panowała moda na zmianę cesarzy. Po tym, jak głusi przedstawiciele wyższych sfer przestali cenić otepiałe koncerty Nerona, ten pchnął się sztyletem i w rezultacie mieliśmy ogólną bijatykę. Najpierw Galba, zramolały despota z Hiszpanii. Potem Othon, który był ciotą Nerona i dlatego uważał się za jego prawowitego sukcesora. Po nim był Witeliusz, brutalny obżartuch, który dostał tę posadę, jak i ją stracił, za sprawą niewzruszonego opilstwa. Zrewanżowano mu się za to, nazywając od jego imienia puree z groszku.

Wszystko to w dwanaście miesięcy. Wydawało się, jakby każdy jako tako wykształcony gość z ujmującym uśmiechem potrafił przekonać imperium, że purpura to jego kolor. Wtedy właśnie, kiedy Rzym popadł już w stan chaosu, pojawił się ów zręczny stary wódz Wespazjan, który miał tę wielką zaletę, że nikt tak naprawdę nic o nim nie wiedział, oraz bezcennego sojusznika we własnym synu, Tytusie, który pochwycił tę szansę politycznej chwały niczym terier dopadający szczura...

Decymus Kamil Werus uważał, że przeciwnicy Wespazjana muszą

poczekać, aż Tytus wróci z Judei. Sam Wespazjan zajęty był tłumieniem żydowskiej rebelii, kiedy sięgnął po władzę. Wrócił do Rzymu jako cesarz, zostawiając na miejscu Tytusa, żeby dokończył dzieła z typowym dla siebie rozmachem. Usuwając się, Wespazjan umożliwiłby jedynie swojemu zmyślnemu starszemu synowi wcześniejsze przejście imperium. Młodszy syn, Domicjan, to była kategoria lekka, natomiast Wespazjana i Tytusa należało zmieść z grędy jednocześnie, w przeciwnym bowiem razie żaden spisek przeciwko nim nie miał szansy powodzenia. To oznaczało, że mam na rozwiązanie zagadki akurat tyle czasu, ile Tytusowi zajmie zdobycie Jerozolimy, choć z tego, co powiedział mi Festus, nim rozstał się z życiem, Tytus przetoczy się przez Jeruzalem w dwa machnięcia ogonem centaury. (Tytus dowodził XV Legionem, w którym służył mój brat.)

Tak to więc wyglądało. Każdy o odpowiednim statusie i znaczeniu, kto wyobrażał sobie, że może być cesarzem, mógł wytrząsnąć nową dynastię z drzewka oliwnego. Senat składał się z sześciuset mężczyzn. To mógł być każdy z nich.

Nie sądziłem, by był nim Kamil Werus. Czy dlatego, że go znałem? Jako mój klient ten patałach wydawał się bardziej ludzki od pozostałych (choć już nieraz dałem się nabrać). Nawet jeśli on sam był godny zaufania, pozostawało pięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu innych.

Był to ktoś, kto znał Brytanię. Albo znał kogoś, kto ją znał. Minęło ćwierć wieku od rzymskiego najazdu na tę prowincję (i przypadkiem od chwili, kiedy Wespazjan pierwszy raz okrył się sławą). W tym czasie niezliczone rzesze dzielnych ludzi maszerowały na północ, by spełnić swój obowiązek, wielu spośród nich zarobiło na swoją reputację i właśnie teraz mogła rozpierać ich ambicja. Sam Tytus był dość typowym przykładem. Pamiętam go stamtąd jako młodego trybuna, który dowodził posiłkami sprowadzonymi znanąd Renu, by pomóc w odbudowie prowincji po powstaniu. Brytania posłużyła jako sprawdzian społecznej gotowości: nikt nie lubił tamtych miejsc, ale nie było porządnej rzymskiej rodziny, której syn, bratanek czy siostrzeniec nie pełniłby służby pośród mokradła na krańcu świata. Każdy z nich mógł być moim celem.

Mógł to być ktoś, kto służył kiedyś w północnej Galii.

Albo ktoś z floty pływającej po kanale.

Mógł to być każdy, kto miał jakiś statek. Jakiś kupiec dostarczający zboże do wojskowych baz nad Renem. Importer futer czy psów myśliwskich. Eksporter ceramiki i wina. Albo, znając kupców, całe to ich śliskie konsorcjum.

Może sam namiestnik prowincji brytańskiej.

A nawet jego małżonka.

Mógł to być również człowiek, którego miałem spotkać po przyjeździe, Gajusz Flawiusz Hilaris, szwagier mojego senatora, który był pełnomocnikiem cesarskim odpowiedzialnym za finanse Brytanii. Dwadzieścia lat wcześniej zdecydował się tam zamieszkać - decyzja ta była tak dziwaczna, że wręcz sugerowała, iż Hilaris musi przed czymś uciekać (chyba że był kompletnie stuknięty...).

Nim dotarłem nad kanał, przemyślałem tyle szalonych możliwości, że aż

kręciło mi się w głowie. Stałem na skale najdalej wysuniętego cypla Galii, patrząc, jak białe żagle suną z wiatrem nad wzburzoną wodą, i poczułem się jeszcze gorzej. Znalazłszy się na pokładzie, odłożyłem swoje problemy na bok i próbowałem nie poddać się chorobie morskiej. Nie mam pojęcia, po co się wysilałem; zawsze choruję.

Pięć razy próbowaliśmy wypłynąć z portu w Gesoriacum, a gdy w końcu znaleźliśmy się na otwartych wodach, moim jedynym pragnieniem było zawrócić.



XXI

Kierowałem się na zachód, wobec czego w przepustce miałem wypisany wschód. Po siedmiu latach spędzonych w wojsku wcale mnie to nie zaskoczyło.

Planowałem leniwą podróż, z kilkudniowym pobytem w Londinium, żeby się zaaklimatyzować. Kapitan portu w Gesoriacum musiał jakoś zawiadomić garnizon w Dubris natychmiast po tym, jak mnie zauważył. W Londinium wiedziano o moim przybyciu, zanim jeszcze opuściłem Galię. Na nabrzeżu w Rutupiae specjalny wysłannik przytupywał nogą w ocieplanym futrem bucie, gotowy wybawić mnie z kłopotów, gdybym przypadkiem wypadł z łodzi.

Wysłannik pełnomocnika cesarskiego był centurionem, który wykonywał zadanie specjalne skwapliwie, z napuszoną miną, typową dla takich bohaterów. Przedstawił się, ale natychmiast szczęśliwie zapomniałem imię tego nieprzyjaznego faceta o tłustej twarzy i prostych włosach. Należał do XX Legionu - Valeria Victrix, złożonego z samych nieciekawych osobników, okrytych chwałą pogromców zbuntowanej królowej Icenów Budiki. Obecnie ich kwatera główna wychodziła na przygraniczne góry, pośród których znajdowało się Viroconium.

Udało mi się wycisnąć z niego jeden tylko pożyteczny szczegół: mimo wysiłków kolejnych namiestników linia graniczna ciągle znajdowała się w tym samym miejscu - na starej, biegnącej skosem drodze z Isca Dumnoniorum do Lindum; za nią większość wyspy nadal była poza rzymską kontrolą. Pamiętałem, że kopalnie srebra usytuowane były po niewłaściwej stronie tej linii.

W Brytanii nie zaszły żadne istotne zmiany. Cywilizacja pokrywała tę prowincję nalotem cieniutkim jak warstewka wosku na naczyniu z maścią aptekarza, którą bardzo łatwo przebić palcem. Wespazjan wysyłał prawników i uczonych, żeby przemienić członków plemion w ludzi, których można by bezpiecznie zaprosić na ucztę. Ci prawnicy i uczeni musieli być dobrzy w swoim fachu. Rutupiae nosiło wszelkie oznaki ważnego portu imperium, ale ledwie wyjechaliśmy na drogę dostawczą na południe od rzeki Tamesis, od razu pojawiła się ta dawna nietknięta sceneria: kurne chaty przycupnięte przy prostokątnych poletkach, smętne bydło ciągnące ospale pod ciemnym złowieszczym niebem. Wydawało się, że można pokonywać całymi dniami te wyżyny i przedzierać się przez lasy, nim

człowiek natrafi na ołtarz poświęcony jakiemuś bogu, którego imię dałoby się rozpoznać.

Kiedy ostatni raz widziałem Londinium, było cuchnącym wielkim polem popiołów, po którym turlały się czaszki zmasakrowanych osadników niczym kamienie w zabarwionym na czerwono strumieniu. Teraz był to nowy ośrodek administracji. Wjechaliśmy do niego od południa. Napotkaliśmy w doskonałym stanie most, schludne nabrzeża, magazyny i warsztaty, tawerny i łaźnie; wszystko to miało nie więcej niż dziesięć lat. Czulem zapachy zarówno znajome, jak i egzotyczne. Ledwie się rozejrzawszy, usłyszałem sześć języków. Minęliśmy pusty plac, na którym miał stanąć pałac namiestnika, i później drugi, nie mniejszy, przeznaczony na forum. Wszędzie wznosiły się budynki urzędów; w jednym z nich - ruchliwym kompleksie finansowym z portykami otaczającymi dziedziniec i sześćdziesięcioma pomieszczeniami do pracy - mieszkał wraz z rodziną pełnomocnik cesarski zarządzający finansami prowincji.

Prywatna część kompleksu miała przygnębiający brytański charakter: małe dziedzińce, ciasne pokoje, ciemne atrium, mroczne korytarze, w których panował zaduch. Ludzie o bladych twarzach i bladych nogach tkwili tutaj pośród wystarczającej ilości aretyńskiej ceramiki i fenickiego szkła, by ich życie było znośne. Malowidła ściennie utrzymane w kolorach rudości i ochry obramowane były bordiurami z bocianami i winnymi liśćmi, wykonanymi przez mistrza sztukaterii, który zapewne od dwudziestu lat nie widział bociana ani kiści winogron. Przybyłem tam w połowie października, a już poczułem podmuch ciepła z hypokaustum, kiedy tylko przekroczyłem próg.

Flawiusz Hilaris wyszedł ze swojego gabinetu, żeby osobiście mnie powitać.

- Dydiusz Falko? Witamy w Brytanii! Jak podróż? Niezłe tempo! Wejdz, porozmawiamy, a w tym czasie wniosą twój bagaż.

Był ujmującym, energicznym mężczyzną, którego nie mogłem nie podziwiać, skoro przetrwał w administracji niemal trzydzieści lat. Miał krótko przyszczyżone, brązowe włosy, które uwydatniały zgrabny kształt głowy, oraz szczupłe, silne dłonie z przyciętymi prosto czystymi paznokciami. Nosił szeroki złoty pierścień, atrybut stanu ekwickiego. Jako republikanin gardziłem tą warstwą, niemniej od początku uważałem, że ten akurat człowiek jest kimś znakomitym. Jedyne jego błęd polegał na tym, że wykonywał robotę bardzo starannie i przy okazji dostrzegał jej zabawną stronę. Ludzie go lubili, ale w obiegowej opinii w żadnym razie nie był to objaw inteligencji.

Pokój, który urzędnicy od robót publicznych wyznaczyli na jego prywatny gabinet, w rzeczywistości był przez Hilarisa używany jako dodatkowe biuro. Oprócz wygniecionego już łoża, służącego do czytania, miał tam też stół i ławy wykorzystywane do spotkań w szerszym gronie. Na ścianach wisiało sporo lichtarzy, wszystkie płonące, bo pora była późna. Jego sekretarze zostawili go już samego, nad kolumnami liczb i pogrążonego we własnych myślach.

Nalał mi wina. Uprzejmy gest, pomyślałem, mający sprawić, że poczuje się swobodnie. Po czym nagle uświadomiłem sobie, że może chodzić o

osłabienie mojej czujności!

Przepytał mnie z wyczerpującą dokładnością. W porównaniu z tym Hilarisem mój klient Kamil Werus to ciepłe kluchy. Już zdążyłem usunąć pełnomocnika z mojej listy podejrzanych (przypadek zbyt oczywisty), gdy tymczasem on całkiem celowo włączył do rozmowy cesarza, żeby było jasne, po której stronie są jego sympatie.

- Nie ma lepszego człowieka dla imperium... choć dla Rzymu to zupełnie coś nowego. Jego ojciec był średniej rangi urzędnikiem finansów, a teraz Wespazjan jest cesarzem. Mój ojciec był urzędnikiem finansów i ja też jestem.

Poczułem do niego sympatię.

- Niezupełnie, panie. Jesteś najważniejszym cywilem w prestiżowej nowej prowincji i cesarz widzi w tobie przyjaciela. W Brytanii jedynie namiestnik jest od ciebie ważniejszy. Najwyższym stanowiskiem, jakie uzyskał twój ojciec, było stanowisko poborcy podatkowego trzeciej klasy w pewnym zapyziałym miasteczku Dalmacji... - Wiedziałem to, ponieważ pogrzebałem w informacjach na jego temat, zanim tutaj przybyłem. Był tego w pełni świadomy. Uśmiechnął się. Ja też.

- A twój ojciec był licytатorem... - odwzajemnił mi się. Mój ojciec zniknął już tak dawno, że niewielu ludzi o tym wiedziało.

- Może nadal jest - oświadczyłem ponuro. Nie skomentował. Uprzejmy człowiek, choć nim pojawiłem się w jego prowincji, upewnił się, że wie o mnie wszystko, co trzeba.

- Jeśli chodzi o ciebie samego, Falko, dwa lata służby wojskowej, potem pięć więcej w charakterze, jak to zwą w legionach, zwiadowcy... takiego wojskowego agenta, którego tutejsze plemiona wieszają jako szpiega...

- Muszą najpierw schwytać!

- Czego najwyraźniej nie udało im się dokonać... Zatem zwolniono cię z przyczyn zdrowotnych, szybko doszedłeś do siebie - tak szybko, że chyba musiałeś trafić w ręce dobrego medyka - po czym podjąłeś obecną pracę. Moje źródła utrzymują, że masz kiepską reputację, choć byli klienci wypowiadają się o tobie dobrze. Niektóre z kobiet - zauważył z poważną miną, spuszczać wzrok - mówią to z dziwnym wyrazem twarzy!

Pominałem to milczeniem.

Potem rzekł coś, co od samego początku rozmowy wisiało w powietrzu.

- Ty i ja - uśmiechnął się - służyliśmy w tym samym legionie, Dydiuszu Falkonie.

Cóż, ja to wiedziałem. On musiał to sobie uświadomić.

Dwadzieścia lat różnicy. Ten sam legion, ta sama prowincja. On służył, kiedy II Legion Augusta był elitarnym oddziałem zdobywców Brytanii. Wespazjan był jego dowódcą... dlatego się znają. Ja służyłem w tym regionie w Isca Dumnoniorum, w czasie gdy namiestnik Brytanii, Swetoniusz Paulinus, postanowił najechać Mone - wyspę druidów - żeby raz na zawsze zniszczyć to szcurze gniazdo rebeliantów. Paulinus zostawił nas w Isca Dumnoniorum, zabezpieczając sobie tyły, ale w charakterze doradcy towarzyszył mu nasz dowódca. Utknęliśmy więc z niekompetentnym komendantem obozu legionu, niejakim Poeniuszem Postumem, który powstanie królowej Budiki nazywał lokalną ruchawką.

Kiedy dotarły wieści od namiestnika o tym, że Icenowie przetoczyli się przez całe południe, topiąc je we krwi, ten półgłówek, albo z przerażenia, albo nadal nie pojmując grozy sytuacji, nie ruszył z odsieczą. Ja służyłem w naszym legionie właśnie wtedy, kiedy okrył się hańbą.

- Nie było w tym twojej winy! - zauważył łagodnie mój nowy znajomy, jakby czytając mi w myślach.

Milczałem.

Kiedy już po pokonaniu buntowników prawda wyszła na jaw, komendant obozu przebił się mieczem. Dopilnowaliśmy tego. Przedtem jednak z jego winy nie ruszyliśmy z pomocą dwudziestu tysiącom naszych towarzyszy, którzy w otwartym terenie, bez dostaw, bez możliwości odwrotu, stanęli naprzeciwko dwustu tysięcy wrzeszczących dziko Celtów. Zmasakrowano osiemdziesiąt tysięcy cywilów, podczas gdy my w obozie czyściliśmy swoje wierzchowce. Mogliśmy stracić wszystkie cztery legiony. Mogliśmy stracić namiestnika prowincji. Mogliśmy utracić samą prowincję.

Gdyby w rezultacie jakiegoś buntu tutejszych plemion, na dodatek wznieconego przez kobietę, padła rzymska prowincja, mogłoby to zmieść całe imperium. Mogłoby to oznaczać koniec Rzymu. Taką właśnie „lokalną ruchawką” było powstanie pod wodzą Budiki.

Potem zobaczyliśmy dzieło tych barbarzyńców. W Camulodunum splecione ciała mieszkańców stopiły się ze sobą podczas trwającego cztery dni piekła pożaru świątyni Klaudiusza. Dusiliśmy się od czarnego pyłu w Verulamium i Londinium. Zdejmowaliśmy osadników ukrzyżowanych obok stojących samotnie wiejskich domów; zasypywaliśmy ziemią spalone szkielety ich uduszonych niewolników. Wstrząśnięci i przerażeni patrzyliśmy na zmasakrowane ciała kobiet, zwisające z drzew pogańskich gajów niczym szkarłatne łachmany. Miałem wtedy dwadzieścia lat.

Dlatego właśnie, kiedy zdarzyła się taka okazja, odszedłem z wojska. Załatwienie tego zajęło mi pięć lat, ale nigdy nie miałem wątpliwości, że postępuję właściwie. Pracowałem potem dla siebie. Nigdy więcej nie uzależniłbym swojego losu od rozkazów człowieka tak karygodnie nieudolnego. Nigdy więcej nie będę częścią systemu, który podobnych głupców czyni dowódcami.

Flawiusz Hilaris obserwował mnie, kiedy trwałem w zamyśleniu.

- Nikt z nas tak do końca nie dojdzie do siebie - przyznał ochryple przez ściśnięte gardło. Twarz mu spochmurniała. W czasie, kiedy namiestnik Paulinus odstraszał górskie plemiona, ten człowiek nadzorował wydobycie miedzi i złota. Teraz odpowiadał za finanse. Na drabinie administracyjnej był drugim człowiekiem po namiestniku. Jednak dziesięć lat wcześniej, w czasach powstania, Gajusz Flawiusz Hilaris zajmował o wiele niższe stanowisko; był odpowiedzialny tylko za kopalnie w Brytanii.

To mógł być on! Mój zmęczony umysł powtarzał mi w kółko, że ten inteligentny mężczyzna ze szczerym uśmiechem może być złoczyńcą, w którego poszukiwaniu tu przybyłem. Znał się na kopalniach i potrafiłby sfalszować stosowne dokumenty. Nikt w całym cesarstwie nie był tak doskonale ulokowany.

- Na pewno jesteś wyczerpany! - rzucił cicho. Byłem wykończony. - Nie jadłeś obiadu. Każę przynieść ci posiłek do pokoju, wpierv jednak skorzystaj z łaźni... Kiedy już zjesz, chcę cię przedstawić mojej żonie...

To były moje pierwsze kontakty z taktowną warstwą średnią. Do tej pory nie miałem z nimi do czynienia z tego prostego powodu, że nie wplątywali się w żadne oszustwa; zatem nie narażając się nikomu, nie musieli zatrudniać kogoś takiego jak ja. Przybyłem tutaj, spodziewając się, że zostanę potraktowany jak sługa. Ulokowano mnie jednak incognito w prywatnych pomieszczeniach pełnomocnika cesarskiego, powitano jak gościa.

Na szczęście zapakowałem komplet przyzwoitej odzieży.



XXII

Moja kwatery okazała się niepokojąco przytulna. Miałem przestronny pokój z łóżem tonącym w kolorowych narzutach. Migotały lampki oliwne. Z przewodów w ścianach sączyło się ciepło. Były też siedziska z niskimi kwadratowymi podnóżkami, poduszki, kobierce, materiały piśmienne do mojego osobistego użytku, zauważyłem też późne jabłka w glazurowanej ceramicznej misie.

Wytworny niewolnik zaprowadził mnie do pomieszczeń łaźni, inny zmył ze mnie brud, po czym wróciłem do swego pokoju, gdzie już pulchny chłopiec siłował się ze srebrną pokrywą półmiska, pod którą kryła się dziwna i błyszcząca szynka. Rzuciłem się na jedzenie, skoro nadarzała się taka okazja. Chłopiec został, żeby mnie obsługiwać; widać było, że robię na nim wrażenie. Puściłem do niego oko... po czym szybko odwróciłem wzrok z obawy, że mógł mnie źle zrozumieć.

Z szacunku dla gospodarza uczesałem się. Potem wyciągnąłem najlepszą tunikę, nieco pożółkłą, która - jak twierdził handlarz - przede mną miała tylko jednego właściciela. (Matka mówi, że bym zawsze pytał, na co poprzedni właściciel umarł, ale jeśli na odzieży nie ma widocznych plam krwi, to nie pytam. Bo jaki kupiec przyzna, że twój poprzednik miał chorą skórę?)

Rozkładając bagaże, w zamyśleniu wysysałem resztki szynki, które utkwily mi między zębami. Zrobiono to bardzo zrećnie, ale i tak zauważyłem, że w czasie gdy rozmawiałem z Hilarisem w gabinecie, przeszukano moje rzeczy.

Hilaris, już bez pasa, ułożył się w pozycji pólężącej w ciepłym pokoju, w którym skupiało się życie rodzinne. Czytał dla przyjemności i dlatego opuścił swój gabinet i dołączył do małżonki. Zobaczyłem szczupłą, zwyczajną kobietę w wytwornej szkarłatnej szacie, w której najwyraźniej czuła się odrobinę nieswojo; na rękach trzymała śpiące niemowlę. Dwulub trzyletnia dziewczynka ułożyła się na kolanach młodszej kobiety w znacznie ciemniejszym stroju, której przez przeoczenie nie przedstawiono mi od razu.

Flawiusz Hilaris zerwał się ochoczo.

- Dydiusz Falko... Elia Kamilla, moja żona - powiedział. Ta w

szkarłacie. Nie spodziewałem się niczego szczególnego. Był oddanym swojej profesji długoletnim dyplomata: na pewno ożenił się z porządną, niezbyt piękną kobietą, która potrafiła podsunąć namiestnikowi prowincji łakocie w naczyniu o właściwym kształcie oraz być uprzejma dla plemiennego króla przez stosowny czas, by potem pozbyć się wreszcie jego królewskiej łapy ze swojego kolana w taki sposób, by go nie urazić.

Nie pomyliłem się. Elia Kamilla, siostra senatora, była porządną, niezbyt piękną kobietą. Na pewno potrafiła robić to wszystko. A przecież jednocześnie miała tak żywo przemawiające oczy. Musiałby to być rzeczywiście śmiały król - lub namiestnik - który pozwoliłby sobie na poufałości z nią.

Natomiast jej mąż i owszem. Po tym, jak zerwał się, żeby mnie przedstawić, nie wrócił na własne łóżko, tylko spoczął obok żony, położył dłoń na jej udzie, jakby takie czułe gesty były czymś zupełnie naturalnym. Żadne z nich nie okazywało zażenowania. W Rzymie byłoby to nie na miejscu. Zdumiałem się.

W Rzymie Decymus Kamil ciepło wyrażał się o swojej siostrze. Była młodsza od niego, ostatnie dziecko podstarzałych rodziców, nie miała jeszcze czterdziestki; skromna, zwykła kobieta, doskonale odgrywająca swoją publiczną rolę. Obdarzyła mnie teraz tym szczególnym uśmiechem, który opanowała tak dobrze, że wyglądał bardzo prawdziwie.

- Więc to ty jesteś przyjacielem Sozji Kamilliny!

- Niezbyt dobrym - przyznałem. Po czym utopiłem swój żal i ból w tych współczujących oczach.

Porządne, niezbyt piękne kobiety mnie nie interesowały, a jednak ciotkę Sozji polubiłem od razu. To była taka łagodna dama, o jakiej marzy chłopiec, kiedy dochodzi do wniosku, że zgubiono go po urodzeniu i wychowuje się u wiecznie utyskujących obcych ludzi w obcym kraju... Och, fantazjowałem sobie beztrąsko. Ale przecież przedzierałem się przez osobisty koszmar i dopiero co zakończyłem pomyślnie długą na tysiąc czterysta mil podróż.

Przyjacielski Gajusz gestem zaprosił mnie na łóżko, ale ponieważ mieli w tym pomieszczeniu dodatkowe ogrzewanie, metalowy kosz z węglem drzewnym, przysiadłem na stołeczku obok niego i wyciągnąłem dłonie w stronę źródła ciepła. W innej sytuacji milczałbym na temat tego, co odkryłem na górze, lepiej jednak zaatakować klientów szczerością, a potem patrzeć, jak puszczają farbę.

- Rozumiem, że ktoś przejrzał moje rzeczy. Nie mogło to być miłe zajęcie. Te tuniki przebyły setki mil nieprane...

- To się już nie powtórzy! - oświadczył Hilaris z uśmiechem. - Zwykła ostrożność - dodał.

To nie były przeprosiny. Zresztą nie czułem się ani trochę zaniepokojony. Ryzyko zawodowe, które obaj braliśmy pod uwagę, kiwając do siebie uprzejmie głowami.

- Masz bransoletę, która należała do mojej kuzynki! - czyjś głos zaskoczył mnie tak, że aż podskoczyłem.

Odwróciłem się: to ta sztywna młoda kobieta z dziewczynką na kolanach. Oczy w kolorze karmelu w twarzy o kształcie gorzkiego migdała.

Złote koła w uszach, przy każdym misterny paciorek z krwawnika. Już wiedziałem; to była Helena, córka mojego senatora.

Siedziała w zaokrąglonym wyplatany foteliku, a zadowolone dziecko na zmianę wdrapywało się na jej kolana i zsuwało. (Wiedziałem, że nie ma własnych dzieci, więc ta dziewczynka musi należeć do rodziny.) Nikt nie nazwałby tej kobiety nieładną, a jednak wdziękiem nie dorównywała swojej ciotce. Miała mocno zarysowane brwi ojca, natomiast skrzywione niesmakiem usta przypominały mi jego brata Publiusza.

- Powinieneś ją zwrócić, Falko!

Niewiasty o grzmiących głosach i kiepskich manierach nigdy nie były w moim guście.

- Dzięki, ale nie sądzę.

- Ale to ja jej dałam tę bransoletkę.

- A ona dała ją mnie.

Zrozumiałem już, dlaczego senator był tak przywiązany do swojej łagodnookiej siostry, skoro sam spłodził tę złośliwą jędzę.

Kiedy napięcie między nami narastało, Elia Kamilla przerwała nam głosem, w którym pobrzmiwała nagana.

- Wydaje mi się, że do spraw dotyczących pierwszeństwa powinniśmy wszyscy podchodzić jak ludzie dorośli! Dydiuszu Falkonie, bardzo lubięś moją biedną bratanicę, prawda? - Klasyczna rzymska matrona; Elia Kamilla nie tolerowała wybuchów gniewu.

Po trzydziestu latach nagabywania przez matkę wszelkie pytania o kobiety puszczam mimo uszu.

- Bardzo przepraszam, to było niewybaczalne. - Elia Kamilla czyniła sobie wyrzuty.

Ci otwarci, inteligentni ludzie potrafili zachwiać moją pewnością siebie.

- Pani, nikt, kto znał twoją bratanicę, nie mógł jej nie lubić - wykrztusiłem.

Uśmiechnęła się smutno. Oboje wiedzieliśmy, że nie chodziło jej o to prozaiczne stwierdzenie.

Elia Kamilla zerknęła na męża, który podjął rozmowę.

- Otrzymałem rzecz jasna oficjalną informację, dlaczego przybywasz do Brytanii, chciałbym jednak usłyszeć coś o twoich własnych pobudkach - powiedział z tą swoją łatwą do przyjęcia bezpośredniością. - Czy winisz się za to, co się stało?

- Winie, panie, człowieka, który ją zabił - oświadczyłem. Widziałem, jak unosi przeredzające się brwi. - Dopóki jednak nie zostanie zidentyfikowany, biorę odpowiedzialność na siebie.

Kobieta, z którą się starłem, uwolniła się od dziewczynki i szybkim krokiem wyszła z pokoju. Była wysoka. Kiedy na nią patrzyłem, przypominałem sobie niejasno czasy, gdy podobały mi się wysokie kobiety.

Ponieważ hipokryzja popłaca, odezwałem się poważnym głosem, mającym wyrażać mój szacunek:

- Czy miałem właśnie zaszczyt obrazić szlachetną córkę mojego klienta?

Elia Kamilla wyglądała na zaniepokojoną zachowaniem młodej kobiety. Hilaris podsunął palec niemowlęciu, które chwyciło go mocno przez sen,

machnąwszy jednocześnie nóżką. Najwidoczniej miał ironiczny stosunek do napadów złości. Zamiast więc uśmiechać się zbyt szeroko, zajął się poprawianiem dziecku filcowego bucika.

- Przyjmij moje przeprosiny, Falko! To jest Helena Justyna, bratanica mojej żony. Powinienem być cię przed stawić... czy dobrze rozumiem, że zaproponowano, byś towarzyszył Helenie w drodze powrotnej do domu?

Długo spoglądałem mu w oczy, po czym odpowiedziałem niezobowiązująco, że tak mi się wydaje.



XXIII

Byłem w wystarczająco ponurym nastroju i bez starcia z tą sekutnicą Heleną Justyną. Czekala ją długa wędrówka do domu przez ziemie barbarzyńców, rozumiałem więc, dlaczego senatorowi tak zależało na tym, żeby miała jakąś fachową eskortę... choć po katastrofie z Sozją Kamilliną wydawało się niedorzecznością, że wybrał do tego akurat mnie. Chciałem mu być pomocny, ale teraz, kiedy ją poznałem, perspektywa bliskiego kontaktu z tą jego latoroślą o przykrym usposobieniu zaczynała działać na mnie zdecydowanie przygnębiająco. Kiedyś przekonanie jej do mnie mogło stanowić pewne wyzwanie. Teraz jednak zbyt boleśnie odczuwałem śmierć Sozji, by podjąć ten wysiłek. Jedynie sympatia, jaką darzyłem Decymusa Kamila Werusa, pozwalała mi cierpliwie znosić sytuację.

Tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, te lepsze cechy Heleny Justyny - jeśli takie w ogóle posiadała - umknęły mojej uwadze. Nie pojmowałem dlaczego, ale czułem, że mną pogardza. Mogłem znieść nieuprzejmość, ale ona wydawała się nieposłuszna nawet własnemu wujowi i ciotce.

Krótko jej nie było. Podejrzywałem, że czyha na jakiś kolejny powód, by móc pogardzać mną jeszcze bardziej. Kiedy wparowała do pokoju, zignorowałem ją. To najlepszy sposób postępowania z osobami zatwardziałyymi.

Tak czy owak, byłem ciekawy. To, że rezygnuje się z kobiet, nie oznacza bowiem, że rezygnuje się z patrzenia. Miała wredny charakter, ale powabną figurę, a poza tym podobał mi się sposób, w jaki układała włosy. Zauważyłem, że córeczka Flawiuszów natychmiast do niej podbiegła; nie każdy potrafi tak oczarować małe dziecko. Zatem taka ona była, ta słynna kuzynka mojego utraconego biedactwa.

Ich ojcowie byli braćmi, ale one nie były ani trochę do siebie podobne. Helena Justyna miała dwadzieścia kilka lat, a przecież sprawiała wrażenie osoby całkowicie opanowanej. Miała w sobie siłę oraz spokój i w porównaniu z nią Sozja mogła się wydawać zdecydowanie niemądra. Była tym, na kogo Sozja się zapowiadała, a kim już nigdy nie zostanie. Nienawidziłem Heleny za to, a ona o tym wiedziała i żywiła do mnie pełną goryczy urazę.

Kiedy znajdę się w obcym domu, próbuję się dostosować. Pomimo zmęczenia nie ruszyłem się z miejsca. Po jakimś czasie Elia Kamilla przeprosiła nas i opuściła pokój, zabierając oboje dzieci. Widziałem, jak gospodarz odprowadza żonę wzrokiem. Wkrótce on też nas opuścił.

Zostaliśmy sami z Heleną Justyną.

Powiedzieć, że nasze oczy się spotkały, byłoby lekką przesadą. To ja gapiłem się na nią, bo cóż innego ma robić mężczyzna pozostawiony sam na sam z kobietą w cichym pokoju. Wbiła we mnie wzrok. Nie miałem pojęcia, dlaczego to robi.

Nie zamierzałem się odzywać, natomiast ta jędzowata córka senatora wyraźnie drażniła się ze mną.

- Dydiuszu Falkonie! Czyż twoja podróż nie jest przedsięwzięciem bezcelowym?

Nie ruszając się ze stołka, oparłem łokcie na kolanach i czekałem, aż wyjaśni rzecz dokładniej. Tymczasem ta uparta kobieta całkowicie zlekceważyła moją ciekawość.

- Być może - odparłem w końcu. Wpatrywałem się teraz w podłogę. - Posłuchaj, pani - dodałem po chwili milczenia - nie spytam, co cię dręczy, bo szczerze mówiąc, wcale mnie to nie obchodzi. W moim zawodzie natykam się na antypatyczne kobiety. Przyjechałem do miejsca, którego nienawidzę, z niebezpiecznym zadaniem, ponieważ jest to jedyne posunięcie, jakie twój ojciec i ja możemy...

- Byłaby to nawet niezła mowa, gdyby wyszła z ust uczciwego człowieka!

- Zatem to jest niezła mowa.

- Kłamstwa, Falko!

- Musisz wyjaśnić to szerzej. Uważasz, że jestem bezużyteczny. Nic na to nie poradzę; staram się, jak potrafię.

- Chciałabym wiedzieć - sztychła senatorska córka przykrym tonem - czy przedłużasz ten swój kontrakt tylko dla zwykłego zysku czy jest to celowe działanie. Czy jesteś zdrajcą, Falko, czy tylko marnujesz czas?

Albo ja byłem tępym, albo ona stuknięta.

- Po prostu wyjaśnij, o co ci chodzi, dobrze? - zażądałem.

- Sozja Kamillina widziała, jak jeden z mężczyzn, którzy ją porwali, wchodzi do znanego jej domu. Napisała mi o tym... choć nie powiedziała, czyj to był dom. Napisała, że powiedziała to tobie.

- Nie! - zaprzeczyłem.

- Tak.

- Nie! - Byłem wstrząśnięty. - Może z a m i e r z a ł a mi powiedzieć...

- Nie, napisała, że powiedziała.

Zamilkliśmy oboje.

Coś musiało pójść kompletnie nie tak. Sozja była kapryśna i łatwo wpadała w podniecenie, ale mimo braku doświadczenia jej umysł jaśniał jak scytyjskie złoto. Nie przegapiłaby czegoś tak ważnego; była zbyt dumna ze swoich odkryć, za bardzo jej zależało, żeby się nimi ze mną podzielić.

Myśli kłębiły mi się w głowie. Mogła do mnie napisać jeszcze jeden liścik; ale jeśli tak, to gdzie on był? Kiedy ją znaleziono, miała przy sobie dwie niezapisane tabliczki, jedną zostawiła w moim pokoju, a nie mieliśmy powodu, by przypuszczać, że czwartej użyto do czegoś poważniejszego niż sporządzenie listy zakupów. Coś poszło nie tak.

- Nie, pani, musisz uwierzyć mi na słowo.

- Dlaczego miałabym wierzyć ci na słowo? - drwiła Helena Justyna.

- Bo kłamie tylko wtedy, kiedy mogę coś na tym zyskać.

Ból wykrzywił jej twarz.

- Okłamywałaś ją? Och, moja biedna kuzynka! - Rzuciłem jej spojrzenie, które na chwilę ją uciszyło, ale było to jak obłaskawianie byka za pomocą garści siana. - Miała zaledwie szesnaście lat! - wykrzyknęła po chwili, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

Cóż, przynajmniej wiedziałem, o co ona mnie podejrzewa i dlaczego tak mną gardzi.

Helena Justyna ze złością zerwała się na równe nogi. Uznałem, że chyba lubi nagle wybiegać z pomieszczeń. Minęła mnie, rzucając krótkie dobranoc. Zaskoczyło mnie, że otrzymałem aż tyle.

Siedziałem jeszcze przez jakiś czas na swoim stołku, wsłuchując się nieufnie w odgłosy obcego domu. Chociaż starałem się nie myśleć o Sozji, byłem już tak zmęczony, że nie mogłem znieść tego przytłaczającego mnie brzemienia kłopotów, rozpaczliwej samotności i oddalenia od domu.

Nie pomyliłem się: w Brytanii w zasadzie nic się nie zmieniło.



XXIV

Nazajutrz Flawiusz Hilaris przedstawił swój plan.

Podenerwowany pobylem w obcym domu obudziłem się, ledwie jego mieszkańcy zaczęli się ruszać. Włożyłem na siebie cztery tuniki jedną na drugą i ostrożnie ruszyłem na dół. Zanoszący się kaszlem niewolnik wskazał mi ręką jadalnię, gdzie szmer poważnych głosów umilkł natychmiast, kiedy się pojawiłem. Elia Kamilla powitała mnie szerokim uśmiechem.

- Otóż i on! Wcześniej wstałeś jak na kogoś, kto przyjechał tak późno! - Była już po śniadaniu i gotowa odejść do swoich prac domowych, najpierw jednak sama przygotowała moje nakrycie. Swobodna atmosfera w tej oficjalnej rezydencji wyprowadzała mnie nieco z równowagi.

Hilaris, z serwetką pod brodą, podał mi koszyk z pieczywem. Była tam też ta magiera, Helena. Sądziłem, że wyjdzie potulnie za ciotką, ale gdzie tam, została, z miną złowrogą i dłońmi zaciśniętymi na kubku. W żadnym razie nie było to potulne stworzonko.

- Jako że kiedyś stacjonowałaś w Brytanii - zaczął natychmiast jej wuj, który będąc człowiekiem zdecydowanym, bez zbędnej zwłoki przechodził do rzeczy, kiedy udało mu się dorwać słuchacza - spodziewam się, że masz aktualne informacje o wszystkim, co się tutaj ostatnio działo.

Obłudnie przybrałem wyraz twarzy człowieka świetnie poinformowanego.

Na szczęście zwyczajem cesarskiego pełnomocnika było zaczynanie wszystkich spotkań od spraw aktualnych. Można powiedzieć, że nie zabrał się do wieczerzy, jeśli przedtem nie przedstawiono mu listy cen warzyw sezonowych. Dlatego też bezzwłocznie sam zorientował mnie w sytuacji:

- Jak wiesz, głównym powodem inwestowania w Brytanię były szlachetne kruszce i inne cenne metale. W lasach południowego wschodu mamy huty żelaza prowadzone przez flotę w ten typowy dla niej

bałaganiarski sposób.

Będąc w głębi serca niezmiennie człowiekiem armii, uśmiechnąłem się.

- W odległych górach zachodnich - ciągnął - jest złoto. Na południu Gór Pennińskich znaleźliśmy trochę ołowiu, chociaż tam uzysk srebra jest niski... najlepsze kopalnie znajdują się na południowym wschodzie. Kiedyś II Legion Augusta zarządzał nimi bezpośrednio, ale zaniechaliśmy tego, by zachęcić plemiona do samorządności. Przy wszystkich kopalniach utrzymujemy twierdze, żeby nie tracić kontroli nad sytuacją, natomiast zwykle zarządzanie kopalniami zlecamy miejscowym przedsiębiorcom.

Z rozbawieniem, którego nie okazywałem, zauważyłem, ileż radości Flawiusz Hilaris czerpie ze swojej pracy. Nic dziwnego, że nigdy nie traktowano go poważnie w wyższych kręgach!

- Kopalnię na terenie masywu Mendip zarządza taki właśnie przedsiębiorca, niejaki Klaudiusz Tryfer, który zgarnia swoją część i dopiero resztę przekazuje skarbowi cesarskiemu. Bryt. Każę go zatrzymać, kiedy tylko się dowiem, w jaki sposób przejęto i wywieziono sztaby - dodał.

Skończyłem śniadanie i żeby wspomóc trawienie, usiadłem ze skrzyżowanymi nogami na swoim łożu. Flawiusz Hilaris postąpił tak samo. Miał ściągniętą twarz, typową dla człowieka cierpiącego na kamice. Sądziłem, że albo z obawy, albo skrepowania nie dał się nawet przebadać swojemu medykowi.

- Twoim zadaniem będzie przeprowadzenie śledztwa w sprawie tej kradzieży, Falko. Chcę umieścić cię w kopalni, znaleźć ci miejsce wśród robotników...

- Myślałem o jakimś stanowisku w nadzorze.

Parsknął śmiechem.

- Wszystkie są zajęte przez różnych durnych senatorskich bratanków i siostrzeńców, którzy przyjechali tutaj, by polować na dziki... przepraszam cię, Heleno.

Jako córka senatora mogła zaprotestować, ale zamiast tego wykrzywiła wargi w dziwnym uśmiechu. Ja natomiast pogrążyłem się w zadumie.

By podołać temu zadaniu, konieczna była wytrzymałość. W kopalniach pracują przestępcy najgorszego rodzaju. Brygady niewolników tyrają od świtu do zmierzchu, praca jest ciężka i chociaż w masywie Mendip złoża ołowiu leżą bardzo płytko i nie ma tam fizycznego zagrożenia, to samo miejsce jest kompletnym pustkowiem.

- Falko? - rzucił pytająco Flawiusz. - Rozmyślasz nad tym, jak ci się poszczęściło?

- Mówiąc szczerze, wolałbym siedzieć w galowym stroju bez parasola w jakimś rozpalonym słońcem amfiteatrze, gdzie odźwierni nie pozwalają wnosić dzbanów z winem, a muzycy odmawiają pracy, i oglądać przez pięć godzin niesłyszalną grecką sztukę! Komu - zapytałem, wymawiając starannie słowa - zawdzięczam te orzeźwiające zimowe wakacje?

Hilaris złożył serwetkę.

- Chyba Helena Justyna wpadła na ten pomysł.

Musiałem się uśmiechnąć.

- Niech cię bogowie chronią, pani! Ufam, że wytłumaczysz wszystko

mojej siwowłosej matce, kiedy skończę pogrzebany w moczarach z przetrąconym grzbietem. Czy odpowiadasz, pani, przed samymi furiami, boginiami zemsty, za tę karę, jaką mi wymierzasz?

Wpatrywała się w głąb swojego kubka i milczała. Dostrzegłem zagadkowe spojrzenie jej wuja.

- Helena Justyna odpowiada tylko sama przed sobą - rzucił krótko.

Odniosłem wrażenie, że to właśnie stanowi jej problem. Mówienie tego nic by nie dało, a nie miałem ochoty krytykować jej ojca, Decymusa. Na żadnego mężczyznę nie można zwać całej winy za kobiety w jego domu. Wiedziałem to na długo przedtem, zanim miałem własne kobiety.



XXV

Flawiusz Hilaris zorganizował mój przejazd na zachód, co wydawało mi się pocziwe z jego strony, dopóki nie dowiedziałem się, jak ta podróż ma wyglądać. Wysłał mnie bowiem dookoła, morzem. Posiadał dom w mieście pośrodku południowego wybrzeża, a dalej na zachód posiadłość z letnią willą, do podróżowania pomiędzy tymi dwiema nieruchomościami sprawił sobie zbudowaną z klepek celtycką łódź z żaglem, którą nazywał jowialnie swoim żaglowcem. Ten stary odporny kadłub, obrośnięty pąklami, nie nadawałby się nawet na drzemkę pod sierpniowym słońcem na jeziorze Vulsinius. On uważał zapewne, że to dobry pomysł, ale po tym doświadczeniu sam już sobie organizowałem podróże.

Wysadzono mnie w Isca Dumnoniorum. Osiemdziesiąt rzymskich mil od kopalń, ale to dobrze: przybycie tam wprost z łodzi cesarskiego pełnomocnika, jakby się niosło proporzec z napisem „szpicel”, nie miało sensu. Znałem Isca Dumnoniorum. Miałem taki przesąd: jeśli musisz dać nura w kipiel, to lepiej ze skały, na której pewnie stoisz.

Od moich czasów, dziesięć lat wcześniej, nastąpiło przegrupowanie wojska. Z czterech pierwotnych legionów stacjonujących w Brytanii, XIV Gemina został odwołany na kontynent, gdzie czekał na decyzje Wespazjana: brał udział w wojnie domowej... po niewłaściwej stronie. IX Hispana przeniósł się właśnie na północ, do Eboracum, XX Valeria Victrix wyruszył ku zachodnim górą, podczas gdy moja dawna jednostka, II Legion Augusta, przesunęła się w stronę Glevum, w okolice górnego biegu szerokiego ujścia Sabriny. Obecnie zadaniem tych trzech legionów było utrzymywanie w posłuchu złowrogich plemion Sylurów i przygotowanie się do marszu na zachód, kiedy tylko poczują się już pewnie.

Dla mnie Isca Dumnoniorum bez II Legionu było miastem widmem. Dziwnie się czułem, widząc znów nasz fort, ale jeszcze dziwniejsze były jego otwarte bramy i puste spichlerze, nędznie sklecone warsztaty przy skrzyżowaniach dróg i miejscowy urzędnik szarogęszący się w domu dowódcy. Za fortem, tak jak się spodziewałem, tam gdzie przerzedzały się chaty i przybudówki, leżały niewielkie gospodarstwa weteranów, którzy przeszli w stan spoczynku, kiedy jeszcze nasz legion tam stacjonował. Musiało im być bardzo ciężko wziąć przydzieloną ziemię, żyć w pobliżu druhów, a potem patrzeć, jak wymaszerowują do nowego fortu, odległego

o sto mil. W każdym razie małżeństwa z tubylczymi kobietami na pewno zatrzymały tu niektórych legionistów. Uważałem za niemożliwe, by chcieli pozostać z powodu klimatu lub krajobrazu tej obrzydliwej prowincji.

Liczyłem na tych weteranów. Liczyłem na to, że będą tutaj, obok fortu II Legionu... i na to, że legion oszedł. Istniało prawdopodobieństwo, że jeśli pojawię się teraz, proponując przygodę, to znajdę sobie jakiegoś towarzysza, którego swędzą nogi.

Rufriusz Witalis, były centurion, mieszkał w kamiennym domku na farmie z czerwoną glebą, w cieniu posepnych groźnych moczarów. Wszyscy jego sąsiedzi to siwowłose okazy żyjące w podobnych do jego gospodarstwach. Zauważyłem go w mieście, wpadłem na niego niby to przypadkiem i wmówiłem mu, że znam go lepiej, niż rzeczywiście znałem. Był tak spragniony wieści z Rzymu, że w jednej chwili zostaliśmy starymi kompanami.

Był sprawnym, atletycznym, rwącym się do działania mężczyzną o czujnym spojrzeniu, z siwą szczeciną na ogorzalej twarzy. Pochodził z rolniczej rodziny z Kampanii. Nawet w Brytanii pracował na dworze z gołymi ramionami; miał w sobie tyle energii, że mógł nie zważać na zimno. Odsłużył trzydzieści lat... pięć więcej, niż musiał, ale po powstaniu doświadczonym żołnierzom oferowano w Brytanii dodatkową służbę w zamian za wyższy żołd. Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać, co ludzie są gotowi zrobić za podwójną stawkę.

Spędziliśmy jakiś czas na plotkach w winiarni. Kiedy zabrał mnie do domu, nie zdziwiło mnie wcale, że żyje z tubylczą kobietą o wiele młodszą od siebie. U weteranów to normalne. Miała na imię Truforna. Była bezkształtna i bezbarwna, taki mączysty pieróg z bladoszarymi oczyma, ale wyobrażałem sobie, że w jakiejś norze za morzami człowiek może przekonać sam siebie, że Truforna jest i kształtna, i barwna. Nie zwracał na nią uwagi; ona natomiast cały czas kręciła się w pobliżu, nie spuszczać go z oka.

W domu Rufriusza porozmawialiśmy sobie więcej. Mówiliśmy spokojnymi, neutralnymi głosami, bez emocji, żeby nie niepokoić Truforny. On spytał, po co przyjechałem. Wspomniałem o kradzieży. Poruszyłem lekko aspekt polityczny, choć bez szczegółów; zresztą nie wypytywał. Każdy żołnierz, który przed odejściem ze służby zdąży awansować do stopnia centuriona, jest człowiekiem zbyt doświadczonym, by podniecała go polityka. Chciał poznać moją strategię.

- Dostać się do środka, sprawdzić, co się dzieje, wydostać się - oświadczyłem. Patrzył na mnie, z niedowierzaniem. - To nie dowcip. Nic więcej nie mam w planach - przyznałem.

- Pełnomocnik nie może cię tam umieścić?

- Mnie raczej martwi, jak się potem stamtąd wydostać!

Przyjrzał mi się ponownie. Obaj mieliśmy głębokie wątpliwości co do ludzi sprawujących wysokie urzędy. Rozumiał, dlaczego chcę mieć własny plan, kogoś zaufanego, kto wyciągnie mnie z dziury, gdy zawołam i szarpnę za linę.

- Potrzebujesz partnera, Falko?

- Tak, ale kogo mógłbym poprosić?

- Mnie?

- A co z gospodarstwem?

Wzruszył ramionami. O tym on decydował. Zadał mi jednak konkretne pytanie:

- Pakujemy cię tam, wyciągamy. Co potem?

- Słoneczko, błyskiem wracam do Rzymu.

Już go miałem na haczyku. Tyleśmy się nagadali o Rzymie, że serce wyrwało mu się z piersi. Spytał, czy ktoś jeszcze będzie się mógł do mnie przyłączyć, więc obiecałem, że znajdzie się w gronie podróżnych jako zawiadujący bagażem Heleny Justyny. Spod na wpół opuszczonych powiek zerkaliśmy na Truforenę.

- Co z nią? - spytałem szeptem.

- Nie musi o niczym wiedzieć - oświadczył Witalis z przesadną pewnością siebie.

O centurionie! - pomyślałem. Ale przecież o tym też on decydował.

Znał tę okolicę. Pozwoliłem, żeby to on opracował plan.

Tydzień później przybyliśmy do kopalń srebra w Vebiodunum - Witalis na grzbiecie konia, odziany w skóry i futra łowcy nagród, ja za nim biegiem, w łańchmanach niewolnika. Brygadziście powiedział, że przeszukuje wapienne parowy, wyłapując zbiegów chowających się po jaskiniach. Dowiaduje się nazwisk właścicieli, od których uciekli, i za nagrodę oddaje im tych nędzarzy. Ja uparcie nie chciałem powiedzieć, do kogo należę, więc po trzech tygodniach karmienia mnie zaczynał tracić cierpliwość i chciał przywrócić mi pamięć za pomocą ciężkiej pracy w kopalni.

Rufriusz Witalis nieznośnie uwiarygodnił historyjkę, którą wspólnie wymyśliliśmy: kiedy już zostałem zakuty w kajdany, walnął mnie w twarz tak soczyscie, że rozciął mi policzek, a potem rzucił na stos świńskiego nawozu należący do jakiegoś bezzębnego wieśniaka. Mój ponury wygląd był więc równie prawdziwy jak zapach. W Vebiodunum Witalis utrzymywał, że skoro nie chcę się przyznać, kim jestem, to musiałem zamordować swojego pana. Doskonale mógłbym się obejść bez tego dodatkowego świadectwa mojego dobrego charakteru.

- Nazwałem go Wesołek - oznajmił - bo wcale taki nie jest. Nie pozwólcie mu uciec. Wróć, żeby sprawdzić, czy nie ma ochoty na małą pogawędkę.

Brygadzista zawsze nazywał mnie Wesołkiem. Nie byłem nim nigdy.



XXVI

Wyżyny oglądane z niżej położonych terenów wiejskich potrafią zmylić oko. Pasma wapiennych wzgórz, gdzie znajdują się kopalnie, nie wygląda bardziej nieprzyjaźnie od niskich pagórków tak typowych dla południowej Brytanii. Dopiero kiedy się zbliżasz do nich bezpośrednio z południa albo zachodu, wyrastają nagle przed tobą nagie, surowe granie, zupełnie

niepodobne do łagodnie falujących wzgórz w jakimś innym miejscu. Po stronie południowej są parowy - rejon starych jaskiń i rwących potoków, które znikają pod ziemią albo wzbierają groźnie podczas nagłego deszczu. Na łagodniejszym północnym krańcu stromych zboczy czepiają się małe sioła, połączone ścieżkami wijącymi się w górę i w dół po skałach pomiędzy łąkami pastwisk.

Od wschodu teren prawie się nie podnosi. Szlak do kopalń nie jest zaznaczony; każdy, kto ma oficjalny interes, przybywa tam z przydzielonym mu przewodnikiem. Przypadkowym gościom celowo utrudniono znalezienie tego miejsca.

Kiedy jedzie się od strony pogranicza, lasy i pola znikają niepostrzeżenie. Nagle traci się z oczu sielski krajobraz roztaczający się poniżej, a droga przecina zimną, bezbarwną równinę. Ta droga prowadzi wyłącznie do kopalń; nic innego tam nie ma. Podróżowanie nią wywołuje uczucie osamotnienia. Cały ten region jest w odcieniach szarości, zupełnie jakby szerokie ujście Sabriny nieustannie dawało odczuć obecność swoich wód nawet tam, w głębi łądu. Ta położona wysoko, wąska droga przez dziesięć mil celowo wiedzie przez wapienne wypiętrzenie, a z każdą milą pustka krajobrazu i gwałtowne porywy wiatru potęgują przygnębienie u podróżnego. Nawet w pełni lata położone wyżej tereny narażone są na ataki napastliwego wiatru, a słońce wcale nie grzeje, bo gęsta zasłona z chmur okrywa cieniem całe to pustkowie.

Pracowałem w kopalni ołowiu trzy miesiące. Nie licząc czasu powstania Budiki, był to najgorszy okres mojego życia.

Manewrowałem tak, żeby znaleźć się kolejno we wszystkich częściach kopalni. Zacząłem od otwartych pokładów i sztolni, gdzie wydrapywało się rudę z ziemi, przeszedłem przez pomieszczenia zamknięte, gliniane kadzie odlewnicze do pierwszego wytopu - najgorętsza praca na świecie - aż wreszcie awansowałem do pieców kupelacyjnych, gdzie operujący miechami trudzili się, by w białym żarze wydmuchiwać srebro, oddzielając je od rafinowanych brył. Tam na początku pracowałem przy takim miechu, a potem przy wygarnianiu na koniec dnia srebra z wygaszonego paleniska. To ostatnie zajęcie było najbardziej cenione przez niewolników. Przy odrobinie szczęścia i poparzywszy sobie co nieco palce, można było wskrobać dla siebie jedną czy dwie zastygłe krople. Wtedy w głowie zapalało się człowiekowi światełko: u c i e k a j !

Każdego dnia przeprowadzano rewizje osobiste, my jednak mieliśmy swoje odrażające sposoby, by nie dać się przyłapać.

Jeszcze teraz zdarza mi się, że zlany potem budzę się w środku nocy i siadam na łóżku. Żona mówi, że nie wydaję z siebie żadnego dźwięku. Niewolnik się uczy: każdą myśl schowaj głęboko.

Łatwo byłoby powiedzieć, iż jedynie śmierć Sozji kazała mi trwać przy swoim. Łatwo, ale nie mądrze. Nigdy tam o niej nie myślałem. Przypominanie sobie takiego blasku w tej morderczej dziurze powiększyłoby jedynie udrekę. To samodyscyplina kazała mi przeć do przodu, kiedy kawałek po kawałku posuwałem się dalej w swoich poszukiwaniach.

Poza tym człowiek zapomina.

W życiu niewolnika nie ma miejsca ni czasu na spokojne wspomnienia. Nie zwodziliśmy się marzeniami o przyszłości ani wspomnieniami przeszłości. Budziliśmy się o szarym świcie, a właściwie kiedy jeszcze było zupełnie ciemno. Półprzytomni warczeliśmy do siebie nad miskami kaszy nakładanej chochlą przez jakiegoś umorusanego babsztyla, który chyba nigdy nie spał. Maszerowaliśmy w milczeniu przez osadę, w której wszystkie okiennice były pozamykane; białe obłoczki oddechów unosiły się wokół jak nasze własne duchy. Skuwali nas wszystkich razem łańcuchami za obręcze na szyi.

Jeden czy dwu szczęściarzy okrywało czapkami brudne głowy. Ja nie miałem czapki; nigdy nie mam szczęścia. O tej porze dnia, gdy to zimne światło jest zaledwie złowieszczym półmrokiem, gdy rosa moczy ci stopy, a każdy dźwięk w spokojnym powietrzu niesie się wiele mil, szliśmy, potykając się, do kopalni. Rozkuwali nas; zabieraliśmy się do roboty. Kopaliśmy przez cały dzień, z jedną przerwą, podczas której siedzieliśmy, patrząc przed siebie pustym wzrokiem, każdy ukryty we własnej martwej duszy. Kiedy było zbyt ciemno, żeby cokolwiek widzieć, stawaliśmy z opuszczonymi głowami niczym wycieńczone zwierzęta, czekając, aż nas ponownie zakują w łańcuchy. Maszerowaliśmy z powrotem. Dawali nam jeść. Zapadaliśmy w sen. Budziliśmy się po ciemku następnego dnia. I powtarzaliśmy wszystko od początku.

Mówię „my”. A byli to przecież przestępcy, jeńcy wojenni (w większości Brytowie i Galowie), zbiegli niewolnicy (także głównie przeróżni Celtowie, ale i inni -Sardyńscy, Afrykanie, Iberowie, Licyjczycy). Od samego początku nie musiałem nic udawać. Życie, jakie wiedliśmy, uczyniło mnie jednym z nich. Uwierzyłem, że jestem niewolnikiem. Posiniaczony, z naderwanymi ścięgnami, zlepionymi brudem włosami, spękanymi palcami, ranami, pęcherzami, byłem pokryty szerniałą skorupą własnego i cudzego brudu. Swędziało mnie. Swędziało mnie w miejscach, do których sięgnięcie palcami stanowiło prawdziwe wyzwanie. Rzadko się odzywałem. Najwyżej przeklinałem. Udreka, jaką było to moje życie, sprawiła, że wszystkie marzenia wyciekły mi z głowy, która normalnie zawsze była nimi wypełniona. Poezji słuchałbym z pogardą niczym jakiegoś bełkotu w obcym, niezrozumiałym narzeczu.

Potrafiłem przeklinać w siedmiu językach i byłem z tego dumny.

Właśnie pracując jako wygarniacz, natknąłem się na pierwsze oznaki złodziejstwa. Kiedy zacząłem je rozpoznawać, wkrótce odkryłem, że korupcja tak głęboko przeżarła cały system, że już trudno było odróżnić drobne machlojki, do jakich każdy przykładał rękę, od oszustwa na wielką skalę, które mogło być dziełem zarządzających. Wszyscy o tym wiedzieli. Wszyscy milczeli. Wszyscy milczeli, bo na każdym etapie człowiek w to zaangażowany dostawał swoją malutką działkę. A kiedy już ją przyjął, był winien przestępstwa karanego najwyższą karą. (Możliwości były dwie: egzekucja lub niewolnicza praca w kopalni. Każdy, kto mieszkał w Vebiodunum i zobaczył panujące w kopalni warunki, wiedział, że egzekucja była tym lepszym wyjściem.)

Pod koniec grudnia, niby to z okazji Saturnaliów, pojawił się Rufriusz Witalis - z batem zatkniętym za wielki brązowy pas wyglądał na człowieka, któremu się powiodło - żeby sprawdzić, czy wiem już dosyć, by mógł mnie stamtąd wyciągnąć. Kiedy zobaczył moje przygasłe spojrzenie, jego szara twarz sposepniała.

Odciągnął mnie od pieca, popędził kawałek szlakiem, na pokaz trzaskając batem. Przykucnęliśmy pośród paproci, gdzie nie miał nas kto podsłuchać.

- Falko! Wyglądasz tak, że trzeba cię natychmiast stąd wyrwać!

- Nie, jeszcze nie.

Trwałem wówczas w stanie przygnębienia. Przestałem wierzyć w wyzwolenie. Wydawało mi się, że już do końca życia będę się kręcić umorusany koło pieca jedynie w przepasce na biodrach, ze skwierczącymi, obciętymi przy skórze włosami, z rękoma obtartymi i poparzonymi do żywego mięsa. Jedynym wyzwaniem było ukraść dla siebie jak najwięcej odprysków srebra. Wykończony psychicznie i fizycznie, niemal straciłem zainteresowanie powodem, dla którego się tutaj znalazłem. Niemal, ale nie całkiem.

- Falko, czyś ty oszalał? Zamierzasz kontynuować to samobójcze...

- To nieważne. Jeśli wycofam się za wcześnie, to i tak nie ma dla mnie życia. Witalisie, muszę to dokończyć... - Zaczął coś mamrotać, przerwałem mu jednak gwałtownie. - Cieszę się, że cię widzę. Muszę przemyścić na zewnątrz informacje, na wypadek gdybym nie miał szansy osobiście zdać sprawy.

- Dla kogo te informacje?

- Dla pełnomocnika cesarskiego.

- Flawiusza Hilarisa?

- Znasz go?

- Słyszałem o nim. Powiadają, że jest w porządku. Posłuchaj, młodzieńcze, nie mamy wiele czasu. Nabiorą podejrzeń, jeśli będę się tu kręcił za długo. Znajdę go. Tylko powiedz, co mam mu przekazać.

- Powinien być teraz w swojej willi niedaleko Dumovarii. - Gajusz Flawiusz obiecał, że się tam zatrzyma, by być w pobliżu, gdyby udało mi się przesłać jakieś wieści. - Powiedz mu tak, Witalisie. W całej kopalni mamy do czynienia z jawnym fałszerstwem. Zaczyna się, kiedy nieobrobione sztaby idą z wytopu do kupelacji i są liczone przez jednego takiego obwiesia, który w ogóle nie umie liczyć. Robi nacięcia na karbownicy, czasami „zapomina” je zrobić. Więc to, co ten przedsiębiorca, Tryfer, deklaruje skarbowi jako całkowitą produkcję, od samego początku jest nieprawdziwe.

- Ha! - wykrzyknął Witalis niczym człowiek, który słyszał już prawie wszystko, ale teraz wcale się nie dziwi, dowiadując o jakiejś nowej sztuczce.

- Codziennie kilku surowych sztab nie poddaje się kupelacji. Zadziwiające, jak wielu, choć przypuszczam, że przez lata ich liczba stale rosła. W rezultacie wygląda na to, że uzysk srebra z jednej sztaby jest niższy, niż faktycznie powinien być. Domyślam się, że tę zmniejszoną wydajność wyjaśniano Rzymowi za czasów Nerona „różnicowaniem pod

względem geologicznym złóż wydobywanych rud”. Wówczas w ogóle panowało spore rozluźnienie, tak więc teraz, na wypadek gdyby Wespazjan polecił komuś przyjrzeć się liczbom, przez parę tygodni dodaje się więcej sztab, niby że mineralodzy właśnie natrafili na lepszą żyłę.

- Subtelne pociągnięcie!

- O tak, mamy tu do czynienia z fachowcami. Zapamiętasz te wszystkie bzdury?

- Muszę się postarać. Zaufaj mi, Falko. Mów dalej.

- No tak. A jeśli chodzi o sztaby czystego srebra uzyskiwane podczas kupelacji, to niektóre giną. To się nazywa straty naturalne. - Rufriusz Witalis ponownie zachichotał z podziwem. - Potem, kiedy sztaby ołowiu, z których wydobyto srebro, wracają do powtórnego przetopienia...

- A to po co?

- Żeby usunąć inne zanieczyszczenia przed wysłaniem ich na sprzedaż - na Marsa Mściciela, Witalisie, nie wdawajmy się w szczegóły techniczne, to już i tak jest dość skomplikowane! Hilaris będzie wiedział, jak przedstawiają się procedury... - niecierpliwiłem się. Uciszał mnie, by mnie uspokoić; pociłem się z wysiłku, żeby nie zapomnieć o czymś ważnym. Zmarszczyłem brwi i mówiłem dalej: - Po drugim wytopie giną kolejne sztaby... ponieważ jednak ich wartość jest już wtedy znacznie obniżona, ten ostatni etap całego systemu nie ma już w sobie takiej finezji! Przypada nadzorcom w formie przywileju, który ma zapewnić właściwą postawę.

Zamilkłem. Tak bardzo odwykłem od mówienia, że przekazanie tych szczegółów w uporządkowany choć trochę sposób bardzo mnie wyczerpało. Widziałem, że Witalis przygląda mi się bacznie, ale po pierwszej próbie nie zamierzał już nalegać na szybkie przywracanie mnie cywilizacji. Okazało się, że mądrze wybrałem sobie współnika; wiedziałem, że rozumie, jakie są implikacje tego, co ode mnie usłyszał.

- Jak im się to udaje, Falko?

- To całkowicie zamknięta społeczność; nikt z zewnątrz nie ma tutaj dostępu.

- Ale przecież mają osadę...

- W której każdy piekarz, balwierz i kowal musi uzyskać pozwolenie, szczególnie na dostawy i usługi dla kopalń! Oni wszyscy są tylko ludźmi; ledwo się pojawiają, natychmiast są przekupywani.

- Co więc tu robią ci młodzi marzyciele z fortu?

Powyżej osady stała niewielka twierdza, wysunięta placówka II Legionu Augusta, która miała nadzorować kopalnię. Uśmiechnąłem się do Rufriusza, bo mówił jak typowy weteran, który uważa, że natychmiast po jego odejściu ze służby cała dyscyplina wojskowa schodzi na psy.

- Przemawia przez ciebie prawdziwy centurion! Nie można ich winić. Oczywiście wszystko podlega tu inspekcji...

- Powinno się regularnie wymieniać dowódców i żołnierzy...

- Wymieniają. Widziałem pododdziały, które przychodziły z fortu, żeby się rozejrzeć. Wydaje mi się, że mają kłopoty, bo sztaby wyglądają identycznie: skąd mogą wiedzieć, czy to, co im pokazują, w ogóle zawiera srebro?

- A jak się można dowiedzieć?

- Właśnie! Otóż sztaby kradzione przed kupelacją są oznaczane w specjalny sposób: *TCL TRIP*, czterokrotnie.

- Widziałeś takie?

- Widziałem je tutaj... i powiedz pełnomocnikowi Flawiuszowi, że jedną taką widziałem w Rzymie!

Nadal leżała w kadzi z wybielaczem Lenii.

Rzym. Kiedyś tam mieszkałem.

Nasza ukradkowa rozmowa miała wkrótce zostać przerwana. Życie nauczyło mnie tu wyczuwać kłopoty w powietrzu, jakbym był jeleniem. Dotknąłem ramienia mojego towarzysza, żeby go ostrzec, i obaj natychmiast przybraliśmy stosowny wyraz twarzy.

- Miłych Saturnaliów, Witalisie! Czy ten śmieć się do czegoś przyznał? - usłyszałem głos Korniksa.

Był obrzydliwie brutalnym brygadzystą, prawdziwym specjalistą od torturowania niewolników. Sadysta o potężnych barach i gębie pożyłkowanej jak poleć wołowiny, odzwierciedlającej jego zepsucie. Czepiał się mnie bezlitośnie od pierwszej chwili, choć miał jednocześnie na tyle rozumu w swoim kurzym mózdzku, by zachować pewną ostrożność, na wypadek gdybym jednak wrócił do jakiegoś poprzedniego życia i zaczął mówić.

Mój łowca nagród wzruszył ramionami.

- Nic. Zacisnął gębę jak dziewczica sznurek fartucha. Mogę go jeszcze na trochę zostawić? Przyda się na coś?

- Nigdy się nie przydawał - skłamał Korniks.

To nie była prawda. Wychudłem jak szczapa, ale przecież przybyłem tu krzepki i dobrze odżywiony. Wbiłem wzrok w ziemię, podczas gdy Witalis i Korniks udawali, że pertraktują.

- Tylko popatrz na niego - Rufriusz Witalis mówił pogardliwie. - Jeszcze kilka tygodni tutejszych mgieł i przymrozków, a zaczniesz błagać, żebym go zabrał do domu. Ale jeśli tak będzie wyglądał, niewiele za niego dostanę... nie możesz troszkę utuczyć drania? Chętnie podzielę się każdą nagrodą...

To się spodobało Korniksowi i natychmiast obiecał przenieść mnie do lżejszej pracy. Kiedy Witalis odjechał, kiwnąwszy mi tylko krótko głową na pożegnanie, skończyła się dla mnie robota wygarniacza, a miała zacząć praca woźnicy.

- To twój szczęśliwy dzień, Wesołku! - Korniks łypnął na mnie pożądliwie. - Chodźmy to uczcić!

Wykręcanie się od przywileju zalotów Korniksa przez cały pobyt tutaj wymagało ode mnie sporej pomysłowości.

Powiedziałem bydlakowi, że boli mnie głowa, za co zostałem nagrodzony kilkoma brutalnymi kopniakami.



XXVII

Powożenie wydawało się zajęciem prostym. Używaliśmy mułów, a nie wołów, ze względu na pagórkowaty teren. Na wozie umieszczano cztery sztaby. Zwierzęta z trudem ciągnęły ten ciężar i taki transport był diabelnie

powolny.

Wciśnięto mnie tuż za wóz prowadzącego kawalkadę. Pretekstem było to, że jako nowy w tej robocie nie mogę jechać z przodu, bo nie znam trasy. W rzeczywistości, dopóki człowiek nie udowodnił, że można mu zaufać, w ten sposób uniemożliwiano mu ucieczkę.

Nikommu, kto wykonywał niewolniczą pracę w kopalniach, nie można było zaufać. Niemniej zdążyłem się już wówczas nauczyć, jak wyglądać na równie godnego zaufania jak inni.

Był taki ostatni punkt, gdzie sprawdzano, czy nie przywłaszcza się należnych imperium łupów. Opuszczając kopalnię, przejeżdżaliśmy obok fortu, gdzie żołnierze liczyli sztaby i sporządzali list przewozowy. Ten dokument towarzyszył srebru przez całą drogę do Rzymu. Istniała tylko jedna porządna droga wychodząca z Vebiodunum, droga ku granicy. Każdy wóz zdolny udźwignąć sztaby musiał nią jechać, inne szlaki były za wąskie i zbyt nierówne, by dało się przejechać z takim ciężarem. Oznaczało to, że każda sztaba, która kiedykolwiek opuściła kopalnię, była odnotowana w urzędowym dokumencie.

Naszym punktem docelowym był port wojenny w Abonie. Żeby dotrzeć do szerokiego ujścia rzeki, musieliśmy najpierw odwrócić się do niego plecami, przebyć dziesięć mil na wschód, do drogi przygranicznej, pojechać nią na północ w stronę świętych źródeł Aquae Sulis, a potem znowu na zachód, wzdłuż trzeciego boku prostokąta... w sumie, powiedzmy, jakieś trzydzieści rzymskich mil. Ciężkie barki wpływały w głąb ujścia po sztaby, by przewieźć je wokół Dwóch Cypli, a potem, pod osłoną nocy, przez kanał do Europy i dalej już łądem. Większość srebra wędrowała na południe przez Germanię, gdzie gęsto rozmieszczone siły zapewniały bezpieczeństwo tej trasy.

Znałem Abonę. Nic się tutaj nie zmieniło. To miejsce, gdzie Petroniusz i ja spędziliśmy kiedyś dwa dżdżyste lata na posterunku celnym. Nadal funkcjonował, tak samo jak za naszych czasów obsadzony nastoletnimi żołnierzami w nowiutkich, niespłowiałych płaszczach, paradującymi niczym wielcy panowie, ignorującymi żalosnych niewolników, którzy przywieźli skarby imperium. Wszyscy ci młodzieńcy mieli wymizerowane twarze i ciekące nosy, jednak w przeciwieństwie do naszych kanalii z kopalń ci tutaj umieli liczyć. Sprawdzili nasz list przewozowy, przeliczyli starannie sztaby, umieścili w swojej składnicy; a kiedy przy płynęły barki, przeliczyli je ponownie przy załadunku. Niech niebiosy mają Tryfera w opiece, gdyby się miało okazać, że coś się tutaj nie zgadza.

Zgadzało się. Musiało się zgadzać. Po wyjeździe z Vebiodunum zawsze zatrzymywaliśmy się w wysoko położonej wiosce tuż przed granicą, żeby woźnice mogli ulżyć pęcherzom. Zatrzymywaliśmy się w tej wiosce, czy komuś było to potrzebne czy nie.

Dokument przerabiano właśnie tam.

Teraz wszystko zaczynało mi się układać.

Po trzech kursach byłem w stanie tak się ustawić w kawalkadzie wozów, żeby zobaczyć, co się dzieje, kiedy już opuścimy to małe skupisko plecionych z gałęzi chat, gdzie przekupiony urzędnik fałszował dokumenty.

Większość kolumny skręcała na północ, ostatnie dwa wozy zawracały cichaczem na południe. Mogłoby się wydawać, że wykorzystywanie drogi wojskowej przez złodziei jest niemądre, ale była to porządna droga, dająca dostęp do wszystkich przyczółków południowego wybrzeża. Regularne transporty, które tydzień w tydzień przebywały tę drogę, przepuszczane były wesołym machnięciem ręki przez wszystkie oddziały, na jakie się natknęły. Jednak przeniesienie II Legionu wyżej, do Glevum, wyraźnie znaczyło, że ten odcinek drogi nie jest już patrolowany.

Wstąpiły we mnie nowe siły. Miałem przed sobą jasny cel: zdobycie takiego zaufania, żeby pozwolono mi powozić jednym z tych wozów, które wymykały się na południe. Koniecznie musiałem się dowiedzieć, dokąd się udawały. Gdybyśmy mogli odkryć port załadunkowy, moglibyśmy ustalić, który statek przewozi kradzione świnki do Rzymu; który statek... i kto jest jego właścicielem, na pewno tkwiącym po uszy w spisku.

Byłem wystarczająco dorosły, by wiedzieć, że mogą zawieść mnie nerwy. Po trzech miesiącach ciężkich robót i okrucieństwa najgorszej diety w cesarstwie, byłem w kiepskim stanie fizycznym i psychicznym. Faktem jest jednak, że nowe wyzwania potrafią czynić cuda. Odzyskałem zdolność skupienia uwagi. Mocno trzymałem nerwy na wodzy.

Jedynym, czego nie wziąłem pod uwagę, był przysłowiowy już fart Dydiusza Falkona.

Był koniec stycznia, kiedy trafiła mi się szansa. Połowa robotników siedziała w barakach, udając choroby. Niektórzy robili to tak skutecznie, że się im poddali i umarli. Ci z nas, którzy trzymali się na nogach, mieli podwójnie ciężko, ale ten dodatkowy wysiłek opłacał się, bo wtedy dostawało się więcej racji żywnościowych. Żarcie było obrzydliwe, ale pozwalało znieść zimno.

Padał lekki śnieg i nie wiedzieliśmy, czy cotygodniowe transporty zostaną wysłane. Potem się przejaśniło i można było odnieść wrażenie, że atak ostrej zimy nastąpi później. W ostatniej chwili wysłano ładunek z zebraną naprędce obsadą. Nawet szefa woźniców zastąpił ktoś inny. Znalazłem się w przedostatnim wozie. Nikt nic nie mówił, ale ja już widziałem, co to oznacza.

Zameldowaliśmy się w forcie. Centurion z opuchniętymi od gorączki oczyma potraktował nas zdawkowo; wyszedł tylko na zewnątrz i podstemplował nasz list przewozowy. Ruszyliśmy w drogę.

Było tak zimno, że wydano nam filcowe płaszcze ze spiczastymi kapturami; mieliśmy nawet rękawice, żebyśmy mogli utrzymać lejce. Na wyżynie wiatr stoczył się na nas spod niskiego wilgotnego nieba, szarpiąc odzienie; był tak dokuczliwy, że mrużyliśmy oczy i szczerzyliśmy zęby, skowycząc nieludzko. Ciemna smuga wozów wlokła się pustą drogą, aż w którymś momencie znaleźliśmy się w zagłębieniu terenu, gdzie muły ślizgały się w śniegowej brei tak, że musieliśmy zsiadać z wozów i prowadząc je przy pysku, wpychać na strome zbocze omiatane dziko wyjąłym wiatrem. Potem jechaliśmy dalej wijącą się drogą, przez szary krajobraz, gdzie z gęstej, drażniącej mgły wyłaniały się niskie koliste kurhany zapomnianych tubylczych królów i po chwili znów znikwały.

Kiedy zatrzymaliśmy się w celu sfalszowania listu przewozowego, byliśmy już tak bardzo przemarznięci, że ten jeden raz nadzorcy i niewolnicy cierpieli jednak. Przekupiony urzędnik miał kłopot: wewnątrz było za ciemno, a zbyt wietrznie - kiedy spróbował wyjść na dwór. Wydawało się nam, że stoimy tam całe wieki, kuląc się obok wozów, szukając najmniejszej choćby osłony przed wiatrem. Dotarcie tutaj zajęło nam dwa razy więcej czasu niż normalnie, tymczasem niebo zaczęło nabierać owej posępnej żółtoszarej barwy, która zapowiada śnieg.

Wreszcie byliśmy ponownie gotowi do drogi. Dwie mile do przygranicznego zakrętu. Kierujący taborem puścił do mnie oko. Kolumna ruszyła do przodu. Szarpnięcie wozu z ładunkiem zawsze było problemem dla mułów, a teraz, w tak strasznych warunkach, było im jeszcze trudniej. Żelazne podkowy moich zwierząt ślizgały się na śniegowej brei, która błyskawicznie zamieniała się w lód. Szarpały się dziko; jedna z osi wozu przestała się obracać... przymarzła. Zablokowane tylne koła ześlizgnęły się w bok, ośka trzasnęła, koło odpadło, róg wozu przechylił się gwałtownie, muły zaryczały i stanęły dęba, ja się podniosłem... i w następnej chwili leżałem na drodze. Mój ładunek zsunął się do rowu, uszkodzony furgon klapnął, jeden z mułów zranił się tak mocno, że musieliśmy poderżnąć mu gardło, drugi wyrwał się z uprzęży i pogalopował przed siebie.

Z niewiadomego powodu wszyscy winili mnie.

Nastąpiła dłuższa dyskusja na temat mojego zwalonego ładunku. Zabranie go do Abony oznaczało ponowną zmianę w liście przewozowym, nie wspominając już o tym, że trzeba by było rozłożyć te sztaby na pozostałe wozy. Poza tym właśnie u mnie były cztery specjalne sztaby: skradzione świnki, przeznaczone do sprzedaży obcym, skradzione świnki, które nadal zawierały srebro. W żadnym wypadku nie dla Abony! Ten drugi z przeznaczonych na południe wozów nie zabrałby przecież ośmiu sztab. Po dłuższej bezsensownej sprzeczce, typowej dla ludzi nienawykłych do rozwiązywania problemów - nie mówiąc już o tym, że wszystko odbywało się w mroczny, przenikliwie zimny dzień - postanowiono zostawić mój ładunek tutaj i w drodze powrotnej przeszmurować go z powrotem do Vebiodunum.

Zgłosiłem się na ochotnika, żeby pozostać ze sztabami w rowie.

Kiedy wszyscy odjechali, zrobiło się przeraźliwie cicho. Nieopodal stało kilka szałasów używanych latem przez pasterzy, teraz opuszczonych. Miałem więc schronienie, ale kiedy pogoda zaczęła się pogarszać, uzmysłowiłem sobie, że jeśli przyjdzie śnieżyca, moi współtowarzysze zmuszeni będą ją przeczekać. Wtedy znajdę się w pułapce, przez dłuższy czas bez jedzenia. Znad gór nadciągnął welon deszczu, tak drobniutkiego, że ani nie osiadał, ani nie padał, kleił się tylko do twarzy i ubrania, kiedy wyjrzałem z szałasu na zewnątrz. Pierwszy raz od trzech miesięcy byłem całkowicie sam.

- Witaj, Marku! - powiedziałem głośno, jakbym pozdrawiał przyjaciela.

Stałem i myślałem. To byłaby świetna okazja do ucieczki, jednak pozostawiono mnie tutaj samego wyłącznie dlatego, że w środku zimy te wyżyny były kompletnie wyludnione. Każdego, kto próbowałby ucieczki, znalezione by wiosną martwego razem z zamarznętym na śmierć bydłem i

utopionymi owcami. Może i dotarłbym do parowów, ale nic by mi to nie dało.

Nadal chciałem wiedzieć, jak transportują te sztaby drogą wodną.

Przestało padać. Zrobiło się jeszcze zimniej. Postanowiłem działać. Zgięty wpół, wyciągałem sztaby z rowu po jednej i zataczając się, dźwigałem je jak najdalej od drogi. Potem wydrapałem dla nich kryjówkę w nasiąkniętej wodą ziemi. Wtedy właśnie zauważyłem, że tylko jedna ze sztab ma to poczwórne oznakowanie, mówiące, że zawiera srebro. Tryfer oszukiwał spiskowców, a oni, niczego nieświadomi, próbowali przekupić pretorianów zwykłym ołowiem na rury. Przykucnąłem. Gdybyśmy powiedzieli o tym pretorianom, spiskowcy znaleźliby się w niezłych opałach, a Wespazjan byłby bezpieczny.

Zakopałem wszystkie cztery sztaby. Oznaczyłem miejsce kopcem z kamieni. Potem ruszyłem w drogę powrotną do kopalń.

Miałem przed sobą osiem mil. Dość czasu, by przekonać siebie samego, że jestem durniem. Żeby nie ustawać w marszu, rozmawiałem z Festusem. Moim bratem. Niewiele pomogło; Festus też uznał mnie za durnia.

Pogaduszki z nieżyjącym bohaterem mogą się wydawać czymś dziwnym, jednak Festus nawet za życia był tak cudowną postacią, że rozmowa z nim wprawiała człowieka w niezwykle nastrój. Kiedy zmarznięty na kość wlokłem się przez tę ponurą wyżynę pod rozdętym niebem, by z własnej woli oddać się znów w koszmarną niewolę, pogawędka z Festusem wydawała mi się bardziej realna niż ten szalony świat.

Pół dnia później, na ostatnim odcinku wędrówki, przed zakretem zszedłem z drogi, żeby pójść skrótem. Drogi rzymskie idą prosto, chyba że jest jakiś poważny powód, by było inaczej. Tu był taki powód: wielki zakręt omijał wyrwy i zagłębienia wyeksploatowanych wyrobisk. Kiedy potykając się, stapałem pośród sięgających moich piersi liści martwych paproci, ziemia ustąpiła mi spod nóg. Poślizgnąłem się na oszronionej darni, nogi poleciały do przodu, wylądowałem plecami na ziemi i zjechałem do jednego z dołów. Po drodze zahaczyłem o coś piętą. Z początku nic nie czułem. Kiedy jednak zacząłem się wspinać z powrotem, przeszywający ból natychmiast powiedział mi wszystko; złamałem nogę. Festus napomknął, że tylko mnie mogło się coś takiego przydarzyć.

Leżałem na plecach i wpatrując się w lodowate niebo, powiedziałem mojemu bohaterskiemu bratu kilka słów prawdy.

Zaczął padać śnieg. Panowała głęboka cisza. Gdybym tam został, nie przeżyłbym. Gdybym tam umarł, może bym okupił to, co spotkało Sozję, tyle że oprócz raportu, który przeszmuglowałem do Hilarisa - jeśli Rufriuszowi Witalisowi udało się go odnaleźć i przekazać mu wszystko sensownie - niczego bym nie osiągnął. Umrzeć, nie opowiedziawszy całej historii, oznaczałoby, że to, co zniosłem do tej pory, poszło na marne.

Śnieg, okrutnie obojętny, nie przestawał sypać. Rozgrzałem się, idąc tutaj, teraz leżąc, czułem, jak ciepło uchodzi z mojego ciała. Odezwałem się; nikt mi nie odpowiedział.

Lepiej już coś zrobić, nawet gdyby miało się to skończyć porażką. Jak umiałem, przygotowałem sobie łubki. Znalazłem jakiś palik i przywiązałem go do nogi powozem z koźlęcej sierści, który służył mi za pasek. Było to

dość mizerne, ale pozwalało przyjąć choć częściowo wyprostowaną postawę. Zacząłem kuśtykać. Z powrotem do Vebiodunum. Tam będę wprawdzie bezużyteczny, ale nie miałem dokąd pójść.

Pewna znajoma kobieta spytała mnie dużo później, dlaczego nie szukałem schronienia u żołnierzy w forcie. Były dwa powody... trzy. Pierwszy: nadal miałem nadzieję odkryć, dokąd wysyłano kradzione świnki. Drugi: oszalały, chudy jak szkielet niewolnik wyłaniający się z moczarów i jęczący, że jest osobistym przedstawicielem pełnomocnika cesarskiego, mógłby się spodziewać jedynie batów. Trzeci: nie wszyscy detektywi są doskonali. Nigdy o tym nie myślałem.

Byłem odrętwiały. Wycieńczony. Wysmagany i przewiany wiatrem na wylot. Mózg mi się wywracał od rozczarowania i bólu. Skierowałem się do kopalni. Kuśtykając, dowlokłem się do wyrobiska i chwiejnie stanąłem przed brygadzystą Korniksem. Kiedy mu powiedziałem, że zostawiłem na pustkowiu cztery skradzione sztaby, ryknął i chwycił za jeden z kopalnianych stempli, którymi czasami podpieraliśmy nawisy. Otworzyłem usta, by dodać, że bezpiecznie je schowałem. Nie zdążyłem i przez zaklejający mi oczy śnieg zobaczyłem, jak Korniks zamierza się na mnie kołkiem. Uderzył mnie z przodu, łamiąc kilka żeber. Złamana noga ugięła się pode mną, łubki się rozleciały, a ja, padając, straciłem przytomność.

Kiedy wrzucili mnie do celi, ocknąłem się na tyle, by usłyszeć wrzask Korniksa:

- I niech tu zgnije!

- A co, jak się zgłosi ten łowca nagród? - spytał ktoś.

- Nikt nie będzie się upominał o tego mięczaka. - Korniks roześmiał się chrapliwie. - Jak ktoś będzie pytał, powiedz, że nie żyje... przecież długo nie pociągnie!

Właśnie wtedy zrozumiałem, że już nie wrócę do domu.



XXVIII

Mój słuch wydawał mi się nadzwyczajnie wyostrzony. To rozumiałe. Jedynie dźwięki dochodzące z zewnątrz nie pozwalały mi oszaleć; jedynie resztki zdrowych zmysłów utrzymywały mnie przy życiu.

Nie mogłem się poruszać. Nikt nie przyszedł, żeby się do mnie odezwać. Przed oczami miałem tylko odcienie szarości na nierównych kamieniach wilgotnych ścian celi, co pozwalało odróżnić dzień od nocy. Okien nie było. W niektóre dni uchylały się drzwi i przez szparę wsuwano miskę o grubej krawędzi z czymś tłustym do jedzenia. Odrobinę bardziej wolałem, kiedy o tym zapominano.

Nie wiedziałem, jak długo tam tkwię. Może mniej niż tydzień. Dla człowieka, którego pozostawiono na pewną śmierć, tydzień to bardzo długo.

Po szuraniu nóg skutych niewolników nauczyłem się rozpoznawać, czy pada deszcz, czy tylko wszystko zasnuwa ta nieznośna zimowa mgła. Łoskot wozów słyszałem ciągle, czasami jednak docierał też do mnie stukot końskich kopyt i stąd wiedziałem, że przejechał właśnie w swoim

szkarłatnym płaszczu jakiś dowódca z fortu. Kiedy wiatr wiał z odpowiedniej strony, byłem w stanie usłyszeć stukot oskardów i skrzypienie wózków z urobkiem. Piec do wytopu ryczał nieustannie, a towarzyszył mu uporczywy świst miechów przy paleniskach kupelacyjnych.

Teraz przypominam sobie czasami, co było potem, i uśmiecham się do siebie.

Pewnego dnia koń ciągnący jakiś wykwintny powozik, w eskorcie znających swoją robotę jeźdźców, minął zakłady i ostro zahamował w pobliżu. Jakiś wojskowy powołał się na pełnomocnika cesarskiego Flawiusza. Ktoś inny mruknął coś niechętnie. Potem usłyszałem jeszcze jeden głos, ostry jak wizg topora.

- ... tego, którego nazywacie Wesołkiem.

Musiało być ze mną bardzo niedobrze. Albo już umierałem, albo majaczyłem. Wydawało mi się, że słyszę głos córki senatora. Z początku nie mogłem sobie przypomnieć jej imienia. Potem przywołałem je z innego świata: Helena.

- Zaraz, który to był... Chyba nie żyje... - ktoś powiedział.

- Więc muszę obejrzeć ciało! Jeśli został pochowany, wykopać.

- Pani, pozwól, że moi słudzy przyniosą przeznaczony dla ciebie srebrny serwis do wina!

Drzwi zaskrzypiały i nagle jasność poraziła mi wzrok.

- A tak! To on... nasz cenny zbieg.

Miałem ściśnięte i schrypięte gardło, ale jakoś zdołałem obrzucić ją obelgami.

Korniks stał tuż za nią żałośnie potulny. Rozejrzała się z niesmakiem po mojej celi.

- Co on tutaj ma? Odpoczynek i specjalną opiekę?

Współczułem Korniksowi. Jej zachowanie było nieznośne. Poza tym miała wojskową eskortę; nic nie mógł zrobić.

Ściągnął mnie z nędznego posłania, jakim była sterta cuchnącej paproci, i cisnął w błoto na dworze, u jej stóp. Zamknąłem oczy porażone szklistą jasnością ogromnych, białych obłoków. Pod powiekami miałem obraz mocno zbudowanej młodej kobiety spowitej w granatową tkaninę, z marszczonym skrajem wełnianej szaty i zachmurzoną białą twarzą pod ułożonymi w miękkie sploty prostymi włosami.

O mało nie straciłem przytomności.

- Marku! - rzuciła Helena Justyna, tym swoim protekcjonalnym tonem, którego całkiem naturalnie użyła by w stosunku do zdyskredytowanego niewolnika.

Twarz miałem w kałuży tuż obok jej elegancko obutych stóp.

Szara jak łupek skórka, podziurkowana spiralnym wzorkiem. Kostki nóg o wiele lepsze, niż na to zasługiwała.

- Uroczą sceną! Wuj Gajusz Flawiusz tak ci ufał. Jak ty wyglądasz! - wydziwiała. Czego ona się spodziewała? Zbieg rzadko zabiera ze sobą czyste tuniki i własną gąbkę... czepiałem się rzeczywistości widocznej w kredowej plamie tej dobrze mi znanej, nieprzyjaznej twarzy! - Och, naprawdę, Marku! Cóżes osiągnął? Złamana noga, połamane żebra,

odmrożenia, grzybica i jeszcze ten brud! - Nerwowo rozważała problem brudu. Kazała mnie wykąpać w łaźni, którą tam mieli dla wybranych, żebym przypadkiem nie skalał eleganckiego wozu jej ciotki. Jeden z żołnierzy, który na pewno wiedział, kim jestem, założył mi nowe łubki, ale był zbyt zawstydzony całą sytuacją, by zrobić to porządnie.

Nim Helena wpuściła mnie do swojego wozu, byłem dokładnie umyty, a moje łachmany wymieniono na czyjąś trzecią z kolei najlepszą tunikę, której zapach mi nie odpowiadał, choć przecież nie dał się porównać z tak dobrze mi znanym smrodem łachów. Korniks wymknął się chyłkiem do baraków na jedną z tych swoich popołudniowych rundek tortur i rozpusty. Miałem dreszcze; pani z gniewnym syknięciem zarzuciła na mnie podrózny pled. Nadal czułem na sobie wilgoć. Udało mi się jako tako wyszorować, jednak kąpiel w obecności żołnierza i Korniksa nie była najlepszą okazją na staranne osuszenie skóry pomiędzy palcami stóp.

Głowa swędziała mnie wściekle, odzwyczajona od czystości. Cała moja skóra stała się niezwykle czuła. Najłżejszy powiew wiatru objął mi twarz.

Helena Justyna wyjęła płaszcz, który, co pamiętałem jak przez mgłę, należał do mnie w jakimś innym życiu. Porządne ciemnozielone okrycie z solidną metalową zapinką: musiałem kiedyś być młodzieńcem obdarzonym gustem. Wgramoliłem się jakoś na wóz.

- Niezły pojazd! - odezwałem się do Heleny, starając się przywrócić mojemu głosowi dawne brzmienie. A ponieważ była kobietą, zachowałem się, jak wypadało grzecznemu chłopcu, i zapytałem: - Chcesz, pani, żebym powoził?

- Nie - odparła. Niektórzy by powiedzieli: „Nie, dziękuję”.

Zresztą i tak ledwo mogłem usiedzieć. Zrobiła najpierw wszystko, co należy, przed ruszeniem i dopiero wtedy raczyła spytać:

- Gdybyś miał swój pojazd, to pozwoliłbyś mi powozić?

- Nie - przyznałem.

- Nie zaufałyś kobiecie; cóż, ja nie ufam mężczyźnie.

- I słusznie - powiedziałem. Sporo w tym racji; większość mężczyzn paskudnie powozi, kiedy czują pod sobą koła.

Koń ruszył żwawo i wkrótce osada została daleko za nami. Helena Justyna, czego należało oczekiwać, wyrwała się do przodu; jej niewielka, ale mocna eskorta ciągnęła potulnie z tyłu.

- Powiedz, jeśli będę jechała za szybko i zaczniesz się bać - rzuciła mi wyzywająco, patrząc przy tym prosto przed siebie.

- Jedziesz za szybko... ale mnie nie przestraszysz! - odpowiedziałem. Skręciła w boczną dróżkę. - To nie tu... jedź, proszę, drogą prowadzącą na wschód, przez wyżynę.

- Nie. Mamy żołnierzy; nie ma potrzeby trzymać się granicy. Musimy jechać na północ. Za dzisiejszy ratunek należą się podziękowania twojemu przyjacielowi, Witalisowi. Kiedy wrócił od ciebie ostatnim razem, powiedział wujowi Gajuszowi, że trzeba cię zabrać, niezależnie od tego, czy wykonałeś to, co zamierzyłeś, czy nie. Zgłosiłam się na ochotnika, żeby po ciebie pojechać... to dobry kamuflaż. Poza tym miałam poczucie winy wobec twojej siwowłosej matki... - dodała. Ponieważ nie przypominałem

sobie, żebym opowiadał o swojej matce, pozwoliłem jej paplać dalej. - Wuj Gajusz kazał aresztować tego Tryfera w Glevum...

Moja głowa, odwykła od szczegółowych wyjaśnień, miała problem z przyjęciem tylu faktów naraz.

- Rozumiem. Na północ, hm?

Rozmowa wydawała się bezcelowym wysiłkiem. Niech ktoś inny teraz wszystkim się zajmie. Ten wóz był śliczną zabawką; zbyt kruchą, by udźwignąć ciężar czterech sztab. Moglibyśmy coś zorganizować, wykorzystując żołnierskie wierzchowce... ale byłem zbyt wyczerpany, by się tym przejmować. Najwyraźniej jednak poruszyłem się niespokojnie. Zwolniła.

- Co tam robiłeś na tym pustkowiu? Falko! Mów prawdę.

- Ukryłem pod stosem kamieni cztery skradzione sztaby.

- Jako dowód? - dopytywała się.

- Jak sobie życzysz.

Musiała dojść do własnych wniosków, bo smagała biednego konika, aż pognał jak wiatr. Jej oczy rzucały groźne błyski.

- Masz na myśli zabezpieczenie na starość dla siebie!

Zostawiliśmy je. Bardzo możliwe, że moje cztery sztaby tkwią tam do dziś.

Helena Justyna nie zwalniała. Jej małżonek zapewne rozwiódł się z nią, żeby ratować własną skórę. Ja jednak nie czułem strachu. Powoziła bardzo sprawnie. Miała w sobie cierpliwość i odwagę, we właściwej proporcji. Koń ufał jej całkowicie; ja wkrótce też. I bardzo dobrze, bo do Glevum było pięćdziesiąt mil.

Zatrzymaliśmy się kilka razy. Helena pozwoliła mi wyjść z powozu. Za pierwszym razem zwymiotowałem, choć nie miało to nic wspólnego z jej sposobem jazdy. Dała mi chwilę odpocząć, a sama mówiła coś cicho do jednego z żołnierzy, potem, tuż przed wyruszeniem w dalszą drogę, podała mi z flaszki podróżnej trochę słodzonego wina. Żeby pomóc mi utrzymać równowagę, kiedy piłem, trzymała mi rękę na ramieniu. Zacząłem się pocić pod wpływem tego dziwnie obcego dotyku kobiecej ręki.

- Jeśli chcesz, możemy zatrzymać się kawałek dalej, na stacji postojowej. - Jej głos brzmiał obojętnie, jednak przez cały czas bacznie mnie obserwowała.

Pokręciłem w milczeniu głową. Chciałem jechać dalej. Wołałem umrzeć w wojskowym forcie, gdzie by mnie pochowano z kamieniem nagrobnym nad urną, niż w zajeździe, gdzie wrzucono by mnie do dołu razem z całą masą potłuczonych dzbanów po winie i przejechanym przegowanym kotem. Dotarło do mnie, że może istnieć bardzo konkretny powód tego szaleńczego tempa Heleny Justyny: nie chciała utknąć na pustkowiu z moim trupem. Podziękowałem Jowiszowi za jej bezwzględny rozsądek. W żadnym razie nie chciałem, żeby mój trup gdzieś tam z nią utkwiał.

Czytała mi w myślach, a raczej w mojej wynędzniałej twarzy.

- Nie martw się, Falko, pochowam cię stosownie!



XXIX

Myślałem, że znowu wróciłem do kopalń.

Nie. To był inny świat. Opuściłem kopalnie, ale one nigdy tak do końca mnie nie opuszczają.

Leżałem na wysokim, twardym łożu w niewielkiej prostokątnej izbie legionowego szpitala. Z korytarza prowadzącego wokół dziedzińca na tyłach bloku administracyjnego dochodziły od czasu do czasu niespieszne kroki. Rozpoznawałem też obrzydliwy odór terpentyny, którą nacierano chorych dla uśmierzania bólu. Czuję przynoszący otuchę ucisk porządnie założonych, mocnych bandaży. Było mi ciepło. Byłem czysty. Odpoczywałem w spokoju, w miejscu, gdzie się mną opiekowano.

A przecież byłem przerażony.

Obudziła mnie trąbka na szanćcach oznajmiająca nocną zmianę warty. Fort, mogę znieść fort. Słyszałem urągliwy krzyk mew. To musi być Glevum. Glevum stało nad ujściem. Więc dokonała tego. Już od wielu godzin spałem w wielkiej nowej kwaterze głównej II Legionu Augusta. Drugiego. Należałem do niego; byłem w domu.

Chciało mi się płakać.

- Myśli, że znowu jest w wojsku - odezwał się rozbawionym i pobrzmiwającym ironią głosem pełnomocnik Flawiusz.

W ogóle go nie widziałem. Byłem bezwładny jak kłoda, nie mogłem wymachiwać rękoma ani wierzczać nogami; nafaszerowali mnie makowym sokiem, żeby uśmierzyc ból.

- Odpoczywaj teraz, Marku. Dostałem twój raport od Witalisa; na jego podstawie mogłem podjąć natychmiastowe działania. Dobra robota!

Gajusz, mój przyjaciel; mój przyjaciel, który mnie tam posłał...

Zacząłem się nagle rzucać; ktoś inny przycisnął mi ramię.

- Spokojnie! Już po wszystkim; jesteś całkowicie bezpieczny.

Helena, jego bratanica, mój nieprzyjaciel. Mój nieprzyjaciel, który mnie stamtąd zabrał...

- Leż spokojnie, Falko, nie rób tyle szumu...

Ta mściwość w jej głosie, na którą niezmiennie można było liczyć, niosła się wraz ze mną przez malignę. Dla uwolnionego niewolnika tyrania może być dziwnie pocieszająca.



XXX

Znowu się ocknałem.

Ich opium przestało działać. Kiedy się poruszyłem, przeszył mnie ostry ból. Czerwona tunika, spięta na jednym ramieniu wężem i łaską Eskulapa, zawisała nade mną, potem nagle zniknęła, gdy spojrzałem prosto w oczy jej właścicielowi. Rozpoznałem ten kompletny brak manier obowiązujących przy łożu chorego; więc musiał to być główny medyk. Zza jego pleców uczniowie wyciągali szyje niczym oniemiałe z wrażenia kaczęta

napierające na swoją mamę.

- Powiedz mi prawdę, Hipokratesie! - zażartowałem. Oni nigdy nie mówią człowiekowi prawdy.

Przejechał mi rękoma w górę i w dół żeber niczym wekslarz po swoim liczydło. Jęknąłem, choć nie dlatego, że ręce miał zimne.

- Nadal wyraźny dyskomfort... to potrwa kilka miesięcy. Czekaj go sporo bólu. Żadnych większych problemów, jeśli uniknie zapalenia płuc... - Miał minę, jakby samo przypuszczenie, że może mi się udać, sprawiało mu zawód. - Okaz wyniszczony; może wdać się gangrena nogi - ciągnął. - Serce mi zamarło. - Najlepiej amputować, dopóki jeszcze ma trochę sił - podsumował. - Wpatrywałem się w niego załamany, co wyraźnie poprawiło mu humor. - Coś mu damy! - pocieszył swoich słuchaczy.

Czy wiedzieliście, że najważniejsze, czego musi nauczyć się chirurg, to ignorować krzyki?

- Dlaczego nie poczekać i zobaczyć, co będzie się działo? - wychrypiałem.

- Twoja młoda kobieta powiedziała, żebym... - Teraz w jego głosie słychać było szacunek; zapewne był pod wrażeniem tego, że ktoś może mieć jeszcze gorsze maniery niż on.

- To nie moja kobieta! Nie obrażaj mnie - warknąłem wściekle, pozwalając sobie na irytację, która miała mi pomóc oddalić to, co powiedział przed chwilą. Ale i tak trzeba było stawić temu czoło. - I rób, co musisz... odcinaj mi tę nogę!

Zasnąłem.

Obudził mnie.

- Flawiusz Hilaris chce koniecznie teraz z tobą rozmawiać. Nie masz nic przeciwko temu?

- Ty jesteś medykiem.

- To co mam zrobić?

- Zostawić mnie w spokoju.

Znowu zasnąłem.

Nigdy nie zostawiają człowieka w spokoju.

- Marku... - zaczął Flawiusz Hilaris. Chciał, żebym raz jeszcze opowiedział mu to wszystko o kopalni, co już wcześniej przekazałem przez Rufriusza Witalisa. Był zbyt uprzejmy, by powiedzieć, że teraz jest to formalne przesłuchanie, na wypadek gdybym zmarł podczas odcinania stopy... ale ja rozumiałem.

Powiedziałem wszystko, co wiedziałem. Powiedziałbym zresztą cokolwiek, żeby tylko sobie poszedł.

Jeśli zaś chodzi o sam spisek, to Flawiusz Hilaris powiedział mi, że Tryfer, ten przedsiębiorca zarządzający kopalniami, nie chce mówić. Mieliśmy teraz pełnię zimy, w górach leżał śnieg. Nie było możliwości śledzenia tych wozów skręcających na południe... zresztą żadne wozy nie wyruszały, pewnie od wielu tygodni. Flawiusz zamierzał zamknąć Tryfera w celi i na razie dać mu spokój; spróbować przesłuchać go ponownie, kiedy ja będę mógł w tym pomóc. Na rekonwalescencję - jeśli przeżyję -

przeniosą mnie do Aquae Sulis, owych świętych źródeł.

Długo siedział przy moim łóżku, trzymając mnie za nadgarstek; wyglądał na zmartwionego. Powiadomił Rzym, że powinni zapłacić mi podwójną stawkę, i kiedy o tym usłyszałem, uśmiechnąłem się. Po trzydziestu latach służby powinien wiedzieć, że nawet nie ma co próbować. Pamiętam, jak dawno temu myślałem, że to może być on! Znowu się uśmiechnąłem.

Odpląnąłem w sen.

Chirurg nazywał się Sympleks. Kiedy ci się przedstawiają imieniem, wiesz, że planowana kuracja to w najlepszym razie zwykły hazard, w najgorszym zaś - bardzo bolesne doświadczenie.

Sympleks spędził w wojsku czternaście lat. Potrafił uspokoić szesnastoletniego żołnierza ze strzałą wbity w głowę. Umiał likwidować pęcherze, radzić sobie z dyzenterią, przemywać oczy, a nawet odbierać dzieci wydawane na świat przez żony legionistów, których rzekomo nie wolno im było mieć. To wszystko zdążyło go już znudzić. Teraz ja byłem jego ulubionym pacjentem. W swojej kolekcji szpatulek, skalpelów, sond, nożyc i szczypiec posiadał wielki błyszczący drewniany młot, wystarczająco duży, żeby można nim było wbijać słupy ogrodzenia. W chirurgii używano go przy amputacjach, walono nim dłuto rozłupujące stawy żołnierzy. Dłuto i piłę też miał: całą torbę narzędzi, które teraz wyłożył na stoliku przy moim łóżu.

Flawiusz Hilaris życzył mi powodzenia, po czym wyslizgnął się z pokoju. Nie winię go. Gdybym nie był unieruchomiony przez czterech roślących kawalerzystów, którzy trzymali mnie za ramiona i nogi, sam bym za nim popędził.

Otumaniony lekami patrzyłem, jak zbliża się Sympleks. Rozmyśliłem się. Teraz już wiedziałem, że jest rwącym się do noża maniakiem. Usiłowałem się odezwać; z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk. Próbowałem krzyknąć.

Tymczasem krzyknął ktoś inny; to był kobiecy głos.

- Przestań natychmiast! - usłyszałem Helenę Justynę. Nie miałem pojęcia, kiedy weszła. Nie wiedziałem, że tam jest. - Nie ma żadnej gangreny! - grzmiała senatorska córka. Chyba wszędzie, gdzie się znalazła, traciła panowanie nad sobą. - Oczekiwałam, że wojskowy medyk to wie... gangrena objawia się swoistym zapachem. Stopy Dydiusza Falkona może i nie przedstawiają pięknego widoku, ale daleko im do gangreny - zawyrokowała. Cudowna kobieta; detektyw w kłopotach zawsze może na nią liczyć, myślałem. - Ma odmrożenia - ciągnęła. - W Brytanii to nic dziwnego... trzeba mu tylko papki z rzepy. Naciągnij mu nogę tyle, na ile to możliwe, i zostaw go w spokoju; biedaczysko dość się już wycierpiał!

Z ulgą osunąłem się w niebyt.

Dwa razy próbowali wyprostować mi nogę. Za pierwszym razem w milczeniu zaciskałem w zębach zwiniętą szmatę, podczas gdy gorące łyzy spływały mi z obu stron szyi. Za drugim razem już wiedziałem, czego się spodziewać; za drugim razem wrzeszczałem.

Ktoś łkał.

Zagulgotałem, ale zanim zdążyłem się udusić, czyjaś dłoń - zapewne jednego z osiłków, którzy mnie trzymali - wyjęła mi knebel z ust. Spływałem potem. Komuś chciało się wytrzeć mi twarz.

W tym samym czasie ostra woń perfum przeszła moje zmysły, zapach równie cudowny jak ów balsam królewski przygotowany dla władców Partii z esencji dwudziestu pięciu różnych olejków. (Nigdy tam nie byłem, ale każdy człowiek parający się w wolnym czasie poezją wie o tych długowłosych władcach Partii; zawsze się przydają, kiedy chcemy trochę ożywić kulejącą odę.) Nie był to balsam królewski, ale pachniał cudownie. Pamiętam, że myślałem sobie radośnie, jak to niektórzy z tych gwardzistów o potężnej posturze nie zawsze są tacy, jacy się wydają...



XXXI

W Aquae Sulis spędziłem pięć tygodni pod opieką osobistego medyka pełnomocnika cesarskiego. Gorące źródła tryskały w tamtejszym sanktuarium, do którego nadal przychodzili zdziwieni Celtowie, żeby składać pieniężne ofiary bogini Sul, i zerkali pobłaźliwie na świeżutką tabliczkę, która informowała, że teraz rządy przejmuje tu rzymska Minerwa. Pod maską religii panowała tam ukradkowa atmosfera przedsiębiorczości, jaką zawsze można wyczuć wokół sanktuariów. Rzym zastąpił pewne proste tubylcze urządzenia wyłożonym ołowiem zbiornikiem, ja jednak nie sądziłem, by z tego miejsca dało się zrobić cokolwiek sensownego. Owszem, istniały jakieś plany, ale plany to przecież nic nowego. Siedzieliśmy więc w tym zbiorniku, pełnym wyrzuconego przez źródła piasku, piliśmy nijaką, przesyconą minerałami letnią wodę o okropnym smaku i obserwowaliśmy, jak geodeci i rzeczoznawcy budowlani z czerwonymi nosami łążą po okolicznych skałach, próbując przekonać samych siebie, że istnieją tu jakieś poważne szanse na tętniący życiem kurort.

Często graliśmy w strzałki. Nienawidzę tej gry. **N i e z n o s z ę** grać w strzałki z wygrywającym za każdym razem egipskim medykiem. Jednak nie było co robić w tym uzdrowisku, które nadal znajdowało się na desce kreślarskiej, w Brytanii pod koniec śnieżnego marca. Mogłem uganiać się za kobietami, ale z nimi przecież dałem już sobie spokój. W moim obecnym stanie, nawet gdybym którąś dorwał, trudno byłoby mi dokonać czegokolwiek, co kobieta mogłaby docenić.

Te gorące źródła mi pomogły, ale kiedy się w nich wylegiwałem, spoglądałem w mroczną przestrzeń. Kości dadzą się uleczyć, lecz dusza niewolnika nigdy. Medyk pełnomocnika powiedział mi, że od picia tej wody nabawił się hemoroidów. Odparłem, że przykro mi to słyszeć, mógł jednak wyczuć nieszczerość w moim głosie.

Czasami rozmyślałem o Sozji; nie pomagało mi to ani trochę.

Wróciłem do Glevum. Hilaris i ja wspólnie zajęliśmy się Tryferem. Działanie dobrze mi robiło, a we dwóch tworzyliśmy silny zespół. Hilaris

siedział na swoim urzędowym krześle, a właściwie składanym krzeselku o poślizgniętych nogach z kości słoniowej, które, jak mi sam powiedział, było zabójcze dla jego pleców. Ja złowieszczo przechadzałem się po pomieszczeniu.

Tryfer był krzykliwym Brytem, kombinatorem ustrojonym w poskręcane naszyjniki z lichego złota, w wąskich butach ze spiczastymi czubkami na nogach. Nosił toge, do czego zachęcano takich pośredników jak on, ale żołnierze, którzy go tutaj przywlekli, na nasz znak zdarli ją z niego. Posadziliśmy go na stołku, tak że w którąkolwiek stronę obrócił głowę, miał przed oczyma osłonięte kolczugą umięśnione uda dwóch ponurych iberyjskich jeźdźców, którzy byli odporni na jego marne dowcipy. (Wybraliśmy tych strażników celowo, wiedząc, że jedynie ich dowódcy znają łacinę.)

Gdyby nie celtyckie naszyjniki pod opuchniętą brytańską twarzą, mógłby być straganiarzem w jakimkolwiek mieście świata. Używał imion Tyberiusz Klaudiusz - więc był zapewne wyzwolencem nazwanym po starym cesarzu, bardziej jednak prawdopodobne, że był jakimś niezbyt ważnym dostojnikiem plemiennym, uhonorowanym stanowiskiem za dawne sojusznicze usługi. Wątpiłem, by mógł okazać dokument potwierdzający rzymskie obywatelstwo.

- Wiemy, w jaki sposób działacie, masz nam tylko podać imiona wspólników! - warknąłem.

- Już dobrze, Falko - mruknął Gajusz Flawiusz Hilaris tonem wyższego rangą urzędnika niezdolnie lekceważonego przez Rzym. - To jest Brytania, tutaj działamy inaczej. Tryferze, od ciebie samego zależy, czy będę ci mógł pomóc. Ten człowiek to cesarski wysłannik...

Tryfer próbował blefować.

- Wagi i miary? Przepisy bezpieczeństwa? W czym problem, panie dowódcu? - Miał wysoki głos, z irytującym nosowym zaśpiewem. Należał do samowystarczalnego niezależnego plemienia Korytanów ze środkowych równin.

Kciukiem sprawdziłem czubek sztyletu. Zerknąłem na Gajusza; skinął głową.

- Na temat kopalń nie możesz mi powiedzieć niczego nowego - zacząłem. - Sam tam byłem, Tryferze, żeby osobiście zbadać ten bałagan. - Pot wystąpił mu na twarz; zaskoczyłem go. - W całym waszym systemie śmierdzi, od sztolni do pieców. Nawet piekarze we wsi używają srebrnych opiółków jako drobnych...

- Problemy z kwitami celnymi, co? - zaskomlał, mrugając niewinnie. - Urzędnicy skarbu naciskają? Chodzi o sprawdzenie procedur?

Cisnąłem bryłkę srebra na trójnożny stolik, gdzie kręciła się w kółko dokładnie na poziomie nosa Tryfera. Z rozmachem nakryłem ją dłonią. Nawet Gajusz Flawiusz wyglądał na zaskoczonego.

- Trzy tygodnie przy miechu kupelacyjnym i oto moja działka! Można by zrobić z tego elegancki pierścionek dla jakiejś szczęściary w Rzymie.

Tryfer nagle zrobił się odważny.

- Wsadź to sobie w tyłek! - rzucił. Rzuciłem mu promienny uśmiech.

- Żebyś wiedział, że to właśnie robiłem!

Gajusz wyraźnie pobladł.

Podszedłem do Tryfera zdecydowanym krokiem, pociągnąłem za jeden z tych jego cienkich naszyjników, tak żeby wrzynał się w tętnicę szyjną.

- Bystry niewolnik potrafi kupić sobie przejazd do Galii, jeśli uda mu się przeżyć mordercze wyczyny twojego brygadzisty. Korniks majstruje przy wolnych od podatku premiach; brygady robocze wymyślają własne nędzne sztuczki; ty organizujesz swoje przekręty. W jaki sposób wciągnęli cię do spisku ci zdrajcy z Rzymu... zagrozili, że cię wydadzą, jeśli ich nie dopuścisz do interesu?

- Posłuchajcie, wy, urzędnicy, musicie pogodzić się z rzeczywistością! - Raz jeszcze zdesperowany Tryfer próbował grać. - Wydobywanie metali to sprawa szczególna. Nie przypomina sprzedaży piwa ani ostróg dla wojska...

- Szkoda marnować na niego czas, panie! - rzuciłem ze złością do pełnomocnika. - Pozwól mi zabrać go do Rzymu. Mamy tam stosowny sprzęt; wszystko wyśpiewa. Potem cyrk Watykański... żarcie dla lwów! - Puściwszy naszyjnik, jakby jego właściciel napawał mnie zbyt dużym obrzydzeniem, odwróciłem się do Gajusza Flawiusza. - Spytaj go o znaki! - krzyknąłem zirytowanym głosem. - Te sztaby, które osobiście kradnie, są znakowane czterokrotnie, jeśli zawierają srebro... a jest to jedna sztaba na cztery. Reszta została już odchudzona, ale ten pomysłowy drań sprzedaje je jako nienaruszone. Ile czasu zajmie naszym młodym obiecującym urzędnikom odkrycie, że są oszukiwani? Nie chciałbym być na miejscu gościa, który przekupuje pretorianów fałszywą monetą.

- Tryferze, nie rozumiesz, że oni już wiedzą?! - Pierwszy raz pełnomocnik cesarski odezwał się głosem, w którym nie było żadnego udawania. - W Rzymie znaleziono brytańskie sztaby. Jeśli nie aresztujemy spiskowców, zanim dotrą do ciebie, będziesz się mógł pożegnać z czymś więcej niż tylko dzierżawą na ołów na wzgórzach w masywie Malvern. Wespazjan zostanie na długo, nieważne, co ci powiedziano. Ratuj się, człowieku, przekaz państwu wszelkie dowody, jakimi dysponujesz... to twoja jedyna szansa, żeby przeżyć.

Twarz Tryfera przybrała barwę niemalowanego tynku.

Poprosił o rozmowę sam na sam z Gajuszem Flawiuszem. Podał mu dwa imiona.

Gajusz napisał do cesarza list, który miałem zabrać ze sobą, choć odmówił mi podania tych dwóch imion. Uznałem to za biurokratyczny nonsens, potem wszakże zrozumiałem, dlaczego tak postąpił.

Jechaliśmy z Gajuszem Flawiuszem w stronę wybrzeża, gdzie koło Durnovarii miał swoją ulubioną willę. Tam miałem zapytać szlachetną bratanicę jego małżonki, Helenę, czy jest już gotowa wybrać się w podróż do domu, a jeśli tak, czy jest jej życzeniem, by eskortował ją ktoś taki jak ja. Gajusz powoził. Przebyliśmy sto mil w tak statecznym tempie, że nieraz miałem ochotę wyrwać mu lejce z rąk.

Muszę przyznać, że zatęskniłem za ostrzejszym stylem powożenia Heleny Justyny.



XXXII

Gajusz Flawiusz Hilaris wziął mnie do swojej willi, gdzie chciał dopilnować przycięcia winorośli. Nędznie się prezentowały. Tak długo już mieszkał w Brytanii, że zapomniał, jak naprawdę wygląda winorośl.

Posiadłość pełnomocnika cesarskiego była bogatym majątkiem położonym w dolinie małej rzeczki, z widokiem na niewysokie, zielone wzgórza. Łagodny klimat wydawał się odpowiedni dla człowieka z obolałymi żebrami. Dom był pełen książek i zabawek. Jego małżonka oraz dzieci wrócili do Londinium po Saturnaliach, mogłem jednak sobie wyobrazić, jak wyglądało tu latem, kiedy to miejsce tętniło życiem. W takim jak ten domu mógłbym zatrzymać się na dłużej, a nawet sam kiedyś taki mieć.

Gajusz wpadał do Durnovarii, z ochotą pełniąc rolę miejscowego sędziego. Antypatyczna bratanica jego żony przebywała w willi, ale się nie pokazywała. Gdybym lubił Helenę Justynę choć trochę, mógłbym ją uznać za nieśmiałą; ponieważ jednak jej nie lubiłem, nazwałem ją nietowarzyską. Skoro nie wróciła z Elią Kamillą do wygód Londinium, to najwyraźniej zamierzała teraz jechać do Rzymu, na szczęście te jej plany pozostawały na razie dość mgliste.

Dobrze się czułem w tym gościnnym domostwie. W dzień czytałem, pisałem listy albo kuśtykałem wokół gospodarstwa. Służba była przyjazna i nie miałem nic przeciwko temu, żeby mi dogadzano. Każdego wieczoru prowadziłem miłe rozmowy z gospodarzem. Nawet tutaj, w Brytanii, było to idealne rzymskie życie. Nie miałem ochoty zbierać energii na wyjazd.

Pewnego dnia, gdy padało zbyt mocno, by Gajusz mógł pojechać do Durnovarii i nakładać tam grzywny na celtyckich złodziei bydła, przyszedł ze mną pogadać.

- Rufriusz Witalis prosił, żebyśmy z tobą porozmawiali. Rozumiem, że obiecałeś mu podróż do Rzymu w charakterze opiekuna bagaży Heleny.

- Pozwól, że zgadnę... nie chce jechać?

- Cóż, po części to moja wina. - Gajusz uśmiechnął się. - Zrobił na mnie wrażenie. Zaproponowałem mu stanowisko w kopalni ołowiu, gdzie jako mój oficjalny przedstawiciel ma zwalczyć wszystkie nadużycia i przywrócić obowiązujące procedury.

- Dobry wybór. Świetnie się sprawi. Poza tym - zarechotałem - myślę, że pewna gołąbka o imieniu Truforna nie zniosłaby rozłąki!

Gajusz Flawiusz uśmiechnął się w ten swój charakterystyczny sposób, unikając wchodzenia w szczegóły prywatnego życia innych. Potem zauważył, że ktoś przecież musi eskortować Helenę...

- Rozmawiała z tobą, Falko?

- Nie rozmawiamy ze sobą. Uważa mnie za kanalię.

Widziałem, że moje słowa sprawiły mu przykrość.

- Och, jestem pewien, że tak nie myśli. Helena Justyna docenia wszystko, co zrobiłeś. Była wstrząśnięta, kiedy zabrała cię z kopalni w takim ciężkim stanie...

- Jakoś to zniosę! - Leżałem sobie na łożu, racząc się zimowymi

gruszkami, które zarządzający posiadłością wybrał dla mnie starannie w spiżarni. Wykorzystałem tę okazję do wybadania sytuacji. - Bratanica twojej małżonki jest, łagodnie rzecz ujmując, wyczerpana nerwowo - oznajmiłem. Flawiusz Hilaris spojrział na mnie surowo. - Nie chodzi mi o żadne plotki - dodałem spokojnie. - Skoro mam służyć jako jej eskorta, byłoby dobrze, żebym wiedział, w czym tkwi problem.

- To sensowne podejście - przyznał. Mój nowy przyjaciel był człowiekiem rozsądnym. - Cóż! Kiedy przyjechała do nas po rozwodzie, była przygaszona i zagubiona. Podejrzewam, że nadal taka jest... tyle że teraz lepiej to ukrywa.

- Możesz mi powiedzieć, co poszło nie tak?

- Znam tylko pogłoski. Z tego, co mi wiadomo, tych dwoje nigdy tak naprawdę nie byli sobie bliscy. Jej stryj, brat mojej żony, Publiusz, znał kiedyś tamtego młodego człowieka; to właśnie Publiusz zaproponował jej ojcu to małżeństwo. Helena z kolei w liście do mojej żony opisywała kandydata na swojego męża jako „senatora o znaczącej pozycji, bez skandalicznych nałogów”.

- Dość chłodno.

- Właśnie. Elii Kamilli to się nie podobało.

- Tak jest jednak bezpieczniej, niż zaczynać od zauroczenia.

- Być może. W każdym razie Helena, chociaż nie liczyła na nadzwyczajny duchowy związek, i tak doszła do wniosku, że wysoka pozycja i dobre maniery to dla niej za mało. Wiem, bo zwierzyła mi się niedawno. Wołałaby, żeby dłużej w nosie i podszczypywał pomoce kuchenne... ale przynajmniej z nią rozmawiał!

Roześmialiśmy się na to obaj, choć ze współczuciem. Gdybym lubił kobiety z poczuciem humoru, dziewczyna, która potrafi powiedzieć coś takiego, mogłaby mnie pociągać.

- Czy w takim razie źle zrozumiałem, że to on rozwiódł się z nią?

- Nie, nie on. Kiedy już Helena Justyna zrozumiała, jak bardzo do siebie nie pasują, sama napisała oświadczenie rozwodowe.

- O! Nie uznaje udawania.

- Nie. Ale jest wrażliwa... i sam widzisz rezultat! W tym momencie stało się dla mnie oczywiste, że zaczyna żałować swoich swobodnych wypowiedzi. Porzuciłem więc ten temat.

Kiedy następnym razem Gajusz jechał do miasta, wybrałem się z nim. Wykorzystałem tę okazję do zakupu dwudziestu różnych kubków, miejscowego produktu wykonanego ze stopu cyny i ołowiu.

- Pamiątki dla moich siostrzeńców, siostrzenic i dla bratanicy. Dodatkowo kilka „srebrnych” łyżeczek do polenty dla nowych członków rodziny, których na pewno moje siostry z dumą mi pokażą, kiedy dotrę do domu.

- Galowie usłyszą, że nadciągasz! - zażartował Gajusz. (Moje dwadzieścia kubków nieźle grzechotało.)

Nadal trudno mi było myśleć sensownie o powrocie do domu.

Byliśmy w Brytanii, więc przez większą część naszego pobytu w willi Gajusza Helena nie mogła się wyleczyć z ciężkiego przeziębienia.

Ponieważ siedziała w swoim pokoju z głową przykrytą ręcznikiem nad parującym dzbanem olejku sosnowego, łatwo było zapomnieć, że w ogóle tam jest. Kiedy więc wreszcie się wynurzyła i popędziła gdzieś w swoim konnym wozie, zaciekawiło mnie to. Nie było jej cały dzień. Nie mogła raczej jechać na zakupy... osobiście sprawdziłem, że niewiele tam można było kupić. Kiedy mój nowy przyjaciel, zarządca domu, przyniósł mi pory w winnym sosie, żeby pobudzić mój apetyt (który się zdecydowanie poprawił), spytałem go, dokąd pojechała młoda dama. Nie wiedział, żartował sobie jednak z mojej wszystkim już znanej niechęci do podróży z nią.

- Niemożliwe, żeby była taka przerażająca! - dziwił się.

- Przy szanownej Helenie Justynie - oświadczyłem bezdusznie - zjadając się porami, jak przystało uwielbiającemu je wnukowi ogrodnika - węże Meduzy wyglądają tak groźnie jak garść robaków na ryby!

W tym właśnie momencie Helena Justyna wpadła do pokoju. Nie zwróciła na mnie uwagi. To było normalne. Wyglądała na zdenerwowaną. A to już normalne nie było. Na pewno słyszała moje słowa.

Zarządca umknął pospiesznie, czego zresztą powinienem się był spodziewać. Zapadłem się w gniazdo poduszek z frędzlami na swoim łożu ozdowieńca. Czekałem na atak fali przyływu.

Helena usiadła na damskim krzeselku. Stopy oparła na podnóżku, ręce złożyła na podołku. Miała na sobie niezbyt efektowną szarą szatę i drogi, gustowny naszyjnik z podłużnych agatów, na przemian różowych i brunatnych. Przez chwilę wyglądała na głęboko zamyśloną. Zauważyłem coś ciekawego: kiedy mną nie poniewierała, córka senatora całkowicie zmieniała twarz. Każdemu postronnemu obserwatorowi wydawałaby się teraz spokojną, rzeczową, życzliwą młodą kobietą, której dobre urodzenie może i kazało się rumienić w towarzystwie mężczyzn, ale nie zmieniało faktu, że była osobą bardzo przystępną.

Wróciła do rzeczywistości.

- Czujesz się lepiej, Falko? - spytała drwiąco. Leżałem na łożu i wyglądałem mizernie. - Co piszesz? - Zmieniając temat z tym spokojnym wyrazem twarzy, zaskoczyła mnie.

- Nic.

- Nie bądź taki dziecinny; wiem, że pisujesz poezję!

Przesadnym gestem odłożyłem woskową tabliczkę.

Zerwała się z krzesła i pomaszerowała przez pokój, żeby rzucić na nią okiem. Tabliczka była pusta. Przestałem pisać poezję. Nie czułem się zobowiązany, by jej wyjaśniać dlaczego.

Ponieważ byłem zakłopotany, zmieniłem temat.

- Twój wuj mówi, że wkrótce opuszczasz Brytanię.

- Nie mam wyboru - odparła krótko. - Wuj Gajusz chce, żebyśmy zabrali się z pocztą cesarską.

- Zrób to koniecznie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie będziesz mi towarzyszył?

Uśmiechnąłem się leciutko.

- Pani, przecież wcale o to nie prosiłaś.

Helena zagryzła wargę.

- Czy to z powodu tych kopalń?

Co prawda wyraz mojej twarzy bardziej pasował do tamtej brygady robotycznej, odpowiedziałem jednak:

- Nie, Heleno Justyno, jestem otwarty na propozycje... ale nie zakładaj, że możesz mi dyktować, jaką mam przyjąć.

- Dydiuszu Falconie, jeśli o ciebie chodzi, niczego nie zakładam. Już nie! - rzuciła. Toczyliśmy pojedynek, ale bez wcześniejszej przyjemności; ona robiła wrażenie boleśnie nieobecnej. - Jeśli uwzględnimy to, że wybór należy do ciebie, oraz dodamy zadowalającą zapłatę, czy zgodzisz się odwieźć mnie do domu?

Zamierzałem odmówić. Helena Justyna patrzyła na mnie spokojnie, zdając sobie z tego sprawę. Miała przejrzyste, mądre, wymowne oczy w intrygującym odcieniu brązu...

- Tak, jeśli wybór należy do mnie - usłyszałem samego siebie.

- Och, Falko! Powiedz po prostu, jakie są twoje stawki.

- Twój ojciec mi płaci.

- I niech ci płaci. Ja ci też zapłacę... przynajmniej wtedy będę mogła zerwać umowę, kiedy zechcę.

Każda umowa powinna mieć jakąś klauzulę pozwalającą się wycofać. Powiedziałem jej, jakie są moje stawki.

Najwyraźniej nadal była rozgniewana.

- O co chodzi, pani?

- Byłam na wybrzeżu - odpowiedziała, marszcząc brwi. - Próbowałam zorganizować przeprawę do Galii.

- Przecież ja bym to zrobił!

- Cóż, sprawa jest załatwiona - rzuciła. Widziałem, że się waha. Potrzebowała kogoś, z kim mogłaby się podzielić jakimś zmartwieniem; tymczasem pod ręką byłem tylko ja. - Załatwiona, ale nie bez kłopotu. Znalazłam łódź. Ale, posłuchaj, Falko, przy składzie łupka stał statek, który mógłby nas zabrać... jego kapitan jednak odmówił. Statek należy do mojego byłego męża - wydusiła z siebie. Milczałem. Ona ciągnęła smętnie: - To takie małostkowe! - rzuciła. - Małostkowe, niepotrzebne, w złym guście i nikczemne!

Zaniepokoiła mnie nuta hysterii w jej głosie. Niemniej jest moją zasadą nie wtrącać się w sprawy małżonków... nawet byłych małżonków.

Na wybrzeżu Flawiusz Hilaris uściskał mnie jak przyjaciela.

Ze wszystkich mężczyzn, jakich poznałem w związku z tą sprawą, jego polubiłem najbardziej. Nigdy mu o tym nie powiedziałem. (Ale wiem, że był tego świadomy.)

Powiedziałem mu natomiast, że tylko mnie mogła przytrafić się sprawa, w której jedynie urzędnicy państwowi okazali się uczciwi. Obaj się roześmialiśmy, pokrywając tym grymas żalu.

- Dbaj o naszą młodą kobietę - rozkazał mi, ściskając na pożegnanie Helenę. - A ty dbaj o niego! - powiedział do niej.

Przypuszczam, że miał na myśli moją skłonność do choroby morskiej, na którą oczywiście zapadłem. I nie ma chyba potrzeby dodawać, że sam o siebie wtedy zadbałem.



XXXIII

Przeprawa do portu Gesoriacum w Galii, łajbą kołyszącą się ciężko pod ładunkiem niebieskoszarego brytańskiego marmuru, trwała długo. Potem ruszyliśmy łądem do Durocortorum, gdzie skręciliśmy do Germanii i podążyliśmy korytarzem wojskowym ciągnącym się wzdłuż Renu.

Możliwość korzystania z cesarskiej poczty kurierskiej to ponury przywilej. Jej specjaliści konni wysłannicy pokonują pięćdziesiąt mil dziennie. My zaklasyfikowaliśmy siebie jako przesyłkę mniej pilną i wzięliśmy przynależny nam wóz: cztery koła na solidnych ośkach, wysokie siedzenia, zmiana mułów co dwanaście mil, a po dwudziestu czterech posiłek i pokoje - za sprawą naszej przepustki to wszystko na koszt miejscowych. Przez całą podróż dokuczało nam zimno.

Osiągnęliśmy pewnego rodzaju zawodowe porozumienie; musieliśmy. Podróż trwała za długo, żeby można się kłócić. Byłem kompetentny, wiedziała o tym; ona, jeśli chciała, wiedziała, jak się zachować. Na postojach pozostawała na widoku i nawet jeśli rzadko się do mnie odzywała, to przecież nie zachęcała swoim zachowaniem złodziei, rozpustników ani męczących właścicieli zajazdów, którzy koniecznie chcieli z nią pogadać. Wiejskim głupkom oraz żebrakom przy mostach wystarczył widok jej zaciśniętych szczęk, żeby się zmyć.

Wszyscy kurierzy i woźnice byli przekonani, że z nią sypiam, ale tego się spodziewałem. Kiedy z nimi rozmawiała, jej ściągnięta twarz świadczyła o tym, że wie, co oni myślą. Oboje unikaliśmy tego tematu. Jakoś nie miałem ochoty żartować sobie z faktu, że biorą mnie za kochanka Heleny Justyny.

W Argentoratum, dużym obozie wojskowym nad Renem, spotkaliśmy młodszego brata Heleny, który tam właśnie stacjonował. Łatwo mi było się z nim dogadać; ci, którzy mają srogie siostry, na ogół rozumieją się nawzajem. Młody Kamil zorganizował wieczerzę, która była jedynym jasnym punktem tej naszej koszmarnej podróży. Po wieczerzy wziął mnie na bok i dopytywał się z niepokojem, czy ktoś w ogóle pomyślał o tym, by mi zapłacić za eskortowanie pani. Przyznałem, że płacą mi, i to dwa razy. Kiedy przestał się śmiać, wytoczyliśmy się obaj na podbój miasta. Powiedział mi w zaufaniu, że siostra przeżyła niejedną tragiczną chwilę. Nie roześmiałem się; był młody, miał dobre serce, a poza tym przecież ten głupiec był pijany.

Helena Justyna chyba bardzo lubiła brata. To rozumiałem. Dziwiło mnie jednak to ciepłe uczucie brata do niej.

W Lugdunum, kiedy wsiadaliśmy do łodzi na Rodanie, o mało co nie wpadłem do wody. Ledwo zdążyliśmy; już wciągnięto trap i łódź zaczęła odbijać, ale załoga zaczęła bosaki o brzeg rzeki, zatrzymała statek, żebyśmy przeskoczyli na pokład, jeśli się odważymy. Przerzuciłem bagaż nad burta, a ponieważ żaden z tych słodkowodnych marynarzy nie miał najmniejszego zamiaru nam pomóc, stanąłem jedną nogą na pokładzie, a drugą na łądzie, żeby odegrać rolę ludzkiej liny, po której pani wciągnie się na pokład.

Helena nie należała do dziewcząt, które zdradzają wahanie. Wyciągnąłem obie ręce. Podczas gdy łódź podskakiwała, Helena uchwyciła się mnie dzielnie, a ja przeniosłem ją na drugą stronę. Załoga natychmiast podniosła bosaki. Zawisłem w rozkroku. Kiedy odstęp pomiędzy statkiem i łądem zaczął się poszerzać, szykowałem się już na spotkanie z lodowatymi wodami rzeki, ale wtedy pani zerknęła za siebie, zobaczyła, co się dzieje, i chwyciła mnie za ramię. Przez sekundę wisiałem rozkraczony; potem ona wzmocniła chwyt, a ja kopnięciem odbiłem się od ładu i klapnąłem na pokład niczym krab.

Miałem ochotę zapaść się pod ziemię. Na naszym miejscu większość ludzi wymieniłaby choćby uśmiech. Tymczasem Helena Justyna odwróciła się bez słowa.

Tysiąc czterysta mil: długie męczące dni, potem noce w identycznych cudzoziemskich zajazdach, pełnych, jak słusznie uważała, okropnych mężczyzn. Nigdy nie narzekała. Zła pogoda, wiosenne przypyły, godna pogardy banda kurierów, ja ; ani jednego jęku z jej ust. Kiedy dotarliśmy do Massilii, zaczynałem ją odrobinę podziwiać.

Jednocześnie byłem o nią zatroskany. Wyglądała na zmęczoną; jej głos brzmiał bezbarwnie. Gospoda była zatłoczona, a ja już zdążyłem się zorientować, że ona bardzo nie lubi tłumu. W porze kolacji na wszelki wypadek, gdyby miała się poczuć niepewnie, poszedłem po nią do pokoju. Ociągała się, nie miała ochoty wychodzić, udawała, że nie jest głodna, jednak moja wesoła mina zdołała ją przekonać.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, Falko, nie marudź.

- Nie najlepiej wyglądasz.

- Nic mi nie jest. - Widocznie to jeden z tych dni. W końcu była tylko człowiekiem.

Otuliłem ją szalem; owinałbym i jeżozwierz, gdyby płacił mi podwójnie.

- Dziękuję.

- To wszystko w ramach usługi - oświadczyłem i zabrałem ją na kolację.

Byłem zadowolony, że poszła ze mną. Nie chciałem jeść samotnie. Były to moje urodziny. Nikt o tym nie wiedział. Tego dnia skończyłem trzydzieści lat.

W Massilii zatrzymaliśmy się w gospodzie niedaleko portu. Nie była ani lepsza, ani gorsza niż reszta miasta; po prostu okropna. Obecność zbyt wielu obcych nie sprzyja miastu. Byłem zesztywniały od podróży, martwiły mnie bolące zębra. Miałem też dziwne uczucie swędzenia, jakby nas obserwowano. Nienawidziłem miejscowego jedzenia.

Harmider w jadalni był przerażający, ogłuszający. W pewnej chwili zawołał mnie kapitan naszego statku, który chciał załatwić sprawy związane z wejściem na pokład. Nic szczególnego: płatność z góry, żadnych specjalnych względów, wypływamy o świcie, dostarczenie bagażu na pokład we własnym zakresie, jeśli nie zdążymy na statek, nie będzie czekał. Dzięki. Cóż za cudowne miasto!

Kiedy wróciłem do Heleny, usiłowała właśnie odpędzić należącego do oberżysty psa kłusowniczego, który trzymał pysk w mojej misce. Ponieważ znajdowaliśmy się w południowej Galii, gdzie dobrze wiedzą, jak torturować obcych, spożywaliśmy właśnie zupę rybną... włóknistą breję, zabarwioną na czerwono i pełną kawałeczków muszli. Postawiłem psu miskę na podłodze. Niewiele udręk dorównuje obchodzeniu urodzin w Massilii, gdzie człowiek przymiera głodem w towarzystwie dziewczęcia, które traktuje cię, jakbyś z lekka cuchnął.

Namówiłem Helenę, żeby przeniosła się do ogrodu. Co oznaczało, że ja też tam pójdę, dlatego zresztą zdecydowałem się ją prosić: potrzebowałem świeżego powietrza. Zapadał zmierzch. Słyszeliśmy dochodzące z oddali odgłosy portu, obok mieliśmy strumień i staw rybny z pluskającymi żabami. Nikt się nie kręcił w pobliżu. Choć było zimno, usiedliśmy na kamiennej ławce. Oboje padaliśmy ze zmęczenia; teraz, kiedy od Rzymu dzielił nas tylko jeden etap morskiej podróży, oboje pozwoliliśmy sobie na lekkie odprężenie.

- Tu jest znacznie spokojniej. Lepiej się czujesz?

- Nie bądź taki nadopiekuńczy - zaczęła mnie strofować, wobec czego w formie wyrzutu powiedziałem jej o swoich urodzinach. - A to pech - skomentowała.

- No cóż, Marku! - mówiłem niby sam do siebie. - Obchodzisz swoje święto pięćset mil od domu: chrześzcząca w zębach zupa rybną, okropne galijskie wino, ból w boku, bezduszna klientka... - Kiedy tak sobie paplałem wesoło, Helena Justyna w końcu uśmiechnęła się do mnie.

- Przestań narzekać. To wyłącznie twoja wina. Gdybym wiedziała, że masz urodziny, kupiłabym ci nasączony winem tort z kandyzowanymi owocami. Ile masz lat?

- Trzydzieści. Z górki do mrocznej łodzi wożącej na drugą stronę Styksu. W łodzi Charona też pewnie będę wymiotował za burtę... A ty ile masz lat?

- Było to dość odważne pytanie, ale przed chwilą jej głos zabrzmiał tak, jakby rzeczywiście żałowała, że nie mogła kupić mi tortu.

- Och... Dwadzieścia trzy.

Roześmiałem się.

- Masz jeszcze czas, by złowić męża... - A potem oznajmiłem, zupełnie naturalnym tonem: - Moje klientki na ogół lubią mi opowiadać o swoim rozwodzie.

- Dziś jest przecież twoje święto - parsknęła moja towarzyszka.

- No to zrób coś dla mnie... Na czym polegał twój błąd?

- Na cudzołożeniu w koszarach kawalerii.

- Kłamczucha! - Nie lubiłem jej, ale to na pewno nie miało nic wspólnego z prawdą. Wiodła przykładowy żywot. Co zresztą mogło być powodem, dla którego jej nie lubiłem. - Zatem wina leżała po jego stronie. Co on takiego zrobił? Zbyt skąpy, jeśli chodzi o kolczyki z opalami, a zbyt swobodny z syryjskimi flectkami?

- Nie - odpowiedziała krótko.

- Bił cię? - zaryzykowałem. Teraz już paliła mnie ciekawość.

- Nie. Jeśli koniecznie musisz wiedzieć - oświadczyła Helena z pewnym wysiłkiem - nie był aż tak mną zainteresowany, żeby sobie zawracać

głowę. Byliśmy małżeństwem cztery lata. Nie mieliśmy dzieci. Żadne z nas nie było niewierne... - Zamilkła. Prawdopodobnie wiedziała, że nigdy nie można mieć pewności. - Lubiłam prowadzenie domu, ale czemu to miało służyć? Więc się rozwiodłam.

Była osobą skrytą; przykro mi się zrobiło, że ją w ogóle spytałem. Na ogół w takim momencie kobiety płaczą, ona do takich nie należała.

- Masz ochotę o tym mówić? Kłóciliście się?

- Raz.

- O co?

- Och... o politykę.

To była ostatnia rzecz, jakiej oczekiwałem, a przecież bardzo typowa. Ryknąłem śmiechem.

- Słuchaj, przepraszam! Ale nie możesz teraz na tym skończyć... proszę, mów dalej.

Zacząłem dostrzegać, w czym tkwił problem. Helena Justyna miała dość hartu, by sprowadzić na siebie cały ten niepokój, a także by zauważyć, jak drażąca ją rozpacz wpływa na jej ducha. Prawdopodobnie to lepsze życie, do jakiego dążyła, w ogóle nie istniało.

Miałem ochotę potrzymać ją za rękę, ale nie była kobietą, która by tego oczekiwała. Możliwe, że jej mąż miał względem niej takie same odczucia. Postanowiła mi powiedzieć. Czekałem na zaskoczenie, jako że wszystko, co kiedykolwiek powiedziała, było niekonwencjonalne. Zaczęła mówić, bardzo ostrożnie; słuchałem z powagą. Helena wyjaśniała, co doprowadziło do jej rozvodu.

A kiedy tak opowiadała, mój osłupiały, niedowierzający umysł powrócił do sprawy srebrnych świnek.



XXXIV

- **W** roku czterech cesarzy - zaczęła Helena - moja rodzina - ojciec, stryj Gajusz, ja - popieraliśmy Wespazjana. Stryj Gajusz znał go od lat. Wszyscy go podziwialiśmy. Mój mąż nie miał zdecydowanych poglądów. Był kupcem - arabskie przyprawy, kość słoniowa, indyjski porfir, perły. Pewnego dnia kilku mężczyzn rozmawiało w naszym domu o drugim synu Wespazjana, Domicjanie. Było to wtedy, kiedy wplątał się on w awanturę z germańską rebelią, tuż przed powrotem Wespazjana. Przekonywali sami siebie, że ten złotodziób będzie idealnym cesarzem - wystarczająco atrakcyjny, by go lubiano, a jednocześnie podatny na manipulację. Byłam wściekła! Kiedy poszli, zwróciłam się do męża... - Zawahała się. Zerknąłem na nią z ukosa i doszedłem do wniosku, że lepiej jej nie przerywać. W półmroku jej oczy nabrały barwy ciemnego miodu - tej ledwie widocznej odrobiny, której nie możesz wyskrobać z zakamarków dna garnka, ale z której tak trudno ci zrezygnować. - Och, Dydiuszu Falconie, cóż mogę powiedzieć? Ta kłótnia nie oznaczała końca naszego małżeństwa, ale pozwoliła mi zobaczyć dzielący nas dystans. On nie dopuszczał mnie do swoich tajemnic; ja nie mogłam go wspierać tak, jak żona powinna. A najgorsze, że on nigdy nie zechciał nawet wysłuchać

mojej opinii - poskarżyła się. Nikt by ze mnie teraz nie wydusił tego oświadczenia, ale pewnie gość obawiał się, że ona ma rację.

- Korzenie i porfir zapewne nieźle go ustawiły finansowo - zasugerowałem. - Mogłaś wieść spokojny żywot, bez wtrącania się...

- Owszem, mogłam! - zgodziła się ze złością. Inne kobiety na jej miejscu uważałyby, że mają szczęście. Wzięłyby sobie kochanka, kilku kochanków, skarżyły się matce, a jednocześnie wydawały gotówkę męża. Niechętnie przyznałem w duchu, że ją podziwiam.

- Dlaczego cię poślubił?

- Chodziło o życie publiczne... wymagało posiadania żony. A to, że wybrał mnie, wiązało go ze stryjem Publiuszem.

- Czy twój ojciec go akceptował?

- Wiesz, jak to jest w rodzinie. Przez lata tworzą się zależności, które prowadzą do nacisków. Mój ojciec ma zwyczaj robić to, czego życzy sobie jego brat. W każdym razie mąż robił wrażenie całkowicie normalnego mężczyzny: nadmierna interesowność, marne poczucie humoru...

Co mogłem na to powiedzieć?! Żeby ją uspokoić, zadałem praktyczne pytanie:

- Czy dobrze rozumiem, że senatorom nie wolno zajmować się handlem?

- Dlatego wszedł w spółkę ze stryjem Publiuszem. On inwestował, natomiast wszystkie dokumenty były na stryja.

- Więc twój mąż był zamożny?

- Jego ojciec. Choć sporo stracili w roku czterech cesarzy...

- Co się wtedy wydarzyło?

- Czy to przesłuchanie, Falko? - Niespodziewanie roześmiała się. Pierwszy raz usłyszałem nutę szczerego rozbawienia, zaskakująco atrakcyjną, która spowodowała, że nie mogłem się powstrzymać i też się zaśmiałem. - A niech tam! - powiedziała. - Kiedy Wespazjan ogłosił swoje prawa i wstrzymał dostawy zboża z Aleksandrii, żeby zmusić senat do poparcia go, zaczęły się trudności dla handlu na Wschodzie. Ojciec i stryj próbowali znaleźć nowe, europejskie rynki... stryj Publiusz pojechał nawet w tym celu do Brytanii, żeby zbadać możliwości eksportowe plemion celtyckich! Wuj Gajusz nie był zachwycony - dodała.

- Czemu nie?

- Nie przepadają za sobą.

- Dlaczego?

- Różnica charakterów.

- A co sądzi Elia Kamilla? Brała stronę męża czy brata?

- Och, ona ma słabość do stryja Publiusza... z tych samych powodów, z których jest on nieznośny dla wujka Gajusza.

Była rozbawiona. Śmiała się tak, że wciąż chciałem słuchać jej śmiechu. Prowokowałem ją.

- Co w tym zabawnego? Z jakich powodów?

- Nie powiem. No dobrze, powiem, ale nie drwij sobie... Lata temu, kiedy mieszkali w Bitynii, a ciotka była jeszcze dzieckiem, stryj Publiusz nauczył ją powożenia wyścigowym rydwanem! - oznajmiła. Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Elia Kamilla robiła tak dystygowane wrażenie. - Znasz wujka Gajusza... najmiłszy człowiek na świecie, lubi od czasu do

czasu przygody, ale w zasadzie jest stateczny. - Domyślałem się tego.

- Wuj Gajusz skarży się, że ciocia Elia powozi zbyt szybko! Obawiam się, że i mnie tego nauczyła - przyznała Helena.

Odchyliłem głowę i cmoknąłem ponuro w stronę nieba.

- Mój dobry przyjaciel, twój wuj, ma całkowitą rację.

- Dydiuszu Falkonie, nie bądź niewdzięcznikiem. Byłeś tak bardzo chory, że musiałam się spieszyć... nic ci z mojej strony nie groziło.

Zupełnie nie w swoim stylu podniosła rękę, udając, że zamierza dać mi kuksańca w ucho. Zasłoniłem się ręką, jakby od niechcenia chwytając ją jednocześnie za nadgarstek. Po czym znieruchomiałem.

Obróciłem dłoń Heleny Justyny wnętrzem ku górze i zmarszczyłem nos, wdychając zapach perfum, który poczułem już wcześniej. Nadgarstek miała mocny, dzisiejszego wieczoru bez biżuterii. Dłonie były zimne, jak moje, a w tym zapachu pobrzmiwała nuta cynamonu, ale o wiele wyraźniejsza. Przyszli mi na myśl partyjscy królowie.

- Cóż to za egzotyczny olejek!

- Malabathron - wyjaśniła, próbując uwolnić rękę, ale nie za bardzo się starała. - Z Indii. Niebywale kosztowna pozostałość po moim małżonku...

- Jaki szczodry!

- Strata pieniędzy. Ten głupiec nawet nie poczuł zapachu.

- Może miał katar, którego nie mógł się pozbyć - zażartowałem.

- Przez cztery lata?

Roześmialiśmy się oboje. W końcu będę musiał puścić jej rękę. Nie widząc innego wyjścia, pochyliłem głowę i z przyjemnością znowu wdychałem ten zapach.

- Malabathron! Uroczy. Mój ulubiony. Pochodzi od bogów?

- Nie, pochodzi z drzewa.

Czułem, że robi się coraz bardziej niespokojna, ale była zbyt dumna, by kazać mi puścić rękę.

- Cztery lata, więc wyszłaś za męża, mając... dziewiętnaście lat?

- Osiemnaście. Całkiem późno. Jak mój mąż kataru, nie mogli się mnie pozbyć z domu.

- Och, szczerze wątpię! - zauważyłem z galanterią. Kiedy kobiety czynią mi honor, opowiadając swoje historie, odwdzięczam się im radą.

- Powinnaś częściej się z niego śmiać.

- Może powinnam śmiać się z siebie. - Tylko wariat spróbowałby pocałować ją w rękę. Ja, w szlachetnym geście, odłożyłem ją na podolek Heleny Justyny. - Dziękuję - powiedziałem cicho zupełnie innym głosem.

- Niby za co?

- Za to, co kiedyś zrobiłaś.

Siedzieliśmy, milcząc, ja odchyłony do tyłu, z wyciągniętą do przodu nogą i jedną ręką przyciśniętą do dających mi się we znaki żeber. Zastanawiałem się, jaka ona była, nim ten bogaty głupiec z zatkanym nosem sprawił, że stała się jadowita w stosunku do innych i tak niepokojona ze sobą.

Kiedy nad tym rozmyślałem, pośród pędzących poszarpanych chmur ukazała się gwiazda wieczorna. Hałas z zajazdu za naszymi plecami przycichły, ponieważ klienci zaczęli sobie opowiadać sprośne dowcipy w

kilkunastu różnych językach - to oznaczało, że już się dość obzarli, ale jeszcze nie spili na umór. Karpie w stawie coraz gwałtowniej burzyły powierzchnię wody. To była dobra pora na przemyślenia, tutaj, pod koniec długiej podróży, gdy nie było nic do roboty oprócz wyczekiwania na statek. Tutaj, w ogrodzie. Tutaj, w rozmowie z rozsądną kobietą, z którą można było tak łatwo wymieniać myśli, jeśli tylko człowiek choć trochę się postarał.

- Na Marsa Mściciela, dotarłem już tak blisko... szkoda, że nie udało mi się odkryć, jak transportują wodą te sztaby!

Takie marudzenie na głos. Nie oczekiwałem przecież odpowiedzi.

- Falko - zaczęła Helena ostrożnie - wiesz, że pojechałam na wybrzeże. Tego dnia, którego wróciłam wściekła...

Zachichotałem.

- Dzień jak każdy inny.

- Posłuchaj! Było coś, o czym ci nie powiedziałam. Ładowali skorupy z łupka. Te koślawe towary do domu: kubki, miski, świeczniki, nogi stołowe w kształcie uśmiechniętych lwów morskich. Okropność. Pojęcia nie mam, kto chciałby coś takiego kupić. Trzeba to ciągle oliwić, bo inaczej kompletnie się pokruszy...

Poczułem zakłopotanie, przypominając sobie tacę, którą podarowałem matce.

- Och, moja pani! Coś takiego mogłoby być ich przykrywką. Czy przyszło ci do głowy, żeby zapytać...

- Oczywiście. Falko, człowiek, który eksportuje tę tandetę, to... Acjusz Pertynaks.

P e r t y n a k s ! To ostatnie imię, jakiego się tutaj spodziewałem. Pertynaks, handlujący nędznej jakości naczyniami kuchennymi. Acjusz Pertynaks: ten edyl ze spiczastym nosem, który kazał mnie aresztować, kiedy szukał Sozji, a potem mnie pobił i połamał mi meble! Rzuciłem jedno krótkie słowo, jakiego używają niewolnicy w kopalniach, mając nadzieję, że Helena go nie zrozumie.

- Nie ma powodu tak się wyrażać - odezwała się spokojnym głosem.

- Są wszelkie powody, pani! Znasz tego obrzydliwca?

Helena Justyna, senatorska córka, która nieustannie mnie zdumiewała, wyrecytowała nietypowym dla siebie, przyciszonym głosem:

- Dydiuszu Falconie, nie jesteś zbyt rozgarnięty. Tak, znam go. Oczywiście, że go znam, w końcu byłam jego żoną.

Teraz dopiero dopadły mnie trudy tej długiej podróży. Poczułem się stłamszony i chory.



XXXV

- Teraz pomyślisz, że to ja.

- Co?

Człowiek całymi miesiącami próbuje znaleźć rozwiązanie zagadki, a ono mu się nieustannie wymyka. A potem, w mgnieniu oka, dowiaduje się tyle, że nie jest w stanie tego ogarnąć.

To dlatego Decymus wypowiadał się tak powściągliwie o Pertynaksie: Pertynaks był jego niewydarzonym zięciem. A c j u s z P e r t y n a k s ! Teraz już rozumiałem. Wiedziałem, jak srebrne świnki są przewożone do Italii, przez kogo i jak ukryte: pod ładunkiem tak nieciekawym, że kiedy celnicy w Ostii - przyzwyczajeni do pobierania podatku od towarów luksusowych i mający znakomity gust - zajrzeli do ładowni, z niesmakiem odwracali się od tych okropnych skorup i dawali sobie spokój z dalszym przeszukiwaniem statku. Biedna Helena w swojej nieświadomości próbowała załatwić nam rejs na statku wyładowanym po brzegi srebrnymi świnkami!

To nie wszystko. Na samym początku to zapewne Acjusz Pertynaks, jako edyl w Okręgu Bramy Kapeńskiej, węszył w biurze pretora i podsłuchał, gdzie na Forum Romanum przyjaciel pretora, Decymus, ukrył zgubioną sztabę - prawdopodobnie to on zaaranżował uprowadzenie Sozji Kamilliny z domu. Kiedy zepsułem jego plany, wyniuchał, że Sozja jest ze mną, powiedział o tym jej ojcu, po czym użył Publiusza jako pretekstu, żeby mnie aresztować za to, że zbyt blisko się podkradłem. Wszystko to czynił w wielkim zdenerwowaniu, ponieważ zgubiona na ulicy sztaba mogła wskazać na niego. Helena była jego żoną.

- Pomyślisz najpewniej - ciągnęła - że jestem w to zamieszana.

Nie była już jego żoną.

- Jesteś na to zbyt uczciwa. - Moja druga myśl... zawsze jest najlepsza.

- Czy teraz potrafisz to już rozplatać w tym swoim tępym umyśle? - podpuszczała mnie. - Te dwa imiona, które Tryfer podał wujowi Gajuszowi, to na pewno Pertynaks, mój mąż, i Domicjan, syn Wespazjana.

- Tak - zgodziłem się. Czuję się tak bezużyteczny, jak Helena zawsze sugerowała. Zapewne dlatego, że Pertynaks był jej mężem, Gajusz Flawiusz odmówił wyjawienia tych imion.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

- Powiedz mi, pani - odezwałem się nieco sztywno - jak dawno temu to wykoncypowałaś?

Milczała.

- Kiedy kapitan statku mojego męża odmówił zabrania nas - powiedziała w końcu. - Przecież Gnejusz i ja rozstaliśmy się w zgodzie. To było takie złośliwe zachowanie.

Więc nadal mówiła o nim Gnejusz!

- Kapitan statku twojego byłego męża musiał być niezłe przestraszony, kiedy zjawiałaś się z tą prośbą! Jak bliski jest twój były mąż - zapytałem, nurtowany kolejną myślą - stryjowi Publiuszowi?

- Stryj Publiusz nic o tym nie wie.

- Na pewno?

- Wykluczone!

- A jakie ma poglądy na temat Wespazjana?

- Stryj Publiusz go popiera, to oczywiste. Jest człowiekiem interesów, pragnie stabilnej sytuacji. Wespazjan oznacza dobrze zarządzane państwo: wysokie podatki... i wysokie zyski z handlu.

- Twój stryj dostarcza Pertynaksowi znakomitego kamuflażu na wiele różnych sposobów.

- Och, Junono, mój biedny stryjek!
- Czyżby? Powiedz mi, jakie stanowisko zajął Publiusz w dyskusji o Domicjanie, która wywołała tamtą twoją kłótnię z Pertynaksem?
- Żadnego. Nie było go tam. On pojawiał się w naszym domu wyłącznie przy okazji uroczystości rodzinnych. Przestań polować na mojego stryja.
- Kiedy muszę.
- Falko! Dlaczego? Na miłość boską, Falko, to ojciec Sozji!
- Właśnie dlatego. Byłoby zbyt łatwo go pominąć...
- Dydiuszu Falkonie, jednego możesz być pewien: że nikt z jej krewnych
- a już w żadnym wypadku jej ojciec - nie mógł być zamieszany w nic, co pozwoliło skrzywdzić to dziecko!
- A twój ojciec?
- No wiesz!
- Pertynaks był jego zięciem; to bliski związek.
- Ojciec darzył go szczerą antypatią po moim rozwodzie - stwierdziła.
- Pasowało to do tego, co sam widziałem. Decymus był wyraźnie zirytowany, kiedy wspomniałem Pertynaksa.
- Spytałem ją, kto właściwie brał udział w tej rozmowie o Domicjanie. Wymieniała kilka imion, które nic mi nie mówiły.
- Czy wiesz coś o Sennym Zaułku? - Zaskoczyłem ją tym pytaniem; patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma, a ja naciskałem dalej: - Sozja Kamillina zginęła w tamtejszym magazynie. Należy do starego dziwaka, patrycjusza, obecnie opuszczającego powoli ten ziemski padół w swojej wiejskiej posiadłości... niejakiego Kapreniusza Marcela...
- Poznałam go - przerwała mi Helena spokojnym głosem. - Byłam w jego magazynie... razem z Sozją. Zaszuszony, umierający w cierpieniach dziwaczny staruszek, który nie miał syna. Zaadoptował sobie spadkobiercę. To się często zdarza. Był nim porządny młody człowiek bez wielkich nadziei na przyszłość, który z radością wszedł do szlacheckiego domu Marcela, gotów czcić swoich nowych znakomitych przodków, samego Marcela pochować z pełnym oddaniem szacunkiem... a w zamian nadzorować jego pokaźny majątek. Dowiedziałbyś się tego wszystkiego w biurze cenzora, gdyby ci przyszło do głowy zapytać. Mój mąż - mój były mąż - w pełni i formalnie nazywa się Gnejusz Acjusz Pertynaks Kapreniusz Marcel.
- Wierz mi - oświadczyłem ponuro - twój były mąż ma jeszcze kilka innych paskudnych imion!
- Wydawało się, że najbardziej stosownie będzie przez chwilę pomilczeć.
- Falko, zakładam, że przeszukaliście ten magazyn?
- Słusznie zakładasz.
- Był pusty?
- Kiedy go przeszukiwaliśmy, tak.
- Znów plusnęły ząby. Zarechotały. Zapluskały ryby. Rzuciłem kamień do stawu i to dopiero był plusk. Odchrząknąłem rechotliwie.
- Coś mi się wydaje - obwieściła senatorska córka, tonem podobnym, jak mówiła jej ciotka Elia - że gbury z biura pretora i smarkacze z Pałacu nie mogą kierować wydarzeniami na skalę imperium.
- Och nie, tą małpią trupą kieruje prawdziwy fachowiec!

- Nie wierzę - oznajmiła - żeby Acjusz Pertynaks był zdolny do morderstwa.

- Skoro tak mówisz.

- Tak mówię! Bądź sobie cynikiem, jeśli nie umiesz inaczej. Może ludzie nigdy tak naprawdę nie poznają innych ludzi. Ale przecież musimy próbować. Ty w swojej pracy musisz ufać własnemu osądowi...

- Ufam twojemu - przyznałem po prostu, tym bardziej że ten komplement był szczery.

- A jednocześnie nie ufasz mnie samej!

Żebra mi dokuczały, noga bolała.

- Naprawdę potrzebna mi jest twoja opinia - oświadczyłem. - Naprawdę ją sobie cenię. Ze względu na nią - na Sozję - w tej sprawie nie można sobie pozwolić na żadne zbytki. Żadnej lojalności, żadnego zaufania... dzięki temu, przy odrobinie szczęścia, uniknie się błędów.

Wymawiając imię Sozji, podniosłem się z trudem, już dawno nie myślałem o niej w taki bezpośredni sposób; wspomnienia były ciągle nie do zniesienia. Jeśli miałem rozmyślać o Sozji Kamillinie, musiałem być sam.

Owinięty płaszczem podszedłem do brzegu stawu. Helena została na ławce. Byłem teraz dla niej z pewnością jedynie niewyraźną, szarą postacią, której płaszcz łopotał od czasu do czasu w ciągnącej od morza bryzie.

- Zanim stanę twarzą, w twarz z rodziną, byłoby dobrze, żebym wiedziała, jak zginęła moja kuzynka - usłyszałem jej cichy głos.

Gajusz był na pewno tą osobą, która ją o tym powiadomiła, i na pewno starał się nie wdawać w szczegóły. Z szacunku dla Sozji przedstawiłem Helenie nagie fakty.

- Gdzie ty wtedy byłeś? - spytała cicho.

- Nieprzytomny w pralni.

- Czy to miało związek ze sprawą?

- Nie.

- Byłeś jej kochankiem? - wydusiła z wyraźnym trudem. Milczenie. - Odpowiedz mi. Płacę ci, Falko.

Tylko dlatego że znałem jej upór, w końcu odpowiedziałem:

- Nie.

- A chciałeś być?

Milczałem na tyle długo, żeby to milczenie samo w sobie stanowiło odpowiedź.

- Miałeś okazję! Wiem, że miałeś... Zatem dlaczego nie?

- Klasa - oświadczyłem. - Wiek. Doświadczenie. - Po chwili dodałem: - Głupota.

Potem zapytała o moją moralność. Mnie się wydawało, że jest oczywista. Co prawda to nie jej interes, ale w końcu powiedziałem, że mężczyzna nie powinien wykorzystywać zapалу młodej dziewczyny, która zobaczyła coś, czego chce, i ma możliwości to uzyskać, ale brakuje jej odwagi, by poradzić sobie z nieuniknionymi następstwami.

- Gdyby Sozja żyła, ktoś inny byłby sprawcą jej rozczarowania. Ja nie chciałem być kimś takim.

Wiatr się wzmógł i szarpał moim płaszczem. Było mi bardzo ciężko na sercu. Musiałem to zakończyć.

- Idę do środka.

Nie zamierzałem zostawiać swojej klientki samej w ciemnościach; teraz, jeśli istniała jakaś sprawiedliwość, musiała to już wiedzieć. Z gospody dochodził hałas rozbawionych gości. Ona nie czuła się zbyt swobodnie w miejscach publicznych, a Massilia w czasie popijawy nie jest odpowiednim miejscem dla dobrze urodzonej kobiety. Dla nikogo zresztą; sam zacząłem się czuć trochę nieswojo tutaj, na otwartym powietrzu. Czekałem nie bez zniecierpliwienia.

- Chyba będzie lepiej, jak odprowadzę cię na górę.

Doprowadziłem ją pod drzwi pokoju, jak zresztą za każdym razem w tej podróży. Prawdopodobnie w ogóle nie zdawała sobie sprawy z tego, ilu nieprzyjemnych drabów zdążyłem już odstraszyć. Pewnej nocy, w okolicy, w której jeszcze nie wynaleziono rygli przy drzwiach, a klientela była wyjątkowo paskudna, spałem z nożem na progu jej pokoju. Ponieważ jej o tym nie powiedziałem, nie miała szansy być mi wdzięczna. Wołałem, żeby tak zostało. W końcu również na tym polegała moja praca. Właśnie za coś takiego, choć niezręcznie jej było ująć to w umowie, płaciła mi ta bezcenna młoda dama.

Bolała nad śmiercią Sozji bardziej, niż sobie wyobrażałem. Kiedy w mrocznym korytarzu odwróciłem się, by powiedzieć jej dobranoc, zobaczyłem, że chociaż w ogrodzie nic na to nie wskazywało, ona była zapłakana.

- Dziękuję, Falko - powiedziała zwyczajnym tonem, kiedy stałem, patrząc na nią z niedowierzaniem.

Przybrałem swój normalny wyraz twarzy, mówiąc szczerze, odrobinę zbyt pokorny, by był tak do końca prawdziwy.

- Wszystkiego najlepszego! - szepnęła, nim się odwróciła.

I z okazji urodzin pocałowała mnie w policzek.



XXXVI

Musiała poczuć, że się wzdrygnąłem.

- Przepraszam! - wykrzyknęła. Powinna była natychmiast się stamtąd zabrać. Na tym powinno się być skończyć. Naprawdę nie miałbym nic przeciwko temu; jej gest był wystarczająco uprzejmy.

Ta przekłeta kobieta nie wiedziała, co ma zrobić.

- Bardzo przepraszam...

- Nigdy nie przepraszaj! - usłyszałem swój zgrzytliwy głos. Od śmierci Sozji skurczyłem się w sobie. Nie potrafiłem już postępować z kobietami. - Nic nowego, pani. Porządny kawałek mięsa potrzebuje gęstego sosu... gladiatorzy stale to dostają. Gdybym tego chciał, już dawno byś o tym wiedziała!

Powinna była natychmiast zniknąć w swoim pokoju. Tymczasem stała tam i patrzyła z niepokojem.

- Och, na miłość boską! - zawołałem z irytacją. - Przystań tak na mnie

patrząc. - Jej wielkie zmęczone oczy wyglądały jak jeziora nieszczęścia.

Przez dwie godziny zastanawiałem się, jak by to było ją pocałować. Więc teraz to zrobiłem. Rozdrażniony zrobiłem krok ku drzwiom i uwięziłem ją między łokciami, a dłońmi objąłem jej kredowobiałą twarz. Szybko było po wszystkim, nie miałem więc z tego żadnej przyjemności i pomyślałem, że to chyba najbardziej pusty gest w moim życiu.

Wyrwała się. Przemarzła w ogrodzie i teraz dygotała. Twarz miała zimną, a rzęsy jeszcze wilgotne od płaczu. Pocałowałem ją, a przecież nadal nie wiedziałem, jak to jest naprawdę ją pocałować.

Znam mężczyzn, którzy twierdzą, że takie kobiety lubią, żeby obchodzić się z nimi ostro i zdecydowanie. To głupcy. Przecież ją teraz ogarnęła czysta rozpacz. Szczerze mówiąc, sam czułem rozpacz.

Helena pewnie by sobie poradziła z sytuacją, ale nie dałem jej na to czasu. To ja się stamtąd zabrałem.

Wróciłem. Za kogo mnie bierzecie?

Przeszedłem ciemnym korytarzem tak cicho jak służący powracający, żeby przekazać jakąś wiadomość, o której wcześniej zapomniał. Zapukałem do drzwi... w swój szczególny sposób: trzy szybkie niegłośne uderzenia kłykciami. Nie ustalaliśmy tego wcześniej, jakoś samo się przyjęło. Zazwyczaj natychmiast podchodziła, żeby mnie wpuścić.

Zapukałem ponownie. Spróbowałem poruszyć rygiel, wiedząc, że nie ustąpi (sam jej pokazałem, jak je klinować w zajazdach). Oparłem czoło o deski i cicho wymówiłem jej pełne imię. Nie odpowiedziała.

Teraz już rozumiałem; ona wcześniej myślała, że osiągnęliśmy w końcu jakieś porozumienie. Zaoferowała mi rozejm, czego ja w swojej głupocie w ogóle nie rozpoznałem, a co dopiero mówić o jego przyjęciu. Była równie szczodra jak ja prostacki. Potrzebowałem szansy, by móc ją przeprosić. Nie chciała albo nie mogła mi jej dać.

Przyszedł moment, kiedy dalsze wystawanie pod jej drzwiami naraziłoby ją na skandal. Wynajęła mnie po to, bym ją chronił przed takimi sytuacjami. Pozostało mi tylko odwrócić się i odejść.



XXXVII

Następnego ranka ubrałem się, spakowałem, a potem, przechodząc, walnąłem w drzwi pani. Pokazała się, dopiero kiedy siedziałem na schodku przed *mansio* i smarowałem sobie buty gęsim tłuszczem. Stała tuż za mną. Powoli wiązałem rzemyki butów, żeby uniknąć podniesienia wzroku. W życiu nie czułem się tak zawstydzony.

- Obojgu będzie nam łatwiej, jeśli teraz zerwiemy umowę - oznajmiła rzeczowo.

- Pani, doprowadzę do końca, co zacząłem.

- Nie zapłacę ci - oświadczyła.

- Możesz uważać umowę za nieważną! - rzuciłem.

Nie mogłem sobie pozwolić na opuszczenie Heleny. Chwyciłem jej bagaż, czy jej się to podobało czy nie, i ruszyłem przed siebie. Jakiś

marynarz bardzo sprawnie pomógł jej wsiąść na statek; mną nikt się nie przejmował. Od razu odeszła i stanęła samotnie na dziobie. Rozłożyłem się na pokładzie z nogami na jej bagażu.

Cierpiała na morską chorobę. Ja tym razem nie. Podeszedłem do niej.

- Mogę w czymś pomóc?

- Odejdź.

Odszedłem. Chyba pomogło.

Przez całą drogę z Galii do Italii były to jedyne słowa, jakie zamieniliśmy. W Ostii, w porannym ścisku, stała przy mnie, kiedy czekaliśmy, by zejść na ląd. Milczeliśmy oboje. Pozwoliłem, by raz czy drugi przygnietli ją inni pasażerowie, po czym ustawiłem ją przed sobą i osłaniałem własnym ciałem. Patrzyła prosto przed siebie. Ja też.

Zszedłem po trapie pierwszy i wynająłem dwuosobową lektycę; minęła mnie i sama weszła do środka. Rzuciłem swój tobolek na drugie miejsce naprzeciwko niej i wyruszyłem w osobnej lektyce z jej bagażem.

Wkraczaliśmy do Rzymu późnym popołudniem. Była wiosna i ruch na drogach wzrósł znacznie. Utknęliśmy przy bramie Ostyjskiej, więc zapłaciłem jakiemuś chłopcu, każąc mu pobiec i uprzedzić rodzinę, że Helena jest w drodze. Sam poszedłem do przodu i wyciągając szyję, próbowałem dojrzeć, co spowodowało zator. Kiedy przechodziłem obok lektyki Heleny Justyny, wystawiła głowę. Zatrzymałem się.

Cały czas wbijałem wzrok przed siebie.

- Widzisz, co się tam dzieje? - spytała cicho. W bardziej towarzyskim geście oparłem łokieć na oknie.

- Wozy dostawcze - odparłem, nie przestając patrzeć na drogę. - Cały rząd. Czekają na zmierzch, żeby nie zatarasować ulic. Furgony pełne beczek z winem, chcącym upłynnić swą zawartość. - Odwróciłem głowę i spojrzałem jej w twarz. - Plus jakaś oficjalna wrzawa z żołnierzami i hałasem. Ważna figura, ze zbyt wielką świtą, wchodzi do miasta z fanfarami...

Wytrzymała moje spojrzenie. Nigdy nie byłem dobry w takich pojedynkach; poczułem sztywnienie karku.

- Dydiuszu Falko, czy wiesz że mój ojciec i wujek Gajusz założyli się? - Helena uśmiechnęła się blado. - Wujek Gajusz uważał, że to ja zwolnię cię w złości; ojciec zaś powiedział, że sam zrezygnujesz.

- Para łobuzów - rzuciłem ostrożnie.

- Moglibyśmy dowieść, że się mylą, Falko.

Twarz mi drgnęła.

- Szkoda tych postawionych pieniędzy.

Pomyślała, że mówię poważnie i nagle odwróciła wzrok.

Poczułem dotkliwy ból w dole brzucha, w którym natychmiast rozpoznałem poczucie winy. Musnąłem palcem jej policzek, tak jak to często robiłem Marcji, mojej małej bratanicy. Zamknęła oczy, prawdopodobnie z odrazy. Ruch na drodze został wznowiony. Wtedy Helena szepnęła do mnie żałośnie: - Nie chcę wracać do domu!

W głębi serca jej współczułem.

Rozumiałem jak się czuje. Wyszła z domu jako panna młoda, dojrzała jako żona, pewnie dobrze prowadząca swoje gospodarstwo. Teraz nigdzie

nie było dla niej miejsca. Wzbraniała się przed ponownym małżeństwem; tak powiedział mi jej brat w Germanii. Musiała powrócić do domu swego ojca. Rzym nie zezwalał kobietom szans na inne życie. Znowu zostanie uwięziona w dziewczęcym życiu, życiu z którego wyrosła. Krótki wyjazd do Brytanii był dla niej ucieczką, a teraz musiała wracać.

Rozpoznałem prawdziwą panikę, ale ona nigdy nie przyznałaby się do tego, a już na pewno przede mną.

Czując się za nią odpowiedzialny, powiedziałem:

- Wciąż wyglądasz na wymęczoną morską chorobą. Zwykłem dostarczać powierzone mi przesyłki w lepszym stanie. Musisz nabrać rumieńców. Zabieram cię na mury i pokażę Rzym!

Skąd mi się biorą takie obłąkane plany? We wschodniej części miasta, całe mile od domu jej ojca, można wspiąć się na wysoką skarpe pierwszych murów miejskich. Po minięciu hałaśliwych straganów lalkarzy, ludzi pokazujących tresowane małpki i warsztatów tkaczy do wynajęcia, wchodziło się na starożytny mury Serwiusza, tworzące zachęcającą do spaceru promenadę. Aby tam dotrzeć musieliśmy przebić się w prawo do centrum miasta i przez Forum na wzgórze Eskwilinu. Większość ludzi skręciłoby ku północy i przeszło przez Bramę Kolińską; ja wymyśliłem spacer w przeciwnym kierunku i zejście z murów dopiero w połowie drogi do domu, na Via Sacra.

Tylko bogowie wiedzą, co myśleli tragarze lektyk, choć sądząc po tym, co muszą widywać regularnie, nietrudno to sobie wyobrazić.

Wspięliśmy się więc na górę, a potem szliśmy spacerem obok siebie. Był dopiero początek kwietnia, pora tuż przed kolacją, nie mieliśmy więc żadnego towarzystwa. A przed nami rozciągało się miasto. Nie ma na całym świecie podobnego widoku. Sześciopiętrowe czynszowe kamienice wyrastały z wąskich ulic, stawały naprzeciw pałaców i prywatnych rezydencji, nie zważając na towarzyskie ani klasowe subtelności. Jasnobieżowe światło głąskało dachy świątyń i migotało w tryskającej z fontann wodzie. Po wilgoci i zimnie wyspy tutaj nawet kwietniowe powietrze wydawało się ciepłe. Podczas tego spokojnego spaceru wspólnie odliczaliśmy Siedem Wzgórz. Kiedy szliśmy grzbietem Eskwilinu na zachód, wieczorny wiatr zawiął nam prosto w twarz. Przyniósł ze sobą nęcące wonie pierogów z mięsem bulgocących w gęstym sosie w pięciuset wątpliwej jakości jadłodajniach, ostryg gotujących się na wolnym ogniu w sosie z białego wina z kolendrą, wieprzowiny duszącej się z koprem, ziarnkami pieprzu i orzeszkami piniowymi w wypełnionej krzątaniną kuchni jakiejś willi bezpośrednio pod nami. Aż do tego wysoko położonego miejsca docierały dalekie odgłosy miejskiego harmidru: okrzyki nachalnych sprzedawców, gadanie oratorów, łoskot zrzucanych ładunków, porykiwanie osłów i stukot kołatek przy drzwiach, zgrzyt żwiru pod nogami maszerującego oddziału gwardii, cały ten gwar, który wzniecają ludzie upakowani tutaj gęściej niż gdziekolwiek indziej w cesarstwie, a nawet w całym znanym nam świecie.

Zatrzymałem się. Z uśmiechem zwróciłem twarz ku Kapitolowi, a Helena stała tak blisko mnie, że jej długa palla, łopocząc, uderzała w mój bok. Miałem uczucie, że zbliża się punkt kulminacyjny. Gdzieś w tej

metropolii czaili się ludzie, których szukałem. Wystarczyło tylko zdobyć dowody, które zadowolilyby cesarza, a potem odkryć, gdzie znajdują się skradzione srebrne świnki. Byłem w połowie drogi do uzyskania odpowiedzi; koniec tej drogi znajdował się tutaj... a ja poczułem się pewny siebie. Kiedy chłonałem znajomą scenerię, ze świadomością, że przynajmniej w Brytanii zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, ciężar żalu, jaki mnie przytłaczał od śmierci Sozji, w końcu zelżał.

Kiedy odwróciłem się do Heleny Justyny, zobaczyłem, że mi się przygląda. Ona też zapanowała nad własnym przygnębieniem. Nic jej tak naprawdę nie dolegało; była dziewczyną, która na jakiś czas uczyniła się nieszczęśliwą. Wielu ludzi tak robi. Niektórzy przez całe życie. Są i tacy, którzy lubią ten stan. Jednak nie Helena. Była na to zbyt prostolinijna i zbyt uczciwa wobec siebie. Pozostawiona samej sobie, miała w pełni spokojną twarz i łagodną duszę. Byłem przekonany, że odzyska cierpliwość dla siebie. Może nie dla mnie, ale jeśli mnie nienawidziła, to nie powinienem się dziwić, bo od momentu, w którym ją poznałem, też siebie nienawidziłem.

- Będzie mi ciebie brakowało - zakpiła.
- Jak odcisku, kiedy przestanie już boleć!
- Tak.

Roześmialiśmy się.

- Niektóre z moich pań chcą się ponownie ze mną zobaczyć! - drażniłem się z nią.

- Dlaczego? - Helena cofnęła się gwałtownie, po swojemu, a oczy jej rozbłyły. - Aż w tak oczywisty sposób oszukujesz w rachunkach, które im przesyłasz?

Schudła ostatnio, ale wciąż miała powabną figurę i niezmiennie podobał mi się sposób, w jaki się czesała.

- Tylko jeśli chcę je jeszcze zobaczyć - powiedziałem z uśmiechem.
- Uprzedzę swojego księgowego, żeby pilnie szukał błędów! - zażartowała w odpowiedzi.

Jej ojciec i wuj przegrali zakład. To nie mogło potrwać długo, ale w tym momencie byliśmy przyjaciółmi.

Wiatr wdzięcznie potargał jej włosy i zaróżowił policzki; w takim stanie mogłem bezpiecznie przekazać ją krewnym. Niech sobie myślą o mnie wszystko, co najgorsze, ale i tak będzie to lepsze od prawdy.

Są dwa powody, dla których zabiera się dziewczynę na mury. Jeden, to żeby pooddychać świeżym powietrzem. To już zrobiliśmy. Pomyślałem o tym drugim powodzie, ale się rozmyśliłem. Nasza długa podróż dobiegła końca. Odstawiłem ją do domu.





CZEŚĆ III

RZYM

WIOSNA A.D. 71



XXXVIII

Na ulicy, przy której mieszkał jej ojciec, czekał na nas komitet powitalny.

Roztrzęsieni i rozkołysani dotarliśmy bez przygód do Okręgu Bramy Kapeńskiej. Lektyki zatrzymały się przed domem senatora. Zaczęliśmy wysiadać. Helena wydała cichy okrzyk. Odwróciłem się: czterech czy pięciu gagatków wyglądających jak niewolnicy, których nikt nie chciał kupić na targu, zbliżało się do nas pospiesznie. Każdy miał frygijkę nasuniętą na czoło, dużo bardziej niż wymagałoby tego ukrycie zdobiących ich twarze dziobów po ospie, jeden trzymał rękę pod płaszczem i wyglądało na to, że nie chowa tam torby z bułkami i wiejskim twarogiem.

- Na Herkulesa, pani! Kończ do drzwi, aż się ktoś pojawi!

Helena podfrunęła do ojcowskich drzwi jak najszybciej, a ja błyskawicznie wyciągnąłem solidny drąg, służący do dźwigania lektyki.

Rozejrzałem się wokół. Przechodnie umykali z chodników i chowali się w sklepikach jubilerów i w kwaciarniach, otwartych dla wieczornego interesu, z latarniami oświetlającymi portyki. Okolica była zbyt wytworna, by oczekiwać jakiejś pomocy. Spacerujący znikali jak pękające podczas deszczu bańki na Tybrze.

Te kreatury były chyże, ale nie tak jak ja. Pod płaszczami mieli pałki głogowe, we mnie jednak, po trzech miesiącach spędzonych w kopalni ołowiu, zgromadziło się więcej agresji, niż oni byli sobie w stanie wyobrazić. Mogłem poczynić sporo szkód, wymachując długim drągiem.

Ostatecznie w reakcji na energiczne kołatanie pojawił się Kamil ze swoimi niewolnikami. Kreatury rozproszyły się raptownie. Pozostawiły za sobą ślady krwi i jednego trupa. To był człowiek, który rzucił się na Helenę. Odepchnąłem ją na bok, wyciągając jednocześnie nóż, który noszę w bucie, po czym po żołniersku kopnąłem go w pizczel, a kiedy pochylił się do przodu, wbilem ostrze od dołu ku górze. Nie zatrzymałoby to nikogo, kto byłby szkolony wojskowo, ale on najwyraźniej nie był i dał się zabić.

W Rzymie noszenie broni jest sprzeczne z prawem. Ja jednak bronilem córki senatora; żaden oskarżyciel nie doprowadziłby do skazania mnie

przez sędziego. Nie po to też znosiłem tę kobietę przez tysiąc czterysta mil, żeby zrezygnować na progu jej domu i stracić podwójne honorarium.

Kamil Werus z mieczem w ręce oddychał ciężko, robiąc przegląd sytuacji. Wokół nas zapanował chaos, który rozlewał się dalej wzdłuż ulicy. W zapadającym zmroku wszystko wyglądało jeszcze bardziej złowieszczo.

- Wymknęli mi się! Wyszedłem z wprawy, chociaż jednego chlasnąłem...

- Nieźle, panie. Przedstawię cię w mojej szkole fechtunku!

- Falko, nie wyglądasz mi najzdrowiej.

- Obezwładniło mnie ciepło powitania... Zabijanie ludzi źle na mnie wpływa.

Zarówno senator, jak i jego małżonka, która wybiegła otoczona stadkiem dziewczek służebnych o płaskich twarzach, czekali, by uściskać swoją szlachetną latorośl. Tymczasem ja, kiedy już raz ją chwyciłem, to kompletnie zapomniałem puścić. (To dobra zasada w stosunku do kobiety, trudna jednak do przestrzegania w tłumie.) Pewnie pierwszy raz w życiu szacowni rodzice Heleny Justyny zobaczyli ją pobladałą i milczącą, przyciśniętą do piersi dyszącego ciężko, kiepsko ogolonego zbira o szalonym spojrzeniu, z zakrwawionym nożem w dłoni. Oddałem ją pospiesznie w objęcia ojca.

Zupełnie zaniemówił, kiedy do niego dotarło, że mógł ją właśnie stracić.

Siedziałem rozdygotany na krawędzi wielkiej donicy, podczas gdy Helenę Justynę przekazywano sobie z rąk do rąk. Nikt nie miał ochoty rugać mnie za strach, który przeżyli, ale oberwało się za to Helenie. Wydawała się nazbyt oszołomiona, żeby protestować. Obserwowałem to, tak przyzwyczajony do roli opiekuna, że czułem się niezręcznie, trzymając się teraz z daleka.

- Dobra robota, Falko! - Jej ojciec podszedł do mnie energicznie i postawił na nogi. Potem zaś zapytał głosem człowieka, który na moją odpowiedź postawił pieniądze: - Podróż przebiegła dobrze?

- Och, spokój podczas podróży dobrze pasował do szczupłego honorarium!

Helena spojrzała na mnie znacząco. Tymczasem ja patrzyłem w niebo jak ktoś, kto jest po prostu bardzo zmęczony.

Decymus posłał sędziemu wiadomość o człowieku, którego zabiłem, i bardzo szybko ciało zabrano sprzed jego domu na koszt miasta. Nigdy już nie usłyszałem o tej sprawie.

Nie było wątpliwości, czego mogli chcieć ci złoczyńcy: kiedy tak nagle zniknęli, nasze bagaże ulotniły się razem z nimi.

Zorganizowałem grupę poszukiwawczą i już wkrótce niewolnicy Kamila wrócili z naszymi rzeczami, które znaleźli porzucone zaledwie dwie ulice dalej. Postawiłem kandelabr na chłodnej posadzce senatorskiego atrium. Ukłakłem i rozpakowywałem wszystko po kolei, sprawdzając dokładnie; Helena przykucnęła obok, by pospieszyć mi z pomocą. Cały czas rozmawialiśmy cicho, jak ludzie, którzy wiele tygodni podróżowali razem.

Jej matka robiła wrażenie zaniepokojonej, choć my byliśmy nazbyt zajęci, żeby zwracać na to uwagę. Wszyscy, których spotykaliśmy w trakcie podróży, urozmaicali swoje nudnawe życie wymyślaniem skandali; zwyczajnie to ignorowaliśmy. Niemniej teraz wyczuwałem, że Julia Justa widzi we mnie powód do zażenowania. Musiałem się do siebie uśmiechnąć: elegancka matka mojej dumnej młodej pani najwyraźniej zadreczęła ją tak samo jak moja rodzicielka mnie.

- Tych prawie nie ruszono; niewiele brakuje - powiedziałem do Heleny Justyny jak do partnera w prowadzonej sprawie.

- List wuja...

- Nie ma tragedii. Nieważne... może napisać ponownie.

Coś jeszcze. Coś, co należało do mnie.

W momencie, w którym uświadomiłem sobie, co zniknęło, Helena musiała zobaczyć wyraz mojej twarzy. Z jej spojrzenia wyczytałem, że musiał być ponury.

- Och, Falko...

Dotknąłem jej nadgarstka.

- Dziewczyno, to nieważne.

- Ważne!

Pokręciłem jedynie głową. Zabrali gagatową bransoletę, tę, którą Helena dała Sozji, a Sozja - mnie.



XXXIX

Senator postanowił udać się do Pałacu jeszcze tego wieczoru. Chciał przekazać wszystko, co wiemy, nie wyłączając naszych podejrzeń dotyczących Domicjana. Miałem siedzieć cicho i czekać na dalsze instrukcje; to akurat nic trudnego.

Zaproponowano mi kolację i nocleg w miękkiej pościeli, ale ja podziękowałem i poszedłem do domu. Z różnych powodów chciałem mieć trochę czasu tylko dla siebie.

Pralnia była zamknięta, pozostawiłem więc sobie przygodę, jaką byłoby powitanie Lenii, na następny dzień. Sześć pięter to spore wyzwanie dla zmęczonego podróżą człowieka. Idąc po schodach, podjąłem decyzję o przeprowadzce. Kiedy dotarłem do mieszkania, wrócił mój upór i postanowiłem tu zostać.

Nic się nie zmieniło. Była moja izba, w którym pies by się z trudem obrócił, o ile byłby to chudy pies z podwiniętym ogonem. Chwiejny stół, krzywa ława, półka z garnkami, stos cegieł, które służyły mi za kuchnię, ruszt, dzbany do wina (brudne), kosz na śmieci (pełen)... Tyle że stół był nie na swoim miejscu. I cegły używane do gotowania pokrywała sadza. Jakiś bezduszny drań głodził wróbla w klatce; wniosek nasuwał się sam: ktoś inny zajmował moje mieszkanie.

Najpierw wyczułem go nosem. Powietrze było przesiąknięte smrodem znoszonych wełnianych tunik, miesiąc niepranych. Nie rozpoznawałem leżącej tam tandetnej szkarłatnej szaty wieczorowej, a para domowych sandałów powitała mnie swoim zapaszkiem z drugiego końca

pomieszczenia. Pomimo że Decymus płacił Smaraktusowi cały czynsz, ten niecny gospodarz wpuścił tutaj jako podnajemcę jakiegoś kelnera roznoszącego grzane wino, żeby podczas mojej nieobecności nasączył mi biuro wszelkimi możliwymi odorami ciała.

Nie było go na miejscu. Miał szczęście.

Wyrzuciłem jego manatki na balkon, kopniakiem posłałem sandały za drzwi, na podest, nakarmiłem wróbla, po czym przemeblowałem tę kłitkę po mojemu. Zjadłem jajka z sardelami, które zostawił w mojej ulubionej misce; smakowały, jakby leżały tam od trzech dni. Kiedy się pojawił, okazało się, że ma tłuste włosy, zepsute zęby i tendencję do puszczenia wiatrów ze strachu, do czego dochodziło za każdym razem, gdy tylko spoglądałem w jego stronę. A spoglądałem dość często, bo był to taki typek, którego cały czas trzeba mieć na oku.

Poinformowałem nieszczęśnika, że to, co płaci Smaraktusowi, powinien płacić mnie, że do znalezienia następnego lokum może nocować pod gwiazdami... albo od razu go stąd wyrzucę. Wybrał balkon.

- Zjadłeś moje jajka!

- A to pech - rzuciłem z gniewną miną. Nie musiał wiedzieć, że przybrałem ją dlatego, że mi kogoś przypominała.

Nie powiem, że mi jej brakowało. Tu, gdzie mieszkam, kobiet o przykrym usposobieniu, którym wydaje się, że ich życie to jedna wielka tragedia, jest na pęczki. Brakowało mi natomiast tego miłego uczucia, jakie przynosiło zarabianie pieniędzy tylko dzięki dotrzymywaniu jej towarzystwa. Brakowało mi poczucia odpowiedzialności za innego człowieka. Brakowało mi nawet tego podniecenia, jakie towarzyszyło zastanawianiu się, co nowego wymyśli ta niemądra dziewczyna, żeby mnie zirytować.

Na Awentynie wieści rozchodzą się szybko. Petroniusz Longus zapukał do moich drzwi dużo wcześniej, niż się go spodziewałem. Cały on: tak dobrze mi znana solidna postura i skromny uśmiech. Zapukał brodę. Okropną. Powiedziałem mu to; zmilczał, ale wiedziałem, że kiedy zobacze go następnym razem, będzie gładko wygolony.

Kelner w tym czasie dobrał się do mojej piwniczki i opróżnił ją (choć oczywiście wypierał się, ale wiadomo, że łgarstwo jest tym, w czym kelnerzy podający wino celują). Na szczęście Petroniusz przytargał amforę swojego ulubionego wina z Kampanii. Przysiadł na ławce, wsparł się plecami o ścianę, wyciągnął długie nogi w wysokich butach, opierając pięty na krawędzi blatu stołu, a kubek umieścił sobie wygodnie na brzuchu. Zdawało mi się, że wieki minęły od czasu, kiedy ostatni raz widziałem Petroniusza tak rozgoszczony u mnie. Rzuciwszy okiem na moją wynędzniałą twarz i całą postać, zapytał tylko:

- Ciężko?

Trzymając się za żebra, podsumowałem cztery minione miesiące.

- C i ę ż k o !

Był gotowy wysłuchać całej opowieści, ale wiedział, że teraz najbardziej potrzebuję urznięcia się w towarzystwie cierpliwego przyjaciela. Jego brązowe oczy zabłysły.

- A jak tam szanowna klientka?

Petroniusz zawsze fascynował się tymi stadkami namiętnych kobiet, które, jak sobie wyobrażał, mnie oblegają. Na ogół zaspokajam jego ciekawość nieobyczajnymi szczegółami, nawet jeśli muszę je wymyślać. Zorientował się, że muszę być wycieńczony, skoro tym razem uraczyłem go tylko dwoma krótkimi zdankami:

- Nie ma się czym chełpić. Zwyczajna dziewczyna.

- Sprawiała ci kłopot? - dopytywał się z przejęciem.

Posłałem mu smutny uśmiech.

- Och, szybko sobie z nią poradziłem.

Nie uwierzył mi; sam sobie nie wierzyłem. Wypiliśmy całe jego wino z Kampanii, bez rozcieńczania wodą, a potem zapadłem w sen.



XL

Nazajutrz Helena Justyna pojawiła się w moim biurze. Było to nadzwyczaj krępujące, ponieważ pewna młoda dama w króciutkiej rubinowej tunice, fikając nóżkami, rozwalala się na moich kolanach; kompromitująca panienska, blaznując, jadła ze mną śniadanie. Moja towarzyska była ładna, scena dość intymna, Helena zaś była ostatnią osobą, której bym się spodziewał.

Wyglądała znakomicie i nieskazitelnie w powłóczystej bieli, a ja czułem się zdecydowanie niezręcznie, że tak zwiewnie odziana, dostojna istota pokonała sześć pięter do mojej nędznej nory, nim w ogóle zdążyłem się ogolić.

- Zbiegłbym na dół...

- Nic nie szkodzi. Marzyłam, żeby zobaczyć cię, jak ponownie zasiadasz na tronie w swoim królestwie! - Obejrzała mnie dokładnie i wciągnęła wstrętne powietrze. - Miejsce wygląda czysto. Czy ktoś się tobą opiekuje? Spodziewałam się posepnych pajęczyn i śladów po szczurach.

Ktoś - moja mama - wpadł tu wcześniej, tak że na chwilę pająki wprowadziły się do gołębi, pod belki dachowe. O szczurach starałem się nie myśleć.

Zsunąłem chichoczące brzemię z kolan na ławkę.

- Idź na balkon i tam poczekaj.

- Tam jest ten człowiek. On śmierdzi!

Kelner; musi się wynieść. Westchnąłem. Helena obdarzyła mnie nieznośnym uśmiechem.

- Marek Dydiusz Falko: rozespany i z kubkiem wina w dłoni. Nie za wcześnie, Falko, nawet jak na ciebie?

- Gorące mleko - wychrypiałem. Zabrzmiało to jak kłamstwo i Helena nachyliła się nad stołem, by zajrzeć do kubka: było to rzeczywiście gorące mleko.

Senatorska córka, roztaczając wokół siebie zapach perfum i charakterystyczną aurę protekcyjności, usiadła na krześle przeznaczonym dla klientów i wbiła wzrok w moją wierzącą się towarzyszkę. Poddałem się.

- To jest Marcja, moja najdroższa przyjaciółeczka. - Najdroższa przyjaciółka, trzyletnia, przykleiła się zaborczo do mojego boku i spoglądała na gościa z gburowatą miną. Chwyciłem ją za tunikę tuż przy szyi, w nadziei, że ją jakoś okiełznam.

I wtedy zobaczyłem ze zgrozą, jak senatorska córka wyciąga ku Marcji ramiona i przenosi ją nad stołem z pewnością osoby, która wie, jak radzić sobie z dziećmi. Pomyślałem o tej czystej, grzecznej dziewczynce, którą widziałem na jej kolanach w Londinium, i zakląłem w duchu. Marcja zwisała jak worek w jej ramionach, zamyśliła się, po czym podniosła wzrok na Helenę, umyślnie się zaśliniła i zaczęła puszczać bańki.

- Zachowuj się - zwróciłem jej nieprzekonująco uwagę. - Wytrzymaj buzię.

Marcja wytarła twarz w pierwszą rzecz, którą miała pod ręką, a był to haftowany koniec długiego białego szala Heleny Justyny.

- To twoja? - spytała Helena ostrożnym tonem. Jeśli mam ochotę, mogę robić u siebie przedszkole, więc odparłem po prostu:

- Nie. - Niezbyt to było grzeczne, nawet jak na mnie, zatem zniżyłem się, żeby dodać: - Moja bratanica.

Marcja była dzieckiem Festusa, o którego istnieniu mój brat nie zdążył się dowiedzieć.

- Jest trudna, bo ją rozpieszczasz - zauważyła Helena.

Powiedziałem jej, że ktoś musi; wyjaśnienie chyba ją zadowoliło.

Marcja zaczęła oglądać kolczyki Heleny, koraliki z błękitnego szkła wiszące na złotych łańcuszkach. Gdyby je ściągnęła, połknęłaby, nim zdążyłbym sięgnąć przez stół i je odebrać. Na szczęście wyglądało na to, że są dobrze zlutowane i mocno się trzymają delikatnych małżowin Heleny. Osobiście wolałbym zająć się samymi uszami, tak przylegającymi do głowy i tak kuszącymi, żeby je skubnąć zębami. Helena podniosła na mnie wzrok, zapewne odgadując, o czym właśnie myślę. Dość sztywno spytałem, czym mógłbym jej służyć.

- Falko, moi rodzice będą dziś na ucztach w Pałacu; twoja obecność też jest tam pożądana.

- Przy jednym żłobie z Wespazjanem? - Byłem szczerze oburzony. - W żadnym razie; jestem zdecydowanym republikaninem!

- Och, Dydiuszu Falkonie, nie rób tyle szumu! - rzuciła ostro Helena.

Marcja przestała puszczać bańki.

- Siedź spokojnie! - zawołałem, kiedy nagle zaczęła się wiercić, rechocząc z przesadną radością; dziecko było ciężkie i nieporęczne jak ciele. - Posłuchaj, oddaj mi ją, nie mogę z tobą rozmawiać, kiedy się martwię...

Helena schwyciła ją mocno, posadziła prosto, ponownie wytarła jej buzię (wykorzystując w tym celu szmatkę, której, jak słusznie odgadła, do tego właśnie używałem), jednocześnie prostując fachowo kolczyki i nie przestając załatwiać ze mną interesów.

- Ona mi nie przeszkadza. Nie ma o czym mówić; ty w ogóle za dużo gadasz, Falko.

- Mój ojciec był licytатorem.

- Łatwo mi w to uwierzyć! Po prostu przestań się martwić - poradziła mi. Zacisnąłem usta w cienką, pełną goryczy linię. Przez chwilę wydawało się,

że już skończyła, kiedy nagle znów zaczęła mówić: - Falko, spróbowałam się spotkać z Pertynaksem.

Nie powiedziałem nic, bo to, co miałem do powiedzenia, nie nadawało się dla jej szacownych, kształtnych uszu. Dusiło mnie widmo innej odzianej na biało dziewczyny, leżącej u mych stóp.

- Poszłam do tamtego domu. Chyba chciałam jakiejś konfrontacji, ale nie było go tam...

- Heleno... - zacząłem.

- Wiem; nie powinnam była tam iść - wymamrotała natychmiast.

- Moja pani, n i g d y nie zbliżaj się samotnie do mężczyzny, by mu powiedzieć, że jest przestępcą! On to wie. Prawdopodobnie spróbuje dać tego dowód, ruszając na ciebie z pierwszą lepszą bronią, jaka mu się nawinie pod rękę. Czy choć powiedziałaś komukolwiek, że tam idziesz?

- Był moim mężem; nie obawiałam się...

- Powinnaś była!

- A teraz ty boisz się o mnie! Tak mi przykro, naprawdę. - Całkiem raptownie ton jej głosu zmiażdżył. Poczulem, jak przechodzą mnie ciarki. - Chciałam cię zabrać...

- Poszedłbym z tobą.

- Pod warunkiem, że stosownie bym cię o to poprosiła? - zażartowała.

- Jeśli będziesz miała tego rodzaju kłopoty - oświadczyłem krótko i zwięźle - nie musisz prosić.

Otworzyła szeroko oczy, zdumiona i zaskoczona. Dopilem mleko.

Uspokajałem się powoli. Marcja kręciła potarganą czuprynką na atrakcyjnym biuście Heleny i obserwowała nas pilnie. Ja patrzyłem na bratanicę - cóż, przynajmniej miałem pretekst, żeby tam skupić wzrok - Helena przymilała się do mnie.

- Przyjdiesz wieczorem? To darmowa kolacja, Falko! Jeden z twoich pracodawców przybył pospiesznie z daleka, żeby się z tobą zobaczyć. Wiesz przecież, że jesteś zbyt dociekliwy, żeby pominąć taką okazję.

- Pracodawców, liczba mnoga?

Powiedziała, że było ich dwóch... może nawet trzech, chociaż raczej nie. Próbowiałem zasugerować, że dwóch oznacza podwójne stawki, ale mi odpaliła:

- Stawki są takie, jakie uzgodniłeś z moim ojcem. Włóż togę; zabierz swoją serwetkę. I rozważ zainwestowanie w golibrodę. I proszę, Falko, postaraj się nie przynieść mi wstydu...

- Nie muszę, pani... sama sobie przynosisz wstyd. Oddaj mi bratanicę! - warknąłem zjadliwie, więc w końcu wypuściła ją z ramion.

Kiedy zostaliśmy sami, trzymając się za ręce, wyszliśmy z Marcją na balkon. Pozbyliśmy się stamtąd kelnera, który odziany tylko w przepaskę biodrową chrapał na sienniku, i w obrzydliwym smrodzie, jaki po sobie pozostawił, czekaliśmy, aż Helena Justyna pojawi się na ulicy. Przyglądaliśmy się, jak wsiada do lektyki, jak jej głowa prześwieca przez pienne śnieżnobiałe zasłonki niczym gałka z tekowego drewna. Nie spojrzała w górę; było mi przykro.

- Bardzo miła pani! - oświadczyła Marcja, której na ogół podobali się

mężczyźni. (Zachęcałem ją do tego, zakładając, że jeśli podobają się jej mężczyźni, kiedy ma trzy lata, to zdąży z tego wyrosnąć i będę miał o wiele mniej zmartwień, kiedy skończy lat trzynaście.)

- Dla mnie ta pani nigdy nie była miła! - burknąłem.

Marcja spojrzała na mnie z ukosa z zaskakująco dojrzałą miną.

- Och, D y d i u s z u F a l k o n i e , nie rób tyle szumu!

Poszedłem do Pertynaksa osobiście. Wszystko, co powiedziałem na ten temat Helenie, było prawdą, postąpiła głupio. Na szczęście ten brutalny cham nie wrócił do domu.



XLI

Tak się złożyło, że następnego dnia natknąłem się na Petroniusza. Zagwizdał i przytrzymał minie na odległość wyciągniętych ramion.

- No, no! Dokąd to się wybierasz, elegancie?

Dla uczczenia wspólnego biesiadowania z panem cywilizowanego świata włożyłem najlepszą tunikę, nad którą tak długo znęcano się w pralni, aż stare plamy po winie stały się prawie niewidoczne. Sandały miałem wyczyszczone, nowy pasek pachniał świeżą skórą, palec ozdobił mi obsydianowy sygnet mojego stryjecznego dziada Skarona. Całe popołudnie spędziłem w łaźni i u balwierza, nie tylko po to, żeby wymienić wiadomości (choć to też robiłem, aż miałem mętlik w głowie). Włosy mi ostrzyżono, więc czułem się lekko jak jagnię. Petroniusz wchłaniał niezwykajne wonie olejku kąpielowego, płynu po goleniu, balsamu do skóry i pomady do włosów, których obłoki mnie otaczały, po czym delikatnie, jednym palcem uniósł nieco dwie fałdy togi na moim lewym ramieniu, jakby dodawał jakiś elegancki, ekscentryczny szczegół do mojego stroju. Toga ta należała do mojego brata, który jak przystało na porządnego żołnierza, uważał, że trzeba się wyekwipować we wszystko, co najlepsze, czy było mu to potrzebne czy nie. Pociłem się teraz pod ciężarem wełny i własnego skrepowania.

- Mam tylko dostarczyć stary zatechły dzban po occie na przyjęcie w Pałacu - oświadczyłem, na wypadek gdyby mój sceptyczny druh zamierzał wyciągnąć z mojego wyglądu jakieś mylne wnioski.

- Nocne zadania? - Wyglądał na wstrząśniętego. - Uważaj na siebie, kwiatuszku! Dla przystojnego chłopca może to oznaczać kłopoty!

Nie miałem czasu na dyskusje. Tyle czasu spędziłem u balwierza, że już byłem spóźniony.

Odźwierny w domu Kamila nie raczył mnie rozpoznać; miałem ochotę mu dołożyć, ale mogłem tym popsuć sobie dobry nastrój i zniszczyć porządne odzienie. Senatora i Julii Justy już nie było. Na szczęście Helena czekała na mnie cierpliwie w atrium i pojawiła się natychmiast, usłyszawszy, że się awanturuję. Siedziała już w lektyce, z której obejrzała mnie dokładnie, podczas gdy ja miałem możliwość przyjrzenia się jej, dopiero kiedy dotarliśmy na Palatyn.

Doznałem wstrząsu.

Cóż potrafią zdziałać pieniądze! Ledwie pomogłem jej wysiąść i ujrzałem ją spowitą w wytworną pallę, z pół-woalką skromnie osłaniającą dolną połowę twarzy, poczułem niepokój. Wydała mi się nagle kimś zupełnie obcym. Kiedy pomogłem zdjąć wierzchnią szatę, musiałem przyznać, że te żalosne pokojówki jej matki dobrze wykonały swój obowiązek. Wyobraziłem sobie, że kiedy już odłożyły na bok instrumenty do manikiuru, pincetę do wyskubywania brwi, szczypce do kręcenia włosów i pałeczki do czyszczenia uszu, oblepiły jej twarz białą mączną maseczką i w końcu musnęły delikatnie gąbką policzki, po czym nałożyły ochrę i subtelny cień ze sproszkowanego antymonu na powieki. Nawet ja musiałem przyznać, że Helena Justyna nieźle się prezentuje. Prawdę mówiąc, cała lśniła, od filigranowej tiary na skomplikowanej fryzurze aż po wyszywane paciorkami sandałki, rzucające iskry spod zakończonego falbaną brzegu jej niebieskozielonej jedwabnej szaty. Ramiona miała odsłonięte. Człowiek odnosił wrażenie, że ma przed sobą chłodną, wysoką, zdecydowanie wyniosłą najadę.

Odwróciłem wzrok. Spojrzałem ponownie, odchrząknąłem.

Przyznałem, nieco chrapliwie, że nigdy wcześniej nie wychodziłem na miasto z najadą.

- Gdybyś znalazła się na plaży w Bajach, naraziłabyś się na poważne niebezpieczeństwo, że jakiś stary słony bóg morski zarzuci cię sobie na plecy, a potem zniewoli na morszczykowym materacu!

Odpowiedziała, że walnęłaby go w płetwy jego własnym trójzębem, a ja na to, że i tak opłacałoby mu się spróbować.

Dołączyliśmy do tłumu, który kierował się w stronę sali jadalnej. Procesja ta szła groteskowymi korytarzami Nerona, gdzie złoto kapalo z pilastrów, łuków i sufitów w takich ilościach, że zlewało się w jedną lśniącą, oślepiającą całość. Pieczołowicie wykonane postaci faunów i cherubinów wirowały nad pergolami, na których, nie zważając na porę roku, pyszniły się róże. Malowidła te ukazywały tak subtelne szczegóły, że po zdemontowaniu rusztowania artysty mogły być podziwiane wyłącznie przez wędrujące wysoko po ścianach muchy i nocne motyle. Ćmiło mi się w oczach od tego bogactwa, jak człowiekowi, który traci wzrok od patrzenia w słońce.

- Ostrzygłeś się! -wycedziła oskarżycielskim tonem Helena Justyna, patrząc na mnie z ukosa.

- Podoba ci się?

- Nie - odparła szczerze. - Podobałeś mi się z lokami.

Chwała Jowiszowi, dziewczyna pozostała sobą. Odwzajemniłem się, wbijając wściekle wzrok w jej modnie poskręcany czub.

- Cóż, pani, skoro już mówimy o lokach, to bardziej podobałaś mi się bez!

Ucztę Wespazjana były nadzwyczaj staroświeckie; usługujące dziewczęta nie zdejmowały odzienia, a on sam nigdy nie zatruwał potraw.

Wespazjan nie przepadał za ucztowaniem, choć przyjęcia wydawał dość regularnie; urządzał je, by zabawić zaproszonych przez siebie ludzi i

zapewnić dochód dostawcom. Ponieważ byłem republikaninem, nie pozwalałem, żeby to robiło na mnie wrażenie. Uczestnicząc w takiej wykwintnej cesarskiej uczcie, wpadłem w ponury nastrój. Nie pamiętam, co podano; cały czas podliczałem, ile to musiało kosztować. Na szczęście Wespazjan znajdował się zbyt daleko ode mnie, żebym mógł podzielić się z nim swoją opinią. Był dość małomówny. Znając go, można się było domyślić, że on też liczy, szacując szkody wyrządzone cesarskiej szkatule.

Kiedy tak broniłem się przed czerpaniem z tego wszystkiego jakiegokolwiek satysfakcji, sługa anonsujący gości dotknął mojego ramienia. Helenę i mnie odciągnięto od posiłku w sposób tak zręczny, że ja nadal trzymałem w ręku szczypce homara, a jej policzek wybrzuszał nieprzełknięty kawałek mątwy przyrządzonej we własnej sepii. Niewolnik garderobiany włożył mi togę, w mgnieniu oka uzyskując to dostojne udrapowanie, nad którym w domu męczyłem się w nieskończoność; inny stosownie nas obuł; osoba towarzysząca zaprowadziła nas do przepysznego westybulu, dwóch dzierżących włócznie strażników przepuściło do wewnętrznych drzwi z brązu, odźwierny je otworzył, towarzyszący nam człowiek zaanonsował nas szambelanowi, ten zaś powtórzył nasze imiona przybocznemu chłopcu, a chłopiec wypowiedział je głośno i wyraźnie, odrobinę tylko przekręcając, czym zepsuł bardzo uroczysty efekt. Weszliśmy do środka. Niewolnik, który do tej pory nie zajmował się niczym szczególnym, teraz przyjął ode mnie to, co pozostało jeszcze ze szczypców homara.

Opadła kotara, tłumiąc dochodzące z zewnątrz odgłosy. Młody mężczyzna - w moim wieku, niezbyt wysoki, z wystającym podbródkiem, którego marmurowe kopie wyrastały jak grzyby po deszczu w całym Rzymie - zerwał się z obitego purpurą krzesła. Ciało miał twarde jak kamień; aż westchnąłem, zobaczywszy, jak rozpiera go energia. Złoty splot liści akantu mięsistego u dołu jego tuniki zafalował. Gestem dłoni ów mężczyzna odprawił przybocznych i osobiście pospieszył, żeby nas powitać.

- Zapraszam! Dydiusz Falko? Chciałem wyrazić moje uznanie dla twoich starań na Północy.

Nie było potrzeby, by Helena dotykała ostrzegawczo mojego ramienia. Natychmiast się zorientowałem, z kim mam do czynienia, i natychmiast zrozumiałem, kim byli moi dwaj mocodawcy. Nie pracowałem, jak dotychczas mi się wydawało, na zlecenie jakiejś snobistycznej grupy wyzwolenców ze Wschodu, zajmujących w administracji pałacowej stanowiska niższego szczebla. Miałem przed sobą samego Tytusa.



XLII

Dopiero co wrócił po pięciu latach spędzonych na pustyni, a na Jowisza, jakież był sprawny, w jakiej doskonałej kondycji. Od razu było widać, że ten człowiek mógł w wieku dwudziestu sześciu lat dowodzić legionem, a potem zmobilizować połowę imperium, by zdobyć tron dla ojca.

T y t u s F l a w i u s z W e s p a z j a n . Gardło, które swędziało

mnie od ostro przyprawionego sosu, stało się teraz suche jak popiół. Dwóch pracodawców: Tytus i Wespazjan. Albo dwie raczej ważne ofiary, gdybyśmy niewłaściwie rzecz ocenili.

Ten pogodny, młody dowódca miał być zajęty obleganiem Jerozolimy; najwyraźniej już sobie z tym poradził i podejrzewałem, że przy okazji zdobył też tę cudowną judejską księżniczkę. Kto by go za to winił? Cokolwiek by sądzić o jej życiu i moralności (kiedyś wyszła za stryja, a krążyły pogłoski, że sypiała ze swoim bratem, królem), księżniczka Berenika była najpiękniejszą kobietą świata.

- Heleno Justyno!

Kawałek skorupy homara zazgrzytał mi w zębach. Skoro już sobie przywłaszczył królową, to przecież nie ma potrzeby czynienia zakusów na moją osobistą najadę. Domyśliłem się, że zrobił na niej wrażenie, po spokojnym tonie, jakim się odezwała:

- Chcesz, panie, porozmawiać z Falkonem. Mam odejść?

Kiedy pomyślałem, że może to zrobić, poczułem nagle ukłucie paniki, ale on szerokim gestem zaprosił nas oboje.

- Ależ nie, proszę. Ciebie to też dotyczy.

Znaleźliśmy się w wysokim pomieszczeniu, którego ściany, obramowane skomplikowanymi kwietnymi wzorami, ukazywały baraszujące boskie postaci. Każdy kawałek powierzchni lśnił złotem. Zamrugalem.

- Przepraszam za oślepianie - powiedział Tytus z uśmiechem. - Rezultat dobrego gustu Nerona. Jak się domyślacie, mój biedny ojciec ma teraz problem, czy się do tego przyzwyczaić, czy też przeznaczyć fundusze na budowę nowego pałacu.

Zazdrościłem im tego problemu.

- Niektóre z pomieszczeń - ciągnął Tytus - są tak obrzydliwe, że musieliśmy je wyłączyć z użytku. Cały kompleks pałacowy rozciąga się na trzech wzgórzach, a my mamy kłopot ze znalezieniem w nim skromnych rodzinnych pokoi. Co dopiero mówić o prawdziwie funkcjonalnych salach do celów oficjalnych. Niemniej, są pilniejsze sprawy... - dodał. Nie przyszedłem tutaj, by wymieniać uwagi na temat urządzania wewnątrz, ale on właśnie zmienił rytm kroków, wskazując, że przechodzi do interesów, wobec czego się uspokoiłem. - Ojciec poprosił mnie, bym spotkał się z wami nieformalnie, ponieważ audiencja publiczna mogłaby być niebezpieczna. Twoje informacje na temat tego, że skradzione sztaby są pozbawione srebra, zostały w odpowiedni sposób przekazane pretorianom. Bardzo ich to zainteresowało, mimo że są tacy wierni! - Był ironiczny, nie okazując przy tym zbędnego cynizmu.

- Co nadal pozwala spiskowcom cieszyć się wolnością... - wtrąciłem.

- Pozwól, że uzupełnię twoją wiedzę o najnowsze wydarzenia. Dziś rano aresztowaliśmy Acjusza Pertynaksa Marcela. Dowody są słabiotkie, ale musimy od niego wyciągnąć, kto jeszcze jest w to wplątany. Zatem... - Zawahał się.

- Więzienie mamertyńskie? - spytałem. - Cele dla politycznych?

Umierali tam już szlachetnie urodzeni; te cele cieszyły się złą sławą. Helena Justyna wciągnęła głośno powietrze.

- Nie na długo - wyjaśnił jej Tytus, a w jego głosie nie było przeprosin. - Ktoś go tam odwiedził - wbrew wszelkim przepisom - jeszcze nie wiemy kto. Wkrótce po tym strażnicy znaleźli go uduszonego.

- Och nie!

Rzucił tę informację o śmierci jej męża od niechcienia; Helena Justyna była wyraźnie poruszona. Ja też. Bo przecież obiecałem sobie przyjemność osobistego policzenia się z Pertynaksem. To dość typowe, że musiał dobrać sobie takich współników, którzy pozbawili mnie tej możliwości.

- Heleno Justyno, czy ty i Pertynaks pozostawaliście w dobrych stosunkach?

- Można powiedzieć, że w żadnych - odpowiedziała pewnym głosem.

Przyglądał się jej w zamyśleniu.

- Czy umieścił cię w swoim testamencie?

- Nie. Był szczodry, kiedy dzieliliśmy nasz majątek, a potem sporządził nowy testament.

- Omawialiście go?

- Nie. Ale mój stryj był jednym ze świadków.

- Czy po powrocie z Brytanii rozmawiałaś z Acjuszem Pertynaksem?

- Nie.

- Czy możesz mi zatem powiedzieć - spytał ją chłodno Tytus - po co udałaś się dzisiaj do jego domu?

Syn cesarza stosował ten sam rodzaj zaskoczenia, którego i ja lubię używać. Gładziutko przeszedł od uprzejmości do przesłuchania. Helena odpowiedziała mu spokojnie i rzeczowo, choć najwyraźniej się tego nie spodziewała:

- Znając go, pomyślałam, panie, że dobrze będzie, jeśli przedstawię mu to, co wiemy. Jego ludzie powiedzieli mi, że go nie ma...

- Rzeczywiście. - Był w mamertyńskim więzieniu; martwy. Tytus popatrzył na mnie przebiegle. - A po co ty tam poszedłeś, Falko?

- Żeby wkroczyć, gdyby jej mąż okazał się ordynarny.

Uśmiechnął się na te słowa, po czym znów spojrzał na Helenę; odwróciła się ku mnie tak gwałtownie, że złote krążki kolczyków zatańczyły, wywołując delikatną kaskadę szmerów. Nie zważając na jej wzrok, przygotowywałem się do ewentualnej interwencji, gdyby Tytus ośmielił się przekroczyć pewne granice.

- Testament Pertynaksa zawiera kodycył - oświadczył. - Napisany zaledwie wczoraj, w obecności nowych świadków. Rzecz wymaga wyjaśnienia.

- Nic o tym nie wiem - oznajmiła Helena. Teraz twarz miała napiętą.

- Czy to konieczne, panie? - przerwałem lekkim tonem. Zacisnął szczęki, ale ja nie ustępowałem. - Wybacz, panie. Kobieta wezwana do sądu oczekuje, że przyjaciel przemówi w jej imieniu.

- Wydaje mi się, że Helena Justyna potrafi mówić sama za siebie!

- Och, na pewno! - Rzuciłem mu uśmiech. - Może właśnie dlatego wolałbyś, panie, mieć do czynienia ze mną.

Siedziała, milcząc, jak przystoi niewieście, na której temat trwa formalna rozmowa pomiędzy mężczyznami. Nie spuszczała ze mnie wzroku. To mi się nawet podobało, choć Tytus nie był zachwycony.

- Pani nie znajduje się w sądzie - zauważył Tytus spokojnie, a ja spostrzegłem, że jednak nieco się powściąga. - Falko, myślałem, że pracujesz dla nas! Za mało ci płacimy? - spytał. Człowiekowi, którego serce podbiła najpiękniejsza kobieta świata, można ostatecznie wybaczyć uczuciowość.

- Szczerze mówiąc, wasze stawki są raczej mizerne - odpowiedziałem bez mrugnięcia okiem.

Uśmiechnął się lekko. Wszyscy wiedzieli, że Wespazjan jest sknerą.

- Obawiam się, że nowy cesarz jest z tego znany! Potrzebuje czterystu milionów sestercji, by przywrócić dobrobyt cesarstwa, a na liście jego priorytetów ty lokujesz się gdzieś pomiędzy odbudową świątyni Jowisza a osuszeniem wielkiego jeziora na terenie Złotego Domu Nerona. Ulży mu, kiedy się dowie, że Helena Justyna dba o to, byś nie umarł z głodu! Zatem, Dydiuszu Falkonie, jako jej przyjaciel w sądzie, pozwól sobie powiedzieć, że były mąż twojej klientki uczynił dla niej dość niezwykajny zapis.

- Każdy zapis pochodzący od tego parszywca będzie w moim przekonaniu niezwykajny. Jak on brzmi? - spytałem.

Tytus posłał paznokiec kciuka, choć manikiur miał nienaganny.

- Zawartość magazynu przypraw korzennych w Sennym Zaułku - oświadczył.



XLIII

Nie okazałem emocji i szybko myślałem.

- Co, panie, mógł według ciebie mieć na myśli?

- Posłałem ludzi, żeby przeszukali to miejsce.

- Znaleźli coś?

- Nic dla nas. Dla damy mnóstwo przypraw korzennych i dość perfum, by codziennie do końca życia mogła się nimi zlewać jak Kleopatra. - Odwrócił się, zmieniając jednocześnie ton. - Heleno Justyno, czy to cię zdenerwowało? Pertynaks nie ma żadnej rodziny oprócz ojca, który go adoptował. Może zachował dla ciebie uczucia z czasów małżeńskich.

To ją rzeczywiście zdenerwowało. Siedziałem bez ruchu; nie moją rolą było mówić o uczuciach Pertynaksa do niej... ani o tym, czy ona ich sobie życzyła.

Tytus niepokoił ją dalej, a ona siedziała zaskoczona i oszołomiona.

- Dobra zdrajcy uległy konfiskacie... ale doceniając twoją pomoc, mój ojciec życzy sobie, byś zachowała spadek. W stosownym czasie ten dar zostanie ci udostępniony.

Helena Justyna zmarszczyła brwi. Chciałbym być świadkiem, jak gromi cezara, nawet gdyby miała to być tylko pewna odmiana gromienia mnie samego. Nie mogłem na to liczyć, udzieliłem jej więc rozsądnej rady.

- Heleno Justyno - odezwałem się - powinnaś powiedzieć teraz cesarowi o ludziach, którzy przyszli do domu twojego małżonka, tych, o których rozmawialiśmy w Massilii. - Wspominając Massilię, zeszywniałem; starałem się nie myśleć o błędzie, jaki popełniłem w tamtej gospodzie.

Helena przyjęła moją zachętę jak zwykle dość obojętnie.

Powtórzyła tę historię Tytusowi swoim prostym i bezpośrednim stylem. Zażądał imion; podała mu ich listę. Tym razem pamiętałem już kilka z nich, choć nadal nic dla mnie nie znaczyły: Aufidiusz Krispus, Kurcjusz Gordian, jego brat Longin, Faustus Ferentyn, Korneliusz Gracilis...

Tytus sięgnął po potrójne woskowane tabliczki i zaczął stenografować szybkimi pociągnięciami rylca, nie zwracając sobie głowy - albo chcąc zachować poufność - wezwaniem sekretarza. Zresztą powszechnie znany był z umiejętności szybkiego stenografowania.

Kiedy przyglądał się uważnie spisanyim imionom, zwróciłem się do niego:

- Czy będzie z mojej strony wielką niedyskrecją, jeśli spytam, czy twojego brata, panie, nakłoniono do udziału w spisku?

- Żadne dowody materialne nie wskazują na zaangażowanie Domicjana - odpowiedział zimno, tonem nic niewyrażającym. Tytus był kiedyś adwokatem; to była właśnie odpowiedź adwokata. Nagle stał się niespokojny. - Czy wiecie, dlaczego tak pospiesznie wróciłem do domu? Pogłoski! - wybuchnął. - Brałem udział w konsekracji byka Apisa w Memfis. Ukoronowano mnie diademem - to część rytuału - więc w Rzymie dochodzą do wniosku, że sam czynię siebie cesarzem Wschodu!

- U balwierzka dzisiejszego popołudnia mówiono - zauważyłem - że nawet twój ojciec, panie, miał wątpliwości!

- Więc twój balwierz powinien widzieć nas obu, kiedy wpadłem wczoraj do Pałacu, krzyżąc: „Ojcze, oto jestem!” Jeśli zaś chodzi o mojego brata, to w wojnie domowej niemal stracił życie, kiedy świątynia Jowisza płonąła mu nad głową. Mój stryj, który mógłby być wtedy jego doradcą, został właśnie zamordowany przez zwolenników Witeliusza. W wieku osiemnastu lat, bez żadnego politycznego doświadczenia, Domicjan nagle stał się reprezentantem cesarza w Rzymie. Było to zupełnie niespodziewane. Dokonał wyborów, które okazały się niemądre, z czego sam teraz zdaje sobie sprawę. Nikt nie może żądać ode mnie, bym potępił brata tylko dlatego, że jest taki młody!

Uchwyciłem spojrzenie Heleny; żadne z nas się nie odezwało.

Tytus pomasaował sobie czoło.

- Co jeszcze mówi się u twojego golibrody, Falko, o tym całym zamęcie?

- Że twój ojciec nienawidzi nielojalności, ale że zawsze słucha ciebie. Że kiedy byliście obaj w Aleksandrii, Wespazjan się wściekł, usłyszawszy, że twój brat wybiera się tłumić germańską rebelię w niego wymierzoną, ale że ty przekonałeś go, by okazał Domicjanowi wyrozumiałość. - Ponieważ nie zaprzeczał, dodałem radośnie: - Na pewno zauważyłeś, panie, że wybrałem sobie balwierzka, który posiada ściśle informacje! - Kątem oka zauważyłem, że Helena Justyna spojrzała ze smutkiem, jak mi się wydawało, na moją głowę pozbawioną loków; ja starałem się w ogóle nie patrzeć na Helenę. - Więc co teraz, panie?

Tytus westchnął.

- Mój ojciec poprosił senat, by przyznał mu uroczysty triumf. Będziemy świętować zdobycie Jerozolimy w pochodzie, jakiego Rzym jeszcze nie oglądał. Jeśli masz dzieci, zabierz je ze sobą; nie ujrzą nigdy więcej czegoś

takiego. Będzie to nasz dar dla miasta... ośmielę się rzec, że w zamian zapewniona będzie przyszłość dynastii flawijskiej.

Tym razem to Helena dokonała oceny sytuacji.

- To, między innymi, panie, że twój ojciec ma dwóch dorosłych synów, czyni go tak atrakcyjnym jako cesarza - zauważyła roztropnie. - Flawiusze oferują Rzymowi długotrwałą stabilizację, zatem ty panie, i twój brat m u s i c i e pojechać w tej paradzie. Wszystko musi robić wrażenie pełnej harmonii...

Tytus nie skomentował jej słów.

- Pod koniec tego tygodnia - oświadczył - pozycja mojego ojca będzie ostatecznie ugruntowana. Falko, u m o j e g o balwierza mówią, że ani gwardia pretoriańska, ani mój brat nie będą teraz współpracować, by przeciwstawić się mojemu ojcu. Ci ludzie zapragną schować się do nory i zapomnieć o tym, co było. Teraz, kiedy mam tę listę imion, zamierzam raczej pozwolić im się zaszyć...

Obdarzyłem go przeciągłym spojrzeniem.

- Zatem chodzisz, panie, do swojego balwierza tylko po to, żeby cię ostrzygł! - zakpiłem.

Tytus miał bujne loki, tak przycięte, żeby dobrze się prezentowały pod złożonym wieńcem, ale na tyle długie, by mogły się ładnie skręcać. Nie znoszę przystojnych mężczyzn, szczególnie kiedy się gapią na kobietę, z którą przyszedłem.

- Co to ma znaczyć, Falko? - spytał Tytus nieszczerze rozbawiony.

- Sądząc po jego informacjach, twój balwierz, panie, jest nikczemnikiem.

- F a l k o ! - To Helena próbowała mnie ratować, nim znów się pogrązę, ja jednak brnąłem dalej.

- Myli się z dwóch powodów, o czym powinien cię, panie, przekonać fakt, że ci ludzie uważali za wskazane uciszyć Pertynaksa - mówiłem. Tytus całkiem delikatnie zachęcił mnie, żebym kontynuował. - Panie, ani ty, ani ja nie możemy pozwolić tym zdrajcom ujść wolno. Nawet jeśli Tryfer ich oszukuje, to nadal są w posiadaniu znaczącej części cesarskiego srebra, które potrzebne jest twojemu ojcu - to pierwszy powód. Drugi, z całym szacunkiem, to inteligentne, złocistowłose, l o j a l n e szesnastoletnie dziewczę, Sozja Kamillina.

Helena Justyna patrzyła na mnie tak uważnie, że aż poczułem się dziwnie. Nie dawałem się im obojgu.

Tytus przesunął palcami obu dłoni po swojej dobrze utrzymanej fryzurze.

- Masz całkowitą rację. Mój balwierz jest nikczemnikiem - oświadczył.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

- Ludzie cię nie doceniają, Falko.

- Ludzie nie doceniali Wespazjana przez sześćdziesiąt lat!

- Głupcy nadal tak czynią. Pozwól, że przekażę ci jego instrukcje.

Chcieli mnie wykołować. Tytus jeszcze próbował mnie zniechęcić, jeszcze kombinował, żeby sprawa przeciwko Domicjanowi umarła śmiercią naturalną, ale zauważyłem, że ma przygotowaną mowę na wypadek, gdyby ta próba się nie powiodła. Z poważnym wyrazem twarzy nachylił się ku mnie.

- W swoim śledztwie omijaj imię mojego brata. Znajdź srebro... i mordercę tego niewinnego dziewczęcia. I najważniejsze: ustal tożsamość człowieka, który to wszystko zaplanował.

Zasugerowałem podwyższenie mojego honorarium; on stwierdził, że za to samo śledztwo zapłacą mi tyle samo. Jako że zawsze miałem fioła na punkcie logiki, zgodziłem się.

- Ale nie mogę pomijać Domicjana...

- Musisz - oświadczył Tytus kategorycznie.

A potem kotara za nami gwałtownie się odchyliła. Już miałem się odwrócić, gdy nagle ktoś, kto wszedł nie zaanonsowany, zaczął sobie pogwizdywać. Ze zdumieniem rozpoznałem melodię.

Była to piosenka o Wespazjanie; o Tytusie; o Berenice. Żołnierze śpiewali ją w wolnym tempie, niskimi głosami na zakończenie wieczoru, kiedy już mieli dobrze w czubie. Śpiewali ją w gospodach i w burdelach, z zawiścią i z aprobatą, ale żaden z tych, których znałem, nie ośmieliłby się nawet zanucić jej tutaj. Jej tekst bowiem brzmiał następująco:

*Och, starszy pan... błysnął uśmiechem!
Potem młody pan... błysnął uśmiechem!
Więc Żydów królowa i pani dworu
Nie mogła stracić honoru
Wystarczyło jej tylko dokonać wyboru
Kiedy starszy pan
I młody pan... błysnęli uśmiechem!*

Tylko jedna osoba ośmieliłaby się gwizdać tak bezczelnie w obecności Tytusa. Wespazjan pełnił honory na przyjęciu, więc od razu wiedziałem, kim musi być ten swawolnik.

Pojawił się Domicjan, młodszy brat Tytusa: lekkoduch zamieszany w nasz spisek.



XLIV

- **T**o dopiero musiały być zawody, bracie!

- Nie wszystko w życiu to zawody - odparł Tytus spokojnie.

Wydawało się, że w przypadku Domicjana przynależny mu tytuł honorowy, cesar, wnosi nutkę ironii. Młody człowiek miał loki Flawiuszów, ich dołek w brodzie, a do tego byczy kark, kanciaste ciało i krępa budowę. Nie wyglądał przekonująco. Był o dziesięć lat młodszy od Tytusa, co tłumaczyło zarówno jego urazy, jak opiekuńczość i lojalność brata. W wieku dwudziestu lat wciąż miał miękką cherubinkową twarz.

- Przepraszam! - zawołał. Pierwszym moim wrażeniem było, że podobnie jak brat posiada umiejętność rozbijania innych. Drugim wrażeniem, że dobrze gra. - Co się tu dzieje... sprawy państwowe? - Przypomniało mi się, jak szybko i zdecydowanie ojciec położył kres udziałowi Domicjana w sprawach państwowych.

- To Dydiusz Falko - powiedział Tytus głosem dowódcy. - Krewny

centuriona z mojego legionu stacjonującego w Judei.

Dopiero teraz zrozumiałem, że to zlecenie zawdzięczam swojemu bratu. Wespazjan i Tytus znali Festusa, więc mi zaufali. Nie pierwszy już raz w życiu pomyślałem o starszym bracie z mieszanymi uczuciami. Nie pierwszy raz w tej konkretnej sprawie poczułem, że jestem potwornie nierozgarnięty.

Jakby ustalono to wcześniej, jakiś służący podał mi sakwę pełną monet, którą z trudem mogłem utrzymać.

- To mój osobisty dar, Dydiuszu Falkonie, jako dowódcy Piętnastego Legionu Apollinaris - oświadczył wyważonym tonem Tytus - dla twojej matki. Niewielka rekompensata za utratę wsparcia. Dydiusz Festus był niezastąpiony dla nas obojga.

- Znałeś go, panie? - spytałem, nie dlatego, że chciałem to usłyszeć; wiedziałem jednak, że kiedy powtórzę matce te kwieciste bzdury, ona mnie właśnie o to zapyta.

- Był jednym z moich żołnierzy; starałem się poznać ich wszystkich.

W tym miejscu do naszej rozmowy wtrącił się Domicjan, wybuchając śmiechem, który zabrzmiał szczerze.

- Obaj mamy szczęście, Dydiuszu Falkonie, że nasi bracia tak chwalebnie zdobyli znakomitą opinię!

Teraz ujawnił wszystkie dary rodu Flawiuszów: wdzięk, inteligencję, szacunek dla zadania, które należy wykonać, cięty dowcip, rozsądek. Mógłby być nie gorszym mężem stanu niż ojciec i brat; czasami mu się to nawet udawało. Wespazjan równo podzielił się swoimi talentami; różnica polegała na tym, że tylko jeden z synów wykorzystywał je ze zdecydowaniem i pewnością.

- Powiedz matce, że może być dumna, Falko. - Tytus zakończył spotkanie.

Udało mi się zachować spokój. Kiedy się odwróciłem, Domicjan ustąpił na bok.

- Kim jest ta dama? - zapytał mnie bez ogródek, kiedy Helena Justyna podniosła się, iskrząc złotem i szeleszcząc jedwabiem. Oceniał ją bezwstydnym spojrzeniem.

Jej zakłopotanie tak mnie rozgniewało, że wystrzeliłem mu w odwecie:

- Byłą małżonką n i e ż y j ą c e g o e d y l a , niejakiego A c j u s z a P e r t y n a k s a .

Na dźwięk tego imienia w jego oczach rozblęsnął niepokój.

Tytus podszedł z nami do drzwi, jednocześnie wystawiając na próbę swojego brata.

- Ten edyl pozostawił swojej pani w testamencie dziwny zapis. I teraz ten łowca fortun chodzi za nią wszędzie, w każdej sytuacji mając oko na jej interesy...

Domicjan nie wykazywał już nawet śladu nerwowości. Ucałował dłoń Heleny z tym charakterystycznym spojrzeniem spod półprzymkniętych powiek, które bardzo młodzi mężczyźni traktują jako deklarację swojej sprawności w łóżu. Ona patrzyła na niego zimno. Tytus zainterweniował z gładkością, której mu pozazdrościłem, całując ją niczym krewny w policzek, kiedy już byliśmy przy drzwiach. Pozwoliłem mu na to. Sama

potrafiłaby go powstrzymać, gdyby tylko zechciała.

Miałem nadzieję, że ona wie, iż ród, do którego ci dwaj należą, wziął się od Sabinów, czyli jest pochodzenia plebejskiego. Zanim przywdziali purpurę, byli prowincjonalni i pospolici: skąpi, rządzeni przez kobiety i z obsesją na punkcie pracy. Obaj już mieli bandziochy, a żaden nie dorównywał mi wzrostem.

Musiałem zostawić Helenę samą, żeby znaleźć kogoś, kto przyniesie jej lektykę. Puste atrium wydawało się tak ogromne, że aż się zatoczyłem, starając się ogarnąć je wzrokiem, ledwie jednak wróciłem, dostrzegłem ją natychmiast - pasmo morskiej zieleni na krawędzi fontanny. W cieniu wysokiego posągu Nerona jako boga słońce wyglądała na zaniepokojoną i onieśmiałą.

Jakiś mężczyzna w senatorskiej todze z szerokim purpurowym szlakiem z przodu coś do niej mówił; taki typ, co to odchyła się cały do tyłu, a kałdun wylewa mu się znad pasa. Jej odpowiedzi były krótkie. Z ulgą patrzyła, jak się zbliżam.

- Gdzież indziej miałbym szukać najady jak nie przy tryskającej wodzie? Szukają jeszcze naszej lektyki, ale wkrótce się pojawi...

Stanąłem tuż obok. Mężczyzna z purpurowym pasem wyglądał na poirytowanego; ja poweselałem. Nie przedstawiała nas sobie. Zauważyłem, że się wyraźnie odprężyła, kiedy odszedł.

- Przyjaciel?

- Nie. Może to dziwne, ale przyjaźnię się z jego żoną.

- Cóż, kiwnij tylko głową, jeśli będziesz chciała, żebym zniknął.

- Och, bardzo dziękuję! - rzuciła ponuro. Usiadłem obok niej na krawędzi fontanny i rozmyślałem na głos.

- Ciekawa sprawa, rozwód. Wydaje się, jakby kobiecie na szyi wieszano tabliczkę z napisem „bezbronna”.

Trafił się nam jeden z tych rzadkich momentów, kiedy pozwalała mi się oglądać w stanie emocjonalnego napięcia.

- Czy to dotyczy też innych? Bo zaczęłam już myśleć, że to ja jestem jakaś dziwna - powiedziała. Zobaczyłem jej lektykę, więc tylko uśmiechnąłem się w odpowiedzi. - Dydiuszu Falkonie, czy dopilnujesz, żebym wróciła bezpiecznie do domu? - zapytała.

- Wielkie nieba, tak! To przecież jest Rzym nocą. Czy twoja lektyka pomieści mnie i mój worek złota?

Ucztowanie w Pałacu natchnęło mnie szaleńczymi pomysłami. Ona jednak skinęła głową, po czym poinformowała spokojnie tragarzy, że zabiorą także mnie.

W lektyce oboje usiedliśmy ukosem, żeby uniknąć zderzenia się kolanami. Tragarze wyruszyli w dół północnej strony Palatynu i posuwali się powoli z powodu dodatkowego obciążenia. Nie było jeszcze całkiem ciemno.

Helena Justyna wyglądała na tak nieszczęśliwą, że musiałem się odezwać.

- Nie myśl o tym, co się stało z Pertynaksem.

- Nie będę.

- I nie próbuj się przekonywać, że było mu przykro, kiedy się z nim rozwiodłaś...

- Nie będę, Falko! - powtórzyła podniesionym głosem. Usadowiłem się wygodnie w swoim kącie lektyki, krzywiąc usta. W gęstniejącym mroku zdobyła się na przeprosiny: - Jest w tobie tyle żarliwości, kiedy udzielasz rad. Czy twój brat bohater miał żonę?

- Dziewczyne... i dziecko, o którym nawet nie wiedział.

- Marcja! - wykrzyknęła. Jej ton zmienił się raptownie. - Myślałam, że jest twoja.

- Powiedziałem ci, że nie jest.

- Tak.

- Nie mam zwyczaju cię okłamywać.

- Tak. Wybacz... Kto się nimi teraz opiekuje?

- Ja.

Odpowiadałem lakonicznie i wierciłem się nieustannie, ale nie miało to żadnego związku z naszą rozmową. Dotarliśmy aż do Forum, kiedy wreszcie nabrałem całkowitej pewności: towarzyszyły nam ukradkowe kroki, nazbyt równe i zbyt blisko.

- O co chodzi, Falko?

- Śledzą nas. Od samego Pałacu.

Stuknąłem w sufit i wyskoczyłem, kiedy tylko lektyka się zatrzymała. Helena Justyna wyslizgnęła się za mną, jeszcze nim zdążyłem podać jej rękę. Porwałem sakwę ze złotem dla mojej matki i bezpośrednio z ulicy wprowadziłem Helenę wprost w oświetlone wejście najbliższej okropnej spelunki, zupełnie jakby była jakąś znudzoną bywalczynią takich miejsc, która płaci mi za to, bym jej pokazał nocne życie szumowin Rzymu.

W trupio bladym oświetleniu przedsionka zobaczyłem, jak bardzo jest zdenerwowana, i przez chwilę prawie ją podejrzewałem, że może wołałaby być taką kobietą.



XLV

Nad drzwiami, przy których potężny mężczyzna pobierał potężną opłatę wejściową, obok odchylonej głowy Wenus z wydętymi policzkami widniał powitalny napis. To był burdel. Nic już na to nie mogłem poradzić. Było w nim ciepło i mroczno, ale nie miałem wątpliwości, że potwierdza fatalną opinię Heleny o mnie. W każdym razie mogliśmy się tu skryć.

Sam musiałem wyłożyć pieniądze za wejście. Choć senator był moim klientem, nie mogłem go przecież prosić o wydobycie bankowej szkatuły i zapłacenie za zabranie jego delikatnej córeczki do takiego paskudnego miejsca.

Właściciele tego przybytku czerpali marne zyski z cudzołóstwa, niezłą fortunę zbijali natomiast na opróżnianiu gościom kieszeni i sprzedaży skradzionej odzieży. Była tam jedna ogromna sala, a rozwieszona na drągach skóry tworzyły pod ścianami niewielkie pomieszczenia, gdzie bez zakłóceń można było dokonywać oszustw, kradzieży, a nawet morderstw. Do innego rodzaju stosunków dochodziło we wszelkich mrocznych

zakątkach, które zajmowali ich uczestnicy.

Przy świetle pochodni odbywał się właśnie występ, ożywiany stukaniem poszczerbionych kastanietów. Trzy kilkunastoletnie dziewczyny o chudych ramionach i zadziwiająco obfitych biustach baraszkowały na rozłożonej na środku macie, ustrojone jedynie w przyklejone do twarzy uśmiechy i wąskie skórzane przepaski. Z boku czekała małpka; nie zamierzam się zastanawiać, do czego miała im posłużyć. Przy stolikach wokół sali skryci w mroku ludzie popijali alkohol o zawyżonej cenie i szklanym wzrokiem patrzyli na występ, od czasu do czasu rzucając głośno zdawkowe uwagi.

Niska, krępa panienska do towarzystwa odziana w fiołkowy muślin, z gołymi ramionami i z rozcięciem do samych bioder, które ukazywało porysowaną żyłakami nogę, pojawiła się przy nas. Przezroczystry strój powodował, że miałem ochotę widzieć jej raczej mniej niż więcej, kiedy spytała z resztką znużonej ponętności:

- Zabębnisz w mój tamburyn, centurionie?

- Nie przeszkadzaj; jego pan i władca jest ze mną! - odparła energicznie senatorska córka, nim zdołałem ją powstrzymać.

Kobieta wyraźnie się ożywiła, widząc tę oryginalną sytuację. (Ja sam się co nieco ożywiłem.)

- Ooo! Normalnie to dwie sztuki złota... ale cztery, jeśli przyprowadzasz własną dziewczynę - oznajmiła.

Gość przy drzwiach kazał zapłacić sobie więcej, ale widocznie zarówno on, jak i małpka też chcieli swojej działki.

- Korkowe! - zachwyciła się Helena, a ja się zgorszyłem. Kobiety wymieniające sprośności są takie ordynarne.

- Zachowuj się jak pani! Na Hadesa, śledzono nas. Ładnie mnie urządziłaś...

Falanga barczystych postaci z wyraźnie złowrogimi zamiarami wślizgnęła się wejściem za naszymi plecami. Protesty odźwiernego świadczyły o tym, że nie raczyli uiścić opłaty; jak już położyła na nas łapy, natychmiast się stąd wyniosła.

- Ten błazen trzyma skrzyżowane nogi... czy jest tu... - wymamrotała moja towarzyszka do swojej nowej przyjaciółki.

- Na tyłach, moja droga...

- Chodź, Falko, zaprowadzę cię!

Pociągnęła mnie na ukos przez matę. Prawie nikt tego nie zauważył. Ci zaś, którzy zauważyli, myśleli, że jesteśmy częścią przedstawienia... czym zresztą przez jeden groteskowy moment byliśmy. Wijąca się młoda amazonka, bez zmysłu orientacji, cofnęła się prosto w ramiona Heleny; Helena przekazała mi ją jak niechcianą bułeczkę. Obdarowałem dziewczynę solidnym całusem, czego od razu pożałowałem (smakowała potem i czosnkiem - co można znieść tylko wtedy, kiedy się smakuje tak samo), i posadziłem ją na najbliższym stoliku, gdzie zniknęła pod dłońmi grupy pożądlivych Korsykan, którzy nie mogli uwierzyć swemu szczęściu. Konkurencyjne cudzoziemskie grupy zaryczały z zazdrości. Stolik się przewrócił, pociągając za sobą zasłonę i ukazując wznoszące się jak księżyc w pełni białe pośladki obywatela, kiedy spełniał swoje obowiązki wobec córki tego domostwa; biedaczysko, znieruchomiał w połowie natarcia, po czym

nastąpiło zaćmienie. Rozległy się owacje.

- Bądź p o z d r o w i o n y i ż e g n a j ! - zachichotała Helena.

Teraz już rozwścieczeni palacze i dokerzy zrywali się, gotowi walczyć z każdym, nieważne po co i dlaczego. Małpka zajadała jabłko, czekając, aż będzie potrzebna. Strzeliłem nad jej głową palcami, porwałem jabłko, kiedy zerknęła w górę, po czym cofnąłem ramię jak przy rzucie oszczepem i cisnąłem owoc w bandę, która podążała za nami. Odsłoniwszy zęby, zwierzę skoczyło między mężczyzn, gryząc w twarz każdego, którego zdołało dosięgnąć.

Helena Justyna odnalazła niskie drzwi i w mgnieniu oka wyciągnęła mnie na uliczkę na tyłach. Nawet nie zdążyliśmy się napić.

Cóż, ludzie nie chodzą do burdelu, żeby się napić.

Uliczka była szeroka na dwa kroki. Nad naszymi głowami wisiały ciemne balkony zasłaniające niebo. Smród był taki, jakby lew tam nasikał, a na dodatek walnąłem kolanem o skrzynkę z cebulą. Pod sandałami czułem błoto, które po kilku krokach zaczęło mi wypływać zimnymi strużkami pomiędzy nagimi palcami stóp.

Kuśtykałem dzielnie przed siebie, a senatorska córka rozsądnie chwyciła się mojego ramienia, pomagając mi utrzymać tempo.

- Dydiuszu Falkonie, nie wiedziałam, że jesteś nieśmiały.

Obejrzałem się przez ramię i mruknąłem:

- Nie wiedziałem, że ty nie jesteś. - Teraz pod nogami chrzęściła nam lawa, której blokami wybrukowana była ulica. - Skoro już byliśmy razem w burdelu, czy mogę ci mówić Heleno?

- Nie. Ten występ był niesamowity; żałuję, że nie mogłam go obejrzeć do końca.

- Uważałem, że powinniśmy wyjść; ten parszywy małpiszon dziwnie na ciebie spoglądał.

- To był szympan - uściśliła Helena. - I wydawało mi się, że jest zainteresowany raczej tobą.

Zwolniliśmy, ale brnęliśmy dalej aż do jednej z głównych ulic. Zapadła już noc i wpuszczano na ulice wozy dostawcze. Od wszystkich bram Rzymu ciągnęły w naszą stronę pojazdy konne; zakryliśmy uszy, odgradzając się od skrzypienia osi i przekleństw woźniców. Było kompletnie ciemno, poza tymi miejscami, gdzie ich latarnie podskakiwały w mroku. Nagle usłyszeliśmy głośnie krzyki: dostrzeżono nas. Zbliżały się jakieś barczyste postaci. W sposobie, w jaki się poruszały, było coś, co mówiło mi, że to żołnierze. Podążali za nami niespiesznie, formując tyralierę na całą szerokość ulicy, przemykali pomiędzy wozami jak korki podskakujące na wodzie w porcie, milcząco i nieuchronnie zbliżające się ku brzegowi.

- Kolejni łotrzykowie! Lepiej złapmy jakąś okazję.

- Och, Junono! - jęknęła zdesperowana Helena. - Tylko nie wyścig wozami w górę i w dół po Siedmiu Wzgórzach!

Miasto ożywiało się coraz bardziej. Ulice zaczynały się zapychać; panował coraz większy harmider; zdarzały się wywrotki i tworzyły zatory. Postawiłem stopę z tyłu jakiegoś powolnego furgonu, wcisnąłem się głębiej

do środka i pociągnąłem za sobą Helenę. Przez pół kwartału tuliliśmy się do marmurowego nagrobka, potem przesiadliśmy się do innego wozu, ale szybko się zorientowaliśmy, że siedzimy na kupie gnoju, i pospiesznie przenieśliśmy się na stopy sieci i główki kapusty.

Starąłem się kierować na południe, gdzie ulice były mi dość dobrze znane. Wiozący kapustę zatrzymał się, by wymienić obelgi z konkurentem, który otarł się o jego wóz, więc wykorzystaliśmy okazję i wygramoliliśmy się stamtąd.

- Uważaj na stopy!

Odkoczyłem przed niebezpiecznie zbliżającym się kołem.

- Dzięki. Tutaj... - Wykorzystaliśmy przejeżdżającą platformę. - Postaraj się wyglądać jak amfora mocnego wina z Lacjum...

Stateczna pani rozśmieszyła mnie niemal do łez, kiedy posłusznie ujęła się pod boki i ułożyła usta w kształt dzióbka.

Sześć ciągniętych przez woły wozów dalej okazało się, że cienie są coraz bliżej. Pieszko było jednak szybciej. Ponownie zsunęliśmy się na ziemię; moje wytworne sandały wylądowały w czymś miękkim, co pozostawił za sobą jakiś osiołek. Ciągle dźwigałem sakwę z darem dla matki i martwiłem się, że to nie pozwala mi się skupić w pełni na ochronie Heleny. Bałem się, że mogę ją zgubić, ale nie, nie było takiej możliwości. Kiedy krzyknąłem, chwyciła moją wolną rękę, gotowa do biegu. Jej oczy zabłyły w świetle wylewającym się z tawerny. Do tej pory kierowałem się przekonaniem, że mam do czynienia z osobą niezwykle stateczną. Kompletna bzdura. Owszem, nie miała zamiaru dać się pokonać, ale jednocześnie śmiała się z siebie samej, widząc moje przestraszone spojrzenie. Upojony tym uczuciem, roześmiałem się i pobiegłem szybciej.

Kryjąc się między furgonami, wydostaliśmy się z Forum i drogą Aureliańską dotarliśmy dalej na południe. Przemknęliśmy obok Circus Maximus, poczynając od bramy startowej i podążając na wschód, znaleźliśmy się na wysokości obelisku. Kiedy zbliżyliśmy się do dwunastej dzielnicy, zrobiłem krótki postój, byśmy oboje mogli złapać oddech. Ustawiłem Helenę pod ślepa ścianą, ogrodziłem swoim wyciągniętym ramieniem i rozglądałem się wokół, pilnie nasłuchując wszelkich odgłosów. Po jakimś czasie opuściłem ramię i cichutko położyłem sakwę ze złotem na ziemi. Zewsząd dochodził normalny równomierny zgiełk. Miejsce, w którym się znajdowaliśmy, wydawało się nad wyraz spokojne. Tkwiliśmy razem w sekretnym kręgu ciszy: ja, senatorska córka, samotna sowa przycupnięta na gałęzi rosnącego na dachu drzewka oraz zapach starych fasolowych łupin z pobliskiego śmietniska.

- Zgubiliśmy ich! - wyszeptalem. - Podobało ci się wyjście na miasto?

Roześmiała się niemal bezdźwięcznie.

- To znacznie lepsze od siedzenia przy fontannie i przyglądania się, jak niewolnice przyszywają frędzle do szat!

Miałem już coś zrobić - a w każdym razie coś powiedzieć - kiedy w tę pustą przestrzeń, którą już miały wypełnić moje słowa, wdarł się głos jakiegoś łobuza.

- Cóż za piękny etruski naszyjnik tu widzę, paniusiu. Niebezpiecznie biegać z czymś takim po ulicach. Lepiej już daj mi tę błyskotkę!



XLVI

Helena Justyna rzadko nosiła biżuterię w nadmiarze, ale tej nocy miała na sobie wszystko, co cenniejsze. Nawet w ciemności czułem, że cierpi katusze.

- Co mam zrobić? - spytała mnie cicho w bezruchu.

- Myślę, że to, co on mówi. Nie jest zbyt duży, ale za to uzbrojony.

Na prawo od siebie widziałem ciemniejszy kształt. Instykt podpowiadał mi, że to ostra broń. Przesunąłem Helenę w lewo. Napastnik roześmiał się pogardliwie.

- Szykuje sobie ramię do miecza... gdyby w ogóle miał miecz. Pani, dawaj te fanty!

Helena zdjęła ze złością swoje migoczące kolczyki, z obu rąk zsunęła bransolety, z końcówkami w kształcie głowy pantery, oraz diadem z włosów. Trzymała to wszystko w jednej ręce, podczas gdy palcami drugiej gmerała przy zapięciu naszyjnika.

- Pozwól.

- Praktyka, co? - zakpił rabuś.

Miał rację; zdarzało mi się odpinać naszyjniki. Mogłem sobie i z tym poradzić. Zapięcie składało się z dwóch drucianych pętelek, które najpierw ścisnąłem ze sobą, po czym przekręcając, oddzieliłem; kiedy wisiały, ciężar naszyjnika utrzymywał je razem. Szyję miała miękką i rozgrzaną biegiem. Wiem to, ponieważ tylko głupiec odpina damie naszyjnik, nie łaskocząc przy tym jej karku.

- Węzeł Herkulesa! - odparłem uprzejmie, po czym opuściłem drżący motek złota w jej dłoń.

Wyciągnął chudą łapę po biżuterię.

- Twój pierścień też! - warknął. Westchnąłem. Był to jedyny poza długami spadek, jaki kiedykolwiek otrzymałem. Cisnąłem mu sygnet mojego stryjecznego dziada.

- Dzięki, Falko.

- On cię zna. - W głosie Heleny słychać było rozdrażnienie.

Ten łajdak najwyraźniej należał do padlinożerców z Awentynu, choć osobiście go nie znałem.

- Wielu mnie zna, ale niewielu odważyłoby się zwędzić mi sygnet stryja Skarona - rzuciłem ostro.

Helena zeszywniała, jakby miała nadzieję, że wyciągnę jakąś ukrytą broń i rzucę się na napastnika. Wespazjan nakazał pretorianom przestać rewidowania swoich gości, czym dawał do zrozumienia, że nadeszły spokojne czasy, ale ja nie byłem aż takim maniakiem, by udając się z wizytą do Pałacu, skrywać sztylet w fałdach stroju; nie miałem więc z czym rzucić się na łotra.

Rabuś raptownie stracił zainteresowanie nami. Wyteżywszy słuch, domyśliłem się dlaczego. Usłyszałem gwizd, który rozpoznałem; ścierwojad pomknął przed siebie i zniknął z łupem.

W zaułku pojawił się jakiś człowiek z pochodnią.

- Kto tam?

- To ja... Falko! - zawołałem. Nadbiegł ktoś jeszcze. - Petroniuszu, to ty?
- Falko? Właśnie wypłoszyliśmy tego cherlaka Melitusa... zabrał ci coś?
- Bizuterię. Co za szczęście, że się zjawiłeś, bo mam też worek złota!
- Powiedziałeś, że co masz?
- Worek złota.

Petroniusz Longus podchodził coraz bliżej. Teraz w świetle pochodni dostrzegł wreszcie towarzyszącą mi najadę.

- Falko! Toż to jawne krzywoprzysięstwo! - wybuchnął. Chwycił się ramienia żołnierza, po czym podniósł pochodnię i trzymał ją w górze jak latarnię morską. Od tego momentu jego oczy kompletnie mnie ignorowały. W świetle pochodni Helena Justyna migotała, mieniła się jak opał; roziskrzone oczy, ta wyzywająca mina i najlepsze ramiona w okolicy bramy Kapeńskiej...

Była równa mi wzrostem, więc mój potężny, mało rozgarnięty przyjaciel górował nad nami obojgiem o pół głowy. Ubrany był cały na brązowo, za pasem nosił drewnianą pałkę, oznakę urzędu. Przeguby jego dłoni chroniły skórzane osłony, łydki - nagolenniki, a niemal na łyso ogoloną czaszkę zdobiła węzełkowa opaska. Wiem, że kiedy był w domu, bawił się z kotami swoich dzieci, teraz jednak wyglądał groźnie. Helena przysunęła się do mnie, wykorzystałem więc okazję, by objąć ją ramieniem. Petroniusz pokręcił głową, nadal nie wierząc własnym oczom. Po czym z niewinną miną zapytał:

- Chcesz powiedzieć, że to jest właśnie ten twój stary zatęchły dzban po occie?

Co za bęcwał, co za mściwy drań!

Zanim zdołałem się jakoś z tego wyplątać, Helena uwolniła się od mojego ramienia i rzuciła słabym głosem:

- Ależ tak, to ja! Mawia też, że w porównaniu ze mną węże Meduzy wyglądają jak garść robaków na ryby.

- Petroniuszu Longusie - ryknąłem - jak na tak spokojnego człowieka robisz okropnie dużo niepotrzebnego zamieszania!

Nie bardzo miałem jej co powiedzieć, więc gderałem, zwracając się bezpośrednio do niego.

- Jest córką senatora...

- A niby skąd ty byś taką wziął?

- Wygrałem w kości.

- Na Jowisza Gromowładnego! Gdzie się toczy ta gra? - spytał, ujmując i podnosząc jej rękę.

- Och, zostaw ją! Tytus i Domicjan pozostawili już dzisiaj swoje trujące znaki na biednym dziewczęciu...

Z błyskiem w oku, widząc, że przyjaciel znalazł się w trudnej sytuacji, Petroniusz uśmiechnął się znacząco, po czym ucałował dłoń senatorskiej córki z przesadnym szacunkiem zarezerwowanym zazwyczaj dla westalek, kiedy pomaga im przebyć drogę Ostyjską. Starąłem się go powstrzymać.

- Na Marsa Mściciela, Petroniuszu! To córka Kamila... - marudziłem.

- Och, domyśliłem się. Gdyby to była któraś z twoich libijskich tancerek, leżałaby teraz na plecach w jakimś lichym zakątku! - Był przekonany, że celowo mu o niej nie powiedziałem.

- Niech już będzie cichy zakątek - rzuciłem, wyszczerzając się - ale niekoniecznie na plecach!

Petroniusz się zmieszał. Wiedziałem, że tak będzie; dla niego świntuszenie było czymś intymnym, dopuszczalnym wyłącznie pomiędzy mężczyznami. Puścił raptownie Helenę, a ona zadarła brodę. Była biała jak płótno. Serce mi zamarło.

- Dowódczo straży, proszę o radę. Chcę dotrzeć do domu ojca, czy można coś w tej sprawie uczynić? - zwróciła się z powagą do mojego druha.

- Ja ją zabiorę - rzuciłem, dając mu do zrozumienia, że nie powinien się wtrącać.

- Nie, dziękuję! - zachnęła się całkiem niespodziewanie. - Już usłyszałam twoją opinię, teraz przedstawię ci swoją! - Zniżyła głos, ale zarówno Petroniusz, jak i ja wzdrygnęliśmy się. - W Brytanii poszedłeś do Hadesu i z powrotem, uratowałeś mi życie, jesteś jedyną osobą w Rzymie, która pali światełko dla mojej kuzynki. Robisz to wszystko, a jednocześnie masz niewyparzoną gębę, jesteś pełnym uprzedzeń, pospolitym szydercą... masz złe maniery, zły charakter i złą wolę. Większość rzeczy, za które mnie winisz, wcale nie jest moją winą...

- Nie winię cię za nic...

- Winisz mnie za w s z y s t k o ! - rzuciła oskarżycielsko. Była wspaniała. Jak mogłem kiedykolwiek uważać inaczej. Każdemu zdarzają się pomyłki. - Jeśli jest jedna rzecz, Dydiuszu Falkonie, której będę żałować do końca swych dni, to że nie pozwoliłam ci wpaść do rzeki, kiedy miałam taką możliwość! - zakończyła swoją tyradę.

Prawiła uprzejmości w sposób, od którego bolała człowieka skóra. Była tak zeźlona, że poczułem się kompletnie bezradny. Oparłem się o mur i śmiałem się, aż opadłem z sił.

Zażenowany Petroniusz Longus wpatrywał się w ścianę ponad naszymi głowami.

- Tym bardziej możesz, pani, tego żałować - oświadczył wreszcie sucho - że nawet w wojsku Falko nie na uczył się pływać.

Pobladła jeszcze bardziej.

Usłyszeliśmy krzyki. Potem tupot kroków. Żołnierz postawiony na straży przy końcu zaułka zawołał coś cicho. Petroniusz ruszył naprzód zaniepokojony.

- Petroniuszu, pomożesz nam się wydostać z tej ślepej uliczki?

- Czemu nie? - Wzruszył ramionami. - Przenieśmy. .. - Zamilkł na moment. - Pani, mogę cię zabrać...

- Daruj sobie - przerwałem mu kwaśno. - Pani jest ze mną.

- Zaufaj mi, pani - raczył powiedzieć życzliwie. - W sytuacjach kryzysowych jest znakomity!

- Och, on jest znakomity w każdej sytuacji - niechętnie podsumowała mnie Helena Justyna. - Przynajmniej tak mu się wydaje!

Był zaskoczony tak samo jak ja, usłyszawszy te słowa z ust senatorskiej córki.

Wychynęliśmy ze ślepego zaułka na hałaśliwą ulicę. Człowiek Petroniusza coś wymamrotał. Cofnęliśmy się pospiesznie.

- Roją się jak pszczoły na górze Hybla - rzucił do mnie przez ramię

Petroniusz. - Jeśli uda nam się odwrócić ich uwagę...

- Odciągnij ich od rzeki - zgodziłem się natychmiast.

- Krzycz, kiedy dama wepchnie cię do Tybru, żebyśmy wszyscy mogli sobie popatrzeć, jak się topisz! Użycie mi tego... - Petroniusz z uśmiechem uwolnił Helenę Justynę od palli, którą się owijała, kiedy wychodziła na dwór. Udrapował ją na najniższym ze swoich ludzi, a ten bezzwłocznie wskoczył pomiędzy wozy na ulicy, poganiany pełnymi zachwyty okrzykami współtowarzyszy.

Na skrzyżowaniu z drogą Ostyjską Petroniusz ustawił swoich ludzi, by kierowali ruchem. Wiedziałem, czego należy oczekiwać; w kilka sekund wszystko stanęło. Zauważyłem czyjeś wzniesione ramię, kiedy pomiędzy wrzeszczącymi woźnicami, którzy jak jeden wstali z kozłów i ciskali obelgami w straż, mignęła mi biała palla Heleny.

Wymknęliśmy się stamtąd w ogólnym chaosie. Chciałem się pozbyć ciężaru, by móc się skupić na pilnowaniu Heleny, więc oddałem sakwę złota Petroniuszowi, by zaniósł mojej matce - ostrzegając go, że należy ono do mamy i że będzie lepiej dla niego, jeśli nic nie uszczknie dla siebie. Potem szybko zawróciłem i podążyliśmy tą samą drogą, którą tu przyszliśmy. Wkrótce znaleźliśmy się co prawda o wiele za daleko na zachód, ale w spokojniejszej okolicy, na Awentynie od strony rzeki, w pobliżu mostu Probusa. Kierowałem się na południe, obok Atrium Libertatis. Zatrzymaliśmy się tylko przy Bibliotece Polliona, gdzie łyknęliśmy szybko trochę wody z fontanny. Przy okazji opłukałem upaskudzone nogi i sandały. Helena zaczęła ostrożnie mnie naśladować, wobec czego chwyciwszy ją za pięty, opłukałem jej stopy niczym najsprawniejsza niewolnica.

- Dziękuję - powiedziała cicho. Z zacięciem zabrałem się do czyszczenia jej zdobionych paciorkami sandałów. - Czy jesteśmy już bezpieczni? - zapytała.

- Nie, pani. Jesteśmy w Rzymie, w środku nocy. Jeśli ktoś nas napadnie, to pociacha choćby z rozczarowania, że nie ma nas z czego okraść.

- Och, nie kłóć się już! - poprosiła przymilnie. Milczałem. Usiłowałem podjąć decyzję, co mamy robić dalej. Domyślałem się, że oba nasze domy są pod obserwacją. Helena Justyna nie miała w pobliżu żadnych przyjaciół; wszyscy, których znała, mieszkali dalej na północ. Postanowiłem zabrać ją do swojej matki.

- Czy wiesz już, pani, o co w tym wszystkim chodzi?

Czytała mi w myślach.

- Srebrne świnki znajdują się w Sennym Zaułku! - domyśliła się. Było to jedyne wyjaśnienie zapisu dokonanego w ostatniej chwili przez jej niewdzięcznego małżonka. - Pertynaks zorientował się, że jest na liście proskrypcyjnej. Umieścił ten kodycyl, na wypadek gdyby zdradzili go współnicy, żeby w odwecie pozbawić ich tym sposobem funduszy... ale co on mógł sobie wyobrażać, że zrobię z tymi sztabami, jeśli je w ogóle znajdę?

- Zwrócisz cesarzowi. Przecież jesteś uczciwą kobietą, prawda? - spytałem ją sucho.

Wsunąłem jej sandały na stopy i ruszyłem.

- Falko, dlaczego oni nas ścigają?

- Może Domicjan reaguje przesadnie? Tytus wspomniał o wątpliwościach dotyczących twojego spadku. I możliwe, że braciszek podsłuchiwał pod drzwiami, zanim wszedł do środka. A to co?

Usłyszałem stukot. Nie wiadomo skąd pojawiła się grupa jezdnych. Obok nas przejeżdżał pusty wóz na ogrodowe śmiecie z wysokimi burtami; wciągnąłem na niego Helenę, podniosłem klapę z tyłu i leżeliśmy tam jak skamieniały, dopóki jeźdźcy się nie oddalili.

Może był to przypadek; może nie.

Już dość dawno wyszliśmy z Pałacu i teraz zaczęło nas dopadać zmęczenie. Wyjrzałem na zewnątrz i zauważyłem jeźdźca na wierzchowcu. Chowając pospiesznie głowę, tak mocno walnąłem nią o deski, że prawie się ogłuszyłem; zdążyłem jednak uświadomić sobie, że zobaczyłem posąg jakiegoś dawnego dowódcy, zieleniejącego już w okolicach wieńca. Zaczęło mi coś świtać w głowie.

- Chyba wie, dokąd jedzie - mruknąłem. - Trzymaj my się jak najniżej!

Był to rachityczny wóz, ciągnięty przez ledwo dyszącego konia, niezbyt sprawnie powożony przez najstarszego na świecie ogrodnika; domyślałem się, że nie mogą jechać zbyt daleko.

Tkwiliśmy w ukryciu, dopóki nie dotarliśmy do stajni, gdzie starzec wyprzągnął konia i poszedł sobie do domu. Pomimo ryzyka pożaru zostawił zapaloną świeczkę, więc albo był kompletnie pijany, albo koń bał się ciemności.

Byliśmy sami. Byliśmy bezpieczni. Pozostał tylko jeden problem: kiedy wyjrzelśmy na zewnątrz, okazało się, że jesteśmy w publicznym ogrodzie. Miał wysokie na osiem stóp ogrodzenie... a starzec, wychodząc, zamknął bramę na klucz.

- Ja będę wołał mamę - wymamrotałem do Heleny. - Ty przełaż przez ogrodzenie i sprowadź pomoc.

- Skoro my nie możemy wyjść, to przecież nikt nie wejdzie do środka...

- Nie układam się do snu z koniem!

- Och, Falko, gdzie twoje upodobanie do przygód?

- A gdzie twoja skłonność do rozsądku?

Ułożyliśmy się do snu z koniem.



XLVII

W przegrodzie tuż obok konia leżało siano, które przeróżne pchły i podobne stworzenia uznały za czyste. Rozpostarłem na nim togę, przepaszając w duchu Festusa, choć on zapewne uznałby tę sytuację za wielce zabawną. W mniej szacownym towarzystwie sam nie powstrzymałbym się od chichotu.

Odpiąłem pas, cisnąłem na bok sandały. Rzuciłem się na siano i patrzyłem, jak Helena Justyna ustawia moje sandały równiutko obok swoich. Trzymała się na dystans, odwracając do mnie plecami i desperacko wyciągając szpilki z włosów. Wrzuciła je do sandałka, a rozpuszczone włosy pojedynczą falą spłynęły jej na plecy. Już miałem ochotę złapać

kosmyk i delikatnie po przyjacielsku szarpnąć, ale się rozmyśliłem. Trzeba bardzo dobrze poznać kobietę, nim pociągnie się ją za włosy.

Usiadła i objęła ramionami kolana. Bez wierzchniego okrycia było jej najwyraźniej zimno.

- Proszę... nasz osobliwy tradycyjny strój świetnie się sprawdza jako miękka pościel. Przytul się i rozgrzej. Sza! Nikt się nie dowie. - Przyciągnąłem ją bliżej, przycisnąłem łokciem i drugą ręką szybko zarzuciłem oba końce togi na nas oboje. - Moja teoria brzmi tak: nasi przodkowie właśnie rozgrzewanie kobiet mieli na myśli, kiedy to wynaleźli...

Senatorska córka wręcz ceremonialnie przeze mnie opatulona wylądowała z głową tuż pod moją brodą. Była zbyt zmarznięta, by się bronić. Raz wstrząsnął nią dreszcz, a potem zeszywniała jak kołek w płocie z wikliny. Kiedy zdała sobie sprawę z tego, że wyrwanie się wymagałoby od niej ogromnego wysiłku, dyplomatycznie zapadła w sen. Rzeczywiście nie znosi niepotrzebnego zamieszania.

Ja natomiast nie spałem; mogłaby usłyszeć, jak trzeszczy mój mózg, kiedy rozmyślałem nad wydarzeniami tej nocy. Przybrałem swoją ulubioną, jak się teraz okazało, pozycję do myślenia: policzek wsparty o głowę spokojnie leżącej kobiety. Wcześniej nie mogłem tego doświadczyć; libijskie tancerki za bardzo się wiercą.

Prawdę mówiąc, tancerki stały się dla mnie męczące z różnych powodów. Przy jakiejś obławie panikujące dziewczę z gołymi piersiami mogłoby oznaczać śmierć. One mają swoje miejsce; dają z zapalem... ale biorą z takim samym entuzjazmem, co mój bankier mógłby bez trudu potwierdzić. Zadawanie się z tancerkami kosztowało mnie więcej niż dzisiejsza utrata twarzy. Tak czy owak, miałem ich już dość.

Kiedy Helena zasnęła, sam zacząłem się powoli odprężyć.

Nie ważyła wiele, ale trudno mi było zapomnieć o jej obecności. Idealnie pasowała do zgięcia mojego łokcia.

Obróciwszy nieco głowę, mogłem wdychać ciepłą woń błędzącą w jej włosach. Włosy miała piękne, gładkie i błyszczące; opierały się szczyptom do kręcenia i szybko prostowały, czego bardzo nie lubią pokojowe modnych pań. Znowu pachniała malabathronem. Ten bydlak, były mąż, musiał jej podarować cały ogromny garniec tych perfum... chyba że ta uwielbiająca sprawiać niespodzianki dziewczyna używała go tylko dla mnie... (Można sobie przecież pomarzyć.)

Byłem zbyt zmęczony, by osiągnąć wiele myśleniem. Traciłem nosem pachnące włosy Heleny, gotowy się zdrzemnąć. Możliwe, że wydałem z siebie to ponure westchnienie człowieka, któremu nie udało się rozwiązać problemu pomimo gruntownego przemyślenia. W momencie, w którym zrezygnowałem z dalszych rozważań, wydało mi się, że to całkowicie naturalne, że tak leżę sobie na sianie, obejmując ramieniem Helenę Justynę. Ponieważ ułożyłem się tak blisko, a ona przecież spała, wydało mi się równie naturalne, że pocałuję ją delikatnie w czoło, zanim zapadnę w sen.

Poruszyła się lekko.

Wpadło mi nagle do głowy, że przez cały ten czas nie spała.

- Przepraszam! - Ja, Marek Dydiusz Falko, byłem dziwnie spłoszony. -

Myślałem, że śpisz.

Mówiłem szeptem, chociaż nie było takiej potrzeby, ponieważ nieustanne szuranie kopyt świadczyło o tym, że ten cholerny koń też nie śpi. Prawdopodobnie pół Rzymu wiedziało, co zrobiłem.

- Czy pocałunek w czoło na dobranoc to usługa, którą twoje klientki znajdują wyszczególnioną w rachunku? - mruknęła Helena tym swoim sceptycznym tonem.

- Tylko tam mogłem sięgnąć. - Uciekłem się do blefu. - Kiedy już zaciągnę kobietę do stajni parkowej, pocałunek jest oczywiście gratis.

Senatorska córka uniosła głowę i opierając się na łokciu, znalazła się tuż nad moim bijącym jak szalone sercem. Nadal obejmując ją lekko, przyczajony, wciskałem się w siano. Usiłowałem zignorować palącą świadomość, że jej ciało opiera się na moim. Musiała poczuć naprężenie mojej piersi. Wyglądała inaczej z rozpuszczonymi włosami. Może była inna. Nie wiedziałem już, czy mam do czynienia z kimś nowym, czy z tą samą kobietą, którą Helena Justyna była zawsze. Wiedziałem tylko, że tej nocy jest kimś, kto bardzo mi się podoba.

- Jak często to się zdarza, Falko?

- Nie dość często!

Spojrzałem w górę, oczekując gromów, tymczasem wyraz jej twarzy był niespodziewanie łagodny. Uśmiechnąłem się smutno. A kiedy mój uśmiech zaczął znikać, Helena Justyna nachyliła się i mnie pocałowała.

Wolną rękę wplątałem już w jej włosy, na wypadek gdyby chciała się cofnąć, ale nawet nie próbowała. Po całej wieczności rozkosznego niedowierzania przypomniało mi się, że nie obejdę się bez oddychania.

- Przepraszam! - zażartowała łagodnie. Nie czuła się bardziej winna niż ja.

Zacisnąłem rękę, żeby ją z powrotem przyciągnąć, ale nawet nie musiałem tego robić.

Dotychczas moje spotkania z kobietami opierały się głównie na strategii obejmującej dzbany z winem i ciężki dowcip, po czym następował cały skomplikowany balet, którego choreografię opracowywałem osobiście tak, by efektowny taniec prowadził nas do jakiegoś dogodnie usytuowanego łoża. Doświadczenia Dydiusza Falkona były rzadsze i o wiele mniej ciekawe, niż mogłyby na to wskazywać nieustanne aluzje do nich, natomiast trzeba mi oddać sprawiedliwość, że na ogół to ja dostarczałem łoża.

A teraz, zupełnie bezwiednie, całowałem Helenę w sposób, w jaki chciałem ją całować już od tak dawna, że nawet nie wiedziałem, kiedy zacząłem tego pragnąć. Patrzyła na mnie całkiem spokojnie, więc całowałem ją dalej - tak jak naprawdę powinienem był całować ją w Massilii i jeszcze wcześniej, każdej nocy, na przestrzeni tysiąca mil - a ona oddawała mi pocałunki, i wiedziałem, że tym razem żadne z nas nie uważa tego za błąd. Przerwałem.

- Wprawiamy w zakłopotanie tego konia... - Jedną z pierwszych podstawowych życiowych zasad, jakie pojmuje mężczyzna, to ta, że nigdy nie mówi się kobiecie prawdy. A przecież tej mówiłem prawdę; zawsze tak było i tak pozostanie. - Heleno Justyno, skończyłem już z uwodzeniem

kobiet. - Ująłem jej twarz w dłonie.

- Czy było to ślubowanie złożone bogom? - Patrzyła na mnie poważnym wzrokiem.

- Nie... przyrzeczenie złożone sobie samemu. - Na wszelki wypadek, gdyby poczuła się urażona, pocałowałem ją ponownie.

- Dlaczego mi to mówisz? - Nie spytała, skąd się wzięło to przyrzeczenie, no i dobrze, bo tak naprawdę sam tego nie wiedziałem.

- Chcę, żebyś w to uwierzyła.

Z wielką ostrożnością Helena oddała mi pocałunek.

Przyłożyłem dłoń do jej dłoni; jej chłodne palce splotły się z moimi. Jedna z jej bosych stóp zaprzyjaźniała się z moją.

- Czy chcesz dotrzymać tego przyrzeczenia? - spytała.

Potrząsnąłem głową milcząco (znowu mnie całowała). Przeróżne powiązane ze sobą okoliczności zmusiły mnie, bym przyznał:

- Nie sądzę... bym potrafił. - Już od dawna tak bardzo nie pragnąłem kobiety, prawie już zapomniałem to uczucie bólu wywoływane intensywnym fizycznym pożądaniem. - W każdym razie nie chcę go dotrzymywać dzisiejszej nocy...

- Marku Dydiuszu Falconie, ty mnie wcale nie uwodzisz. - Helena Justyna uśmiechnęła się, rozwiązując mój moralny dylemat ze słodyczą, której tak długo nie umiałem w niej dostrzec. - To ja z całych sił staram się uwieść ciebie. - Zawsze uważałem ją za bezpośrednią.

Nie zamierzam opisywać tego, co wydarzyło się potem. Jest to sprawa tylko pomiędzy mną, senatorską córką i koniem ogrodnika.



XLVIII

Do rana brakowało jeszcze trochę czasu i większość Rzymu pogrążona była we śnie. Wszystkie wozy i furgony wróciły do swoich wozowni. Nocni biesiadnicy, usiłując dotrzeć do domu, narażali się na napady; prostytutki i ich stręczyciele spali na matach z sitowia pomiędzy nędznymi chrapiącymi klientami; w pałacach i rezydencjach ćmiły się przygaszone światła. Nastął chłód przedświtu i w dolinach pomiędzy Siedmioma Wzgórzami na pewno snuła się delikatna mgiełka, kiedy jednak się obudziłem, było mi zupełnie ciepło i czułem, jak wzbiera we mnie owo uczucie towarzyszące przekonaniu mężczyzny, że dziewczyna, którą trzyma w ramionach, będzie kobietą jego życia.

Leżałem bez ruchu, wspominając. Patrzyłem na jej twarz, już tak mi znajomą, a jednocześnie w tym śnie dziwnie do siebie niepodobną. Wiedziałem, że nie wolno mi mieć nadziei na to, bym mógł jeszcze kiedyś trzymać ją w ramionach lub widzieć pogrążoną we śnie. Gdy o tym pomyślałem, poczułem, że nie potrafię znieść rozstania z nią.

Obudziła się. Natychmiast opuściła wzrok. Była onieśmielona... nie z powodu tego, co zrobiliśmy, ale z obawy, żebym nie okazał się inny. Jej dłoń poruszyła się i znalazła w miejscu dość intymnym; zobaczyłem jej rozszerzone zaskoczeniem oczy, ale natychmiast ochłonęła. Uśmiechnąłem się do niej.

- Heleno... - Przyglądałem się jej zagadkowej, rozważnej twarzy. Rzeźbiarz mógłby mieć jakieś zastrzeżenia, ale dla mnie ona była piękna. Zresztą gdyby rzeźbiarze mieli o czymkolwiek pojęcie, znaleźliby bardziej dochodowe zajęcia. - Nic mi nie powiesz?

- Czy to powinno właśnie tak wyglądać jak tej nocy? - odpowiedziała po pewnym czasie, z typową dla siebie szczerością.

Cóż, jej słowa powiedziały mi co nieco o Pertynaksie. Moja odpowiedź była równie powściągliwa.

- Tak mi się zdaje. - A to z kolei, jeśli interesowała ją przeszłość, mówiło jej co nieco o mnie.

Zacząłem się śmiać: z nią, z siebie, z życia, bezsilnie.

- Och, Heleno, Heleno!... Tej nocy, z tobą, dowiedziałem się cudownych rzeczy o kobietach.

- Sama się czegoś dowiedziałam o sobie! - odparła cierpko. Potem zakryła sobie oczy wewnętrzną stroną swojego nadgarstka, nie chcąc, bym widział, co czuje.

Pomimo jej skrępowania, czy może właśnie z jego powodu, chciałem, by zrozumiała.

- To jak nauka obcego języka; poznajesz trochę gramatyki, jakieś podstawowe słownictwo, masz okropny akcent i ledwo cię rozumieją; męczysz się latami, po czym, bez najmniejszego uprzedzenia, wszystko idzie gładko, rozumiesz, w czym rzecz...

- Och, przestań! Falko... - Zamilkła; nie rozumiała mnie.

- Marku - poprosiłem, ale chyba w ogóle nie słyszała.

Zmusiła się, by mówić dalej.

- Nie ma potrzeby udawać. Znaleźliśmy dający pociechę sposób spędzenia czasu... - Na Jowisza! Ponownie zamilkła. - Ta noc była cudowna - powiedziała z naciskiem. - Musiałeś wiedzieć. Ale rozumiem, jak to jest: przy każdej sprawie dziewczyna: nowa sprawa, nowa dziewczyna...

Można się było tego spodziewać.

- Nie jesteś jakąś tam dziewczyną ze sprawy! - za protestowałem gwałtownie.

- Więc kim jestem? - spytała.

- Sobą. - Nie potrafiłem jej tego powiedzieć. Niemożliwe, żeby nie wiedziała.

- Powinniśmy już iść.

Nie znosiłem, kiedy stawiała się taka nieprzystępna. Och, wiedziałem dlaczego; na bogów, dobrze wiedziałem! Zachowywałem się podobnie w stosunku do innych. To twarda postawa... taka niewdzięczna, ale za to jakaż rozsądna. Zawsze szybko odchodziłem, gnany wielkim niepokojem, żeby przypadkiem jedna godzina namiętności nie stała się pretekstem do wciągnięcia mnie w nieznośne, trwające do końca życia zobowiązania, na które nigdy nie miałem i nawet nie udawałem, że mam, najmniejszej ochoty...

Ot, ironia losu. Pierwszy raz w życiu odczuwałem to wszystko, co powinienem, wszystko, co większość kobiet uważa dla siebie za niezbędne. Nadszedł ten jedyny moment, kiedy to się liczyło, a tymczasem Helena

albo po prostu nie uwierzyła... albo rozpaczliwie starała mi się wymknąć. Trzymałem ją mocno.

- Heleno Justyno - zacząłem powoli - co mam robić? Gdybym powiedział, że cię kocham, byłoby to tragiczne dla nas obojga. Jestem człowiekiem poniżej twojej godności, a ty znajdujesz się poza moim zasięgiem...

- Jestem córką senatora - przerwała mi rzeczowym tonem - ty stoisz o dwie klasy niżej. Nie ma tu nic niezgodnego z prawem; a jednak jest to niedopuszczalne... -Wyrwała się z mojego uścisku, ale wciąż ją trzymałem. - Nie ma dla nas przyszłości...

- Być może! Pani, ty i ja mamy jednak cyniczny ogląd tego świata. Zrobimy to, co musimy, tylko nie wątp we mnie. Bardzo cię pragnąłem; pragnąłem cię od bardzo dawna... tak jak ty mnie! - Zobaczyłem jej niepewne spojrzenie. Całkiem nagle poczułem nadzieję i zmusiłem się, by uwierzyć, że ona miała o mnie lepsze zdanie, niż sądziłem, nie tylko minionej nocy, ale zapewne już dużo wcześniej. Dałem się porwać tej nadziei, wiedząc - i zupełnie się tym nie przejmując - że jestem głupcem. - A teraz...

- A teraz? - powtórzyła. W kącie jej ust błąkał się delikatny uśmiezek.

Zorientowałem się, że odpowiada w ten sposób na mój uśmiech; ostatecznie nadal była ze mną. Walcząc o jej uczucie, obserwowałem, jak zanurza się ponownie w tę intymność, którą tak niespodziewanie odnaleźliśmy tej nocy. Już pewniejszy siebie muskałem to czułe miejsce na jej karku, gdzie wiele godzin wcześniej odpinałem naszyjnik. Tym razem pozwoliłem sobie zauważyć, jak pod moim dotknięciem drży jej skóra. I tym razem wiedziałem, że ona w pełni zdaje sobie sprawę z tego, iż czuje ją każdym nerwem swojego ciała.

Po raz drugi powiedziałem jej tę prawdę, którą na pewno już sama odgadła.

- A teraz znowu cię pragnę.



XLIX

Później oniemiały czułem, jak jej ciałem wstrząsa szloch, uwalniając napięcie, którego nawet trzymając ją tej nocy w ramionach, się nie domyślałem.

- Marku!

Zasnąłem nieświadom niczego poza tym, że Helena Justyna wymówiła moje imię.

Ja nazwałem ją wcześniej moją ukochaną. Każdy szanujący się detektyw wie, że nie należy tego robić. Byliśmy oboje dość zajęci, kiedy mi się to słowo wyrwało, i powiedziałem sobie, że pewnie nie usłyszała. Jednak w głębi serca miałem nadzieję, że słyszała.

Kiedy w końcu otwarto bramy, wyszliśmy stamtąd, mijając rzędy sztywno sterczących akantów, a ogrodnicy w miękkich kapeluszach na swoich dużych dumnych głowach stali brudnymi i platfusowatymi stopami

w zroszonej trawie i gapili się za nami. Jestem jednak przekonany, że nie pierwszy raz mieli do czynienia z nieproszonymi gośćmi, którzy uwili sobie gniazdko pośród ich klombów. Zanim odprowadziłem Helenę do domu, kupiłem jej śniadanie, coś gorącego wprost ze sklepiku.

Mięsnego. Niech Fortuna ma mnie w swojej opiece: otóż zadajecie się z człowiekiem, który kiedyś nakarmił senatorską córkę pieprznym cielecym kotлетem, zawiniętym w liść laurowy. Niech Fortuna ma w swojej opiece moją panią, która pochłonęła go... na ulicy!

Ja swój też zjadłem, choć nieśmiało, jako że matka zawsze surowo mi przykazywała jeść tylko pod dachem, jak przystoi.

Nad Tybrem świeciło, blade słońce ledwo pobłyskiwało. Siedzieliśmy na nabrzeżu w swoich wymiętych wytwornych strojach i spoglądaliśmy leniwie na tnące posrebrzoną wodę łodzie. Przeprowadziliśmy długą, żartobliwą rozmowę na temat tego, czy fakt, że uważam wszystkich ogrodników za durni, jest kolejnym przykładem moich bezsensownych uprzedzeń... Wokół nas unosiły się cudowne zapachy suszonej ryby i świeżo upieczonego chleba. Zapowiadał się pogodny dzień, choć powietrze w cieniu nadbrzeżnych straganów jeszcze się nagrzało. Wydawało mi się, że jest to początek czegoś więcej niż tylko pięknego dnia.

Wyglądaliśmy jak para straceńców; wstyd mi było odprowadzać ją w takim stanie do domu. Znalazłem otwartą niewielką prywatną łaźnię. Weszliśmy tam razem; oprócz nas nie było nikogo. Kupiłem buteleczkę olejku za niebotyczną cenę, a że łaźiebnej niewolnicy nie było, sam namaściłem nim Helenę. Wyglądała na zadowoloną z takiego obrotu spraw; ja w każdym razie byłem zadowolony. Potem ona wyszorowała mnie pożyczoną skrobaczką, co było jeszcze lepszą zabawą. Później, kiedy siedzieliśmy obok siebie w ogrzewanym ciepłym powietrzem pomieszczeniu, bez słowa odwróciła się do mnie. Objęła mnie, kryjąc twarz na moim ramieniu. Milczeliśmy oboje. Nie było potrzeby nic mówić. Nie umielibyśmy nic powiedzieć.

Kiedy doprowadziłem ją do domu, wszędzie panował spokój. Najtrudniejsze okazało się przekonanie tego tępego wieprza, odźwiernego jej ojca, żeby raczył się obudzić i wpuścić panią do środka. Był to ten sam niewolnik, który poprzedniego wieczoru nie zechciał mnie rozpoznać. Teraz już zapamięta: kiedy Helena wchodziła do domu, odwróciła się szybko i pocałowała mnie w policzek.

Poszedłem z dzielnicy bramy Kapeńskiej z powrotem na Awentyn. Szedłem, w ogóle nie zauważając, że idę i idę. Ogarnęło mnie wyczerpanie i rozpierała euforia. Miałem wrażenie, że jednej nocy zestarzałem się o całe pokolenie. Byłem niezmiernie szczęśliwy... łagodnie nastawiony do całego świata. Mimo wielkiego zmęczenia szczerzyłem zęby w ekstatycznym uśmiechu szaleńca.

Petroniusz czekał przed pralnią Lenii; twarz miał zaróżowioną, a włosy oklapnięte jak ktoś, kto za długo przebywał w zaparowanej pralni. Przeszyło mnie nagle uczucie wielkiej sympatii do tego człowieka, sympatii, na którą nie zasługiwał i której nie byłby w stanie pojąć. Grzmotnął mnie w brzuch, a potem przyjrzał mi się uważnie. Ledwo już

trzymałem się na nogach, więc zareagowałem na to walnięcie jedynie słabiutkim mrugnięciem.

- Marku! - odezwał się niepewnym głosem.

- Petroniusz. Dzięki za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Matka chce porozmawiać z tobą o tej sakwie złota. A to tutaj jest twoje, prawda? - Podał mi sygnet stryja Skarona.

- Dopadłeś tego gnojka Melitusa?

- Bez trudu. Wiemy, gdzie się kręci. Odzyskałem trochę rzeczy, które należały do twojej pani... biżuterię. Rankiem zaniósłem ją do jej domu; powiedziano mi, że jej nie ma... - Zawahał się i przerwał.

- Zgadza się. Ale teraz już jest. Powiedziałem jej, że jeśli uda ci się odzyskać coś z biżuterii, uprzejmie będzie zrewanżować się jakoś. Zasugerowałem coś ładnego dla twojej żony!

Wpatrywał się we mnie. Ja spoglądałem na niego z otwartą tkliwością. Cóż za cudowny przyjaciel.

- Posłuchaj, Falko, jeśli chodzi o ubiegłą noc... - zaczął.

- Los! - zachichotałem lekceważąco.

- Los!- eksplodował Petroniusz. - Co za gówno? - Prosty człowiek ze zdrową filozofią! Serce mu krwawiło, kiedy widział mnie w takich opałach. (Domyślał się, że mam kłopoty, po moim niedorzecznie łagodnym uśmiechu.) - Och, Falko, biedny wariacie... coś ty zrobił?

Pojawiła się Lenia. Biodrem zatrzasnęła drzwi, dobiegało nas głuche dudnienie balii pralniczych. Ręce miała wolne, za to zmarszczone czoło świadczyło o tym, że boli ją głowa po nocnej popijawie ze Smaraktusem. Tunika, jak zawsze wilgotna od pary, kleiła się poskręcanyimi fałdami do jej ciała. Z jakiegoś powodu zaczęła ostatnio zarzucać sobie na ramiona cienkie szale, co wyglądało na żart z elegancji. Dokonała oceny mojego stanu w sposób równie obiektywny, jakby oglądała plamy na prześcieradle, po czym oświadczyła drwiąco:

- Zmięknął jak krem na torcie; ten głupiec znowu się zakochał.

- Tylko tyle? - upewnił się Petroniusz, choć jak zwykle w obliczu moich ekstrawaganckich zachowań, nie wyglądał na przekonanego. - Przecież przydarza mu się to trzy razy na tydzień.

Mylił się. Teraz to wiedziałem; aż do dzisiejszego rana nigdy nie byłem zakochany.

- Och, mój Petroniuszu, to coś zupełnie innego.

- Kwiatuszku, za każdym razem to powtarzasz! - Mój druh pokręcił smętnie głową.

Popatrzyłem na jedno i na drugie, zbyt zmęczony i zbyt roztrzęsiony, by móc powiedzieć coś więcej, odwróciłem się i samotnie powędrowałem na górę.

M i ł o ś ć ! Kompletnie mnie zaskoczyła.

Byłem jednak na nią przygotowany. Wiedziałem też, czego się spodziewać. Jakiegoś bezdusznego filigranowego pączuszka, ślicznego jak obrazek. Nikogo takiego, kto by mnie chciał (zamierzałem cierpieć; byłem przecież w wolnym czasie poetą). Mogłem sobie z tym poradzić

(wylewając z siebie całe potoki poezji). Spodziewałem się więc jakiegoś połyskującego pączuszka albo całego ich rządu, aż znalazłbym taką dzierlatkę, której praktyczny ojciec dałby się ostatecznie przekonać do naszego ślubu, po czym, jak każdy porządny obywatel, stałbym się wygodny i popadł w nudę...

Z Heleną Justyną nigdy nie byłoby wygodnie. Mógłbym ją poznawać przez pół życia bez zagrożenia nudą. Gdyby mój status był inny, być może żałowałbym, że nie mogę poświęcić na to połowy życia.

Nie mogłem sobie na to pozwolić. Nawet na ten pączuszek. Człowiek przytłoczony bankowym debetem musi w końcu zacząć się uganiać za zamożnymi wdowami, z tych starszawych, umiejących się odwdziaczyć...

Szedłem na górę pewien tego wszystkiego. Na czwartym piętrze zmieniłem zdanie.

Miłość była czymś ostatecznym. Niepodważalnym. Przeogromną ulgą. Odbyłem tę samą drogę na dół i poszedłem do perfumerii.

- Ile kosztuje malabathron?

Sprzedawca musiał się już urodzić z tym obraźliwym uśmiezkiem. Podał mi cenę. Stać mnie było akurat na tyle, żeby mogła sobie powąchać korek od flakonu. Spoglądając dumnym wzrokiem, poinformowałem go, że jeszcze się zastanowię, i pomaszerowałem z powrotem do domu.

Lenia obserwowała mnie. Uśmiechnąłem się do niej wyniośle, co oznaczało, że nie odpowiem na żadne pytania, i raz jeszcze ruszyłem schodami do góry.

Kiedy dotarłem do swojego mieszkania, stanąłem bez ruchu i stałem tak długo, aż spłynęło na mnie natchnienie. Udałem się do sypialni, pogrzebałem w tobołku, odnalazłem bryłkę srebra z kopalni w Vebiodunum, po czym raz jeszcze zszedłem na dół. Pomaszerowałem do jubilera. Dumę jego kolekcji stanowił filigranowy pasek, ozdobiony na całej swojej długości maleńkimi żółędziami, który idealnie pasował do stylu, w jakim się ubierała. Wyraziłem się z zachwytem o tym drobiazgu, dowiedziałem się jego ceny i udałem, że bardziej zainteresowały mnie kolczyki. Ostatecznie zacząłem kręcić nosem na aktualnie dostępne wyroby, po czym wyjąłem swój kawałek srebra i wyjaśniłem mu, czego od niego oczekuję.

- Przypuszczam - powiedział jubiler - że poczułbyś się nieco zakłopotany, gdybym zapytał, skąd to wzięłeś.

- Bynajmniej - oświadczyłem niefrasobliwym tonem. - Zdobyłem to, pracując jako niewolnik w kopalni srebra.

- Bardzo zabawne! - obruszył się jubiler. Wróciłem do domu.

I znowu widziała mnie Lenia. Nie zawracała sobie głowy zadawaniem pytań, a ja nie zawracałem już sobie głowy szczerzeniem zębów.

Moje problemy się jeszcze nie skończyły. Kelnera podającego grzane wino zdażyłem już wyeksmitować; matka pojawiła się, żeby wyszorować balkon. Nieprzyjaźnie zamachnęła się na mnie szmatą.

Uśmiechnąłem się do swojej rodzicielki; poważny błąd.

- Byłeś z jedną z tych swoich tancerek!

- Wcale nie! - Złapałem za szmatę. - Siadaj, wypij ze mną kubeczek wina, a ja ci opowiem, co sławny Tytus mówi o twoim wspaniałym synu.

Usiadła, choć odmówiła wypicia wina. Opowiedziałem jej, jak Tytus wychwalał Festusa, zdrowo dorzucając komplementów. Słuchała ze spokojem, aż wreszcie poważnym tonem poprosiła o wino. Nalałem; wychyliliśmy kubki za jego pamięć. Ona piła jak zawsze powoli, małymi łykami, siedząc sztywno, jakby robiła to tylko dla dotrzymania mi towarzystwa.

Twarz mojej matki w ogóle się nie starzeje. Jedynie jej skóra w ostatnich latach trochę się sfatygowała i nie opinała już kości tak jak kiedyś. Kiedy wróciłem z Brytanii, wydawała mi się jeszcze mniejsza niż przedtem. Jej czarno oprawione oczy pozostaną błyszczące i bystre aż do śmierci. Któregoś dnia to się stanie i choć obecnie muszę walczyć, żeby nie wtrącała się w moje sprawy, będę niepokieszony, kiedy odejdzie.

Siedziałem w milczeniu, pozwalając, by przetrawiła to, co jej powiedziałem.

Nikt, nawet jego ukochana dziewczyna, nigdy nie skrytykował tego, co zrobił Festus. Moja matka, otrzymując wiadomość o jego śmierci, wysłuchała pochwał na temat poświęcenia syna i zorganizowała (moimi rękoma) przyzwoitą pomoc dla Mariny i dziecka. Ludzie mówili o nim; ona ani słowa. Wszyscy rozumieliśmy, że strata tego wspaniałego, żywiołowego, wielkodusznego syna była dla niej ciosem w samo serce.

Teraz, sam na sam ze mną, zupełnie niespodziewanie powiedziała mi, co myśli. Kiedy popełniłem błąd, nazywając go bohaterem, jej twarz zacięła się jeszcze bardziej. Dopiła wino i z trzaskiem postawiła kubek na stole.

- Nie, Marku - oświadczyła moja matka szorstko. - Twój brat był głupcem.

I wreszcie mogła zapłakać nad Festusem i jego szaleństwem w moich ramionach, wiedząc, że ja sam zawsze tak uważałem.

Od tego dnia przyjęliśmy, że wobec nieobecności mojego ojca, którego powrotu raczej nie należało się spodziewać, ja pełnię rolę głowy rodziny. Warto było się zestarzeć o jedno pokolenie, żeby sobie z tym zadaniem poradzić.



L

Wczesnym popołudniem zajrzałem ponownie do Sennego Zaułka.

Nic się nie zmieniło; śmiecie w uliczce, przygnębiająca atmosfera opuszczenia, nawet kanalarze uparcie opuszczali kubły na cegły do tej samej co poprzednio studzienki. Natomiast wszędzie wokół magazynu rozmieszczeni byli ludzie wyglądający na wojskowych. Ich dowódca o szorstkim wyrazie twarzy nie pozwolił mi wejść do środka, choć zrobił to w sposób elegancki, co oznaczało, że ktoś, czyją rangę traktował serio, uprzedził go o mojej ewentualnej wizycie.

Miałem więc dwa wyjścia: mogłem zrobić z siebie głupca, wręczając doniczki z różowymi goździkami w drzwiach domu pewnej kobiety, albo poćwiczyć ciało w gimnazjonie. Żeby nie wprawiać owej kobiety w

zakłopotanie, udałem się do gimnazjonu.

Ten, z którego korzystałem, prowadzony był przez inteligentnego Cylicyjczyka, niejakiego Glaukosa. Przylegał do prywatnej łaźni odległej o dwie przecznice od świątyni Kastora i Polluksa i odznaczał się nietypową cechą: szacownością. Glaukos nie wpuszczał tu zawodowych gladiatorów ani tych arystokratycznych młodzieńców o zapadniętych policzkach, którym aż w gardle wysycha od tęsknoty za małymi chłopcami. Utrzymywał typowe sale do ćwiczeń, w których sympatyczni obywatele doprowadzali ciało do stanu równowagi z umysłem (który na ogół był niezły), a potem zabawiali się miłą rozmową w samej łaźni. Były tam czyste ręczniki, niewielka biblioteka w kolumnadzie i doskonały sklepik z wypiekami przy schodach wiodących do portyku.

Pierwszą osobą, jaką dostrzegłem, wchodząc na boisko do gry w piłkę, był Decymus Kamil Werus, szlachetny rodzic Heleny. Kiedyś przyjął moją żartobliwą ofertę, że go tutaj wprowadzę, z zaskakującą skwapliwością. Klienci Glaukosa to byli na ogół młodszy mężczyźni, którzy jeszcze nie wyhodowali sobie sadła i nie mieli najmniejszego wyczucia co do tego, jak długo ktoś starszy jest w stanie okładać pięściami wypełniony piaskiem worek treningowy; Glaukos uważał, że widok purpurowych z wysiłku szlachetnych pięćdziesięciolatków konających na jego schodach odstraszy klientów. Rozmawiałem z nim już wcześniej i poinformowałem, że szanowny Decymus dobrze zapłaci, więc można by od czasu do czasu przeciwżyć uprzejmego senatora w sztuce fechtunku i nawet jeśli nie ma w tym większego sensu, to na pewno okaże się opłacalne.

No i mieliśmy teraz tutaj mojego senatora. Służyłem mu swoją osobą przez jedną rundkę fechtunku ćwiczebnymi mieczami; od razu zauważyłem, jak poprawia mu się styl, choć szczególnie bystrego oka to Kamil Werus już nigdy mieć nie będzie. Ale przynajmniej będzie płacił - nieterminowo, ale któż robi inaczej? - Glaukos zaś odda mu równowartość jego pieniędzy w prostych ćwiczeniach, dopilnowując oczywiście, by przypadkowe cięcie nie naruszyło szlachetnej skóry senatora.

Rzucaliśmy od niechcienia piłką na boisku, żeby tylko nie pokazać, że jesteśmy zbyt zmęczeni, a potem odprężaliśmy się w kąpielni. Mogliśmy się tutaj spotykać bez przeszkód i niezależnie od tego, jak się przedstawiała prowadzona sprawa, istniała szansa, że oparta na przyzwyczajeniu przyjaźń przetrwa. W gimnazjonie mogliśmy być kompanami, pomimo przepaści statusu społecznego. Jego rodzina mogła udawać, że nic o tym nie wie; moja już i tak była przekonana, że nie mam ani trochę wyczucia i taktu, jeśli chodzi o życie towarzyskie.

Teraz właśnie wymienialiśmy wieści. Po wypoceniu brudów w parze i wymoczeniu się w letniej wodzie leżeliśmy na marmurowych płytach, z przyjemnością poddając się zabiegom manikiurzystek i skracając sobie w ten sposób czas oczekiwania na tego ogromnego, wrywającego klientom barki masażystę, którego Glaukos zwędził z łaźni miejskich w Tarsie. Był dobry, czyli inaczej mówiąc, okropny. Po spotkaniu z nim czuliśmy się jak chłopcy po pierwszej wizycie w burdelu, udawaliśmy, że było cudownie, choć nie mieliśmy do tego przekonania.

- Ty pierwszy, panie - powiedziałem z uśmiechem. - Twój czas jest

cenniejszy.

Obaj ustąpiliśmy uprzejmie miejsca komuś trzeciemu.

Zauważyłem, że senator wygląda na zmęczonego. Spytałem go o to, a on ku mojemu zdumieniu, bez najmniejszego wahania oświadczył:

- Miałem dziś rano okropną rozmowę z matką Sozji Kamilliny... właśnie wróciła z wojaży i dowiedziała się o wszystkim. Falko, jak ci idzie śledztwo? Czy istnieje szansa, że wkrótce będę jej mógł przynajmniej powiedzieć, kto zadał śmiertelny cios? Kobieta była bardzo wzburzona; chciała nawet zatrudnić kogoś, kto przejąłby tę sprawę.

- Jeśli chodzi o mnie, to oferuję najniższe stawki!

- A jeśli chodzi o nas - oświadczył senator, raczej sztywno - to moja rodzina nie jest zamożna, niemniej uczynimy wszystko, co tylko jest w ludzkiej mocy!

- Myślałem, że Sozja nie znała swojej matki.

- Rzeczywiście. - Milczał chwilę, po czym wyjaśnił: - Wszystko to było dość niefortunne i nie znajduję usprawiedliwienia dla zachowania mojego brata. Matka Sozji to kobieta o wysokim statusie społecznym, mężatka, jak pewnie się domyślałeś, i nigdy nie było mowy o tym, że chciałaby ten stan zmienić. Jej mąż był konsulem, ze wszystkim, co się z tym wiąże; nawet w tamtym czasie należał do znaczących osobistości. Ta pani i mój brat zaprzyjaźnili się, kiedy jej mąż przebywał w trzyletniej dyplomatycznej podróży; było więc oczywiste, że nie mógł uchodzić za ojca dziecka.

- A przecież je urodziła.

- Nie zgodziła się na spędzenie. Z powodów moralnych.

- Odrobinę spóźnionych! - zakpiłem. Senator robił wrażenie, że czuje się nieswojo. - Więc to ty wychowałeś im dziecko, we własnej rodzinie?

- Tak. Brat zgodził się ją adoptować... - Zastanawiałem się, jak mocno musiał Decymus naciskać na Publiusza, żeby ten się zgodził. - Od czasu do czasu informowałem tę kobietę, jak się Sozja miewa, a ona uparła się, żebym przyjmował od niej pieniądze na prezenty dla córki, jednak wydawało się, że dla nich obu będzie najlepiej, jeśli się nie spotkają. Ale to wcale nie ułatwia nam teraz sprawy!

- Co się wydarzyło dzisiaj?

- Ach... ta nieszczęsna kobieta powiedziała mnóstwo rzeczy, za które nie mogę jej winić. Najgorsze było to, że oskarżyła mnie i moją żonę o zaniedbanie.

- To już chyba duża niesprawiedliwość, prawda, panie?

- Mam nadzieję - mruknął z przejęciem, najwyraźniej bardzo poruszony taką możliwością. - Bez wątpienia Julia Justa i ja bardzo się staraliśmy. Po próbie porwania moja żona zakazała Sozji opuszczać dom; myśleliśmy, że to wystarczy. Cóż innego mogliśmy zrobić? Postąpiliśmy niewłaściwie? Tymczasem matka Sozji oskarża mnie o to, że pozwoliłem, by biegała po ulicach jak jakaś dziewczka z Zatybrza...

Był bardzo przygnębiony. Dla mnie samego ta rozmowa stawała się coraz bardziej bolesna, więc usilnie starałem się go uspokoić i wykorzystałem pierwszą nadarżającą się okazję, by zmienić temat.

Spytałem go, czy miał jakieś nowiny z Pałacu w sprawie zatrzymania spiskowców Rozejrzawszy się na wszystkie strony, by sprawdzić, czy nikt

nas nie podsłuchuje (co było najlepszym sposobem na przyciągnięcie uwagi), senator powiedział cicho:

- Tytus szepcze, że pewni ludzie poznikali!

Te rzucane ukradkowo uwagi może i były dla niego świetną zabawą, ale nie wynikało z nich nic pożytecznego.

- Panie, musiałbym wiedzieć, kto i gdzie.

Possał chwilę wargę, ale ostatecznie mi powiedział.

Faustus Ferentyn popłynął do Licji; wyjechał bez pozwolenia... co senatorom, którzy muszą rezydować w Rzymie, jest zabronione. Korneliusz Gracilis poprosił o audiencję u cesarza, tymczasem jego słudzy znaleźli go martwego z mieczem w prawej ręce (był leworęczny), zanim zdążył się na nią udać; najwyraźniej... samobójstwo. Kurcjusz Gordian i jego brat Longin odziedziczyli niespodziewanie stanowiska kapłanów w niewielkiej świątyni nad Morzem Jońskim, co zapewne było dla nich większą karą niż każde wygnanie, jakie mógłby wymyślić dla nich sam nasz łaskawy stary tyran Wespazjan. Aufidiusza Krispusa zauważono w tłumie letników nad morzem w Oplontis. Nie wyobrażałem sobie, by ktoś, kto mógł się dorwać do kupy srebra, chciał spędzić środek lata wśród elegantów w modnych willach wzdłuż wybrzeża neapolitańskiego.

- Co o tym sądzisz?

- Tytus powinien był kazać śledzić Aufidiusza. Oplontis to zaledwie kilka dni drogi od Rzymu. Jeśli nic się nie zdarzy, sam tam pojedę, niechętnie jednak, skoro tutaj istnieje jakaś szansa na zlokalizowanie sztab. Czy Tytus znalazł coś w Sennym Zaułku?

Pokręcił głową.

- Moja córka wkrótce uzyska dostęp do magazynu.

Z basenu po naszej lewej ręce dobiegł chlupot, jakby jakiś niezdarny ciężki osiłek, nie mając pojęcia o nurkowaniu, skoczył do wody na brzuch.

- Zakładam, że nie pozwolisz Helenie tam pójść - upewniłem się szeptem. Powinienem był użyć jej wszystkich imion, ale było już na to za późno.

- W żadnym razie. Mój brat sam może sprawdzić to miejsce; będzie jej zresztą doradzał w sprawie sprzedaży przypraw korzennych.

- Czy budynek jest nadal własnością starego Marcela?

- Mhm. Z uprzejmości opróżnimy go jak najszybciej, zresztą Helena i sędziwy Marcel pozostają w dobrych stosunkach. On wciąż uważa ją za swoją synową. A ona posiada umiejętność czarowania starszych panów.

Leżałem na plecach, starając się wyglądać jak ktoś, kto nie miał okazji zauważyć czaru Heleny. Jej zamyślony ojciec też spoglądał w górę.

- Martwię się o córkę - wyznał w końcu. Przeszły mnie ciarki i pomyślałem ze zgrozą, że koń się wygadał! - Pomyliłem się, jeśli chodzi o Pertynaksa - ciągnął - pewnie to wiesz. Ona nigdy mnie za to nie winiła, ale ja będę zawsze winić siebie.

- Stawia sobie bardzo wysokie wymagania - oświadczyłem, zamykając oczy, jakbym był po prostu śpiący po kąpieli. Usłyszawszy, że Decymus obraca się na łokciu, spojrzałem w górę.

Ponieważ już bardzo dokładnie i z bliska przyjrzałem się Helenie, byłem w stanie dojrzeć w twarzy jej ojca fizyczne podobieństwo, którego ktoś

inny mógłby w ogóle nie zauważyć. Sztywne włosy odziedziczyła po nim, jednakże otwarte spojrzenie, nachylenie kości policzkowych, delikatne bruzdy w kącikach ust pojawiające się w reakcji na ironię były jej; czasami też sposób, w jaki modulowała głos, bardzo przypominał jej ojca. Teraz senator przyglądał mi się z tym błyskiem rozbawienia w oku, który zawsze mi się u niego podobał. Cieszyłem się, że lubię jej ojca, i wdzięczny byłem losowi, że polubiłem go od razu.

- Wysokie wymagania - powtórzył Decymus Kamil Werus, najwyraźniej mi się przyglądając. Westchnął niemal niezauważalnie. - Cóż, Helena chyba zawsze wie, czego chce!

Martwił się o córkę; podejrzewam, że ja byłem powodem tego zmartwienia.

Są rzeczy, których zwykły obywatel nie może powiedzieć rodzicom wysoko urodzonej szacownej damy. Gdybym oświadczył senatorowi, że wielbię ziemię, po której stąpa jego córka, na pewno (widziałem!) by go to nie uspokoiło.

Na szczęście w tej właśnie chwili podszedł do nas, z ręcznikiem na ramieniu, ten dręczyciel z Tarsu. Ustąpiłem pierwszeństwa Decymusowi, z nadzieją, że znaczny napiwek, jaki da gościowi, nastawi go przyjaźniej do mnie. Niestety tak się nie stało; pastwił się nade mną ze zdwojoną energią.



LI

Matka wróciła jeszcze tego samego popołudnia, by mi zakomunikować, że mam przewodzić ogromnemu zgromadzeniu rodzinnemu, kiedy następnego dnia z podestu będziemy oglądać triumf Wespazjana. Można było oczekiwać prawdziwego święta udarów słonecznych, nieustannego plotkowania sióstr, niezrozumiałego, wściekłego wrzasku zmęczonych dzieci; mój ulubiony sposób spędzania czasu. Mama ulatniała się przy takich okazjach, by dzielić cichy balkonik ze swoimi trzema wiekowymi przyjaciółkami. Na pociechę przyniosła mi wielką złotogłową cesarską doradę.

- Posprzątałeś pokój! - oświadczyła, pociągając nosem. - Czyżbyś dorastał?

- Mogę mieć gościa, na którym chciałbym zrobić wrażenie.

Gość, którego pragnąłem, nie pojawiał się. Przechodząc za ławą, matka najpierw zmierzwiła mi włosy, a potem je przyglądała. Nic nie mogłem na to poradzić, jeśli rozpaczała nade mną, sam znajdowałem się w stanie dobrze mi znanej najwyższej rozpacz.

Kiedy siedziałem na balkonie, udając, że nad czymś rozmyślam, usłyszałem lekkie kroki za drzwiami. Ktoś zapukał, po czym wszedł, nie czekając na zaproszenie. Zesztywniały od bezruchu oczekiwania zerwałem się na równe nogi. Dzięki temu mogłem obserwować, jak to wygląda, gdy moja wspaniała matka zatrzymuje w pokoju młodą kobietę.

Nie był to ten rodzaj konfrontacji, do jakiego mama była przyzwyczajona. Spodziewała się bransoletek z imitacji koralu na kostkach nóg i dziewczęcego zmieszania, nie zaś miękko udrapowanej tkaniny w

przygaszonych kolorach i tych poważnych oczu.

- Dzień dobry. Nazywam się Helena Justyna - oznajmiła Helena, która wiedziała, jak zachowywać spokój, nawet gdy znalazła się twarzą w twarz z moją rodzicielką, dzierżącą miskę z nadzieniem migdałowym w jednej ręce i długi nóż do filetowania ryb w drugiej. - Moim ojcem jest senator Kamil Werus. Służąca, naturalnie, czeka na zewnątrz. Spodziewałam się zastać tutaj Dydiusza Falkona; jestem jego klientką.

- Jestem jego matką! - oświadczyła matka niczym Wenus przystępująca do ataku w obronie Eneasza. (Zważcie, proszę, że wcale nie sądzę, by pobożny Eneasze, ten nieznośny skromniś, objadał się rybami, które by jego matka, piękna bogini, osobiście dla niego filetowała i nadziewała.)

- Tak właśnie sobie pomyślałam - odparła Helena w ten typowy dla siebie spokojny sposób, zerkając przy tym na mój nieugotowany posiłek, jakby miała nadzieję, że ją zaproszą. - Kiedyś zaopiekowała się pani moją kuzynką, Sozją. Cieszę się, że mogę teraz za to podziękować. - Co powiedziawszy, poprawiła woalkę i skromnie zamilkła, jak przystoi młodszej kobiecie zwracającej się do starszej, która jednak musi mieć odrobinę zdrowego rozsądku, by tak uczynić. (Był to pierwszy przypadek, by jakaś kobieta, która mnie znała, wykazywała jakikolwiek rozsądek i zwracała się z szacunkiem do mojej mamy.)

- M a r k u ! - wrzasnęła matka, nieco wyprowadzona z równowagi tym, że ktoś tak uprzejmie potrafił stawić jej czoło. - Interesy!

Starając się zachowywać nonszalancko, wkroczyłem do pokoju.

Matka porwała talerz z rybą, po czym usunęła się na balkon, skrupulatnie starając się uszanować prywatność klientki. Tak naprawdę nie było to z jej strony żadne poświęcenie; stamtąd też wszystko słyszała. Zaoferowałem Helenie krzesło przeznaczone dla klientów, a sam usiadłem na ławie po drugiej stronie stołu, zachowując się poważnie i rzeczowo.

Nasze spojrzenia się spotkały. Moja przybrana poza rozsypała się w proch. Ona sprawdzała, czy się cieszę, że ją widzę; ja, chcąc ją wy badać, nie odrywałem od niej wzroku. W tym samym momencie nasze oczy rozbłysły autoironią... po czym już tylko siedzieliśmy w milczeniu, które mówi wszystko, i uśmiechaliśmy się do siebie radośnie.

- Dydiuszu Falconie, chcę omówić sprawę twojego rachunku.

Jednym okiem zezując w stronę balkonu, wyciągnąłem rękę przez stół i dotknąłem końców jej palców. Dreszcz, jaki mnie przeszedł, wywołał gęsią skórę na ramionach.

- Coś z nim nie tak, pani?

Cofnęła rękę szczerze oburzona.

- Czymże, na bogów, są „pozycje sporne”? - spytała. - Pięćset sestercji za coś, czego nawet nie raczysz wyjaśnić?

- To tylko taki termin, jakiego używają niektórzy księgowi. Moja rada brzmi: spieraj się jak szalona i nie płąć! - Uśmiechnąłem się; już wiedziała, że był to tylko pretekst, żeby ją tutaj ściągnąć.

- Hmm! Przemyślę to. Czy powinnam porozmawiać z twoim księgowym?

- Nigdy nie korzystam z ich usług. Połowa z nich potrafi jedynie obliczać odsetki, kiedy chodzi o ich własne honorarium, a ja mam dość

tych, którzy dzielą się moją sakiewką, by dołączać jeszcze do ich grona jakiegoś łysego fenickiego rachmistrza i jego skrofulicznego pisarczyka. Kiedy już będziesz gotowa, rozmawiaj bezpośrednio ze mną.

Obdarzyłem Helenę przeciągłym szczerym spojrzeniem, mającym jej przypomnieć o wieczorze, który powinna zapomnieć. Zamilkłem, bo moje serce zaczęło pędzić jak szalone. Czułem się tak osłabiony, jakbym stracił kwartę krwi.

Oparłem się o ścianę, zaplotłem ręce za głowę i uśmiechałem się lekko, napawając jej widokiem. Cieszyło ją to i oddała mi uśmiech. Mnie cieszył jej uśmiech...

Musiałem to przerwać. Bo to był straszny błąd. Czego mi w życiu potrzeba? Dostępnej panienki z kwiatkiem za uchem, która będzie chichotać, słuchając moich wierszy. Helenie nigdy nie będę czytał swoich wierszy. Ona czytałaby je sobie sama, po czym podkreślała błędy ortograficzne i niewłaściwe rymy; najpierw protestowałbym zajadle, a potem zmienił wszystko zgodnie z jej zaleceniem...

- Jest coś jeszcze - zaczęła. Moja twarz zastygła radośnie w niemym, żabim uśmiechu. - Magazyn w Sennym Zaułku zostanie wkrótce udostępniony przez urząd celny. Mój ojciec nie chce się zgodzić, bym się tam wybrała.

Opuściłem raptownie ramiona.

- Senny Zaułek jest miejscem, gdzie popełniono morderstwo. Twój ojciec ma rację.

- Kiedy ja naprawdę chcę się tam rozejrzeć...

- Weź więc kogoś ze sobą.

- Poszedłbyś?

- Chętnie. Daj znać kiedy. - Spojrzałem na nią z szelmowskim błyskiem w oczach, który miał jej powiedzieć, że w magazynie pieprzu moglibyśmy robić odpowiednio przyprawione rzeczy. Helena miała poważną minę. Odchrząknąłem. Podniosła się do wyjścia.

- Jutro odbywa się triumf, pójdziesz?

- Nie dla siebie... z rodzinnego obowiązku. Potem możemy się zająć twoim magazynem.

Wyostałem się z za stołu i poszedłem za nią do drzwi. Zostawiając je szeroko otwarte dla kamuflażu, wyszliśmy na korytarz. I tu konsternacja: jej służąca czekała na podeście, gdzie ją pozostawiono.

Służące niektórych szlachetnych pań wiedzą, jak się dyskretnie ulotnić, kiedy mężczyzna ma ochotę pocałować piękność, której są przyzwoitką. Z pewnych względów byłem zadowolony, odkrywszy, że dziewczynie Heleny w ogóle nie przyszło do głowy, że jej pani mogłaby chcieć i dać się całować. Jednocześnie byłem przerażony, że moja pani może już więcej tego nie zechcieć.

- Zejdź na dół, Naisso. Dogonię cię - rozkazała Helena spokojnym, rzeczowym głosem.

Słuchaliśmy cichnących kroków Naissy, dopóki ona sama nie zniknęła za zakrętem schodów. Żadne z nas nie odezwało się już ani słowem.

Helena odwróciła się ku mnie z zakłopotaną miną. Pocałowałem jej dłoń z odległości wyciągniętego ramienia, potem drugą w połowie tej

odległości. Przyciągnąwszy ją zamasyście, pocałowałem ją w obydwie policzki. Z westchnieniem, które było odpowiedzią na moje westchnienie, padła mi w ramiona, po czym przez dłuższą chwilę staliśmy bez ruchu, podczas gdy zmartwienia opadały z nas niczym płatki z potrząśniętej raptownie przejrzałej róży. Trzymając ją w objęciach i całując, przeprowadziłem ją tyłem przez cały podest i ostatecznie puściłem u szczytu schodów.

Zeszła na dół. Obserwowałem ją przez cały czas, aż znalazła się na ulicy. Stałem tam, gapiąc się jeszcze długo po tym, jak zniknęła mi z oczu.

Odmieniła mój dzień.

Usiadłem ponownie przy stole, udając, że wszystko jest w porządku. Czułem mrowienie na twarzy, w miejscu, którego tuż przed odejściem dotknęła dłonią.

Matka czekała. Wiedziała, że już wiele razy wracałem wolnym krokiem ze spotkania z kobietą, zachowując się przy tym afektownie. Kobiety przychodziły, odchodziły, nie zagrażały niczyjemu spokojowi.

Teraz jednak matka klapnęła naprzeciwko mnie z zasznurowanymi ustami.

- A więc to ona!

Serce pod żebrami fiknęło mi koziołka. Roześmiałem się niezręcznie.

- Po czym poznałaś?

- Przecież znam ciebie!

Wysunąłem do przodu brodę i spojrzałem w sufit; dostrzegłem nowe wyrzucenie w miejscu, przez które przedostawała się woda deszczowa. Pomyślałem o Helenie Justynie tak, jak mogła ją widzieć moja matka: o tej pięknej cerze i o eleganckiej dyskretnej biżuterii, o znakomitych manierach, które obejmowały nawet odziedziczoną po ojcu umiejętność sprawiania wrażenia nieśmiałości, o przebijającym przez to wszystko dziwnym połączeniu twardych zasad i szelmowskiego humoru. Helena Justyna, senatorska córka, rozprawiała ze mną tak chłodno o honorariach za usługi i o magazynach, podczas gdy jej oczy mówiły o szczęściu, które ze sobą dzieliliśmy... Wszyscy wiedzieli, że poszukuję (kiedy akurat mi się zachciało, bo czyniłem to na chybił trafił) kogoś takiego jak Marina, dziewczyna mojego brata: nieskomplikowanej osoby z niezgorszym umysłem i ładną buzią, która potrafiłaby z grubsza prowadzić dom i miałaby dość przyjaciółek, by nie zawracać mi głowy. Wszyscy to wiedzieli; sam to wiedziałem.

Ponownie opuściłem wzrok i zagapiłem się w stół, bawiąc się rozsypanymi listkami estragonu.

- No więc?! - rzuciła wyzywająco matka. - Mam zacząć piec szafranowe ciasteczka czy nałożyć czarny welon i zawodzić w świątyni Junony? Co teraz?

- Nic - odparłem, uwzględniając realia. - Powiedziała ci, kim jest jej ojciec. Nic nie mogę zrobić.

Gniewny grymas znów ściągnął usta matki.

- Marku, z tego, co widziałam, nie sądzę, by zależało to od ciebie!

Popatrzyłem na matkę smutno, ona zaś przyglądała mi się z dziwną miną.



LII

Tego wieczoru nie miałem nic do roboty, poszedłem więc do golibrody na końcu naszej ulicy. Siedziałem na chodniku, a on skrobał mój podbródek. Udało mi się podłożyć nogę liktorowi jakiegoś nie najwyższej rangi urzędnika i zrobić to tak, by wyglądało na autentyczny przypadek. Przy tej okazji liktor o mało się nie wykastrował na własnym ceremonialnym toporze; byłem z siebie prawdziwie dumny.

Miałem ją znowu zobaczyć. Kogo? Nikogo. Po prostu dziewczynę. Po prostu klientkę. Nieważne.

Pogryzając kawałek kielbasy lugańskiej, podszedł do nas syn golarza. Miał trzynaście lat, nie był za bardzo tępy, jednak odnosiło się wrażenie, że nawet jedzenie tej kielbasy to dla jego mózgu wyjątkowo trudne wyzwanie. Wszystkie dzieci mojej siostry Mai nazywały go Platonem.

- Falko! Pani szuka cię przed twoim domem.

Rzadko się zdarza, by człowiek mający hiszpańską brzytwę przyłożoną do gardła zrywał się tak pośpiesznie.

Przeskoczyłem baryłkę z sercówkami, okrążyłem stos pustych amfor i walnąłem głową o koszyk z kwiatami wiszący przed zakładem pogrzebowym, gdzie wynajęci żałobnicy ćwiczyli głosy... nie na czuwanie przy zmarłym, ale na jutrzejszy triumf, który był świętem dla całego miasta. Wszyscy rzymscy muzycy mieli znaleźć się na ulicach, by przyciągać uwagę mieszkańców i tym samym skutecznie ułatwiać działanie złodziejaszkom.

Nie zobaczyłem żadnej pani. Nic dziwnego. Ten głupiec Platon nie wiedział, co mówi: to Lenia mnie szukała. Kręciła się przed pralnią... z zawstydzoną miną.

Lenia miała za sobą dwadzieścia lat doświadczenia w wyjaśnianiu, co się stało z zagubionymi tunikami, i dlatego teraz widok przygnębionej praczki wydawał mi się czymś tak niezwykłym, że uznałem, iż przyczyna tego musi być bardzo poważna. I była. Dla uczczenia cesarskiego triumfu zaplanowała akt prawdziwie lekkomyślnego szaleństwa: nasza silnoręka królowa balii dawała nura w związek małżeński.

Kiedy ludzie decydują się na ślub, staram się unikać informowania ich o tym, że popełniają poważny błąd. Bo na ogół go popełniają, ale gdyby wszystkie niedobre związki w Rzymie za radą dobrych przyjaciół nie zostały zawarte, nie byłoby nowego pokolenia cywilizowanych ludzi, żeby podbijać barbarzyńców tego świata.

- Kto jest tym szczęśliwcem?

- Smaraktus.

Po ponownym rozważeniu sytuacji udzieliłem Lenii rady w najmocniejszych słowach, na jakie mnie było stać.

Powodem, dla którego człowiek nie powinien zaprzętać sobie głowy takimi sprawami, jest to, że nikt nigdy nie słucha dobrych rad.

- Zamknij się, Falko - odparła Lenia przyjacielskim tonem. - On jest wart milion sestercji!

Z kilku powodów ta informacja spowodowała, że przed moimi oczyma

pojawiła się czerwona mgła.

- Jeśli usłyszałaś to od Smaraktusa, to wierz mi, dziewczyno, on kłamie!

- Nie bądź głupi; w ogóle go o to nie pytałam.

- W porządku, zależy więc, kogo uwiodłaś. Jeśli to był jego księgowy, to się chełpi, więc podziel to na pół. Jeśli to jego bankier, to był ostrożny, więc możesz tę sumę podwoić...

- Ani-ani. Uwierz mi, niczego nie ryzykuję; przeczytałam jego testament.

- Lenio - powiedziałem ze smutkiem - knująca intrygę kobieta zdolna jest posunąć się do wszystkiego!

Strategiczny sojusz z moim złośliwym gospodarzem mógł stanowić jedynie część pokrętnego planu Lenii. On łapał pralnię, tę małą, ale pewną kopalnię złota, natomiast jej uwagę żywo przyciągała jego duża nieruchomość. Ich wspólne życie przyprawione zostanie znaczącą szczyptą chciwości, a każde będzie się modliło do swoich bóstw domowych, by to drugie zmarło pierwsze.

Wiele małżeństw trwa dziesiątki lat na tej zdrowej podstawie, więc życzyłem kobiecie dobrze.

- On będzie tu mieszkał, Falko...

- Myślałem, że już mieszka.

- Tylko cię ostrzegam.

- Nie obchodzi mnie, jakie drzewo ten nieczysty ptak obrzuca swoim gównem...

- Nie mogę zabronić mu wchodzenia do pralni. Pomyślałam, że mógłbyś przed ślubem zabrać tę swoją paczkę z kadzi...

Ta pierwsza srebrna świnka! Ta znaleziona na ulicy, którą potem wspólnie z Petroniuszem wydostaliśmy z bankowej kasety. Kompletnie o niej zapomniałem; inni też zapomnieli...

Już wkrótce wyciągnięta z dna kadzi przez naszą mocarną Lenię świnka suszyła się pod tygodniową porcją brudnej bielizny osobistej z którejś świątyni. Wycierając ją przepaską z głowy jakiegoś kapłana, otoczona zapachem świątynnego kadzidła z ubiegłego czwartku, Lenia zapytała:

- Czy wiedziałeś, że ktoś dołączył listę rzeczy do prania?

Zostawiliśmy z Petroniuszem powróz owinięty wokół świnki; okazało się, że ktoś przyczepił do niego pojedynczą woskowaną tabliczkę...

- O bogowie!

Jeszcze zanim ją wyjąłem z opuchniętej dłoni Lenii, wiedziałem, co to jest i czyją ręką napisane. Słyszałem w uszach głos Lenii sprzed sześciu miesięcy: *Pozwoliłam jej się wysiusiać do kadzi z wybielaczem, a potem napisała na górze liścik...* Przypomniałem też sobie Helenę Justynę wściekającą się na mnie tego pierwszego wieczoru w Brytanii. *Napisała, że powiedziała to tobie...*

I rzeczywiście. W wystarczająco formalny sposób, by mogła posłużyć jako dowód, Sozja Kamillina przekazała mi listę imion.

*Sozja Kamillina, córka Publiusza Kamila Metona,
do Dydiusza Falkona, detektywa.*

*W idy październikowe, za drugiego konsulatu
Wespazjana Augusta, pierwszego jako cesarza
T. Flawiusz Domicjan
L. Aufidiusz Krispus
Gn. Acjusz Pertynaks Kapreniusz Marcel
Tyt. Faustus Plaucjusz Ferentyns
A. Kurcjusz Gordian
A. Kurcjusz Fongin
Kw. Korneliusz Gracilis.*

Podaję te imiona, spełniając obowiązek wobec Cesarza i będąc posłuszną bogom.

Byli tam wszyscy. Wszyscy? Najwyraźniej wszyscy z wyjątkiem jednego. Nad ostatnim zdaniem była jednowersowa przerwa. Wyglądało to tak, jakby Sozja napisała jeszcze jedno imię; napisała, a potem przejechała tęym końcem ryłca po wosku, by je usunąć.

W takiej sprawie, powiedziałem kiedyś Helenie, nie można sobie pozwolić ani na lojalność, ani na zaufanie. Sozja Kamillina miała i jedno, i drugie. Musiało to być olbrzymie brzemie dla szesnastoletniego dziewczęcia.

Ta tabliczka nie dowodziła niczego. Wymieniono po prostu siedmiu mężczyzn znajdujących się nawzajem; wyglądało to jak lista zaproszonych na ucztę. Może Sozja znalazła tę listę w jakimś domu, który odwiedziła - notkę sporządzoną, by przekazać instrukcje zarządzającemu domem. I starannie przepisała te nazwiska...

Siedmiu mężczyzn, którzy w sądzie oświadczyliby zgodnie, że tylko wspólnie i spokojnie ucztowali. To oczywiście nie oznaczałoby, że spotkali się tylko w tym celu.

I kto w takim razie był gospodarzem złowróbnego zgromadzenia?

Wpatrywałem się w płytki rowek, w miejscu, gdzie ryłec Sozji wymazał ostatnie imię. Moją biedną Sozję krępowwały więzy prawa, które mnie nie obowiązywały. Gdyby stała tu teraz i wpatrywała się we mnie tymi wielkimi, pełnymi entuzjazmu oczyma, które tak żywo tkwiły w mojej pamięci, musiałbym aż do końca razem z nią zachować milczenie. Ale ona już odeszła, a ja wciąż chciałem pomścić jej śmierć.

Była jeszcze jedna osoba wpłątana w tę sprawę: ktoś tak sprytnie umiejący znikać innym z oczu, że prawie rozmyślnie zignorowałem oczywiste powiązanie. Podziękowałem Lenii, pochwyciłem sztabę i z wielkim wysiłkiem zaniósłem ją na górę, do mieszkania. Wkrótce, odziany w swoją najlepszą togę, tę, która kiedyś należała do Festusa, zszedłem na dół i udałem się zrobić to, co do mnie należało, prosto na Palatyn.



LIII

Zanim doczłapałem do Pałacu, byłem już tak zdenerwowany, że mogliby mnie aresztować za podejrzaną zachowanie. Pocieszyłem się nieco, stwierdziwszy, że cesarska gwardia najwyraźniej potrafi odróżnić

skrytobójcę od rozgorączkowanego, ale uczciwego obywatela. Kiedy poprosiłem o audiencję u Tytusa, przekazywano mnie od jednego do drugiego urzędnika, a każdy kolejny był bardziej wytworny od poprzedniego, aż skończyło się to na wysokim wzrostem sekretarzu, robiącym wrażenie kogoś, kto nie mrugnąłby nawet okiem, gdyby teściowa na własnym podwórku przydybała go na chędożeniu rzeźnika. Ten mnie wysłuchał, posadził na stołku z togą porządnie złożoną na kolanach, a sam wszedł do przyległego, wewnętrznego pomieszczenia.

Po chwili wyszedł stamtąd Tytus. Wyglądał wspaniale. Miał na sobie pełen wojskowy strój naczelnego dowódcy Judei i był w odpowiednim do niego nastroju. Zdobionemu napierśnikowi nadano heroiczne proporcje, płaszcz miał głęboki purpurowy kolor, a tunika obszyta była na wszystkich możliwych krawędziach sztywnym szamerunkiem z liści palmowych. Jeśli brakowało mu cokolwiek wzrostu, nadrabiał ten brak muskularną budową ciała. Był gotowy udać się do świątyni Izydy, gdzie miał spędzić uroczyste noc z ojcem i bratem, zanim nazajutrz wkroczą do miasta jako zwycięzcy dowódcy, wiozący do ojczyzny jeńców i połyskujące łupy.

Ogarnęły mnie wątpliwości. Mój klient wystrojony był tak, jakby miał pozować do posągów, które sławiłyby go przez kilka tysięcy lat. Osobiście nie wierzyłem w moc ceremoniałów, ale od razu się zorientowałem, że przyszedłem nie w porę.

Wstałem. Podałem Tytusowi tabliczkę Sozji. Kiedy ją ode mnie brał, poczułem silny uścisk jego dłoni. Myśląc w napięciu, zerknął na imię Domicjana, a potem przebiegł wzrokiem po pozostałych.

- Dziękuję, Falko. Użyteczne, ale nie nowe... - Jego spojrzenie zdawało się błędzić gdzieś daleko, myślami był już chyba w wypełnionym zaszczytami dniu jutrzejszym. Mimo to w końcu dotarło do niego moje rozgorączkowanie. - Co... według ciebie to oznacza?

Wskazałem palcem miejsce po brakującym wersie.

- Panie, córka Kamila Metona nie była skrybą. Pisała jak uczennica, mocno przyciskając rylec. Musiałem pokazać ci tę listę, ale jeśli wyrazisz zgodę, to za cenę jej zniszczenia... - Przełknąłem ślinę, bo niełatwo mi było zrezygnować z czegoś, co zostawiła mi Sozja Kamillina. - Jeśli całkowicie stopimy воск, może odczytamy to, co wyskrobało się przy okazji w samym drewnie.

Nasze spojrzenia się spotkały; gość miał umysł ostry jak hiszpański miecz.

- To brakujące imię może być nadal widoczne? - Tytus podejmował decyzję niczym dowódca, którym przecież był. - Nie mamy wiele do stracenia!

Przywołał swojego chudego sekretarza. Ten przygarbiony i nieco popisujący się dziwoląg już po chwili trzymał przechyloną tabliczkę nad płomieniem, kręcąc kościstym nadgarstkiem, co pozwalało kroplom wosku skapywać do grawerowanej srebrnej miseczki. Teatralnym gestem zwrócił Tytusowi tabliczkę.

Tytus zerknął na porysowaną powierzchnię, potem dał sekretarzowi znak, by się ulotnił. Przez długą, męczącą chwilę patrzyliśmy na siebie.

- No cóż, Dydiuszu Falkonie - odezwał się cicho Tytus - jak dobrym

jesteś detektywem? Czy zechcesz mi powiedzieć, zanim ci pokażę, kto według ciebie to jest?

Trybun wojskowy, z wąskimi purpurowymi paskami przysługującymi członkom stanu ekwickiego, wszedł lekkim krokiem, spiesząc na jakieś oficjalne spotkanie związane z triumfem: oko błyszczące, najlepsze buty, wypolerowany do połysku inkrustowany napierśnik, on sam dokładnie wypielegnowany, od starannie przyciętych paznokci palców stóp aż po czubki zaczerwienionych młodych uszu. Tytus nawet na niego nie spojrzał.

- Wyjść! - rozkazał niemal uprzejmie, choć trybun już zdążył rzucić się do drzwi.

Raz jeszcze w pokoju zapadła cisza. Tytus i ja... Tytus nadal trzymający tabliczkę, której ja ciągle jeszcze nie widziałem.

Czułem suchość w ustach. Jako detektyw byłem zaledwie średnio dobry (zbyt marzycielski, a także zbyt ostrożny, jeśli chodziło o wątpliwe zlecenia... te, które się opłacają); tak czy owak, byłem wystarczająco dobry. Kiedyś przysiągłem sobie nigdy już nie angażować się w sprawy rządzących; a przecież po swojemu służyłem zarówno mojemu miastu, jak i cesarstwu. Nigdy bym nie zaakceptował boskości cesarza, wierzę natomiast w szacunek dla samego siebie i w zapewnienie sobie honorarium.

Powiedziałem więc Tytusowi, czyje nazwisko przychodzi mi do głowy.

- Musi to być jeden z braci Kamilów, panie. Nie jestem tylko pewien który.



LIV

Usłyszeliśmy, jak na zewnątrz ustawia się eskorta. Tytus podszedł do drzwi i coś powiedział. Uspokoilo się; ktoś postawił tam gwardzistę.

Czułem ciężar w żołądku, jakbym był w ciężkiej żałobie.

Tytus wrócił, kazał mi usiąść, a sam usadowił się na łożu obok mnie, kładąc tabliczkę pomiędzy nami, grzbietem do góry.

- To biedne małe dziewczę! Och, Falko... ta cała biedna rodzina! Cóż, trzeba to zrobić. Wyjaw mi, proszę, swój tok rozumowania.

- Panie, kiedy się nad tym zastanowić, wydaje się to strasznie oczywiste. Zacznę od początku. Kiedy pierwsza srebrna świnka pojawiła się w Rzymie, to, co przydarzyło się Sozji Kamillinie, było bardzo istotne; zawsze tak uważałem. Prawdopodobnie Acjusz Pertynaks, który był przecież edylem pretora, mógł powiedzieć konspiratorom, gdzie ukryto sztabę. Teraz jednak uważam, że oni już to wiedzieli... niewątpliwie był to ktoś bliski Sozji, kto zorientował się, że dziewczyna zna numer skrytki bankowej. Najszybszym sposobem, żeby się dostać do skrytki, było zabranie tam Sozji... trzeba było wykorzystać w tym celu łotrzyków, żeby zagmatwać sprawę i nie dopuścić, by kogoś rozpoznała.

Tytus skinął głową.

- Coś jeszcze?

- Tak. Tuż przed śmiercią Sozja napisała do kuzynki, że odkryła dom człowieka powiązanego z ludźmi, którzy ją uprowadzili. Uważam, że tam

właśnie znalazła tę listę. Rzecz w tym, że wtedy, już dla bezpieczeństwa, Sozji zabroniono opuszczać dom - to znaczy dom senatora - choć nie wątpię, że kiedy tylko chciała, mogła wchodzić do stojącego po sąsiedzku domu ojca - mówiłem. Tytus pokręcił głową, niechętnie zgadzając się z moimi słowami. - Panie, od chwili, w której podjąłem się dla ciebie tej sprawy, ktoś z bardzo bliska obserwował moje postępy i przy każdej okazji psuł mi szyki. Kiedy Helena Justyna i ja wróciliśmy z Brytanii, po wielu miesiącach nieobecności, ktoś miał dość wiedzy, by tego samego dnia urządzić na nas zasadzkę. Prawdę mówiąc, ja sam wysłałem wiadomość spod bramy Ostyjskiej... do jej rodziny.

- I w ten sposób straciłeś list od swojego przyjaciela Hilarisa? - Mówiąc to, Tytus uśmiechnął się ciepło; poczciwy Gajusz, bez reszty oddany ciężkiej pracy, miał taki wpływ na ludzi. Ja też się uśmiechnąłem, tylko dlatego, że lubiłem tego człowieka.

- Właśnie. Przez cały czas zakładałem, że te dwa imiona, które Flawiusz Hilaris przesłał Wespazjanowi, to Domicjan i Pertynaks. On jednak nie chciał mi tego powiedzieć. Źle zrozumiałem sytuację. Było mało prawdopodobne, by zarządzający kopalniami Tryfer mógł uświadomić sobie, że twój brat jest zaangażowany... Pertynaks, przewoźnik, musi być jednym z nich, ale przecież Pertynaks był kiedyś mężem bratanicy małżonki Gajusza. Załóżmy, że ten drugi był jeszcze bliższym jej krewnym. Musiało to być bardzo bolesne; nic więc dziwnego, że Flawiusz Hilaris wolał się trzymać od tego z daleka i pozwolił, by to Wespazjan zadecydował, co trzeba zrobić.

Nie komentując tego aspektu, Tytus zapytał ostrożnie:

- Czy brałeś kiedyś pod uwagę, że Hilaris może być w to zamieszany?

- Nie, kiedy już go poznałem! - Opowiedziałem mu, jak zażartowałem na ten temat, mówiąc, że w tej sprawie tylko urzędnicy państwowi są uczciwi.

- Cały więc honor należy się ekwitom! - wykrzyknął ze śmiechem, chwając ów stan. Po czym dodał całkiem poważnie, a przynajmniej tak mi się zdawało: - Sam powinieneś rozważyć dostanie się do wyższego stanu. Mój ojciec potrzebuje w nim porządnych ludzi.

Kwalifikacją majątkową do stanu średniego jest posiadanie ziemi o wartości czterystu tysięcy sestercji; Tytus nie mógł wiedzieć, jak nedorzeczna była jego uwaga. Bywały lata, kiedy mój dochód był tak niski, że mógłbym się ubiegać o zapomogę.

Pomijając milczeniem ten niezamierzony dowcip Tytusa, zwróciłem uwagę, że Flawiusz Hilaris przez dwadzieścia lat był przyjacielem Wespazjana.

- Falko, kiedy ktoś zostaje cesarzem, musi dwa razy przyjrzeć się swoim przyjaciołom. Smutny fakt.

- Kiedy ktoś zostaje cesarzem, panie, możliwe, że przyjaciele dwa razy przyglądają się jemu!

Znowu się roześmiał.

Przyciszone głosy za drzwiami zaczęły pobrzmiwać nieco natarczywie. Tytus patrzył w przestrzeń.

- Czy poproszono Flawiusza Hilarisa, by napisał raz jeszcze? - spytałem.

- Wysłaliśmy pilną wiadomość sygnalizacją świetlną, ale z powodu

triumfu panuje duży ruch. Odpowiedź powinna nadejść pojutrze.

- Czy nadal jest potrzebna?

W tym właśnie momencie odwrócił tabliczkę Sozji, żeby sam mógł zobaczyć, co się na niej zachowało.

- Obawiam się, że tak.

Na bladym drewnie było wiele zadrapań; przeczucie mnie nie myliło, Sozja nie miała lekkiej ręki do pisania. Widziałem wyraźne ślady, pociągnięcia, nawet pojedyncze litery, aż do samego dołu tabliczki.

Odcyfrowanie brakującego imienia było jednak niemożliwe.



LV

Tytus założył ręce na piersi.

- Cóż, tak naprawdę to niczego nie zmienia. Będziemy musieli odkryć je sami. Masz jakieś pojęcie, który to z braci?

- Nie, panie. Mógłby to być senator, który robi wrażenie, jakby bardzo chciał pomóc twojemu ojcu, ale może przecież tak czynić, by mieszać nam szyki. Równie dobrze mógłby to być jego brat, który niewątpliwie był bliskim współpracownikiem Acjusza Pertynaksa. Jestem w stanie wyobrazić sobie, że mogliby to być nawet obaj.

- Falko, od jak dawna masz takie podejrzenia? - spytał zaciekawiony Tytus.

- Panie, gdyby zależało ci tylko na domysłach, to już sześć miesięcy temu mogłem ci wręczyć listę z tysiącem imion...

Tytus wysunął do przodu słynny podbródek Flawiuszów, wciąż trzymając ręce na piersi.

- Wątek dotyczący zaangażowania tej rodziny zachowujesz dla siebie? Czyżbyś przywiązał się do tych ludzi?

- Nie, panie - odparłem z przekonaniem. Znaliśmy się na krawędzi ostrego sporu. Nic nowego; w różnych momentach zdążyłem się już przecież pokłócić z każdym, kto miał jakiś związek z tą sprawą. Jednakże Tytus, który był zdecydowanie sentymentalny, nagle ustąpił. Odchylił jeszcze mocniej głowę do tyłu i wykrzyknął smutnym głosem:

- Och, Falko, jak ja tego nienawidzę!

- Nienawidzisz - odparłem krótko - ale będziesz musiał się tym zająć, panie.

Na zewnątrz panował coraz większy ruch. Do pokoju wszedł kolejny trybun, odrobinę jedynie starszy od tego pierwszego; miał szeroki purpurowy pas z przodu, świadczący o przynależności do stanu senatorskiego. Zobaczywszy głowy Tytusa i moją tuż koło siebie, stanął w milczeniu; najwyraźniej był człowiekiem zaufanym i nie obawiał się zrugania. Był też przekonany, że ten szczególny jutrzejszy dzień jest ważniejszy od mojej drobnej intrygi. Jego zdecydowana poza przypominała Tytusowi o hierarchii spraw.

- Czy jest jakiś problem, panie? Domicjan wyruszył przodem, jednak twój ojciec zwleka z wyjazdem, czekając na ciebie.

- Dobrze. Już idę.

Trybun czekał. Tytus nie miał nic przeciwko temu.

- Jesteś nam potrzebny do ustalenia tożsamości pozostałych spiskowców! - nalegał Tytus.

Wahałem się. Byłem zbyt blisko związany z wplątanymi w to ludźmi, by oceniać jasno i bezstronnie sytuację. Widziałem, że ta moja niechęć nie jest czymś niespodziewanym.

- Panie, teraz sprawę mogłaby już przejąć gwardia pretoriańska. Jest tam pewien dowódca, którego mogę ci polecić, a który już wie o tym co nieco. Nazywa się Juliusz Frontyn. Zainteresował się nią, kiedy znaleziono w Rzymie pierwszą sztabę; pomógł mi wówczas znaleźć właściwy trop...

- Przyjaciel?

- Chodził do szkoły z moim bratem.

- Aha.

Obcowanie z Tytusem było niepokojąco kulturalnym doświadczeniem. Jego doskonałe maniery powodowały u mnie paskudne skrupuły i zamiast wykrcęcać się z tej sytuacji, pozwalałem się nieznośnie naciskać.

- Falko, nie mogę cię zmusić, byś ciągnął dalej tę sprawę, choć wolałbym, żeby tak było. Posłuchaj, odłóżysz swoją decyzję na jeden dzień? Nic się przecież nie wydarzy do jutra. Cały Rzym stanie w miejscu. Jutro mój ojciec będzie wręczał dary ludziom, którzy są na jego liście płac. Bez wątpienia zasłużyłeś na to; powinieneś to wykorzystać! W tym czasie obaj rozważymy, jak należy postępować dalej. Po triumfie przyjdź do mnie znów na rozmowę. - Podniósł się, gotowy odpowiedzieć na wezwania swojego sztabu, a przecież wcale mnie nie poganiał.

- To nie są ludzie mojego stanu - oświadczyłem niezdarnie. - Ja mogę złapać bandziora lub złodzieja i z pętlą na szyi rzucić go do twoich stóp, żywego czy martwego, jak sobie zażyczysz. Tutaj jednak brak mi finezji.

Tytus uniósł drwiąco brew.

- Jest mało prawdopodobne, by zdrajca przyparty do muru zachowywał się zgodnie z dworską etykietą. Dydiuszu Falkonie, mój ojciec otrzymał list od Flawiusza Hilarisa wychwalający twoją wytrzymałość fizyczną i zdolności umysłowe; zapisał trzy karty pierwszorzędne pergaminu, wychwalając cię pod niebiosami! Kiedy ci to pasowało, umiałeś poradzić sobie samodzielnie, na swój własny agresywny sposób, ze wszystkimi, którzy stanęli ci na drodze, a teraz nagle ci to nie odpowiada?

- Dobrze, panie. Dotrzymam umowy, ustalę tożsamość organizatora spisku...

- I znajdziesz srebrne świnki!

- Sozja Kamillina podejrzewała, gdzie mogą być. Myślę, że cały czas miała rację.

- Senny Zaulek?

- Senny Zaulek.

- Falko - powiedział Tytus z irytacją w głosie - nie mogę trzymać już dłużej swoich żołnierzy w Sennym Zaułku! Mają zajęcia gdzie indziej. Magazyn praktycznie kilka razy rozebrano i ponownie złożono. Wartość znajdującego się w środku towaru stanowi poważne utrudnienie dla dowódcy, którego tam zostawiłem. Pani, którą reprezentujesz, obiecano, że moi ludzie odejdą...

- Niech więc odejdą - zasugerowałem z lekkim uśmiechem. - Jeśli pozwolisz, powiem Helenie Justynie, że twoich ludzi odwołano do innych obowiązków, począwszy od dnia jutrzejszego, dnia waszego triumfu. Dobrze byłoby, gdyby te wieści rozeszły się po jej rodzinie... - Nie wyjaśniłem dlaczego, ale widziałem, że jak każdy inteligentny człowiek, Tytus lubi rozmowę, która zmusza do myślenia.

- Nic się nie wydarzy, dopóki moi żołnierze stoją na tych świnkach? Zgadzam się. Możesz powiedzieć Helenie Justynie, że magazyn jest już dostępny. Poproszę pretorianów, by od czasu do czasu nieoficjalnie sprawdzali to miejsce... ale, Falko, liczę na ciebie!

Opuściłem Pałac od strony północno-wschodniej, schodząc clivus Victoriae ku Forum. Wszystkie ulice normalnie nocą pogrążone w ciemnościach teraz rozświetlone były pochodniami, a niewyraźne postaci uwijały się przy ozdabianiu portyków domów girlandami. Brygady wynajętych robotników stawiały trybuny. Rynsztokami płynęła woda, kiedy kwartał po kwartale splukiwano błoto i śmiecie. Kolejne oddziały wojska maszerowały w stronę Pola Marsowego na wielki przegląd. Obywatele, którzy po zapadnięciu zmroku zazwyczaj nie ruszają się ze swoich warsztatów, sklepów i domów, kręcili się grupkami, chcąc zaznać tej pełnej oczekiwania atmosfery. Miasto pulsowało gwarem.

Wysłałem jednego z siostrzeńców z wiadomością do Heleny Justyny. Napisałem, że przyprawy należą już do niej, ale że ja sam nie będę mógł wziąć udziału w zaproponowanej przez nią wyprawie do magazynu. Nie napisałem dlaczego. Zrozumie to sama, zanim zdąży poczuć zażenowanie z powodu złamania przeze mnie obietnicy; najpierw, jak się domyślałem, założy, że postanowiłem jej unikać.

Może i powinienem.

Nigdy wcześniej nie pisałem do Heleny. Prawdopodobnie już nigdy nie będę. Kiedy się dowie, co zrobiłem na Palatynie, szlachetna Helena Justyna sama nie będzie chciała mnie widzieć.

Kazałem siostrzeńcowi poczekać na odpowiedź, jednak się nie doczekał.

Tej nocy wpadłem do domu Petroniusza. Jego żona, która w najlepszym razie patrzy na mnie nieprzychylnym wzrokiem, nie była tym zachwycona. Chciała, żeby mąż pobawił się z dziećmi, na co nie będzie miał czasu jutrzejszego świątecznego dnia, który poświęci w całości na odstraszanie włamywaczy od sklepów przy drodze Ostyjskiej.

Powiedziałem Petroniuszowi, co według mnie się szykuje, a on obiecał zająć się ze mną magazynem, gdy tylko dam mu znać. Kiedy wychodziłem, czołgał się na czworakach, służąc za słonia trzem córeczkom. Jego małżonka na pożegnanie dała mi krwawą kieszonkę, co jak sądzę, było darem dziękczynnym za pozostawienie ich w spokoju.

Miałem ochotę się upić. Na szczęście dla żony Petroniusza wyznaje filozofię, która pozwala upić się na każdym etapie sprawy, ale nigdy wtedy, kiedy już wiem, kim jest ten, kogo szukam.

Kiedy szedłem do Pałacu, myślałem, że wszystko jest już zakończone.

Tymczasem sprawy, które są ci nienawistne, zdają się ciągnąć bez końca.



LVI

Zabrałem wszystkie swoje siostry oraz całą grupę małych dzieci, żeby oglądać triumf Wespazjana. Już choćby za to moja dusza zasługuje na spokojny odpoczynek na Polach Elizejskich.

Udało mi się spóźnić na nudny przemarsz konsulów i senatorów przez zastosowanie prostej sztuczki, jaką jest zaspanie. (Nawet przy panującej w mieście wrzawie na swoim szóstym piętrze mogłem spać do późnego poranka spokojnie jak pisklę gołębia w gnieździe na pinii.) Na Polu Marsowym oddziały wojska ustawiły się do parady, podczas gdy Wespazjan i Tytus zajęli miejsca na krzesłach z kości słoniowej w portyku Oktawii, by przyjąć salut swoich żołnierzy. A kiedy ich okrzyk pobiegł ku niebu, nawet śpiochy na Awentynie wyskoczyły z łóżek. Podczas gdy całe to cesarskie towarzystwo dziobało sobie śniadanko pod Łukiem Triumfalnym, ja wyszukałem swoją świąteczną tunikę, spokojnie podlałem kwiaty na balkonie i uczesałem włosy. Nucilem pod nosem, podążając na północ, pomiędzy obwieszonymi girlandami arkadami, nieuchronnie zbliżając się do ściany zgiełku.

Ładny, ciepły i pogodny dzień niósł ze sobą otuchę, kiepski czas dla haluksów; nim dotarłem do celu, pozostały tylko miejsca stojące. Otwarto wszystkie świątynie zamknięto łaźnie; kadzidło z tysięcy ołtarzy zmagало się z zapaszkiem pół miliona ludzi pocących się w odświętnym odzieniu bez szansy na kąpiel przez cały dzień. Nie licząc kilku oddanych swojej profesji włamywaczy, przemykających opuszczonymi uliczkami i zaułkami, unoszących dyskretnie worki z łupem, każdy, kto nie brał udziału w pochodzie, oglądał go. Tylu gapiów tłoczyło się wzdłuż jej trasy, że orszak z trudem się przeciskał.

Przynajmniej raz przydał się na coś mój szwagier Miko (ten tynkarz). O pierwszym brzasku posłano go do wznoszenia trybuny, tylko dla naszej rodziny, przed prywatnym domem jakiegoś nieświadomego tego faktu obywatela. Tak naprawdę nie było tam dość miejsca na podium, kiedy jednak ludzie edyla zobaczyli całą rodzinę Dydiuszów usadowioną z pełnymi prowiantu koszami, zajądającą miękkie melony, w wiejskich kapeluszach na głowach, popijającą wino z tykw, gotową do rzucania przekleństw, przyjęli po plasterze melona każdy i oddalili się, nawet nie próbując rozebrać tej tymczasowej konstrukcji.

Na szczęście, zanim zdążyłem się pojawić, senatorowie już przeszli, niesiono więc trąby i rogi bojowe, a ich otwarte, rozszerzające się jak dzwony paszcze przesuwwały się na wysokości naszych głów. Wiktoryna i Alia wymyślały mi, ale i tak nie było ich słyhać. Reszta członków rodziny zakryła uszy, odgradzając się od tego hałasu, i postanowiła nie nadwerężyć sobie strun głosowych narzekaniem na moje spóźnienie.

- Pamiętacie - wspominała głośno Wiktoryna, kiedy nastąpiła krótka przerwa pomiędzy rzędami ryczących trębaczy - jak podczas triumfu z okazji podboju Brytanii słonie cesarza tak bardzo przeraziły Marka, że aż

zwymiotował?

Nie miało to żadnego związku ze słoniami. Miałem wtedy siedem lat. Siedziałem ze skrzyżowanymi nogami na podłodze obok stojącej w cieniu tacy z perskimi słodyczami. Jedyne, co widziałem z brytyjskiego triumfu, to nogi innych ludzi. Przez całe popołudnie zjadłem trzy funty smażonych w miodzie nadziewanych daktyli, aż wargi miałem obolałe od oblizywania, a mój żołądek zaczął się buntować. Nie dojrzałem nawet kawałka słonia...

Maja rzuciła mi kapelusz. Ze wszystkich moich sióstr ona jedna wciąż odnosi się do mnie przyjaźnie... jeśli nie liczyć faktu, że to właśnie Maja uczyniła mi ten zaszczyt i wprowadziła do naszej rodziny mojego szwagra Famię. Ten Famia odpowiadał za zdrowie koni wyścigowych rydwanów Zielonych... bardzo szybko i tak odkryłbym, że jest okazem bezdennej głupoty, nawet gdybym nie był zagorzałym kibicem Niebieskich. Szczerze mówiąc, nie lubiłem żadnego z mężów moich sióstr i dlatego między innymi nienawidziłem rodzinnych zgromadzeń. Okazywanie uprzejmości idiotom i nicponiom było idealnym sposobem na spędzenie uroczystego dnia. Nie licząc męża Galii, którego moja siostra tymczasowo wyrzuciła na śmietnik, te nikczemne typy przez cały dzień pojawiały się i znikaly, a ja czerpałem jedyną pociechę z tego, że małżonki traktują ich jeszcze bardziej nikczemnie niż mnie.

Dzień był długi. Po głośnych trąbach przyszła pora na łupy wojenne. Tytus miał rację, świat jeszcze nie widział czegoś takiego. Minął rok, odkąd Wespazjan zasiadł na tronie, sześć miesięcy, odkąd sam Tytus wrócił do Rzymu. Mnóstwo czasu, by Pałac mógł zorganizować widowisko... i je zorganizował. Oglądaliśmy więc długie przedstawienie kampanii Wespazjana w Judei: pustynie i rzeki, zdobyte miasta i płonące wioski, armie przetaczające się przez spalone słońcem równiny, maszyny oblężnicze wynalezione przez samego Wespazjana - wszystko to sunęło przed nami na odkrytych platformach w postaci żywych obrazów, wysokich na trzy czy cztery piętra. Potem, boleśnie skrzypiąc solidnymi bębnowymi kołami, w otoczeniu zapachu pękającej od słońca farby na świeżo malowanym płótnie, z kolorowymi wiosłami na fartuchach, przepłynęły, niezdarnie się kołysząc, wizerunki wyniosłych żaglowców. Te statki podobały mi się najbardziej; żeglowanie po suchym lądzie wydawało mi się czymś doskonałym.

Trwało to bez końca. Rząd za rządem mężczyźni w szkarłatnych mundurach i w wawrzynowych wieńcach maszerowali przez miasto z Pola Marsowego, obok teatrów, których zewnętrzne mury oblepione były ludźmi, przez targ bydłocy, wokół cyrku, między Palatynem i wzgórzem Celius, a potem na Forum i Świętą Droge. Nieśli proporce i bogate babilońskie tkaniny, malowane przez świetnych artystów, z haftem zdobionym klejnotami. Na palankinach kołysały się przystrojone świątecznie posągi ulubionych bogów miasta. Skarby w niezliczonych ilościach przesuwaly się przed naszymi oczami: nie tylko bogactwa i klejnoty wydobyte z gruzów Jerozolimy, ale i bezcenne cuda uzyskane na rozkaz Wespazjana, drogą bezwzględnej dyplomacji, od miast z najbogatszych zakątków świata. Niesiono szlachetne kamienie usypane w stosy, jakby wszystkie kopalnie Indii jednej nocy dostały czkawki: onyks i sardonyks,

ametysty i agaty, szmaragdy, jaspis, hiacynt, szafiry i lapis-lazuli. Potem ukazały się w niedbałych stertach zdobyte podczas podboju korony i diademy, iskrzące jak rozbłyśki słońca, wysadzone ogromnymi rubinami i wielkimi perłami morskimi. A potem jeszcze więcej złota - aż lśniły całe ulice, kiedy ta rozpalona rzeka niebываłej rozrzutności płynęła powolnie fala za falą ku Kapitolowi.

Pamiętam, że kiedy zbliżało się popołudnie, zgiełk przycichł... nie dlatego, że tłumy ochryły (choć niewątpliwie ochryły) lub straciły zainteresowanie (bo nie straciły), ale jakby prosty lud nie był już w stanie podziwiać tego pokazu bogactwa imperium z tym samym entuzjazmem co na początku. Owacje wydawały się już niewystarczające. Jednocześnie maszerujących rozpierała tym większa duma, im bliżej było punktu kulminacyjnego, głównej części parady: prezentacji skarbów ze Świątyni Jerozolimskiej - tego dziwnego siedmioramiennego świecznika, złotego stołu o niewyobrażalnym ciężarze i Pięciu Zwojów z żydowskim prawem.

- Festus powinien tu być - jęknęła Galla i wszyscy pociągnęli nosami. (W tym czasie tykwy były już osuszone.)

Wyglądało na to, że nastąpiła przerwa. Zebraliśmy z Mają wszystkie dzieci i rodzinnymi grupkami poprowadziliśmy do najbliższej publicznej latryny. Po powrocie napoiiliśmy je wodą, żeby nie umarły z odwodnienia i przejęcia.

- Wujku Marku! Tamten pan włożył rękę tej pani pod szatę - oznajmiła Marcja. Cóż za spostrzegawcze dziecko. Tego rodzaju powody do zażenowania zdarzały się przez cały dzień. Jej matka, Marina, nie odezwała się; znużona nieustannym niedyskretnym szczebiotem Marcji, rzadko reaguje.

- Pewnie chce jej coś ukraść - wyjaśniłem beztrósco.

- O bogowie, Marku, ale ty jesteś sprośny! - wybuchła Maja.

Żwawi kapłani ze wszystkich świętych kolegów prowadzili na szkarłatnych wstążkach olśniewająco białe zwierzęta - ich rogi przybrane były kwiatami. Towarzyszyli im fleciści w obłokach kadzidła, a tancerze wszędzie, gdzie znalazło się miejsce, hasali i wykonywali salta. Akolici nieśli połączane trybularze oraz narzędzia używane przy składaniu ofiar.

- Wujku Marku, ten człowiek, o tam! Ten, co tak śmierdzi!

Twarz w tłumie. No cóż, smród.

Zobaczyłem go natychmiast, kiedy krzyknęła. Stał pod kolumną portyku po drugiej stronie ulicy. Trudno byłoby nie rozpoznać tej smutnej twarzy, szarej cery i obrzydliwych rzadkich włosów: kelner, którego zastałem w swoim mieszkaniu po powrocie z Brytanii. Wreszcie do mnie dotarło, że nie przypadkiem Smaraktus udostępnił mi moje mieszkanie, kiedy mnie nie było. Tego śmierdziela podrzucono mi po to, żeby mnie szpiegował. Nadal miał na mnie oko. Zdjąwszy sobie z ramion należącego do rodziny dwulatka, poprosiłem szeptem Maję, żeby na chwilę przejęła moje obowiązki, bo muszę się wyślizgnąć na spotkanie z gościem, który powie mi, kogo obstawić w wyścigach.

Nie sądzę, by Maja mi kiedyś to wybaczyła; bo już tam nie wróciłem.



LVII

Przeszedłem ulicę tuż przed pierwszym szeregiem jeńców z Judei. Siedmuset wybranych ze względu na imponującą posturę i wywiezionych za morze, by uświetnić Tytusową paradę zwycięstwa. Odziani byli w kosztowne szaty, które kryły sińce i obrażenia zadane im przez żołdactwo podczas podróży; kiedy przebiegałem przed nimi, unikając rozdeptania, czułem ich strach. Musieli wiedzieć, że w ramach ceremonii związanych z triumfem cesarz przed złożeniem ofiary na Kapitolu czeka chwilę, aż przekażą mu wiadomość, że w więzieniu mamertyńskim wykonano rytualny wyrok śmierci na jego wrogach. Czegóż mogli się spodziewać ci nieszczęśnicy, jeśli nie tego, że śmierć czeka wszystkich siedmuset, a nie tylko jednego, symbolicznego przywódcę ich rebelii.

Tak się złożyło, że dzisiaj wybrano na śmierć przez uduszenie niejakiego Szymona syna Giorasa. Eskortujący więźniów, już gotowi walić po nerach, kiedy tylko wyciągną go z szeregu przy schodach gemońskich, zamierzili się na mnie złośliwie, kiedy przebiegałem im drogę. Ledwo udało mi się bez uszczerbku na zdrowiu wmieszać w tłum po drugiej stronie. Kelner jednak zauważył mnie i zaczął się przeciskać w stronę Świętej Drogi. Mimo że ulica była zapchana, obywatele nad wyraz chętnie robili mu przejście. Miał przewagę w postaci osobistego aromatu, za to mnie gnała frustracja wywołana tą paskudną sprawą, przepychając się do przodu, torowałem sobie bezlitośnie drogę łokciami.

Szedłem za nim ulicą, która kiedyś, zanim wyprostowano jej bieg, wiała się na północ. Następnie, w cieniu tak zwanego Górnego Pałacu, przecięliśmy część terenu Złotego Domu Nerona i tak dotarliśmy do Świętej Drogi. Na rogu, przy okrągłej świątyni Westy, z jej udawaną strzechą na dachu i treliazami, gapie wykrecający szyje, by dojrzeć zbliżających się Wespazjana i Tytusa, stali tak gęsto, że moja zwierzyna łowna miała tylko jedno wyjście - wejść na Forum od południowego krańca. Byliśmy niemal przyciśnięci do gmachów publicznych, kiedy mijali nas tamci jeńcy. Obaj posuwaliśmy się do przodu z największym wysiłkiem. Jedynym sposobem było przeciskanie się przy wykorzystywaniu gwałtownych skrętów ciała i siły mięśni, jak to się dzieje ze świeżym posiłkiem przemieszczającym się we wnętrzu węża.

Nie mogłem liczyć na to, że stanę się niewidoczny w tłumie. Zaniepokojony kelner zerkał co jakiś czas za siebie. Przedarł się przez ciżbę przed Basilica Julia, a ja w ślad za nim. Od strony orszaku dobiegł mnie tupot nóg dwudziestu czterech liktorów, eskorty cesarza... wszyscy oczywiście w czerwonych tunikach i każdy z wiązką różeg na ramieniu, choć naciskająca zewsząd ciżba nie pozwalała mi ich dojrzeć. Wespazjan był coraz bliżej. Podniecenie gapiów rosło, a wraz z nim moja desperacja. Usiłowałem przepchnąć się dalej, ale okazało się, że tak jak wszyscy inni, mogę jedynie stać nieruchomo i podziwiać Wespazjana. W okolicy świątyni Saturna zauważyłem, że odległość między mną a kelnerem się nie zmienia, a kiedy odwróciłem na chwilę głowę w stronę, z której dobiegł

turkot cesarskiego rydwanu, już całkowicie i ostatecznie straciłem go z oczu.

Pozwoliłem mu umknąć. Życie jest zbyt cenne, by je marnować. Starając się usilnie, żeby nie rozdeptano mi palców, wylądowałem na schodach, prawie w tym samym miejscu, w którym stałem tamtego letniego dnia, kiedy biegła ku mnie Sozja Kamillina i kiedy to wszystko się zaczęło.

Stałem tam, bez tchu, podczas gdy cesarz, w którego tak bardzo wierzyła, przejeżdżał obok w drodze na spotkanie z senatem przed świątynią Jowisza, by uczcić zwycięstwo jako orędownik tego miasta i w swojej roli najwyższego kapłana poświęcić się pokojowi i dobrobytowi Rzymu. Cztery potężne białe rumaki ciągnęły wspaniały rydwan pośród ryku wdzięcznego tłumu. Starzec siedział w swoich bogato haftowanych szatach, pod złotą koroną Jowisza w kształcie wieńca dębowego, którą trzymano nad jego głową, ponieważ była zbyt ciężka, by ktokolwiek mógł ją nałożyć. Na jego mocnym ramieniu spoczywała gałąź wawrzynu, którą położył na kolanach bogów na Kapitolu; w wielkiej silnej dłoni dzierżył tradycyjne berło z kości słoniowej ze zrywającym się do lotu orłem. Wydawało się, że niewolnik, którego zadaniem było szeptem przypominać cesarzowi, że jest człowiekiem śmiertelnym, zrezygnował z tego zajęcia. Nie miało ono sensu. Wespazjan był ponurym starym cynikiem; on to wiedział.

Powoli z hukiem przetoczył się pozłacany triumfalny rydwan. Wespazjan wyglądał, co sam później przyznał, jakby wymyślał sobie od głupców za to, że marnuje dzień na ten wlokący się bez końca pochód. Nie wznosiłem okrzyków, ale wbrew sobie śmiałem się.

Po nim, w drugim wspaniałym rydwanie, pojawił się Tytus, wyglądający jakby serce miało wyskoczyć mu z piersi. Wreszcie Domicjan, młodszy brat, bardzo przystojny na swoim tańczącym białym wierzchowcu.

Dokonali tego. Byli tutaj. Trzech sabińskich prowincjuszów, o których jeszcze przed rokiem nikt nie słyszał, dzięki szczęściu i pewnym zaletom własnym dało początek kolejnej rzymskiej dynastii.

Odwrociłem od nich wzrok. Za trzema Flawiuszami podążało masą wojsko: kolumnami maszerowali żołnierze niosący sztandary, trębacze, dowódcy z wysokimi szkarłatnymi pióropuszcami, augurowie, inżynierowie, wreszcie piechurzy, szereg za szeregiem, po sześciu w rzędzie, idący tym sprężystym lekkim krokiem, który pozwolił legionom przemierzać świat. Szły jedna za drugą kohorty połyskujących zbrojami żołnierzy armii regularnej, za nimi podążały egzotyczne oddziały posiłkowe - smagli łucznicy w migocących kolczugach na szybkich konikach, potem ciężka konnica, złowieszczo wyglądający jeźdźcy potrząsali włóczniami z przyczepionymi do nich piórami, a ich twarze ukryte były pod grawerowanymi złotymi maskami.

Miało nastąpić długie wyczekiwanie, kiedy cesarz będzie się wspinał na kolanach po schodach gemońskich, a potem kiedy będzie składał dziękczynną ofiarę przy świątyni Jowisza na Kapitolu. Powrót tą samą drogą, którą tutaj przyszedłem, przez co najmniej godzinę będzie niemożliwy. Postanowiłem więc zatoczyć krąg wokół Palatynu i wmieszać się w tłum po stronie wzgórza Celius. Umożliwiłoby mi to dyskretne

sprawdzenie po drodze pewnej nieruchomości.

Szedłem z grubsza wzdłuż linii, jaką wytyczała Cloaca Maxima, największy kanał ściekowy, wybudowany przed pięciuset laty, by osuszyć mokradła wokół Forum i część Awentynu od strony rzeki. Trasa ta doprowadziła mnie wkrótce do terenu, gdzie mieściły się magazyny. Natknąłem się na stróża pilnującego wjazdu, który kanalarze nadal wykorzystywali, by prowadzić swoje prace pod Sennym Zaułkiem. Dzisiaj ich tu nie było. W święta państwowe nikt nie pracuje; tylko stróże czasem stróżują, jeśli mają ochotę spać się w spokoju gdzieś na uboczu. Ten konkretny osobnik wypił już więcej, niż mu się należało, a teraz korzystał z drzemki, żeby nabrać chęci na więcej.

Na razie nic zaskakującego. A przecież przy wejściu do zaułka natknąłem się na dziewczynę, która wydawała mi się znajoma.

- Naissa? - zdziwiłem się. Była to służąca, której Helena Justyna nader chętnie się pozbywała.

Dla uczczenia dzisiejszego święta wymalowała sobie twarz pożyczonymi barwicznymi. Musiała to robić w jakimś ciemnym pomieszczeniu, bo w słonecznym świetle efekt był daleko mocniejszy niż zwykle ożywienie kolorami twarzy; wyglądała, jakby wpatrywała się we wszystko nienaturalnie zdziwionymi oczami.

- Gdzie twoja pani, dziewczyno? - spytałem zaniepokojony.

- W magazynie teścia. Ja się bałam iść dalej. Kazała mi tu zaczekać.

- To tylko magazyn, nic strasznego. Powinnaś była pójść tam razem z nią!

- Co ja mam teraz zrobić! - pytała mnie nerwowo Naissa, otwierając jeszcze szerzej te swoje dziwacznie wymalowane oczy.

- To, co ci kazała, Naisso! - poinstruowałem ją oschle, podczas gdy myśli jak szalone pędziły mi po głowie.

Wiedziałem, że skoro już poinformowałem Helenę Justynę, że nie udam się z nią do magazynu, to powinienem zrezygnować ze swojego obecnego planu. Bardzo chciałem ją zobaczyć, ale jednak zawróciłem. Teraz, kiedy ostatecznie przyjąłem do wiadomości, że co najmniej jeden z jej najbliższych krewnych bierze udział w spisku, trudno mi było sobie wyobrazić nasze spotkanie twarzą w twarz. A jednocześnie przez cały czas nie mogłem zapomnieć, że ten magazyn jest miejscem, w którym zamordowano Sozję. Pozostawienie tam Heleny wydawało się jeszcze trudniejsze.

- Czy to ty jesteś Dydiusz Falko? - zapytała Naissa, z błyskiem rozpoznania w oku. Zatrzymałem się. - Kazała mi pójść do twojego domu z tym...

Wyciągała coś w moją stronę. Przedmiot zawinięty był w chustę, ale kiedy tylko znalazł się w mojej dłoni, po ciężarze odgadłem, co to takiego.

- Masz dla mnie jakąś wiadomość?

- Nie, panie.

Natychmiast się zorientowałem, że musi się dziać coś poważnego.

- Wracaj - ponagliłem dziewczynę - i oglądaj dalej triumf razem z rodziną. Powiedz matce Heleny Justyny, najdyskretniej jak potrafisz, że twoja pani jest teraz pod moją opieką. Jej ojciec bierze pewnie udział w

składaniu ofiary, nie ma potrzeby go niepokoić. Jeśli jednak Helena nie pojawi się do czasu uroczystej uczty, udaj się wprost do senatora i powiedz mu, gdzie jesteśmy.

Ruszyłem szybkim krokiem przez Senny Zaułek. Idąc, rozwijałem chustę Heleny.

Trzymałem w ręce bransoletkę z gagatu, wyrzeźbionego w przystające do siebie ząbki. Była to bransoletka, którą kiedyś dała mi Sozja, a którą ukradziono mi na progu domu senatora.



LVIII

Czasami sprawa składa się z ciągu faktów, które prowadzą logicznie jeden do drugiego; wtedy detektyw jako tako inteligentny może samodzielnie wykonać całą robotę, we własnym tempie. Czasami zaś bywa inaczej. Jedyne, co możesz zrobić, to zmacić wodę w bajorze, a potem już tylko w niej gmerać, żeby śmiecie wypłynęły na powierzchnię, podczas gdy ty stoisz i czekasz, aż wynurzy się jakieś gnijące paskudztwo i wszystko wreszcie nabierze sensu. Coś takiego wypływało właśnie teraz; problem w tym, że osobą, która zmaciała wodę, była Helena. Skoro jednak znalazła tę bransoletkę tam, gdzie Sozja znalazła wiadomą listę imion, to wszystko miało sens. I oznaczało, że Helena Justyna wie już, kim jest ten ostatni spiskowiec.

Bransoletkę, dla pewności, żeby jej nie zgubić, zapiąłem sobie na pasku.

Kiedy zapuściłem się w głąb zaułka, zobaczyłem, że pewne rzeczy się zmieniły, inne zaś pozostały dokładnie takie same. Przy butwiejących słupkach bram, porośniętych grzybami połyskującymi niczym ikra krewetek, rosły wybujale chwasty; dalej, na nowych solidnych drzwiach spięto błyszczącymi kłódkami nowe łańcuchy. Te magazyny muszą ciągle przechodzić z rąk do rąk, kiedy ich właściciele zmiatają wichry handlu rozpętane nad oceanem przez bogów w złym nastroju albo przez spekulantów rzymskiego emporium.

Na zewnątrz magazynu Marcela nie zaszły większe zmiany. Zepsuty furgon, który zapamiętałem, przesunięto o kilka metrów; zaskoczyło mnie, że można go było ruszyć. Zauważyłem tę niewielką różnicę, ponieważ w miejscu, w którym stał przedtem ten zdezelowany, rzekomo rozpadający się pojazd, znajdowała się studzienka z odrzuconą klapą. Brama na dziedziniec była zamknięta, ale nie na klucz. Wszedłem pośpiesznie do środka.

Kiedy wówczas przyszedłem tu w poszukiwaniu Sozji, magazyn Marcela wyglądał na całkowicie opuszczony. Od tamtego czasu otwarto morskie szlaki do Aleksandrii i najwyraźniej kilka wyładowanych po burty trójrzędowców odbyło rejs dla Pertynaksa, kiedy ten jeszcze żył i zajmował się handlem. Teraz tego miejsca najwyraźniej używano. Pod murem stał rząd wozów, a kiedy zbliżyłem się do drzwi magazynu, już z pięciu kroków nosem wyczułem różnicę. Ktoś zostawił wielki klucz w zamku od zewnątrz. Wysokie drzwi ustępowały, trzeszcząc, choć musiałem naprzeć

na nie całym ciałem, żeby to monstrum otworzyć do końca.

Co za miejsce! Teraz, kiedy ponownie zostało użyte przez Pertynaksa i jego wspólnika Kamila Metona, panowała w nim magiczna wręcz atmosfera. Jednak martwa cisza mówiła mi, że nikogo tam nie ma.

Magazyn przypraw korzennych był zbudowany na planie kwadratu, wysoki i zagracony, oświetlony słabym światłem sączącym się z góry. Nawet teraz nie był w połowie zapełniony, jednak w to ciepłe popołudnie aromaty składowanych tam egzotycznych towarów uderzyły mnie w nozdrza z mocą rozgrzanej pary w szczelnym pomieszczeniu łaźni. Kiedy wzrok mi się przyzwyczaił do dziwnego oświetlenia, zobaczyłem pękate dzbany ze świeżym imbirem ustawione rzędami niczym tajemnicze posągi faraonów strzegące drogi do grobowców w jakimś milczącym mieście zmarłych. Pośrodku podłogi leżały stosy worków wypełnionych goździkami, kolendrą, kardamonem i korą cynamonową. Wzdłuż całej jednej ściany stały skrzynie wypełnione ziarnkami pieprzu, czarnymi, białymi i zielonymi; mogłem zanurzyć w nich rękę po łokieć. W roztargnieniu włożyłem sobie pół garści - wartości rocznego honorarium - do kieszeni tuniki.

Nigdzie jej nie widziałem. Przeszedłem powoli między koszami i beczułkami na tył budynku, potem wróciłem tą samą drogą. Oczy mi trochę łzawiły. Stałem w tym oszalamiająco aromatycznym zaduchu niczym człowiek tonący w leczniczym balsamie.

- Heleno! - powiedziałem w końcu, ale niezbyt głośno. Czekałem, nasłuchując, ale wiedziałem, że jej tam nie ma. - Heleno...

Wyszedłem na zalany światłem dziedziniec. Ktoś tu przecież był. Ktoś zostawił klucz. Ktoś zamierzał wrócić.

Nie było żywej duszy. Przyjrzałem się ustawionym w rzędy wozom. Były pokaźne. Przyprawy korzenne transportowano na ogół w koszach, na grzbietach osłów.

Podszedłem do bramy. Naissa zniknęła. Poza tym nic się nie zmieniło. Wróciłem do stróża, który właśnie obudził się na tyle, by zaczerwienionymi z przepicia oczyma postrzegać optymistycznie zarówno rzeczywistość, jak i mnie.

- Szukam pewnej dziewczyny.

- Życzę ci, panie, powodzenia!

W tej chwili cały świat był mu przyjacielem. Nalegał, bym wypił z nim kolejną butelkę, wobec czego usiadłem na ziemi tuż obok, zastanawiając się, co robić dalej. Dzielenie z nim butelki oznaczało przebywanie w jego towarzystwie i natychmiast zrozumiałem, dlaczego stróż popijał w samotności, okazało się bowiem, że jego towarzystwo jest nie do wytrzymania, a wino jeszcze gorsze. Każdy kolejny łyk otrzeźwiał go, żeby więc oderwać myśli od jego męczącej osobowości i od obrzydliwego smaku na podniebieniu, zapytałem o postępy prac przy kanalizacji. Powinienem był się domyślić skutków. Okazało się, że jest przekonany o swojej mądrości oratorem, bo zaczął nagle pleść trzy po trzy, dzieląc się ponurymi teoriami na temat niekompetentnego zarządzania robotami publicznymi przez odpowiedzialnych za to edylów. Miał rację, ale to nie

oznaczało, że zależy mi szczególnie na wysłuchiwaniu jego opinii. Klnąc w duchu, przegryzłem ziarenko pieprzu.

- Ta robota trwa już prawie rok. Dlaczego tak długo? - zapytałem.

Gdybym był szczęściarzem, odpowiedziałby mi, że jest tylko stróżem i nie ma pojęcia dlaczego, ale ludzie, którzy robią ci wykłady na temat lokalnych władz, nigdy nie są ani tacy uczciwi, ani tacy lakoniczni. Po wygłoszonym bełkotliwym głosem traktacie na temat sztuki konserwowania kanalizacji, szalenie niedokładnym, jeśli chodzi o szczegóły techniczne, a już zupełnie nieznośnym, kiedy zaczął kreślić na piasku rysunki, dowiedziałem się, że po prostu te pęknięcia wyłaziły po każdym ich załataniu. Praca była bardzo kłopotliwa. Usterka znajdowała się przy Sennym Zaułku, tyle że trochę dalej. Żaden z waźniaków, którzy korzystali z tych nieruchomości, nie chciał się zgodzić, by rozkopano jego podwórko, więc cały beton trzeba było opuszczać tędy, a potem transportować kosztami pod ziemią...

- Nie można skorzystać ze studzienki bliżej tamtego miejsca? - spytałem.

Odpowiedział, stosując logikę typową dla prawdziwie pijanego człowieka, że takiej w ogóle nie ma.

- Dzięki! - rzuciłem, opuszczając niżej na twarz rondo kapelusza Mai.

Nie musiałem się ruszać, żeby wiedzieć; odnalazłem srebrne świnki.

Leżeliśmy tam obok siebie, beznadziejny pijak z połową brzucha na wierzchu i jego towarzysz w wiejskim kapeluszu, czyli ja, starający się przyzwyczaić do tej nowej myśli. Jakoś mnie wcale nie zdziwiło, kiedy od strony głównej ulicy dobiegł mnie odgłos energicznych kroków, po chwili ktoś nas minął i podążył w głąb zaułka. Uchyliłem odrobinę kapelusza.

Zobaczyłem, jak pewien znany mi mężczyzna wchodzi w bramę prowadzącą do magazynu.

Ledwo zdążyłem ruszyć za nim i ułożyć się płasko na zdezelowanym wozie, kiedy on wyskoczył z powrotem niczym ziarno łubinu z pękającego strąka. Musiał zauważyć ten tkwiący w zamku klucz. Leżałem przyklejony do desek i słuchałem, jak zmierza prosto do fałszywej studzienki, która kryła się pod tym zdezelowanym wozem, zanim go przesunięto. Zdawało mi się, że się zatrzymał i nasłuchuje; wstrzymałem oddech. Usłyszałem odgłos krzesania ognia. Opuścił się na żelazną drabinkę, podczas gdy ja ześlizgnąłem się tyłem na ziemię i podszedłem do dziury, gdzie stanąłem tak, żeby nie padał na nią mój cień. Nie podszedłem do samej krawędzi, dopóki nie ucichł delikatny brzęk metalu, potem odczekałem jeszcze chwilę, na wypadek gdyby po zejściu spojrział w górę.

Rozejrzałem się i nikogo nie zobaczyłem. Spuściłem nogi do otworu i zacząłem schodzić w dół, bezszelestnie stawiając stopy na żelaznych szczeblach.

Znalazłem się w małej komorze, w której można się było obrócić; wykopany tunel prowadził stamtąd pod mur dziedzińca. Tunel był wystarczająco wysoki, by można było nim iść, nie garbiąc się, i miał gładkie podłoże. Wszystko było otynkowane i całkiem suche. Z otworu na górze dochodziło dość światła, bym mógł dotrzeć do ciężkich otwartych drzwi, przy których się zatrzymałem, a stamtąd, ukryty w mroku przejścia,

obserwować, jak człowiek, za którym poszedłem, rozmawia z Heleną. Człowiekiem tym był młodszy z braci Kamilów, jej stryj Publiusz.

Nie wiedziałem tylko, czy przyszedł tutaj jako złoczyńca niepokojący się o bezpieczeństwo łupu... czy, podobnie jak ja, był jedynie niewinnym, acz zaintrygowanym obywatelem.



LIX

Każde z nich trzymało w ręku lampę. Za małąkimi kulami światła, które rzucały na ich twarze słabą poświatę, majaczył ponuro jakiś prostopadłościan.

- A więc to tutaj jesteś! - wykrzyknął Kamil Meto jak człowiek zdziwiony tym, że młoda kobieta nie ma ochoty oglądać triumfu. Sądząc po akustyce, znajdowali się w niewielkiej, dość szczelnie wypełnionej komorze. - Przestraszyłem cię?

Żadne z nich nie wyglądało na szczególnie zaniepokojone; w przeciwieństwie do mnie. Słyszałem, jak serce mi stukocze niczym korek powietrzny w wąskiej rurze wodociągowej z brązu.

Helena Justyna stała bez ruchu w tym podziemnym pomieszczeniu, jakby zatopiona była w myślach. Musiała słyszeć kroki stryja, ale nie pokazała po sobie zaskoczenia. Odezwała się do niego wesoło, jak krewny do krewnego.

- Popatrz na to! Szafranowy skarbczyk dobrze pilnuje tajemnic. Zastanawiałam się, czy żołnierze do niego trafili. Najwyraźniej nie!

- Wiedziałaś o tym miejscu? Pertynaks cię tutaj przyprowadził?

- Żeby mi pokazać perfumy, kilkakrotnie. Oczywiście byliśmy wtedy małżeństwem. Jego sucha piwnica z sekretnymi drzwiami, gdzie można trzymać pod kluczem najcenniejsze przyprawy. Taka prosta sztuczka, to wejście w zaułku na zewnątrz... a nie wierzyłam mu, kiedy mówił, że jest bezpieczna... znalazłam tu inne lampy... - Zaczęła je zapalać, po czym oboje już tylko patrzyli.

Piwnica była niska, z grubsza obrobione kamienne płyty tworzyły półki, na których niczym eliksiry u aptekarza stały ceramiczne dzbany i szklane naczynia. Tutaj oprócz szafranowych suszonych słupków jaskrawych bityńskich krokusów, od których nadano nazwę temu miejscu, Pertynaks i Publiusz Meto zgromadzili swoje cenne olejki, wolne od podatku i bezpieczne od ich własnych magazynierów o nazbyt lepkich dłoniach. Nie czuło się zapachu szafranu, bo znacznie od niego silniejsza woń perfum wypełniała przestrzeń zapachem ambrozji. Jednak Helena i jej stryj nie zwracali na to uwagi. Większość podłogi zajmowała wysoka do piersi złowieszcza bryła, której widok zmroził pamięć byłego niewolnika kopalń ołowiu: dziesiątki sztab spoczywały jedne na drugich w półmroku, ułożone równie regularnie i ściśle jak bryły darni tworzące wojskowy wał obronny.

Widziałem, że Kamil Meto obserwuje bratanicę.

- Czy Falko jest tu z tobą?

- Nie. - Jej głos zabrzmiał twardo.

Roześmiał się krótko i znacząco, co mi się nie spodobało.

- Rzucił cię?

Helena zignorowała tę uwagę.

- Zaliczka za cesarstwo! - skomentowała w swój dawny gorzki sposób. - Falko byłby zachwycony, gdyby mógł to zobaczyć. Jaka szkoda, że odkrył, iż trzy czwarte tego niesamowitego łupu nie zawiera już w ogóle srebra.

- Spryciarz Falko! - powiedział spokojnie Publiusz. - Nie wyobrażam sobie pretorianów pukających do bram willi w Pompejach i Oplontis, żeby zaoferować właścicielom kupno tanich rur ołowianych na wodę! - Wydawał się pewniejszy siebie niż ten, którego zapamiętałem. - Co robiłaś tu w samotności, kiedy przyszedłem?

- Myślałam. - W jej głosie usłyszałem smutek. - Myślałam o Sozji. Zastanawiałam się, czy zginęła w tej piwnicy. Wiedziała, że to jest tutaj, była tu raz z Gnejuszem i ze mną. Może przyszła, bo wiedziała, że jest to schowek...

Gwałtownym ruchem ojciec Sozji postawił lampę na półce, zaplótł ręce na piersi i rozglądał się posepnie ze zmarszczoną twarzą.

- Jest już za późno, by miało to jakiegokolwiek znaczenie! - oświadczył głosem, w którym zabrzmiało napięcie. Chciał, żeby przestała mówić.

Dla jego dobra ja też chciałem. Nie mógł tu stać i zмагаć się z tym. W jego głosie usłyszałem ten ostry ton, jaki zapamiętałem z pogrzebu Sozji, jakby nadal nie przyjmował do wiadomości, że ona nie żyje, i zdecydowanie odrzucał wszystkich, którzy mu o tym przypominali.

Helena westchnęła.

- „Sprawiedliwa, nabożna i posłuszna”. Ojciec przeczytał mi twoją mowę pogrzebową. Był taki przygnębiony...

- Jakoś sobie radzi! - burknął Publiusz.

- Nie tak jak przedtem. Niedawno powiedział mi, że czuje się, jakby wciągał go wir wodny... teraz, kiedy to widzę, rozumiem.

- Co? - Zobaczyłem, jak Publiusz podnosi głowę.

- Czy to nie oczywiste? - spytała Helena Justyna niemal z niecierpliwością i odrobiną goryczy. Wyprostowała barki, po czym oświadczyła napiętym głosem, który słyszałem u niej jedynie wtedy, kiedy czuła się do głębi przeze mnie urażona. - Możliwe, że Pertynaks wyposażył magazyn w tę sekretną piwnicę, ale on nie miał dość rozumu, żeby wymyślić tak pokretny spisek. Zakładam więc, że to wszystko zorganizował mój ojciec.

Kamil wpatrywał się w nią, kiedy gniewnie wskazywała na stos sztab. Zarówno oni, jak i ja zastanawialiśmy się nad wagą tego, co przed chwilą zasugerowała. W Rzymie konsekwencje skandalu dotkną bezwzględnie każdego członka rodziny. Nawet przyszłe pokolenia, osądzone na podstawie honoru ich przodków, już zostały potępione tym wymierzonym w państwo działaniem. Hańba senatora pociągnie za sobą wszystkich jego krewnych. Utrata przez niego honoru wpłynie i na tych szacownych i niewinnych, włącznie z jego bratem oraz jego synami. Publiusz zostanie na zawsze napiętnowany. Sympatyczny młodzieniec, którego poznałem, będąc z Heleną w Germanii, odkryje, że jego kariera skończyła się, zanim jeszcze zdążyła się rozwinąć; to samo dotyczy jego brata w Hiszpanii. W dalekiej Brytanii to przekleństwo dotknie Elię Kamilę; przez małżeństwo zaś nawet

Gajusza. A tutaj... Helene.

Jej stryj odrzucił do tyłu tę dziwnie pospolitą głowę i ciężkim głosem oznajmił:

- Och, Heleno, Heleno! Oczywiście, że wiedziałem, wiedziałem od bardzo dawna. Nie byłem tylko pewien, czy ty wiesz.

Pomyślałem, jeśli ten człowiek bierze udział w spisku, to gra wręcz wyśmienicie. Jeśli w tym tkwi, Helena musi to wiedzieć. Jednak w takim przypadku dziewczyna ma szczęście, że ja tutaj jestem. Stawienie mu czoła w pojedynkę oznaczało śmiertelnie niebezpieczeństwo...



LX

- Co proponujesz? - Kamil Meto z ostrożnością spytał bratanicę.

- Naprawić sprawy, jeśli potrafię. - Mówiła krótko, bez zastanowienia. Cała Helena. Kochałem to biedne naiwne dziewczę za tę prostolinijność!

Stopa swędziała mnie tak natarczywie, że podniosłem nogę i potrząsałem nią, choć wiedziałem, że to raczej niemożliwe, by w tej suchej dziurze żyło jakieś stworzenie. Chłodny mrok spływał na moją skórę. W tunelu panowała głucha cisza i gdzieś z daleka doszedł mnie pojedynczy dźwięk z owacji, jaka towarzyszyła triumfowi na Kapitolu.

W słabym świetle kilku małych lampek oliwnych Helena Justyna stała odwrócona do mnie bokiem, ale znałem ją na tyle dobrze, że nie musiałem widzieć jej twarzy - by określić nastrój, wystarczał mi jej głos. Brzmiał teraz mizernie, jak zawsze kiedy czuła się strapiona i osamotniona. Nie umiałem z niego wywnioskować, czy zawierzyła prawdę stryjowi, czy tylko go sprawdza. Jeśli chodzi o niego, to robił wrażenie człowieka, którego uczucia są albo za płytkie, albo tak głębokie, że nie ma szansy ich zgłębić.

- Spodziewałbym się po tobie, że uważasz swojego ojca za zbyt szacownego! - zauważył.

Helena westchnęła.

- Czy nie w tym właśnie problem? Rodzina ufa, że on zawsze postępuje szlachetnie. Kiedy jednak byłem w Brytanii, odbyłam dłuższą rozmowę z ciotką. Elia Kamilla powiedziała mi mnóstwo rzeczy, które wiele wyjaśniają. Jak to dziadek Kamil mieszkał w Bitynii, po części dla zaoszczędzenia pieniędzy, kiedy rodzinne finanse stały kiepsko. Jak przez dwadzieścia pięć lat pilnował posagu swojej żony, żeby mieć fundusze, które pozwoliły ojcu ubiegać się o miejsce w senacie...

- Jakże więc ty i siostra Elia to tłumaczycie? - spytał Publiusz z zainteresowaniem, choć swoim typowym lekko kpiarskim tonem.

- Znasz ojca. - Helena mówiła bardzo poważnie. - Nie jest typem podżegacza. Możliwe, że nie mógł udźwignąć napięcia odpowiedzialności i to doprowadziło go do szalonych gestów politycznych. Jeśli nasz Gnejusz, z pozycji zięcia, wywarł na niego jakiś nacisk, ojciec mógł okazać się bezradny. Może Gnejusz zastosował szantaż. Wtedy ojciec próbował zapobiec zhańbieniu rodziny... a robiąc to, ostatecznie i bezpowrotnie się wplątał. Może kiedy trwało moje małżeństwo, miał nadzieję mnie chronić.

Każdy ma swoje słabości, jak powiedziałby Falko.

- Ach, znowu ten Falko! - Publiusz użył teraz tonu lekko skrywanej pogardy, którym zawsze odnosił się do mnie. - Falko dotarł niebezpiecznie blisko prawdy. Jeśli chcemy cokolwiek z tego uratować, musimy skierować tego młodego człowieka na fałszywy trop.

- Och, już tego próbowałam! - Helena Justyna uśmiechnęła się dziwnie niemrawo.

Poczułem chłód w żołądku; mimowolny dreszcz przebiegł mi po udzie.

- Tak myślałem! - zadrwił sobie otwarcie Publiusz. - Cóż, ta odziedziczona nieruchomość to dla ciebie nieoczekiwana premia. Co więc zrobisz, uciekniesz z przyjacielem Falkonem?

- Wierz mi - rzuciła gwałtownie Helena, jak tamta dziewczyna, którą poznałem w Brytanii - Dydiusz Falko nie podziękowałby ci za taką sugestię. Jego jedynym celem jest pozbyć się mnie najszybciej, jak się da.

- Czyżby? Moi szpiedzy donoszą mi, że spogląda na ciebie, jakby był zazdrosny o powietrze, którym oddychasz.

- Czyżby? - powtórzyła sarkastycznie Helena. - I co to za szpiedzy, stryju? - dodała bojowo.

Nie odpowiedział.

I właśnie wtedy, kiedy rozważałem, co też Helena zamierza ujawnić ze swoich uczuć do mnie, obawa i jednoczesna tęsknota tak mnie rozdzierały, że aż wstrząsnęło mną potężne kichnięcie.

Nie było czasu, by się wycofać tunelem, więc przybrałem najbardziej nonszalancki wyraz twarzy, na jaki było mnie stać, i wślizgnąłem się do piwnicy.

- Twój zielony pieprz jest najwyższej jakości! - pogratulowałem Helenie, żeby wytłumaczyć swoje kichnięcie.

- Och, Falko! - Wydawało mi się, że uradował go mój widok, tymczasem jej głos zabrzmiał gniewnie!

- Co ty tu robisz?

- Myślałem, że mnie zaprosiłaś.

- A j a myślałam, że odmówiłeś przyjęcia.

- Na szczęście dla ciebie, kiedy trzeci z kolei pięciolatek kopnął mnie w goleń swoim okutym żelazem bucikiem, moje poczucie obowiązku w stosunku do rodziny przygasło. To tutaj właśnie Acjusz Pertynaks trzymał swoje drobne?

- To szafranowy skarbczyk, Falko.

- Muszę pamiętać, żeby taki sobie zaprojektować w mojej przyszłej wiejskiej posiadłości. Jest jakaś szansa, żebym zwędził ćwierć kwarty malabathronu? Potrzebuję odrobiny dla pewnej wyjątkowej dziewczyny.

- Tylko ty - zauważyła Helena - mógłbyś spróbować schlebiać kobiecie prezentem, który byś jej najpierw ukradł.

- Mam nadzieję - przyznałem wesoło. - I może mam szczęście być tym jedynym, który wie, co ci służy najbardziej.

Przez cały ten czas jej stryj obserwował nas z szyderczym uśmieszkiem, a ja nie byłem aż taki głupi, by sądzić, że chce się dowiedzieć czegoś na temat mojej techniki uwodzenia.

- Młody człowieku - wtrącił swoim cienkim głosem - właściwie po co

się tutaj przypaletałeś?

Obdarzyłem go niewinnym spojrzeniem wioskowego głupka.

- Poszukać srebrnych świnek!

Teraz, kiedy już znalazłem sztaby, podszedłem, by je sobie obejrzyć, i zapoznałem się z nimi bliżej, jak uczyniłby każdy niewolnik z kopalni ołowiu, wymierzając im przyjacielskiego kopa. Zabolał mnie paluch, ale się nie przejąłem; przynajmniej wiedziałem już, że ta upiorna masa metalu rzeczywiście tam jest. Nachyliłem się, żeby pomasować sobie palec stopy, i wtedy moja dłoń natrafiła na mały przedmiot, praktycznie niewidoczny, kiedy stał oparty o stos ołowiu. Podniosłem go: był to prosty, niewyszukany mosiężny kałamarz, którego zawartość dawno już wyschła. Wszyscy troje patrzyliśmy na niego, ale nikt się nie odezwał. Powoli wsunąłem go w zanadrze tuniki i mimo że miałem na ramionach swój odświętny płaszcz, przeszedł mnie dreszcz.

- Wszedłeś na teren prywatny, Falko. Żądam, byś go opuścił - oświadczyła nieco dramatycznym tonem Helena Justyna.

Odwrociłem się. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, w znany sposób poczułem się podniesiony na duchu. Nabrałem też przekonania, że jesteśmy partnerami w tej grze.

Teraz, kiedy w piwnicy było nas troje, zapanował tam szczególnie rodzaj napięcia. Jakbyśmy byli fragmentem jakiegoś problemu geometrycznego, w którym pewne stałe elementy pozwolą nam wyrysować figurę, jeśli tylko postąpimy zgodnie z prawami Euklidesa. Uśmiechnąłem się do Heleny.

- Wreszcie wymyśliłem, że kilka baryłek gałki musz katolowej to nie dość, by zapadło się sklepienie Cloaca Maxima. Ale kilka sztab ołowiu wystarczy! Polityczny spisek legł w gruzach; zatem przywódca zapewne chce mieć te sztaby dla siebie. Domyśliłem się też, że dobierze się do nich i zniknie. Na zewnątrz stoi porządnie ustawiony rząd solidnych furgonów, które jak sędzę, mają wywieźć sztaby po zmierzchu. Kiedy się po nie zjawi, będę na miejscu.

- Falko! - zawołała Helena z oburzeniem. - To przecież mój ojciec... nie możesz go aresztować!

- Tytus może. Niemniej - oświadczyłem sucho - w przypadkach zdrady oszczędzamy senatorom niedogodności, jaką jest proces publiczny. Szanowany członek senatu może oczekiwać ostrzegawczego liściku odpowiednio wcześniej, by zdążył gustownie opaść na własny miecz, we własnej wytwornej rezydencji...

- Nie ma dowodów - argumentowała Helena. Ze smutkiem przedstawiłem jej odmienne zdanie.

- Mnóstwo poszlak od dawna wskazywało na Decymusa. Od jego dobrowolnego zgłoszenia się z pomocą do przyjaciela pretora, poprzez sposób, w jaki przygotowano na ciebie i na mnie zasadzkę, aż do tego niestrawnego typu, którego umieszczono w moim mieszkaniu akurat wtedy, kiedy twój ojciec opłacał czynsz... A tak dla zaspokojenia mojej ciekawości, pani, dlaczego nigdy nie wspomniałaś o istnieniu tego miejsca? Co zamierzasz uczynić... umożliwić ojcu ucieczkę ze srebrem? Bardzo lojalne zachowanie. Jestem pod wrażeniem! - Milczała, zatem zwróciłem się do jej stryja, dalej odgrywając tę pomysłową rolę. - Niezły dla ciebie,

panie, zbieg oko liczności, prawda? Ustosunkowany brat uznany za skarbnika Domicjana...

- Milcz, Falko - rzuciła do mnie Helena, ale ja mówiłem dalej.

- A ta tutaj pani, która takim podziwem darzy cesarza, z wielkim zaangażowaniem pomaga swojemu szlachetnemu ojcu obrabiać cesarski skarb... Heleno Justyno, wiesz, że nie możesz tego robić.

- Nic o mnie nie wiesz, Falko - wymamrotała pod nosem.

- Och, wierz mi, moja duszko, bardzo się chciałem dowiedzieć! - zareagowałem może nieco gwałtowniej, niż zamierzałem.

Tak bardzo pragnąłem ją stąd wyciągnąć, zanim zacznie się brutalna rozgrywka... nie miałem najmniejszych wątpliwości, że już wkrótce do niej dojdzie.

- Panie, to w żadnym razie nie jest miejsce dla szlachetnie urodzonej kobiety - zaapelowałem do jej stryja. -Czy każesz swojej bratanicy się oddalić?

- Decyzja należy do niej, Falko. - Zacisnął lekko wargi w wyćwiczonym grymasie obojętności. Miał dziwnie nieruchomą twarz; sędzę, że zawsze był samowystarczalny, tak skryty, że aż graniczyło to z dziwactwem.

Stałem plecami do stosu zimnych ołowianych sztab, z Heleną po lewej ręce i jej stryjem po prawej. Wiedział, że mówiąc do niej, cały czas mam go na oku.

- Posłuchaj, pani - spróbowałem ponownie. - Kiedy byliśmy w Brytanii, powiedziałaś, że Sozja poinformowała mnie, kim są spiskowcy. Rzeczywiście poinformowała.

- Zatem mnie okłamałeś, Falko!

- Ale nieświadomie. Teraz już wiem, że nim umarła, odkryła tożsamość wplątanych w to ludzi. Tytus jest w posiadaniu dowodów. Zrób więc to, o co cię proszę, Heleno, błagam. To, co tutaj się wydarzyło i co dzieje się dzisiaj, nie musi mieć nic wspólnego z tobą...

- Mylisz się, Falko! - wtrącił wreszcie swoje trzy słowa Publiusz Kamil Meto.

Helena Justyna otulała się swoją lekką pallą, chroniąc przed chłodem, który kasał nam skórę. Odziany w togę, jak każdy człowiek o znaczącej pozycji w dzień publicznych uroczystości, Publiusz trzymał ramiona tuż powyżej pasa, niczym żołnierz na jakiejś misji, odruchowo upewniający się, że sztylet i miecz ma pod ręką. Patrzył prosto na mnie, jakby usiłował dociec, co tak naprawdę wiem. Uniosłem brew, zachęcając go, by mówił dalej.

Wtedy odezwał się, głosem ociekającym mściwością:

- Gdybyś był właściwie poinformowany, to zdałbyś sobie sprawę z tego, że od ślubu z Pertynaksem Helena Justyna znajduje się w samym centrum tej intrygi!

Dziwne, jak czasem człowiekowi pracuje umysł; jeszcze zanim się do niej odwróciłem, już zdążyłem przyjąć, że to, co powiedział, jest prawdą.

W głowie miałem wielki zamęt. Nasze spojrzenia spotkały się. Nie próbowała zaprzeczać. Powinienem był wiedzieć. Przy moim pieskim szczęściu całym sercem przywiązałem się do niej i dotąd ani przez moment nie wątpiłem w jej uczciwość!

Kiedy patrzyła, jak przyjmuję do wiadomości ten fakt, na jej twarzy pojawił się wyraz pogardy. Przez lata nauczyłem się nie pokazywać po sobie żadnych emocji, a przecież teraz wiedziałem, że wszystko, co czuję, widoczne jest jak na dłoni. Nie potrafiłem zmienić wyrazu twarzy. Rozpacz przykuła mnie do miejsca, w którym stałem, nie byłem w stanie jej oskarżać, nie byłem nawet w stanie się odezwać.

Potem ciemność eksplodowała w tyle mojej czaszki, a pośród tej ciemności błyskały punkty przenikliwego światła.



LXI

Nic, co mówiła, nie było prawdą. Nic z tego, co kiedykolwiek zrobiła, nie było szczerze... Byłem nieprzytomny, a mimo to nadal widziałem jej surową twarz, zastygłą w tym momencie, w którym zobaczyła, że sobie to uświadamiam.

Odzyskiwałem zmysły na tyle, by poczuć, że leżę twarzą do ziemi, podczas gdy ktoś - sam Kamil Meto - wiąże mi ręce i nogi. Wykonał całkiem niezłą robotę, choć popełnił też błąd, nie wiążąc ze sobą obu końców powroza, jak ja bym to uczynił. Gdyby zostawił mnie samego, być może udałoby mi się uzyskać jakąś możliwość ruchu.

Dziwne, jak człowiekowi umysł nadal pracuje, nawet kiedy on sam jest nieprzytomny. Kiedy doszedłem do siebie, usłyszałem oburzony głos zadający pytania, które sam powinienem był natychmiast zadać: Skoro to Helena, to dlaczego powiedziała mi, że statek z kontrabandą należy do Pertynaksa? Dlaczego podała Tytusowi imiona spiskowców? Dlaczego dzisiaj przysłała mi bransoletkę Sozji?...

Najwidoczniej głośno jęknąłem.

- Bądź cicho - warknął Meto.

Zawsze podejrzewałem, że pod tą nijaką, bezbarwną powierzchownością kryje się wyjątkowo bystry człowiek. Wybrał to jedno jedyne zdanie, które mnie mogło zdruzgotać, a potem walnął mnie głownią miecza, leżącego teraz, jak zauważyłem, w pobliżu. Żeby odwrócić jego uwagę, zacząłem mamrotać:

- Nie czułem się tak głupio od czasu, gdy legionowy dowódca powiedział nam, że ćwiczenia się skończyły, a potem, kiedy opuszczaliśmy teren zajęć, ruszył na nas z wyciągniętym mieczem... Z czego wynika lekcja, że nigdy nie należy ufać przeciwnikowi, chyba że jest już ścierwem... - Po krótkim namyśle dodałem: - Albo chyba że się go dokładnie skrepuwało!

- Jakże mi przykro! - rzucił nieszczercze stojący nade mną Meto.

Tak naprawdę teraz już nie było żadnego udawania. I ja już nie miałem najmniejszych wątpliwości; w tej chwili, w której mnie powalił, wyznał swoją winę.

- Gdzie jest Helena? - spytałem.

- Wyprowadziłem ją na zewnątrz.

Starłem się nie podnosić głosu, choć ta wiadomość doprowadzała mnie do szału. Co on jej zrobił? Co mógł jej zrobić?

- Ludzie zaczną mnie szukać, Metonie.
- Jeszcze nie.
- Musiałeś to o niej powiedzieć? - Kipiałem wściekłością.
- To ma znaczenie, tylko jeśli ci w ogóle na niej zależało...
- Ależ nie! - przerwałem mu skrzypiącym głosem. - To ma znaczenie, tylko jeśli jej zależało na mnie.

Śmiejąc się, podniósł miecz.

- No cóż, Falko, nawet jeśli jej zależało, to wszystko spartaczyłeś.

- Och, ja zawsze partaczę wszystko! - przyznałem z żalem.

Znam jednak pewnego konia, który by zeznał pod przysięgą, że to nieprawda.

Leżałem bez ruchu. Domyślałem się, że Meto to taki typ, który nie odmówiłby sobie przyjemności kopnięcia mnie w żebra; moje już dość oberwały w związku z tą sprawą i wciąż nie przestały mi dokuczać. Jako niewolnik przyzwyczałem się do stałego maltretowania, ale teraz, kiedy już sam siebie przekonałem, że tamto się skończyło, czułem, jak pod wpływem samego zagrożenia zaczyna mnie ogarniać nieokiełznany strach.

Na końcu tunelu rozległ się cichy gwizd. Zobaczyłem, jak Meton idzie do drzwi. Za drzwiami zamienił z kimś kilka słów, po czym wrócił i oświadczył:

- Moi ludzie przyszli po srebrne świnki. Nie próbuj niczego, Falko... pamiętaj o dziewczynie. Zabieram ją ze sobą, tak żebyście ani ty, ani mój brat nie mogli zrobić nic, co by spowodowało pościg za nami!

Wyszedł. Leżałem spętany na podłodze. Przegrałem sprawę, nieostrożnie demonstrując uczucie. Straciłem srebro, straciłem swoją panią, straciłem złoczyńcę i nim dzień dobiegnie końca, stracę prawdopodobnie swoje nędzne życie.

Popołudnie wydawało się bardzo długie. Ktoś przetoczył mnie na bok, potem jakieś niewyraźne postaci wyciągały ze stosu oznaczone sztaby, pracując metodycznie, żeby zabrać tylko te specjalnie oznakowane. Kiedy chodzili w tę i z powrotem, rozpoznałem wśród nich tamtych dwóch z kurzymi mózdkami, którzy porwali Sozję. Żaden z nich nie wykazywał najmniejszego zainteresowania mną.

Skończywszy pracę, ci stękający z wysiłku tragarze opuścili piwnicę, pozostawiając mnie i porzucone sztaby ołowiu w kompletnych ciemnościach.

Poczułem delikatne wibracje. Domyśliłem się, że nad moją głową przetaczają się ciężkie wozy. Najwyraźniej wykorzystując sytuację, że ulice wyludniły się z powodu triumfu, nie przejmowano się zakazem ruchu takich pojazdów za dnia. Straciłem resztki nadziei, że obiecany przez Tytusa patrol pretorianów pojawi się, zanim jeszcze te wozy wyruszą, żaden oddział gwardii pretoriańskiej nie będzie wolny, dopóki cesarz nie znajdzie się wieczorem z powrotem w Pałacu, a nawet wtedy istniało dla mnie ryzyko, że ci, których wyznaczono do służby, będą woleli uczyć dzisiejsze święto...

Petroniusz Longus zawsze powtarzał, że pretorianie nie potrafią schwytać nawet pchły.

Zastanawiałem się poważnie nad tym, gdzie też w tej chwili może się znajdować sam Petroniusz Longus...

Leżałem teraz na plecach. Zacząłem się więc kołysać na boki, coraz bardziej zamasyście, aż w końcu z jękiem odwróciłem się na brzuch. Krew boleśnie zaczynała krążyć w ścierpiętych rękach. Z twarzą w kurzu zakląłem kilka razy, żeby nie wyjść z wprawy, a potem, uniósłszy stopy, zgąłem nogi w kolanach i związanymi rękoma schwyciłem się za kostki.

Przez jakiś czas moje wysiłki nie przynosiły skutku, po czym wreszcie szczęście się do mnie uśmiechnęło: gwałtowne ruchy wytrząsnęły nóż z cholewy lewego buta. Poczułem, jak zsuwa mi się po nodze, i usłyszałem jego brzęk.

Ponownie rzuciłem przekleństwem, z jeszcze większym niż poprzednio uczuciem, kiedy gwałtownym, nieznośnie bolesnym ruchem wyprostowałem nogi.

Zacząłem się ślizgać po podłodze w poszukiwaniu noża. Prawdziwe kłopoty zaczęły się, kiedy udało mi się na niego natrafić. Wierciłem się na boku, potem częściowo na plecach i wreszcie, po kilku rozpaczliwych nieudanych próbach, wcisnąłem sobie rękojeść sztyletu pomiędzy palce jednej dłoni.

Prawdopodobnie byłbym w stanie przeciąć powróż na kostkach nóg, nie odkrawając sobie zbyt wiele ciała, ale skoro nie byłem akrobatą, nie zbliżyłoby mnie to zbyt do wolności, bo dłonie miałbym nadal związane na plecach i bezużyteczne. Na szczęście ludzie wynoszący sztaby po skończeniu roboty byli tak wyczerpani, że zostawili szparę w drzwiach. Pamiętałem, z której są strony, czułem też lekki powiew i dotarłem do nich, pełznąc i podrzucając biodra. Wcisnąłem uchwyt noża pomiędzy drzwi i framugę i opierając jeden bark o drzwi, rozpocząłem żmudną pracę przecinania więzów kępujących mi ręce.

Rezultatem tego sprytnego pomysłu były wielkie emocje oraz dwa ciachnięte nadgarstki.

Zabrało to mnóstwo czasu i prawie doprowadziło mnie do apopleksji, ale ostatecznie udało mi się uwolnić.



LXII

Kiedy się wynurzyłem ze studzienki, zgiełk towarzyszący triumfowi był nieco przyciszony, choć nadal znaczny.

Dziedziniec był oczywiście pusty, niemniej postanowiłem się rozejrzeć. Podeszedłem na sztywnych nogach do wielkich drzwi, postąłem chwilę, nic nie usłyszawszy, i wślizgnąłem się dyskretnie do wnętrza. Zatrzymałem się tuż przy wejściu, żeby przyzwyczaić wzrok do migotliwej cynamonowej mgiełki.

Oni wciąż tu byli! Helena Justyna, przyćmione światło mojego nieszczęsnego żywota, która wyglądała na równie wyczerpaną, jak ja się czułem, siedziała na jakiejś beli; nie odniosła żadnych obrażeń, była tylko związana. Powód, dla którego jej szczywany stryjasek jeszcze się nie ulotnił, był dla mnie oczywisty natychmiast; grzebał właśnie w workach z

najwyższej klasy pieprzem. Pertynaks był jego partnerem, więc jak przypuszczam, Meto uważał, że należy mu się połowa towaru. Podniósł wzrok i zauważył mnie.

- Ależ panie! Nie pozwolę okradać swojej klientki! - zawołałem.

Helena się obejrzała i oboje spoglądaliśmy na siebie oczami pełnymi wyrzutu typowego dla kochanków.

Widziałem, że poczuła się równie boleśnie zdradzona przeze mnie jak ja przez nią.

- O bogowie, Falko - powiedziała żałośnie. - Czy ty się nigdy nie poddajesz?

Nogi mi się trzęsły, palce lepiły od krwi. Jednym okiem łypałem na jej stryja, a on jednym okiem łypał na swój miecz, który leżał na baryłce w równej odległości od nas obu. Można było od razu odgadnąć, że należy do stanu średniego - tak beztrąsko obchodził się ze swoimi narzędziami.

- Nie było sensu leżeć w ciemnościach i czekać, aż jakiś złoczyńca wbije mi ostrze między żebra... - zacząłem. Meto odstawiał kosz z ziarnami pieprzu, który właśnie napełniał łopatką. Widział, że mam w ręce sztylet. - Oczywiście używam słowa złoczyńca z pełnym rozmysłem - dodałem.

Nie spuszczając go ani na moment z oka, zacząłem odpinać pas. Owijając koniec ze sprzączką wokół lewej pięści, pozwoliłem przesunąć się gagatowej bransoletce tak, żeby mógł ją zobaczyć.

- Wydajesz się, panie, dziwnie nostalgicznym typem! Weźmy na przykład to: należąca do Sozji Kamilliny gagatową... - zauważyłem, że zeszywniał. Wtedy zadałem cicho pytanie: - Dlaczego ją zabrałeś? Dlaczego ją za trzymałeś? Czy po to, by nade mną zatriumfować, czy ze współczucia dla niej? Trofeum czy autentyczna pamiątka? - Nie odpowiadał, więc dodałem: - Czy wyrzut sumienia? Publiuszu Kamilu Metonie, czy zabiłeś własne dziecko?

Cichy okrzyk wyrwał się z ust Heleny.

- Nie bądź głupcem! - wykrzyknął Meto. Wstrząsnąłem nim. Wstrząsnąłem nią. Wypowiadając te słowa na głos, wstrząsnąłem sobą samym.

- Pertynaks? - ryknąłem, żeby go podręczyć. Bo przecież wiedziałem, kto to zrobił.

- Nie. - Jego odpowiedź była bardzo cicha.

- Ale ty zabiłeś jego!

- Nie bądź śmieszny... - zaczynał odpierać atak. - Falko, to twoje wtrącanie się zabiło moją córkę...

W tym miejscu Helena przerwała mu gwałtownie, nagle przyłączając się do mnie.

- Nie zwalaj winy na błazna za położenie przedstawienia!

- To Domicjan zabił twoją córkę - powiedziałem wreszcie jadowitym tonem. - Dobrze o tym wiesz. Może i byłeś wstrząśnięty - wierzę, że byłeś - ale nie mogłeś nic zrobić, bo obciążyłoby to ciebie samego. Domicjan ją zabił. Jego inicjały są na kałamarzu, który, jak widziałeś, znalazłem w szafranowej piwniczce. Domicjan ją zabił; domyślałam się, że był tam sam. Działał w pośpiechu, kiedy uświadomił sobie, że ona musiała rozpoznać jego twarz. Ktoś - on? ty? Acjusz Pertynaks? - przeniósł jej ciało z piwnicy

tutaj, prawdopodobnie nie spodziewając się, że przybędzie straż awenturyńska i ja... - Usłyszałem, że głos mi się załamuje.

- Marku! - wykrzyknęła Helena.

W tym momencie byłem już całkowicie pewny, że mnie okłamał. Helena Justyna nigdy nie należała do tego spisku.

Zwróciłem spojrzenie na nią. Publiusz wykonał pierwszy ruch.

- Kto znalazł tę bransoletkę? - zapytał. Przykuwała jego wzrok; już utracił przewagę.

- Ja, stryju. - Sama Helena zatrzymała go w miejscu. - Znalazłam ją dzisiaj w twoim domu. Och, na Junonę, wywołujesz we mnie taki gniew! Uważasz, że inni ludzie pozbawieni są wszelkiej wrażliwości. To ty porwałś Sozję; twoje imię było w liście, który wuj Gajusz napisał do Wespazjana. Dzisiaj patrzyłam, jak stoisz spokojnie i pozwalasz mi winić ojca... ojca, który przez dwadzieścia ponurych lat ukrywał twoją hańbę! Ciotka Elia Kamilla powiedziała mi prawdę o tobie. Twoja szalona młodość w Bitynii była trochę zbyt szalona i trwała zbyt długo jak na zwykłą żywiołowość. Twoja publiczna kariera w Mauretanii skończyła się tak raptownie z nigdy niewyjaśnionych powodów. Przepędzają cię z jednej prowincji do drugiej, a wyganiają z Rzymu. Polityczne kombinacje, towarzyskie skandale, udział w zamieszkach, podejrzane interesy, kobiety... S o z j a ! Jej matka była żoną nowo mianowanego konsula, mąż przebywał daleko; wołałbyś, żeby dziecko wylądowało na kupie gnoju... tyle że jak zwykle wkroczył mój porządny ojciec. Życie ojca było pasmem nieszczęść... udało ci się nawet podstępnie nakłonić go, by wydał mnie za człowieka, którego nie lubił, żebyś mógł przekonać Pertynaksa do pomocy przy sprowadzaniu srebra! - Już wcześniej słyszałem ją, jak rozprawia, nigdy jednak nie robiła tego z taką pasją jak teraz. - Uważasz, że nikt nie wie...

- Nawet Sozja wiedziała - wtrąciłem. - Twoje imię jest na liście, którą mi dała. Zostałeś potępiony i wydany zwykłemu detektywowi, Metonie... przez własne dziecko! - Nie uważałem za stosowne dodać, że Sozja wymazała jego imię.

Przeniósł spojrzenie z Heleny na mnie, po czym roześmiał się tak miękko jak nigdy wcześniej. Przez ten krótki moment dojrzałem to, co zauważyłem na pogrzebie Sozji, że jest przystojnym mężczyzną; zrozumiałem, czym mógł pociągać kobiety, kiedy tylko miał na to ochotę.

- Wyśmienity zespół! - pochwalił nas.

I była to prawda. Tym właśnie zawsze byliśmy. Przy tej sprawie staliśmy się prawdziwymi współnikami. Teraz walczyliśmy razem przeciwko niemu. - Przeznaczony wam los stanu średniego - kpił. - Ale to nie dla mnie! Życie na wysokim poziomie moralnym i tak niewiele ponadto! Dowódca floty Fretum Gallicum miałby tkwić jak w pułapce pośród trzeciej kategorii poborców podatków i wyzwolenców pełniących funkcję cesarskich sekretarzy! Ciężko pracować za nędzne wynagrodzenie albo paruć się handlem. Żadnego uznania w świecie, żadnej klasy ani władzy w kraju...

Jeśli była to jego skarga na status społeczny, to nie zrobiła na mnie większego wrażenia.

- Nigdy ci niczego nie brakowało - wycodziłem jadowicie, jak przystało na znużonego człowieka z awentyńskiej czynszówki - zawsze żyłeś sobie wygodnie i zbyt kownie. Czego jeszcze chcesz?

- Luksusów i wpływów! - przyznał, nie mrugnawszy nawet okiem.

Helena Justyna zerwała się nagle na równe nogi.

- Więc zabieraj sobie to srebro. - Jej głos brzmiał czysto i wyraźnie. - Niech to będzie mój dar dla biednego, nękanego kłopotami ojca. Weź je. Wyjedź i nie sprawiaj już więcej kłopotów ani jemu, ani żadnemu z nas.

Było to odważne posunięcie, a ja teraz pojąłem, co usiłowała osiągnąć wcześniej ta moja pani o jasno sprecyzowanych zasadach. Podobnie jak jej ojciec, usiłowała ratować reputację stryja, nawet na jego własnych warunkach. Tkwiła w gąszczu więzi rodzinnych, przy których błahie spory moich krewnych wydawały się radosnymi igraszkami.

- Twój gnębiony wyrzutami sumienia ojciec nie pozostawia mi wyboru...
- zaczął Publiusz.

To miała być pułapka. W tym samym bowiem momencie ruszyliśmy obaj w stronę bezradnie stojącej Heleny. Wiedziała, że znajduje się w niebezpieczeństwie. On zauważył, że przewidziałem jego ruch, i rzucił się po swój miecz. Zobaczyłem, jak zmienia kierunek, i skręcając zygzakami, skoczyłem ku niemu.



LXIII

Niemal w tej samej chwili, w której natarłem na niego, uświadomiłem sobie, że gość umie walczyć. W jakiejś podejrzanej części imperium poznał sztuczki, których elegant ze stanu średniego nie powinien w ogóle znać. Na szczęście dla mnie ja nie należałem do tego stanu.

Walka była zajadła i musiała robić wrażenie, ponieważ Meto należał do ludzi przekonanych, że wściekle powarkiwanie oraz złowrogi szcęk broni, niezależnie od tego, czy uderzenie służy jakiemuś celowi czy nie, na pewno rozpraszają przeciwnika. Mnie to nie przeszkadzało. Sam wkrótce mimowolnie zacząłem wydawać różne dźwięki, kiedy dysząc, wirowaliśmy pośród pieprzu i innych przypraw, potracając baryłki i pakunki, aż nam obu zabrakło tchu. Cieszyłem się, że Helena Justyna ma dość rozsądku, by trzymać się z daleka.

Walczyłem w tym ponurym wonnym miejscu z krnąbrnym młodszym bratem senatora. Oczy nam łzawiły, kiedy szybko przebijając stopami, rozgniataliśmy bogaty spadek Heleny. Publiusz pewnie zbliżał się do pięćdziesiątki, ale jak wszyscy w tej rodzinie był słusznego wzrostu. Jego sposób walki nie charakteryzował się żadnymi szczególnymi cechami i to było dla mnie przeszkodą, nie miałem czego wykorzystać, przeciwko czemu się nastawić, nie mogłem wymusić na nim żadnej odruchowej reakcji, żeby wykonać unik.

Miał lepszą broń, większy zasięg ramion, choć akurat nie to było moim głównym zmartwieniem; latami ćwiczyłem tę kombinację z Glaukosem w gimnazjonie. Meto najwyraźniej też gdzieś ćwiczył. Tylko że tam uczono przecinania ścięgna podkolanowego i wtykania palców w oczy.

Przynajmniej przygotowałem się, by trzymać go na dystans, i wymachiwałem teraz odpiętym pasem, a kiedy zanadto się zbliżył, owijałem sobie pas wokół przedramienia jak gladiator, żeby odbić ostrze.

Mój przeciwnik miał niezłą kondycję. Byłem zmęczony. Już trzeci raz przemknęliśmy obok Heleny, ja za każdym razem uparcie starałem się nie widzieć jej zogniętych od niepokoju oczu. Wiedziałem, że muszę sprawiać wrażenie człowieka, który się wysila - dla niej to zwykły widok - i wtedy jej stryj odprężył się, moja koncentracja na moment osłabła, a wytracony sztylet wyleciał mi z dłoni. Rzuciłem się za nim, po czym pełną bokiem po kłującym mnie w dłonie i kolana żwirze, padłem, przykrywając sobą nóż.

Leżałem rozplaszczony na ziemi, gotowy przetoczyć się na plecy z wyciągniętym do góry ramieniem, choć wiedziałem, że pewnie jest już na to za późno. Helena Justyna stała tak nieruchomo, że obaj o niej zapomnieliśmy. Jej stryj wzniósł miecz i ruszył na mnie z przerażającym rykiem. Kiedy przebiegał obok Heleny, ta, choć związana, zdołała popchnąć i przewrócić beczułkę, za którą ją w pewnym momencie wcisnąłem. Zawartość rozsypała się po ubitej podłodze.

Nie było czasu, żeby jej podziękować. Podniosłem się na kolano i wstałem. Okrakiem przeszedłem nad przewróconą beczułką. Meto krzyknął i zachwiał się, kiedy małe, twarde jak żelazo kuleczki dostały się pod delikatne spody wypielegnowanych stóp. Moje stwardniałe stopy miały dodatkową ochronę w postaci grubych podeszew. Ruszając do przodu, kopnąłem zamasyście, żeby rozsypać gałkę muszkatołową jak najszerzej, i nim zdążył w pełni odzyskać równowagę, zanurkowałem mu pod gardą i walnąłem rękojeścią sztyletu w nadgarstek. Upuścił miecz. Dla pewności uderzeniem barku odrzuciłem gościa jak najdalej od leżącej broni.

Bez chwili zwłoki Helena Justyna związanymi dłońmi porwała jego miecz.

- Stój! - zawołałem. Drań wykonał ruch. - Dostyc! - wykrztusiłem. - Nie ruszaj się. To już koniec... - Uwolniłem Helenę.

- Niezłe - wysapał - jak na... niechlujnego chama z nędznych czynszówek Subury.

- Nie mam nic do stracenia... nie próbuj nawet drgnąć! - Znałem takich jak on. Ten będzie mi sprawiał kłopot, aż zatrzasną się za nim drzwi celi. - Nie prowokuj mnie, Kamilu!

- Co teraz, Falko? - spytała szybko Helena.

- Pałac. Niech Wespazjan decyduje.

- Falko, jesteś głupcem! - wykrzyknął Publiusz. - Podziel się tym srebrem ze mną. Korzeniami też... jest jeszcze dziewczyna, Falko...

Wkurzyłem się. Już raz nią rozporządził, z korzyścią dla swoich niskich celów, kiedy wydał ją za Pertynaksa. Nigdy więcej.

- Twoja urocza bratanica ma okropny gust... ale nie aż tak okropny! Gra skończona. Straż awenturyńska blokuje drogę Ostyjską, przeszukując wszystko, co się rusza, od babcinego koszyka z zakupami po garb wielbłąda. Petroniusz Longus nie przegapi kawalkady nielegalnie będących w ruchu furgonów. To srebro to twój wyrok śmierci...

- Kłamiesz, Falko!

- Nie oceniaj mnie wedle własnej miarki. Czas już iść.

Ojciec Sozji - a był ojcem Sozji i na pewno wiedział, że nigdy o tym nie zapomnę - rozłożył ręce jak gladiator, który straciwszy broń, przyznaje się do porażki.

- Pozwól, że sam wybiorę sposób.

- Ach tak - kpiłem - honorowa śmierć dla człowieka, który całe swoje życie miał honor w pogardzie? Zdrajca ze stanu średniego... zbyt szacowny, by zadyndać na stryczku?

- Och, Marku... - wyszeptała Helena. W tym momencie do moich uszu doszło skrzypnięcie wielkich drzwi. - Pozwól człowiekowi skorzystać z jego praw obywatelskich - prosiła. - Daj mu szansę; zobacz, jak ją wykorzysta. Pozwól, że oddam mu miecz...

Nim zdołałem ją powstrzymać, zrobiła to, z jasną jak dzień twarzą i przejrzystym spojrzeniem. Oczywiście od razu przyłożył ostrze do jej szlachetnej szyi.

Kamil Meto miał honoru nie więcej niż parząca pokrzywa, a dziewczyna była zbyt blisko. Jedną dłoń zanurzył głęboko w miękkich włosach Heleny i rzucił ją na kolana. Jej twarz zszarzała. Jeden ruch któregoś z nas, a rozplątałby ją jak hiszpańską szynkę.

- Puść ją - powiedziałem spokojnym głosem, starając się utrzymać jego wzrok na sobie.

- Och, Falko! To twój prawdziwie słaby punkt!

- Nie, panie... moja siła.

Helena nie wrywała się ani nie odzywała; pałającym wzrokiem wpatrywała się we mnie. Postąpiłem do przodu.

- Ani kroku dalej!

Stał pomiędzy mną a drzwiami. Dawało mu to najlepsze światło, ale mnie najlepszy widok.

- Za tobą, Kamilu!

- O bogowie! - wykrzywił się szyderczo. - Tylko nie ten stary jak świat chwyt.

- Wspólniku! Nie spieszyłeś się - zawołałem głośno.

Helena wykrzyknęła, kiedy stryj sprawił jej ból, ciągnąc bezlitośnie za włosy, czym chciał mnie wyprowadzić z równowagi. To był jego błąd. Ja nie spuszczałem z niego wzroku ze względu na Helenę, ale w końcu dotarł do niego odgłos różnych kroków. Już miał się odwrócić...

- Twój! - krzyknąłem.

I wtedy Publiusz ruszył; skoczyłem do przodu i oderwałem od niego Helenę. Odwróciłem ją, zasłoniłem twarz, przyciskając jej głowę piersi.

Zanim to wszystko się skończyło, przestała się wrywać; zrozumiała. Puściłem ją bardzo delikatnie, po czym objąłem delikatnie, uwalniając z pozostałych krępujących ją więzów, i dopiero wtedy pozwoliłem spojrzeć.

Jej stryj był martwy. Obok niego, w kałuży krwi, leżał miecz, nie jego. Obok miecza stał kat Publiusza.

Senator Decymus Kamil ukląkł. Przez chwilę zaciskał mocno powieki. Nie podnosząc wzroku, oszołomiony, odezwał się głosem, jakiego używał, kiedy bywaliśmy razem w gimnazjonie:

- Co powtarza nam twój trener, Marku? „Do zabicia człowieka mieczem

trzeba siły, szybkości... i szczerego pragnienia, by zobaczyć go martwym!” - powiedział. Rzeczywiście pocziwy Glaukos tak mówił. To, co zobaczyłem tutaj, było solidnym, mocnym uderzeniem, w które włożono całe serce, ale tego mu nigdy nie powiem. - O mój bracie, bądź pozdrowiony i żegnaj!

Nadal obejmując córkę jedną ręką, podszedłem do jej ojca i drugą pomogłem mu wstać. Nie puszczać mnie do końca, Helena rzuciła mu się na szyję. Objąłem ich oboje. Przez tę jedną chwilę byliśmy sobie równi, dzieląc ulgę i ból.

Ciągle staliśmy razem, kiedy przybyli pretorianie. W drzwiach pojawił się biały jak płótno Petroniusz Longus. Za nim słyszałem turkot zawracanych furgonów.

Wydawało mi się, że w ogóle zapanował tu hałas. Wyższa szarża zaczęła się panoszyć, zamieszanie narastało. Ludzie, którzy nie odegrali żadnej roli w wydarzeniach tego popołudnia, gratulowali sobie sposobu, w jaki przeprowadzili akcję. Wyszedłem powoli na zewnątrz, czując, jakby oczy zapadły mi się w głąb głowy.

Magazyn zapieczętowano, z ciałem pozostawionym w środku. Wokół dziedzińca rozciągano łańcuch. Decymusa odprowadzano pod eskortą do Pałacu, żeby wyjaśnił, co zaszło; patrzyłem, jak jego córkę prowadzą do lektyki. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Pretorianie wiedzieli, że detektyw - nawet detektyw działający na zlecenie cesarza - nie może mieć nic wspólnego z córką senatora. Meto mnie drasnął; na jej twarzy była moja krew. Chciała, żebym był przy niej, wiedziałem, że chce. Była poobijana, roztrzęsiona, widziałem, że drży; a przecież nie mogłem do niej podejść.

Gdyby dała mi najmniejszy znak, odepchnąłbym wszystkich pretorianów. Nie zrobiła tego. Nie wiedziałem, co począc. Zabierano ją do domu.

Była już noc. Rzym kipiał niecnymi uczynkami i bezbożnymi wrzaskami. Nad Kapitołem krzyknęła sowa. Słyszałem wygrywaną smętnie na flecie pioszeczkę o tym, jak mężczyźni są niesprawiedliwi wobec kobiet, a bogowie niesprawiedliwi wobec mężczyzn.

Petroniusz Longus stanął przy mnie bez słowa. Obaj wiedzieliśmy, że sprawa srebrnych świnek została ostatecznie zamknięta.



LXIV

Byliśmy w Rzymie; a tu nie mogło się obejść bez formalności.

Tej samej nocy, podczas gdy Wespazjan podejmował w pałacu ucztą wybrańców i szczęśliwców, a gdzie indziej rodzinie i gromadnie uctowało całe miasto, mnie zabrano na Palatyn na rozmowę z cesarskim synem. Tytus, słynny z uprzejmości, pogratulował Kamilowi Werusowi, Petroniuszowi Longusowi i mnie. Senator był zbyt wstrząśnięty, by oponować. Helena Justyna stała milcząca obok matki, obie miały twarze ukryte pod gęstymi woalkami. Mimo to zauważyłem, że twarz Heleny ma tyle wyrazu co śnięta ryba.

Atrakcją dnia miało być przyznanie M. Dydiuszowi Falkonowi najwyższej nagrody: czterystu tysięcy sestercji i awansu do stanu ekwickiego. Szczodry gest ze strony Tytusa, który lubił dobre uczynki.

M. Dydiusz Falko, powszechnie znany z nieuprzejmego zachowania, z beztronską swobodą pozostał wierny swojej reputacji. Pomyślałem, co ta nagroda oznacza nie tylko ziemię i pozycję, ale taki styl życia, który umożliwi mi prawdziwe życie. Podobnie jak w przypadku Flawiusza Hilarisa, na swój sposób uprawiającego z zacięciem użyteczny kawałek roli i cieszącego się spokojnym, wygodnym życiem domowym u boku ukochanej małżonki, życie wybrane przeze mnie toczyłoby się pomiędzy ludźmi, których lubiłem, i tam, gdzie mogłem prosperować.

Potem przypomniałem sobie Sozję. Sozję, która nie żyła, a teraz nie miała nawet ojca, który prosiłby bogów, by traktowali ją łaskawie.

- Zatem to jest premia za wypełnienie kontraktu! - zwróciłem się do Tytusa. - Zatrzymaj ją, panie. Nie zasłużyłem na nią. Wynajęto mnie, bym zdemaskował człowieka, który zamordował Sozję Kamillinę...

Tytus, zebrawszy tego dnia takie owacje, był w dobrym nastroju, co nie znaczy, że nie stać go było na poczęstowanie mnie nieprzyjemnym grymasem. Było tam kilku oficjeli, a ja wyświadczyłem mu tę przysługę, że nie wymieniłem Domicjana z imienia. Nie było to zresztą imię, które kiedykolwiek miałbym ochotę wymówić.

- Dydiuszu Falconie, cesarz osobiście zamknął ten rachunek! - zauważył ostrożnie Tytus.

- W mojej księdze rachunkowej on nigdy nie zostanie zamknięty - odparłem chłodno w tym samym metaforycznym stylu.

- Pewnie nie. Rozumiem to. Wierz mi, wszyscy opłakujemy to biedne dziewczę. Falko, postaraj się z kolei ty nas zrozumieć. Teraz Rzym musi wierzyć w swoją pierwszą rodzinę. Cesarze muszą ustalać własne zasady...

- Właśnie dlatego, panie, jestem republikaninem!

Byłem świadom poruszenia, jakie wywołałem, choć sam Tytus ani drgnął. Patrzył na mnie zamyślony, po czym zaapelował do senatora. Z wysiłkiem spowodowanym żalem i wyczerpaniem raczej niż antypatią do mnie Decymus podjął taką próbę.

- Marku, przez wzgląd na moją córkę...

Odparłem mu jednak bez owijania w bawełnę, że jego dzielna córka zasługuje na coś więcej niż kopniętego w górę, kupionego, świeżo uciszonego łapówką urzędniczynę od badania ksiąg rachunkowych.

Przyjął to nieźle. Prawdopodobnie się z tym zgadzał; mogę zagwarantować, że jego małżonka na pewno się zgadzała. Nawet jeśli nie była to jego opinia w momencie, w którym zacząłem go obrażać, to już teraz powinna nią być. A żeby sprawa była całkowicie jasna, na zakończenie wypaliłem:

- Senatorze, niech jedno mocne doświadczenie nie przyćmi twojego osądu. - Po czym się odwróciłem. Podszedłem prosto do jego córki, w tej sali, gdzie odbywają się publiczne audiencje. Dzięki bogom za to, że miała woalkę. Nie byłbym w stanie tego zrobić, gdybym musiał patrzeć na jej twarz. - Pani, wiesz, jak to jest. Przy każdej sprawie dziewczyna: nowa sprawa, nowa dziewczyna. W każdym razie przywiozłem ci pamiątkę,

która ozdobi twój palec: *Ex Argentiis Britanniae*. Wdzięczny dar niewolnika z kopalni ołowiu.

Dałem Helenie Justynie srebrny pierścionek. Wiedziałem, że już więcej jej nie zobaczę, więc tego wieczoru odebrałem go od jubilera. Na wewnętrznej stronie miał wygrawerowane jubilerskie motto, z rodzaju tych tandetnych, które nie znaczą nic albo znaczą wszystko, w zależności od nastroju: *Anima mea...*

Wiedziałem, że jestem beznadziejny. Odtrąciłem ją - publicznie - a teraz jeszcze dorzuciłem kolejne brzemie jej samotności. Nie była to moja wina. Jubiler nie otrzymał żadnych instrukcji, więc umieścił słowa, które uznał za właściwe; kiedy już je zobaczyłem, jakoś nie mogłem się zdecydować, żeby mu kazać to zmienić.

A zresztą, motto to było prawdziwe: *Anima mea, Moja dusza*.

Wziąłem ją za rękę i mocno zacisnąłem jej palce na moim podarku. Potem, nie spojrzawszy na nikogo z obecnych, wyszedłem.



LXV

Poszedłem na mury. Minąwszy pozamykane budki lalkarzy, znalazłem się na wyludnionej promenadzie.

To tutaj spacerowałem kiedyś z Heleną Justyną. W miejscu, gdzie czasami chodziłem też sam. Teraz było tam ciemno, ale ja potrzebowałem ciemności. Przygarbiony, okryty togą, słuchałem nocnego życia Rzymu, broniłem się przed paniką, jaką wywoływał mój postęp.

Stałem samotnie w tym wysokim punkcie, górującym nad Rzymem. Przewiewał mnie zimny wiatr. Z oddali dochodził nieprzerwany dźwięk muzyki, kroki straży, wybuchy szalonego śmiechu, a czasami złowróżbne krzyki.

Kiedy się uspokoiłem, to znaczy, kiedy już mocno przemarzłem, zszedłem na dół.

Wróciłem do Pałacu. Poprosiłem o powtórny audiencję u Tytusa. Było już bardzo późno. Korytarze wypełniały wysokie cienie, a tych kilku członków służby, na których się natknąłem, zajętych było plotkowaniem i zaskoczeni spojrzeli na mnie, jakby zobaczyli ducha.

Nikt nie wydawał się szczególnie zdziwiony moją obecnością. Nikomu nie przeszkadzałem. Czasami tak właśnie się zdarza w tych urzędowych miejscach, kiedy służbę przejmuje nocna zmiana; na ogół niewiele się wtedy dzieje i ludzi cieszy każde odstępstwo od rutyny.

Poprowadzili mnie przez kolejne ociekające draperiami pomieszczenia do dość zwykłego przedpokoju, którego nigdy przedtem nie widziałem. Ktoś wszedł do pokoju obok, skąd dobiegł mnie dźwięk mojego imienia, wymawianego cichym obojętnym głosem. Po krótkiej chwili wyszedł stamtąd pogodny starszy jegomość w domowych sandałach, a za nim spokojnym, spacerowym krokiem człowiek, który mnie tutaj przyprowadził, by po chwili się ulotnić. Starszy pan przyjrzał mi się uważnie.

- Obaj moi synowie są już w łóżach. Może ja wystarczę?

Miał na sobie pomiętą purpurową tunikę, bez pasa. Był postawnym, krzepkim mężczyzną około sześćdziesiątki, o krępej budowie, zdrowym wyglądzie, z głęboko pooranym czołem i otwartym spojrzeniem. Jakoś ten jego bezceremonialny sposób bycia przydawał mu wagi: z latami przywykł do pociągania za sobą ludzi siłą samej osobowości. Robił to dobrze. Niech szlag trafi tego drania, od wielkich paluchów u stóp poczynając, na przedziedzonych włosach na głowie kończąc, ale muszę przyznać, że natychmiast poczułem do niego sympatię.

Wiedziałem, kim jest; cesarzem, Wespazjanem.

Pomyślałem, że najlepiej odpowiedzieć uprzejmie, że i owszem, on sam wystarczy.

Spoglądał na mnie z pobłażliwością podszytą rozbawieniem, potem gestem wskazał, bym poszedł za nim. Pracował w niewielkim gabinecie, przytulnym dzięki dobrze rozmieszczonym lampom. Leżały tam dwa stosy korespondencji, którymi najwyraźniej właśnie się zajmował. Wyglądało mi to wszystko na dobrze zorganizowane miejsce. Sam chętnie pracowałbym w takim pomieszczeniu.

- Więc to ty jesteś Falko. Wyglądasz mi dość mizernie. Napijesz się wina?

- Nie, dziękuję. Troszkę przemarzłem. Proszę sobie nie sprawiać kłopotu.

- Och, to żaden kłopot! - ryknął radośnie. - W korytarzu czeka cała gromada takich, co noszą kielichy, i innych, co nalewają z dzbanów, gotowa wykazać się swoimi umiejętnościami... - mówił. Nadal kręciłem przecząco głową. Ku mojemu zdumieniu nie przestawał rozprawiać. - Jedni przynoszą, inni wynoszą. A każdy jest wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie. Gdybyś zechciał, mogliby pewnie przyprowadzić ci niewolnika do wybierania kłaczków z twojego pępka, w pełni wyposażonego w fartuch wybieracza kłaczków i w odpowiednie narzędzie z rączką z masy perłowej!

Zdawało mi się, że wreszcie się uspokoił.

- Można się mile odprężyć i wypocząć, panie - oświadczyłem z powagą - kiedy się to wszystko ma.

- Przestałem się odpręzać, gdy zobaczyłem, ile to wszystko kosztuje - oświadczył gorzko Wespazjan.

Obrócił na mnie to swoje przenikliwe spojrzenie, czym uświadomił mi, że mogę sobie poradzić z Tytusem, ale na pewno nie z nim.

- Doniesiono mi o tych błazeństwach, jakich się dopuszczałeś przy ustalaniu honorarium.

- Nie było moim zamiarem obrażać cię, panie.

Wespazjan milczał. Pomyślałem, że wyraz napięcia na twarzy, z którego był sławny, może być rezultatem powstrzymywania się od śmiechu w miejscach publicznych. Teraz jednak się nie śmiał.

- Tym, co tak naprawdę obrażasz, jest twoja niewątpliwa inteligencja! - rzucił. Lubię szczerść. Więc niech mu będzie. - Zatem cóż to znowu - spytał łagodniej cesarz - za farsa?

W tym więc miejscu wyjaśniłem Wespazjanowi, co zamierzałem osiągnąć, przychodząc tutaj.

Powiedziałem mu wszystko i oświadczyłem, że żałuję; błagałem o drugą szansę. Spytał dlaczego; powiedziałem, że ze względu na nią, powiedział nie.

- Co? - spytałem.

Znowu powiedział nie.

Nie tego oczekiwałem, absolutnie nie tego.

Potem Wespazjan zaproponował mi pracę. Teraz była więc kolej na mnie, żeby powiedzieć nie. Zwróciłem mu uwagę, że nie lubi detektywów, a ja nie lubię cesarzy; byliśmy zupełnie niedopasowani. Wyjaśnił, że nie tyle nie lubi detektywów jako takich, ile nie lubi roboty, jaką wykonują. Zwierzyłem mu się, że mam podobne odczucia, jeśli chodzi o cesarzy.

Przyglądał mi się długo, choć nie wyglądał na szczególnie rozgniewanego.

- Więc w tej wizycie chodzi o dziewczynę Kamilów? - upewnił się. Milczałem. - Falko, nie wierzę w związki pomiędzy ludźmi z różnych stanów. Obowiązkiem senatorskiej córki jest szanować honor swojej rodziny. Mówi się, że jestem staromodny - zauważył.

Nie mogłem nie wiedzieć, skoro mówił o tym cały Rzym, że Wespazjan długo mieszkał z wyzwolenicą, która czterdzieści lat wcześniej została jego kochanką. Choć wydawało się to mało prawdopodobne, mówiono, że teraz sprowadził tę wierną starszą panią do Pałacu.

- Panie, z całym szacunkiem, nie zamierzam cię wypytywać o takie sprawy, więc i nie uważam, bym sam musiał się tłumaczyć.

Myślę, że tym razem poczuł się urażony, jednak już po chwili uśmiechnął się.

- Tytus mówi, że rozsądna z niej kobieta.

- Też tak myślałem - rzuciłem - dopóki nie zadała się ze mną!

- Mój stary przyjaciel Hilaris - zaprotestował Wespazjan - zdecydowanie by się nie zgodził. Nigdy nie spieram się z Gajuszem; zbyt dużo potem pisaniny. On ma dobrą opinię o tobie. Co mam mu teraz powiedzieć?

Patrzyłem na cesarza, a on na mnie. Osiągnęliśmy porozumienie; to był mój pomysł. On siedział tylko z rękoma założonymi na piersi, podczas gdy ja wyłuszczałem mu, w czym rzecz. On przenieś mnie do stanu średniego; zrobi to, kiedy sam zdobęde niezbędne fundusze.

Zobowiązałem się do zarobienia - i z a o s z c z ę d z e n i a - czterystu tysięcy sztuk złota.

Przed wyjściem poprosiłem o jeszcze jedno.

- Chciałbym, panie, byś rzucił okiem na to.

Wyjąłem kałamarz, który znalazłem w szafranowej piwniczce; wynurzył się z mojej kieszeni razem z ziarnkami pieprzu. Cesarz obracał go w swojej wielkiej dłoni. Był to zwyczajny kałamarz, prosty kształt i kołnierz zatrzymujący nadmiar inkaustu, żeby zapobiec kleksom. Na podstawie porządnie wygrawerowano: *T FL DOM*, inicjały młodszego z synów Wespazjana.

Zabrałem go z powrotem, zanim zdążył się odezwać.

- Ponieważ nie będzie potrzebny w sądzie, zatrzymam go jako pamiątkę po tej sprawie.

Trzeba oddać Wespazjanowi sprawiedliwość, pozwolił mi zabrać

kałamarz ze sobą.

Udałem się do domu.

Kiedy schodziłem z Palatynu, wokół mnie roztaczał się nocny Rzym niczym ciąg głębokich, ciemnych mrocznych stawów pomiędzy słabymi światłami na grzbietach Siedmiu Wzgórz. Poszedłem więc uśpionymi ulicami, aż znalazłem się w dobrze mi znanej, nędznej własnej dzielnicy i w ponurym mieszkaniu, które sam zajmowałem i do którego kiedyś przyprowadziłem pewną dziewczynę, Sozję Kamillinę.

To był najgorszy dzień mojego życia, a kiedy znalazłem się w moim biurze, uświadomiłem sobie, że jeszcze nie dobiegł końca. Składane drzwi naprzeciwko były otwarte. Kiedy wszedłem, poczułem, jak fala zimnego powietrza płynie łagodnie przez pokój. Ktoś czał się na moim balkonie.



LXVI

Moja matka nigdy nie przychodziła o tak późnej porze. Petroniusz nie lubił otwartego powietrza nocą. Doszedłem do wniosku, że ktokolwiek się tam czał, nie jest to ktoś, kogo miałbym ochotę oglądać.

Za wcześniejsze honorarium od senatora kupiłem kilka ceramicznych lamp, więc teraz je pozapalałem, dając wyraźnie do zrozumienia, że przyszedłem tutaj na dobre. Zerkając jednym okiem w stronę balkonu, ściągnąłem odzienie, wlałem wodę do miski i myłem się tak długo, aż zapach zamożności i dekadencji ulotnił się wreszcie z mojej wychłodzonej skóry. Poszedłem do sypialni i robiąc mnóstwo hałasu, znalazłem czystą tunikę, którą lubiłem, a potem się uczesałem. Włosy nadal były za krótkie, żeby mogły zacząć się kręcić.

Przez cały czas ten ktoś czekał na zewnątrz.

Chciałem się już położyć. Wróciłem do głównej izby, wziąłem jedną z lamp, po czym skierowałem swoje zmęczone nogi na balkon. Byłem wykończony i nieuzbrojony.

Powietrze było łagodne, a stłumione odgłosy pogrążonego w ciemnościach miasta przybierały raz po raz na ostrości, co się czasami zdarza, kiedy dźwięki docierają do szóstego piętra.

- No proszę, co za widok! - powiedziałem.

Stała przy balustradzie i spoglądała w dal, ale odwróciła się natychmiast, kiedy tylko się odezwałem: oczy jak ciepły karmel w jasnej twarzy o migdałowym kształcie. Tylko bogowie wiedzą, jak długo tam była i jakie ogarniały ją wątpliwości, kiedy czekała, aż wrócę do domu.

- Sozja napisała mi o widoku z twojego balkonu.

- Nie ten widok miałem na myśli - odparłem. I nie przestawałem się na nią gapić.

Stała tam, a ja stałem tutaj, ona w mroku, ja z lampą, oboje niepewni, czy wciąż jesteśmy przyjaciółmi. Z ciemności nocy zaczęły przylatywać poirytowane ćmy. Kiedyś porozmawiamy o tym, co się wydarzyło, ale nie teraz; zbyt wiele było rzeczy, które należało najpierw od nowa ustalić.

- Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz. Jesteś pijany?

Rzeczywiście odwiedziłem po drodze kilka całonocnych winiarni.

- Trzeźwieję w przyspieszonym tempie. Długo czekałaś?

- Długo. Jesteś zdziwiony?

Zastanowiłem się. Nie. Znając ją, nie powinienem się dziwić.

- Myślałem, że cię już nigdy nie zobaczę. Moja pani, cóż mogę powiedzieć?

- Może teraz, kiedy publicznie plunąłeś mi w oko, będziesz już mówił mi po imieniu.

- Heleno - szepnąłem posłusznie.

Musiałem usiąść. Osuwając się na ławę, która stała tam, bym mógł sobie czasem pomarzyć na świeżym powietrzu, aż jęknąłem ze zmęczenia.

- Chcesz, żebym sobie poszła? - spytała zakłopotana.

- Zbyt późno - odparłem, przypominając sobie własne słowa z innego dnia. - Zbyt ciemno. Zbyt ryzykownie... Chcę, żebyś została. Usiądź przy mnie, Heleno; usiądź obok mężczyzny na jego balkonie i wsłuchaj się w noc!

Ona jednak pozostała na miejscu.

- Byłeś z kobietą?

Mrok nie pozwalał mi widzieć jej twarzy.

- W interesach - odparłem.

Helena Justyna odwróciła się i dalej patrzyła na miasto. Ciasna obręcz zacisnęła się na mojej klatce piersiowej, poczynając od tej strony, którą uszkodziłem sobie poważnie w Brytanii, a kończąc na tej, której nic nie było. - Tak się cieszę, że cię widzę!

- Mnie? - Odwróciła się gwałtownie. - Czy w ogóle kogoś?

- Ciebie - odpowiedziałem.

- Och, Marku, gdzie się podziewałeś? - Tym razem zadała to pytanie zupełnie innym tonem.

Powiedziałem jej o murach i o Wespazjanie.

- Czy to oznacza, że pracujesz dla cesarza?

Pracowałem dla niej.

- Pracuję dla siebie. Ale jeśli oszczędzę pieniądze, on zgadza się zapisać mnie do stanu ekwickiego.

- Ile czasu to zajmie?

- Jakies czterysta lat.

- Poczekam!

- I to tylko jeśli nie będę jadł i zamieszkał w beczce pod mostem Fabrycjusza. Nie pozwolę ci czekać.

- Zrobię, co zechcę.

Helena Justyna potarła dłonią oczy, a ja z jej cierpkiego nastroju wywnioskowałem, że jest równie zmęczona jak ja. Wyciągnąłem rękę; wreszcie podeszła do mnie i usiadła obok. Podłożyłem jej pod plecy ramię, żeby nie musiała opierać się o mur. Siedziała sztywno, lekko ode mnie odchylona. Zsunęła rąbek palli, którym miała okrytą głowę, i kiedy pogładziłem jej miękkie włosy, nagle przymknęła oczy. Teraz już wiedziałem, że to oznacza tęsknotę, nie niesmak.

Wsuwając jej za ucho luźne pasemko włosów, tam gdzie było jego miejsce, powiedziałem cicho, że zawsze podobał mi się sposób, w jaki je

układa do góry.

- Kiedy tak tu czekałam - Helena udawała, że nie słyszała, co powiedziałem - odprawiłam trzy smarkule w nieprzyzwoitych strojach, które zdążyły już gdzieś usłyszeć, że być może jesteś bogaty... - oświadczyła lodowato. Sięgnąłem po jej dłoń; miała na palcu mój pierścień. Spodziewałem się tego. Choć zaskoczyła mnie, wsuwając go na środkowy palec lewej ręki. - Przyszła twoja matka - dodała. Uspokajającym uściskiem dłoni odpowiedziała na mój uścisk. - Uważała, że ktoś powinien tu czekać na ciebie; zapewniła mnie, że w końcu się przywleciesz, przemarznięty i zmęczony, i pijany, i nieszczęśliwy jak Cerber. Myśli, że nic z ciebie nie będzie.

- Myśli, że potrzebna mi dobra kobieta.

- A ty jak myślisz?

- Gdybym taką znalazł, tobym ją rozczarował.

- Moglibyście się nawzajem rozczarować. Albo...

- Albo - przyznałem ostrożnie - może i nie! Mój skarbie, nie w tym rzecz.

Po chwili milczenia Helena znowu zaczęła:

- Powiedziałeś kiedyś, że byłoby tragedią, gdybyś mnie kochał. A co, jeśli to ja kocham ciebie?

- Wybaczę ci, jeśli ty potrafisz wybaczyć samej sobie.

Chciała coś powiedzieć, ale ją powstrzymałem, kładąc delikatnie palec na jej ustach.

- Przestań. Nie mogę tego znieść. Widzisz, jak żyję. Nigdy nie mógłbym cię tutaj sprowadzić. Wiesz, jakie mam przed sobą perspektywy... praktycznie żadne. Nie mogę obrażać cię obietnicami. Lepiej przyjmij rzeczy takimi, jakie są. Lepiej już nic nie mów, moja pani. Lepiej uciekaj, póki możesz...

- Za późno. - Helena Justyna powtórzyła ponuro moje słowa.

Puściłem ją i ukryłem twarz w dłoniach.

Minęła chwila.

Wielka ćma wpadła do mojej lampy. Leżała teraz na stole, nawet nieopalona, jedynie ogłuszona. Miała kształt grotu strzały, silne nakrapiane brązowe skrzydła trzymała stulone. Była oszołomiona tak jak i ja.

Wstałem, wziąłem ją delikatnie przez rąbek tuniki; możesz być człowiekiem odważnym, ale niekoniecznie lubić, kiedy ćma wierci ci się w dłoni.

Położyłem nocnego motyla na kwiatku wyrastającym ze skrzynki na oknie. Ćma zakołysała się, a potem już siedziała spokojnie. Zostawiłem ją, żeby sobie odfrunęła albo została, ryzykując, że stanie się rano śniadaniem dla gołębia. Stałem tak i patrzyłem na Rzym. Tamten moment już minął, jednak jej słowa pozostaną ze mną. Kiedy będę pracował samotnie, kiedy tylko otoczy mnie cisza i spokój, będę słyszał słowa Heleny.

- Marku! - odezwała się błagalnym głosem.

Odwróciłem się do niej powoli. Światło dochodzące z palących się lampek było mizerne i widziałem jedynie zarys jej twarzy. To było bez znaczenia; wiedziałem o niej wszystko. Nawet przytłoczona smutkiem, bez odrobiny tej pewności siebie, działała na mnie tak, że poczułem nagłą

trwogę i podniecenie.

- Wiesz, że będę musiał cię odprowadzić do domu.
- Jutro - odpowiedziała - ...jeśli chcesz, żebym została.
- Chcę, żebyś została.

Podszedłem do niej. Senatorska córka obdarzyła mnie spojrzeniem, które mówiło, że wie, co się dzieje w mojej głowie, i że nawet jeśli tej myśli nie było tam wcześniej, to teraz już jest; takie to było spojrzenie. Byłem tak blisko, że wystarczyło się ku niej pochylić, by jednym ramieniem objąć w tali. Potem przygarnąłem ją, przycisnąłem do siebie, jednocześnie przypominając sobie, jakie to uczucie trzymać tę kobietę w ramionach. Oboje byliśmy ostrożni, ona jednak wydawała się całkiem skłonna do współpracy, więc wziąłem ją na ręce. Helena Justyna ważyła nieco mniej niż cesarska sztaba; można ją było unieść, choć niełatwo skrać... Mężczyzna mógł przenieść ją przez próg i nie przestawać się głupio uśmiechać; wiem, bo właśnie coś takiego robiłem.

Cisza nocna trwała już od tak dawna, że wozy dostawcze wreszcie przestały hałasować. Było o wiele za późno, bym mógł ją odprowadzić do domu albo by ktoś z domu jej ojca mógł ją zabrać ode mnie. Jutro rano zacznie się zwyczajne życie. Jutro będę ją musiał oddać.

Dopiero jutro. Dzisiaj należała tylko do mnie.



KONIEC
tomu pierwszego

Księgozbiór DiGG



2009